

PETER BRETT

DEMONICZNY CYKL

TOM I - CZĘŚĆ 1

MALOWANY CZŁOWIEK



DEFEKT EBOOK

STANDARD

*Dla Otziego,
oryginalnego Malowanego człowieka*

Część I

Potok Tibbeta

318 – 319

Roku Plagi

1

Ofiary

319 RP

Z oddali dobiegł odgłos wielkiego rogu.

Arlen przerwał pracę i spojrział w świtające niebo, na którym rozlewały się niewyraźne pasma różu. Wokół wciąż wisiała mgła, przez co powietrze miało wilgotny, ostry, dobrze mu znany posmak. Gdy ciszę przeciął złowieszczy sygnał, świat dookoła jakby zamarł. Chłopak stał z sercem ściśniętym strachem, trzymając się kurczowo nadziei, że był to jedynie wytwór jego wyobraźni. Miał wszak jedenaście lat.

Odległy trębacz zadał znowu, tym razem dwukrotnie, znacznie krócej. Jeden sygnał długi i dwa krótkie – to oznaczało południowy wschód. Osada przy Borach. Ojciec miał tam przyjaciół wśród drwali. Za plecami Arlena otworzyły się drzwi domu. Chłopiec wiedział, że w progu staje matka i zasłania dłońmi usta.

Natychmiast powrócił do pracy. Nie chciał, żeby ktoś go poganiał. Nie ze wszystkimi obowiązkami musiał się spieszyć, ale inwentarz bezwzględnie należało nakarmić, a krowy wydoić. Ruszył więc z obory po świeży zapas siana, dołał pomyj świniom, a potem pobiegł po drewniany kubek na mleko. Matka chłopca już kuciała przy pierwszej z krow. Porwał zydelek i szybko podchwycił narzucony przez nią rytm pracy. Strużki mleka pluskały miarowo o drewniane ściany kubłów, jakby wybijały takty marsza żałobnego.

Gdy zaczęli się krzątać przy drugiej parze krow, Arlen dostrzegł swego ojca, który z ponurą miną zaprzęgał do wozu ich klacz, pięcioletnią kasztankę o imieniu Missy.

Cóż znajdą tym razem?

Nie upłynęło wiele czasu, a już siedzieli na wozie i podskakując na wybojach, zmierzali w kierunku niewielkiego skupiska chałup położonego na skraju lasu. Był to niebezpieczny obszar, oddalony aż godzinę drogi od najbliższych domostw chronionych runami, ale przecież

wszyscy potrzebowali drewna. Matka Arlena, okutana w starą, wysłużoną chustę, tuliła mocno syna.

– Jestem już duży, mamó! – zaprotestował chłopiec. – Nie chcę, żebyś mnie przytulała jak małe dziecko. Nie boję się nic a nic.

Nie było to do końca prawdą, ale nie chciał, żeby inne dzieciaki widziały, jak jedzie na wozie w objęciach matki. Miały już wystarczająco dużo powodów, by się z niego naigrawać.

– Cóż, ja się boję – odparła kobieta. – A może to ja potrzebuję, by ktoś mnie pocieszał?

Arlen poczuł nagły przypływ dumy i wtulił się w bok matki. Nie umiałyby go oszukać, ale za to zawsze wiedziała, co powiedzieć, by osiągnąć zamierzony skutek.

Na długo przed dotarciem do celu słup gęstego dymu w oddali zdradził więcej, niżli mieli ochotę wiedzieć. Właśnie palono zmarłych. Co więcej, skoro rozpalono ogień tak wcześnie, nim jeszcze pozostali przybyli na wspólną modlitwę, zmarłych musiało być wielu. Zbyt wielu, by pomodlić się nad każdym z osobna przed zapadnięciem zmroku.

Gospodarstwo ojca Arlena dzieliło nieco ponad pięć mil od Osady przy Borach. Zanim dotarli na miejsce, ugaszono już ogień w ostatnich ocalałych chałupach, choć niewiele zostało do odratowania. Piętnaście domów zamieniło się w dymiące zgliszcza.

– Spaliły też zapas drewna – zauważył ojciec Arlena i splunął. Ruchem głowy wskazał poczerniałe resztki całorocznego wyrębu. Arlen skrzywił się, zadając sobie w myślach pytanie, jakim cudem rozklekotana zagroda ma teraz wytrzymać aż do następnego lata, ale wtedy poczuł wyrzuty sumienia. W końcu to było tylko drewno.

Mówczyni Osady podeszła do ich wozu. Selia, którą matka Arlena czasem nazywała Wyschniętą, była silną kobietą, wysoką, chudą i o skórze tak stwardniałej, jakby ją garbowano. Długie siwe włosy upinała w ciasny kok, nosiła też szal jako atrybut swej funkcji. Nie tolerowała czezej gadaniny i nie znosiła wygłupów, o czym Arlen niejednokrotnie przekonał się na własnym przykładzie, gdy puściła w ruch swój kij. Dzisiaj jednak chłopca pokrzepiła jej obecność. Podobnie jak u ojca, dostrzegał w niej coś, co sprawiało, że czuł się bezpiecznie. Selia nie miała dzieci, ale matkowała wszystkim w każdym zakątku Potoku Tibbeta. Niewielu potrafiło dorównać jej mądrością, a jeszcze mniej wykazywało większy upór. Każdy człowiek, na którego Selia spojrzała łaskawym okiem, miał wrażenie, jakby znalazł się w najbezpieczniejszym miejscu na świecie.

– Dobrze cię widzieć, Jeph – powiedziała do ojca Arlena. – Dobrze, że są tu też Silvy i młody Arlen. – Skinęła ku nim głową. – Każda para rąk się przyda. Nawet chłopca.

Ojciec Arlena chrząknął, zsiadając z wozu.

– Przywiozłem narzędzia – oznajmił. – Powiedz nam, gdzie mamy zacząć.

Arlen ściągnął cenny dobytek z wozu. Metal stanowił rzadkość w Potoku i ojciec był dumny ze swych dwóch łopat, kilofa oraz piły. Wyglądało jednak na to, że tego dnia nie będą oszczędzać żadnego z jego narzędzi.

– Ilu zginęło? – zapytał Jeph, choć tak naprawdę nie chciał poznać odpowiedzi.

– Dwudziestu siedmiu – odparła Selia. Silvy zachłysnęła się i zasłoniła usta, a w jej oczach wezbrały łzy. Jeph splunął raz jeszcze.

– Ktokolwiek przeżył?

– Kilka osób. Na przykład Manie. – Mówczyni wskazała kijem chłopca wpatzonego w stos pogrzebowy. – Przebiegł w ciemnościach całą drogę do mego domu.

Silvy jęknęła z niedowierzania. Nigdy nie słyszała, by komukolwiek udało się przeżyć taki bieg.

– Runiczna osłona wokół domu Brine’a Rębacza wytrzymała przez większą część nocy – ciągnęła Selia. – On sam z rodziną patrzył na to przez cały czas. Dołączyło do nich kilku sąsiadów, którzy zdołali umknąć otchłāncom, ale niebawem ogień zaczął się rozprzestrzeniać i w końcu objął dach. Trwali w płonącym domu, dopóki tuż przed świtem nie zaczęły pękać belki nad ich głowami. Wtedy zdecydowali się na ucieczkę. Otchłānce zabiły żonę Brine’a Meenę oraz ich syna Poula, ale pozostałym udało się zbiec. Ich poparzenia się zagoją, a dzieciaki z czasem dojdą do siebie, ale reszta...

Nie musiała kończyć tego zdania. Ci, którzy uszli pogoni demonów, zwykle umierali jakiś czas później. Nie wszyscy, nawet nie większość, ale wystarczająco wielu, by stanowiło to swoistą regułę. Niektórzy sami odbierali sobie życie, inni zaś trwali w stanie półświadomości, odmawiając jedzenia i picia, a z czasem zupełnie marnieli. Mawiano, że dopiero w rok i jeden dzień po napaści demona można było uznać, że naprawdę udało się przeżyć.

– Los około tuzina jest wciąż nieznanym – dodała Selia, choć ton jej głosu nie wyrażał nadziei.

– Wykopiemy ich – oznajmił Jeph ponuro, patrząc na zrujnowane domostwa, z których część wciąż się tliła. Rębacze zwykle budowali domy z kamienia, by zapobiec pożarom, ale gdy zawodziły runy ochronne, a atak przypuściło wystarczająco wiele ognistych demonów, nawet kamienie stawały w płomieniach.

Jeph dołączył do pozostałych mężczyzn, którzy wraz z kilkoma silniejszymi kobietami oczyszczali rumowiska i zwozili trupy na stos pogrzebowy. Ciało oczywiście należało spalić. Nikt nie chciał być pochowany w ziemi, z której co noc powstawały demony. Dobroduszny Harral, zawnazawszy rękawy skrywające tłuste ramiona, osobiście ciskał każde ciało w ogień. Mamrotał przy tym słowa modlitwy i kreślił runy, w miarę jak płomienie ogarniały zmarłych.

Silvy dołączyła do pozostałych kobiet. Razem z młodszymi dziećmi zajmowały się one rannymi pod czujnym okiem najlepszej Zielarki w Potoku, Coline Trigg. Nie znano jednak ziół, które mogłyby ulżyć w cierpieniu ocalałym. Brine Rębacz, zwany również Zwalistym, był mężczyzną niedźwiedziej wręcz postury. Za każdym razem, gdy Arlen z ojcem kupowali u niego drewno, zwykł podrzucać chłopaka wysoko w górę, tubalnie się przy tym śmiejąc. Teraz siedział w popiele obok zgłiszczy swego domostwa i wolno uderzał głową o

poczerniałą ścianę. Pomrukiwał coś pod nosem i obejmował się mocno ramionami, jakby podczas mrozu.

Arlenowi i innym dzieciom nakazano nosić wodę i przebierać sterty spalonego drewna w poszukiwaniu szczap, które nadawały się jeszcze do wykorzystania. Co prawda do końca roku pozostawało kilka ciepłych miesięcy, ale brakowało już czasu, by narąbać drewna na całą zimę. Znowu trzeba będzie palić suszonym gnojem, pomyślał chłopak, a to oznaczało potworny smród w całym domu.

Raz jeszcze stłumił poczucie winy. Przecież to nie jego ciało leżało na stosie, nie on musiał też uderzać głową o ścianę z rozpaczy po utracie całego dobytku. Są gorsze rzeczy niż cuchnący dom.

Czas mijał, a z każdą chwilą wieśniaków przybywało. Przyjeżdżali z rodzinami i wszystkim, co tylko mogło się przydać, z Zakątka Rybaków i z Ryneczku, z Pagórka Bogginów i z Grząskich Mokradeł, a niektórzy nawet z Południowej Strażnicy. Selia witała ich wszystkich ponurymi wieściami i przydzielała im zadania.

Teraz, gdy w wiosce zgromadziło się już ponad stu ludzi, mężczyźni zdwoili swe wysiłki. Połowa z nich nadal rozkopywała zgliszcza, podczas gdy pozostali zgromadzili się wokół jedynego domostwa w Osadzie przy Borach, które nadawało się do szybkiej odbudowy. Był to dom Brine'a Rębacza. Selia odprowadziła olbrzyma na bok, służąc mu ramieniem, a mężczyźni usuwali rumowisko i nanosili nowych kamieni. Kilku spośród nich wyciągnęło przybory i rozpoczęło kreślenie świeżych runów, podczas gdy dzieci przygotowywały strzechę. W tym tempie dom mógł zostać odbudowany przed zapadnięciem zmroku.

Arlenowi nakazano znosić drewno wraz z Cobiem Fisherem. We dwóch zgromadzili spory stos, który jednak stanowił niewielką część tego, co zostało stracone. Cobie był wysokim, barczystym młokosem z ciemnymi lokami i owłosionymi ramionami. Cieszył się sporą popularnością wśród rówieśników, lecz zdobył ją kosztem innych. Mało kto miał ochotę znosić jego złośliwości, nie mówiąc już o zaczepkach.

Cobie znęcał się nad Arlenem od lat, a inne dzieci dzielnie mu wtórowały. Gospodarstwo Jepha było najdalej wysunięte na północ w całym Potoku, odległe od miejsc w Ryneczku, gdzie zwykle bawiła się dzieciarnia, tak więc Arlen zazwyczaj włóczył się po osadach w pojedynkę. Większość pozostałych chłopców w okolicy nie miała nic przeciwko, by Cobie wyładowywał swój gniew właśnie na nim.

Za każdym razem, gdy Arlen szedł na ryby bądź mijał Zakątek Rybaków w drodze do Ryneczku, Cobie i jego kompani jakoś się o tym dowiadywali. Zawsze czyhali w tym samym miejscu. Czasami ograniczali się do kuksańców lub ciskania wyzwisk, ale bywało, że Arlen wracał do domu posiniaczony i zakrwawiony, a matka strofowała go za uczestniczenie w bójkach.

W końcu miarka się przebrała. Arlen wziął ze sobą solidny kij i schował go niedaleko miejsca, gdzie zwykle czekali dręczyciele. Gdy ponownie zastąpili mu drogę, z początku

udawał, że ucieka, by niespodziewanie wyciągnąć lagę z ukrycia i zawrócić, wymachując nią nad głową.

Cobie oberwał jako pierwszy. Po mocnym ciosie upadł na ziemię z uchem broczącym krwią. Kolejne uderzenie złamało palec Willumowi, a następne sprawiło, że Gart utykał przez ponad tydzień. Zajście to bynajmniej nie zwiększyło popularności Arlena wśród innych dzieci, a na domiar złego ojciec spuścił mu tęgie lanie, ale chłopcy nigdy go już nie zaczepiali. Nawet teraz Cobie, choć o wiele od Arlena większy, omijał go szerokim łukiem i wzdragał się za każdym razem, gdy chłopiec wykonywał jakiś gwałtowniejszy ruch.

– Mam tu ocalałych! – wykrzyknął nagle Bill Piekarz, który stał przy zawalonym domostwie na skraju Osady. – Słysząc ich głosy! Są uwięzieni w piwnicy!

Pozostali natychmiast rzucili wszystko, czym się zajmowali, i pospieszyli z pomocą. Oczyszczanie rumowiska zabrałoby zbyt wiele czasu, tak więc pogrążeni w ponurym milczeniu mężczyźni przystąpili do kopania. Wkrótce przebili się przez ścianę piwnicy i zaczęli wyciągać ocalałych na zewnątrz. Były to trzy kobiety, szóstka dzieci i jeden mężczyzna, wszyscy brudni i przerażeni, ale żywi.

– Wujek Cholie! – wykrzyknął Arlen. Jego matka przypadła do brata, który zataczał się niczym pijany, i mocno go przytuliła. Chłopiec podbiegł do nich i wsunął się pod drugie ramię wujka, chcąc go podtrzymać.

– Cholie, co ty tu robisz? – zapytała Silvy.

Cholie rzadko opuszczał swój warsztat w Ryneczku. Matka Arlena tysiące razy opowiadała historię, jak to swego czasu prowadziła z nim sklepik z wyrobami żelaznymi, póki Jeph nie zaczął łamać podków swych koni, by zyskać pretekst do przychodzenia w konkury.

– Przyjechałem do Any Rębacz – wymamrotał Cholie i znów targnął się za włosy, których wyrwał już całe pęki. – Właśnie otworzyliśmy drzwi do kryjówki, gdy otchłańce przedarły się przez osłonę runiczną.

Jego nogi naraz osłabły, a Arlen i Silvy zgarbili się pod jego ciężarem. Cholie ukląkł w popiele i zaczął szlochać.

Arlen spojrzał na resztę uratowanych. Nie widział wśród nich Any Rębacz. Poczł ucisk w gardle, gdy minęli go najmłodszy. Znał każdego z nich, znał ich rodziny, wiedział, jak wyglądają ich domy z zewnątrz i od środka oraz jak nazywają się ich zwierzęta. Gdy dzieci przechodziły, uchwytywał ich spojrzenia ledwie na sekundę, ale to wystarczyło, by ujrzeć w ich oczach przebieg całego ataku, od początku do końca. Widział siebie skulonego w ciasnej dziurze w ziemi, podczas gdy ci, którzy już do niej nie weszli, odwracali się, by stawić czoła otchłańcom oraz płomieniom. Nagle zaczął szybko oddychać i nie mógł złapać tchu, dopóki Jeph nie przywołał go do rzeczywistości uderzeniem w plecy.

* * *

Po południu kończyli właśnie zimną przekąskę, kiedy znów dobiegł ich odgłos rogu, tym razem z przeciwnego krańca Potoku.

– Drugi atak w ciągu jednego dnia? – szepnęła Silvy, zasłaniając usta.

– Co ty wygadujesz? – parsknęła Selia. – W południe? Rusz głową, dziewczyno.

– A zatem co to takiego?

Selia zignorowała ją i wstała, by się rozejrzeć za trębaczem i kazać mu odpowiedzieć na sygnał. Keven Marsh już trzymał róg w pogotowiu, co było typowe dla ludzi z Grząskich Mokradeł. Na bagnach łatwo stracić orientację, a nikt nie chciał wędrować po nich samotnie, w chwili gdy budziły się bagienne demony. Policzki Kevena nadeły się niczym żabie podgardle, a róg wydał serię dźwięków.

– To róg Posłańca – wytłumaczył Coran Marsh, siwobrody starzec, Mówca Grząskich Mokradeł i ojciec Kevena. – Zapewne dostrzegli dym. Keven przekazuje im, co się stało i gdzie wszyscy są.

– Posłaniec wiosną? – Arlen zmarszczył brwi. – Sądziłem, że przyjeżdżają jesienią po żniwach. Dopiero co zakończyliśmy siew w zeszłym miesiącu!

– Zeszłej jesieni próżnośmy go wyglądali – stwierdził Coran i strzyknął spienionym brązowym sokiem z korzenia, który ogryzał w luce pomiędzy zębami. – Byliśmy w strachu, że coś się stało. Niektórzy nawet myśleli, że następnej jesieni nie będzie już Posłańca z solą. Albo że otchłańce wdary się do Wolnych Miast i jesteśmy zdani wyłącznie na siebie.

– Otchłańce nigdy nie zdobyłyby Wolnych Miast – zauważył chłopiec.

– Arlen, bądźże cicho – syknęła Silvy. – To przecież jeden ze starszych.

– A daj mu gadać! – odparł Coran. – Byłeś ty kiedy w którym z nich?

– Nie – przyznał Arlen.

– A znasz kogoś, kto był?

– Nie.

– Tedy skąd z ciebie taki znawca? Nikt nie jeździ do Wolnych Miast poza Posłańcami. Tylko oni mają odwagę podróżować tak daleko po zmroku. Któż może wiedzieć, czy Wolne Miasta różnią się czymś od Potoku? Skoro otchłańce nas potrafią dopaść, pewnikiem potrafią dorwać również ich!

– Stary Wieprz pochodzi z Wolnych Miast – przypomniał Arlen. Rusco Wieprz był najbogatszym człowiekiem w Potoku i prowadził największy w okolicy sklep, który napędzał cały handel miasteczka.

– Juści. – Coran skinął głową. – A nawet stary Wieprz powiedział mi wiele lat temu, że ta jedna podróż starczyła mu aż nadto. Miał zamiar wrócić po paru latach, ale powiedział, że to w sumie niewarte ryzyka. Zapytaj go więc, czy Wolne Miasta są bezpieczniejsze od jakiegokolwiek innego miejsca.

Arlen nie chciał wierzyć starszowski. Musiały przecież istnieć jakieś bezpieczne miejsca

na świecie. Niespodziewanie przez jego umysł ponownie przemknęło wyobrażenie zatłoczonej dziury w piwnicy i zrozumiał, że w nocy nigdzie nie będzie naprawdę bezpieczny.

Posłaniec przybył godzinę później. Był to wysoki, ledwie trzydziestokilkuletni mężczyzna z krótkimi brązowymi włosami i przyciętą gęstą brodą. Jego barczyste ramiona kryła kolczuga z metalowych kółek. Nosił też długi ciemny płaszcz, grube skórzane spodnie oraz ciężkie buty. Dosiadał klaczy szlacheckiej krwi o lśniącej brunatnokasztanowej sierści, przy siodle wisiała specjalna uprzęż podtrzymująca komplet włócznie różnego rozmiaru. Posłaniec trzymał się prosto, z dumą, a jego twarz była sroga i ponura. Zlustrował wzrokiem tłum i natychmiast dostrzegł stojącą nieopodal Mówczynię wydającą wieśniakom polecenia. Zawrócił konia w jej kierunku.

Kilka kroków za nim na obładowanym wozie ciągniętym przez parę ciemnobrązowych mułów jechał Minstrel. Jego strój składał się z barwnych, pstrokatych skrawków materiału pozszywanych razem, a na koźle tuż obok niego spoczywała lutnia. Arlen nie przypominał sobie, by kiedykolwiek widział człowieka z tak dziwnymi włosami. Czupryna Minstrela miała bowiem kolor jasnej marchewki, natomiast jego skóra była niewiarygodnie blada, jakby nigdy wcześniej nie padły na nią promienie słońca. Siedział przygarbiony, z opadniętymi ramionami i wyglądał na skrajnie wycieńczonego.

Każdego roku z Posłańcem przybywał jakiś Minstrel. To właśnie jego dzieci – choć także część dorosłych – wyczekiwały z większą niecierpliwością. O ile Arlen dobrze pamiętał, zawsze był to ten sam siwobrody człowiek, radosny i pełen energii. Ten zaś zdawał się o wiele młodszy i ponury. Natychmiast otoczyła go dziatwa, a gdy Minstrel uniósł głowę, przygnębienie znikło z jego twarzy tak szybko, że Arlen zaczął wątpić, czy kiedykolwiek je dostrzegł. Przybysz błyskawicznie zeskoczył z wozu i ku radości najmłodszych zaczął żonglować kolorowymi piłeczkami.

Pozostali porzucili swe obowiązki i zbierali się wokół gości. Selia ofuknęła ich raz i drugi.

– Ten dzień nie stanie się dłuższy przez to, że przybył Posłaniec! – warknęła. – Wracać mi zaraz do pracy!

Tu i ówdzie rozległy się narzekania, ale wszyscy powrócili do swych zajęć.

– Ty nie, Arlen – dodała szybko. – Chodź tutaj.

Chłopiec przestał przyglądać się Minstrelowi i podszedł do Mówczyni.

– Wysznięta Selia? – zapytał Posłaniec.

– Wystarczy po prostu Selia – burknęła kobieta chłodno. Oczy Posłańca rozszerzyły się, a jego policzki oblały rumieńcem; w miejscach, gdzie nie sięgał zarost, wykwitły plamy intensywnej czerwieni. Zeskoczył z konia i pochylił się nisko.

– Zechciejcie mi wybaczyć. Nie sądziłem, że was to urazi. Graig, wasz dotychczasowy Posłaniec, powiedział, że tak was zwa.

– Miło mi się dowiedzieć, jak też Graig o mnie myśli po tylu latach – odparła Selia,

bynajmniej nie wyglądając na udobruchaną.

– Jak myślał – poprawił ją mężczyzna. – On nie żyje, pani.

– Nie żyje? – zapytała Selia, nagle przygnębiona. – Czy to sprawka...?

Posłaniec pokręcił głową.

– Zabiło go przeziębienie, nie demony. Nazywam się Ragen i jestem waszym tymczasowym Posłańcem, zgodnie z życzeniem wdowy po Graigu. Gildia wybierze nowego następnego jesieni.

– Czyli mamy czekać półtora roku na następnego Posłańca? – Wyglądało na to, że Selia szykuje się do tyrady. – Ledwie przetrwaliśmy zeszłą zimę bez jesiennej dostawy soli. Wiem, że mało was to w Miln obchodzi, ale połowa naszego zapasu mięsa i ryb zgniła przez brak należytego przygotowania. A co z naszymi listami?

– Przykro mi, pani – rzekł Ragen. – Wasze miasteczka leżą z dala od głównych szlaków i dotarcie do was zabiera Posłańcowi dobrze ponad miesiąc każdego roku. Wysyłanie go tutaj staje się więc kosztownym interesem. Gildia Posłańców cierpi na niedobory, a tu na domiar złego Graig złapał katar.

Zachichotał i pokręcił głową, ale dostrzegł, że twarz Selii pociemniała w odpowiedzi.

– Nie chciałem nikogo urazić, pani. Ja również uważałem go za przyjaciela. Chodzi o to, że... Chodzi o to, że niewielu spośród nas, Posłańców, dorobiło się dachu nad głową, ciepłego łóżka i młodej żony u boku. Z reguły wcześniej dopada nas noc, jeśli rozumie pani, co mam na myśli.

– Rozumiem – odparła Mówczyni. – A czy ty masz żonę, Ragenie?

– Tak. Choć ku jej satysfakcji, a memu cierpieniu, częściej widuję moją klacz niżli ją.

Zaśmiał się po tych słowach. Arlen, który nie uważał, by myśli o żonie nieodczuwającej tęsknoty za mężem były czymś zabawnym, spojrział na Posłańca ze zdumieniem. Selia najwyraźniej tego nie dostrzegła.

– A gdybyś nie mógł w ogóle jej widywać? – zapytała. – Gdyby łączyły cię z nią tylko listy otrzymywane raz do roku? Jak byś się poczuł na wieść o tym, że te listy spóźnią się o sześć miesięcy? Mieszkają tu ludzie, którzy mają krewnych w Wolnych Miastach. Niektórzy opuścili miasto dwa pokolenia temu. Ci ludzie nie wrócą już do domu, Ragenie. Listy to jedyne, co łączy nas z bliskimi w mieście, a miasto z nami.

– W pełni się z wami zgadzam, pani, lecz to nie ja podejmuję decyzje. Książę...

– Ale przecież porozmawiasz z księciem po powrocie, prawda?

– Prawda.

– Zapisać ci, co masz mu przekazać?

– Sądzę, że dam radę to spamiętać.

– Z pewnością.

Ragen uśmiechnął się i ukłonił jeszcze niżej.

– Wybaczcie, że przybywam w tak ponury dzień. – Jego wzrok uciekł w kierunku stosu

pogrzebowego.

– Nie potrafimy odgadnąć, kiedy przyjdzie deszcz, wiatr czy chłód, tak jak nie potrafimy przewidzieć ataku otchłańców – odpowiedziała Selia. – Życie jednak musi toczyć się dalej.

– I życie toczy się dalej – przytaknął Ragen. – Ale jeśli jest coś, w czym ja bądź mój Minstrel możemy pomóc, to wiedz, pani, że nawykłem do noszenia ciężarów i wielokrotnie zajmowałem się ranami zadanymi przez otchłańce.

– Twój Minstrel już pomaga. – Selia skinęła na młodego człowieka, który śpiewał i prezentował swe sztuczki. – Odciąga dziatwę od pracy. Jeśli zaś chodzi o ciebie... Będę mieć sporo na głowie przez następne kilka dni, jeśli mamy się w ogóle podnieść po tej stracie. Nie znajdę dość czasu, by rozdawać pocztę i czytać listy tym, którzy tego nie potrafią.

– Ja mogę je czytać, ale nie znam twego miasteczka wystarczająco dobrze, by móc je rozdawać.

– Nie ma takiej potrzeby. – Selia popchnęła Arlena do przodu. – Ten tu chłopiec, Arlen, zabierze cię do największego sklepu w Ryneczku. Przekaż listy i paczki człowiekowi o imieniu Rusco Wieprz, temu samemu, który weźmie od ciebie sól. Większość mieszkańców zbiegnie się na wieść o dostarczeniu soli, a Rusco należy do tych nielicznych, którzy potrafią czytać i rachować. To stary oszust, będzie pewnie narzekał i domagał się zapłaty, ale powiedz mu, że w chwili potrzeby każdy musi coś od siebie dać. Oświadczysz mu, że albo rozda listy i przeczyta je wszystkim tym, którzy tego nie potrafią, albo ja nie kiwnę nawet palcem, gdy następnym razem ludność miasteczka będzie chciała zarzucić mu pętlę na szyję.

Ragen przyjrzał się uważnie Selii, najpewniej próbując odgadnąć, na ile mówiła poważnie, lecz jej kamienna twarz niczego nie zdradziła. Ponownie skłonił głowę.

– Nie ociągaj się zatem – ponagliła go Selia. – Ruszajcie w drogę i wracajcie, zanim wszyscy zaczną szykować się do powrotu przed wieczorem. Jeśli ty oraz twój Minstrel nie macie ochoty płacić Rusco za pokój, każdy z ludzi, których tu widzisz, z ochotą zaproponuje ci u siebie gościnę.

Popędziła przybyszów raz jeszcze, a potem odwróciła się, by zgromić wzrokiem każdego, kto przerwał pracę, by się na nich gapić.

* * *

– Czy zawsze jest taka... władcza? – zapytał Ragen, gdy zmierzali wraz z chłopcem w kierunku Minstrela, który bawił się kukielkami przed grupką najmłodszych dzieci. Reszta wróciła już do swych obowiązków.

Arlen parsknął.

– Powinieneś usłyszeć, jak rozmawia ze starszymi. Masz szczęście, że uszło ci na sucho nazwanie jej Wyschniętą.

– Graig twierdził, że wszyscy tak na nią mówią.

– Bo to prawda – zgodził się Arlen. – Ale nie prosto w twarz, chyba że mają ochotę igrać z ogniem. Każdy aż podskakuje ze strachu, gdy Selia otworzy usta.

Ragen zachichotał.

– I pomyśleć, że to tylko stara Córka – zamyślił się. – Tam, skąd pochodzę, tylko Matki oczekują, że wszyscy będą podskakiwać na dźwięk ich głosu.

– Cóż to za różnica?

Posłaniec wzruszył ramionami.

– Nie jestem pewien. Ale tak właśnie wyglądają sprawy w Miln. Dzięki ludziom życie toczy się naprzód, a dzięki Matkom ludzie przychodzą na świat, tak więc to one grają pierwsze skrzypce.

– U nas jest inaczej – odparł Arlen.

– Jak to zwykle bywa w małych miasteczkach. Nie mieszka tu przecież zbyt wielu ludzi. Ale Wolne Miasta różnią się od siebie. Poza Miln w żadnym innym kobieci nie mają zbyt wiele do powiedzenia.

– Głupie to.

– W istocie.

Ragen nagle się zatrzymał i wręczył chłopcu wodze.

– Poczekaj no chwilę – powiedział i ruszył w kierunku Minstrela. Obaj mężczyźni odeszli na stronę, a ich krótka rozmowa błyskawicznie przerodziła się w cichą kłótnię. Arlen obserwował, jak twarz Minstrela ponownie ulega przemianom. Najpierw pojawił się na niej gniew, potem rozdrażnienie, a w końcu zrezygnowanie, gdy ostatecznie ustąpił argumentom Posłańca, którego oblicze przez cały czas pozostawało niewzruszone.

Nie spuszczać oczu z Minstrela, Posłaniec uniósł rękę i przywołał gestem chłopaka. Arlen podszedł do nich, prowadząc konia.

– ...i gdzieś to mam, jaki jesteś zmęczony – ciągnął Ragen chrypliwym szeptem. – Tych ludzi czeka ogrom pracy i jeśli będzie trzeba tańczyć i zonglować przez całe popołudnie, by zająć czymś ich dzieciaki, to lepiej się do tego przyłóż. No, rozpogódź się i do roboty!

Z tymi słowami wyrwał wodze z rąk chłopca i rzucił nimi w Minstrela.

Arlen dostrzegł w jego twarzy zarówno oburzenie, jak i strach. Jednakże w tej samej sekundzie, gdy Minstrel uświadomił sobie, że jest obserwowany, chmury zniknęły z jego oblicza. Nagle wyglądał jak ten sam uśmiechnięty jegomość, który tańczył dla dzieci.

Ragen zaprowadził chłopca do wozu. Wspięli się na kozioł, Posłaniec strzelił lejcami i podskakując na wybojach, ruszyli w kierunku głównego traktu.

– O co się kłóciliście? – zapytał Arlen.

Ragen przyglądał mu się przez chwilę, a potem wzruszył ramionami.

– Keerin nigdy wcześniej nie wyjechał tak daleko z miasta – odparł. – Miał w sobie sporo śmiałości, gdy podróżowaliśmy w grupie i mógł spać na wozie pod plandeką, ale gdy rozstaliśmy się z naszą karawaną w Angiers, nagle stracił rezon. Trzęsienie portkami ze strachu

przed otchłańcami, a to nie czyni go dobrym towarzyszem.

– Nie byłbym tego tak pewnym. – Chłopiec odwrócił się, by zerknąć na Minstrela, który właśnie wykonywał gwiazdy i salta.

– Każdy Minstrel ma w zanadru jakieś aktorskie sztuczki. Czasem tak dobrze udają, że są kimś innym, iż sami zaczynają w to wierzyć – wyjaśnił Ragen. – Keerin udawał odważnego. Gildia poddała go próbom, by sprawdzić, czy sprostą trudom podróży. Przeszedł je, ale tak naprawdę nigdy nie wiesz, jak ktoś będzie się zachowywać po dwóch tygodniach spania pod gołym niebem, póki sam tego nie sprawdzisz.

– Jak tobie się to udaje? Tata mówi, że kreśląc runy w pyle drogi, człowiek sam szuka kłopotów.

– Twój tata ma rację. Zerknij no do skrytki pod stopami.

Chłopiec wykonał polecenie i wyciągnął sporą torbę z miękkiej skóry. W środku znalazł węzłąstą linę, w którą wpleciono pomalowane drewniane płytki większe od jego dłoni. Oczy rozszerzyły mu się, gdy ujrzał wycięte w drewnie runy.

Natychmiast zrozumiał, co trzyma w rękach – przenośny krąg osłony runicznej, wystarczająco duży, by otoczyć cały wóz i objąć jeszcze sporo przestrzeni dookoła.

– Nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziałem – powiedział półgłosem.

– Nielatwo je wykonać. Większość z nas spędza cały okres terminowania na doskonaleniu tej sztuki. Przez te runy nie przedostanie się ani wiatr, ani deszcz, ale i tak daleko im do domostwa z runami wyrysowanymi na ścianach i drzwiach. Widziałeś kiedyś otchłańca na własne oczy, chłopcze? – zapytał Ragen, patrząc twardo na Arlena. – Widziałeś kiedyś, jak zamierza się na ciebie, a ty nie masz dokąd uciec ani za czym się schować, nie licząc niewidocznej magicznej osłony? – Pokręcił głową. – Może jestem zbyt surowy dla Keerina. Przeszedł przecież przez wszystkie próby. Trochę powrzeszczał, ale należało się tego spodziewać. Spanie na otwartej przestrzeni noc w noc to co innego. To ciężkie przeżycie dla tych mężczyzn, którzy nigdy nie przestają się martwić, że jakiś zbłąkany liść zakryje run, a wtedy...

Niespodziewanie syknął głośno i zamierzył się na Arlena, zakrzywiając palce niczym szpony. Zachichotał, gdy młodzik aż podskoczył.

Chłopiec przesuwając kciukiem po gładkiej, malowanej powierzchni każdego runu. Wyczuwał ich moc. Rozmieszczono je co stopę, podobnie jak czyniono na ścianach domów. Naliczył ich ponad czterdzieści.

– Czy demon wiatru mógłby wlecieć w tak wielkie koło? – zapytał. – Tata stawia słupy, by nie lądowały na naszych polach.

Mężczyzna spojrzał na niego odrobinę zaskoczony.

– Twój tata najprawdopodobniej traci czas. Demony wiatru świetnie latają, ale żeby wzbic się w powietrze, muszą wziąć porządny rozpęd albo wspiąć się wysoko i zeskoczyć. Na polu kukurydzy ani jedno, ani drugie nie jest możliwe, tak więc nie będą się kwapić do

lądownia, chyba że dostrzegą coś wyjątkowo kuszącego. Na przykład małego chłopca, który na złość rodzicom śpi sobie w zbożu.

Spojrzał na Arlena w ten sam sposób, w jaki czynił to Jeph, kiedy przypominał synowi o niebezpieczeństwie grożącym ze strony otchłańców. Zupełnie jak gdyby chłopiec kiedykolwiek o tym zapomniał.

– Demony wiatru nie są zbyt zwrotne – ciągnął Ragen. – Co więcej, rozpiętość skrzydeł większości z nich przekracza średnicę okręgu. Całkiem możliwe, że któryś mógłby wylądować w środku, ale nigdy tego nie widziałem. A gdyby się na to zdecydował, cóż...

Wskazał długą, masywną włócznię leżącą tuż obok niego.

– Można zabić otchłańca taką bronią? – zapytał Arlen.

– Pewnie nie. Słyszałem jednak, że można je ogłuszyć, przygważdzając do osłony runicznej. – Posłaniec zachichotał. – Mam nadzieję, że nigdy nie będę musiał tego sprawdzać.

Arlen popatrzył na niego szeroko otwartymi oczyma. Ragen odwzajemnił spojrzenie, a jego twarz naraz stała się poważna.

– Bycie Posłańcem to niebezpieczne zajęcie, młodzieńcze – stwierdził.

Chłopiec przez dłuższą chwilę nie spuszczał z niego wzroku.

– Opłaciliby się jednak, choćby tylko po to, by zobaczyć Wolne Miasta – zawyrokował w końcu. – Powiedz mi prawdę: jak wygląda Fort Miln?

– To najbogatsze i najpiękniejsze miasto na świecie. – Ragen podciągnął rękaw koszuli kolczej, odsłaniając tatuaż na przedramieniu, który przedstawiał mrowie zabudowań między dwiema górami. – Kopalnie księcia Miln obfitują w sól, metale oraz węgiel. Mury i dachy miasta są pokryte tak gęstą siecią runów, że te na ścianach domów rzadko się w ogóle sprawdza. Gdy zaś słońce rozświetla miejskie obwarowania, nawet te wysokie szczyty mogłyby im pozazdrościć piękna.

– Nigdy nie widziałem gór – oznajmił zachwycony Arlen, wodząc palcem po tatuażu. – Mój tata twierdzi, że to tylko wielkie wzgórza.

– Widzisz tamto? – Ragen wskazał na północ od drogi.

– To Pagórek Bogginów. Widać stamtąd cały Potok.

– Wiesz, ile to sto, Arlenie? – zapytał.

Chłopiec skinął głową.

– Dziesięć razy tyle, co palców u rąk.

– Cóż, zatem nawet mała góra będzie większa od stu Pagórków Bogginów ułożonych jeden na drugim, a góry wokół Miln do małych nie należą.

Oczy Arlena rozszerzyły się, gdy spróbował wyobrazić sobie taki rozmiar.

– Przecież one muszą dotykać nieba!

– Niektóre są jeszcze wyższe – chelpił się Ragen. – Gdy staniesz na ich szczycie, u swych stóp ujrzysz chmury.

– Chciałbym to kiedyś zobaczyć...

– Możesz wstąpić do Gildii Posłańców, gdy dorośniesz.

Arlen pokręcił głową.

– Tata twierdzi, że ludzie, którzy od nas wyjeżdżają, to dezerterzy. Splanuwa, gdy o nich mówi.

– Twój tata nie wie, o czym gada, a spluwanie nic tu nie pomoże. Bez Posłańców nawet Wolne Miasta rychło by upadły.

– Myślałem, że Wolne Miasta są bezpieczne – zdziwił się chłopiec.

– Nigdzie nie jest bezpiecznie, Arlenie. Nigdzie nie jest naprawdę bezpiecznie. W Miln mieszka o wiele więcej ludzi niż w Potoku Tibbeta i śmierć przechodzi tam bardziej niezauważenie, ale otchłanice co roku zbierają swe żniwo również i w miastach.

– Ilu ludzi mieszka w Miln? W Potoku Tibbeta mamy dziewięćset mieszkańców, a Słoneczne Pastwiska w górze drogi są podobno równie wielkim miasteczkiem.

– W Miln mieszka nas ponad trzydzieści tysięcy – z dumą oznajmił Ragen.

Arlen spojrzął na niego całkiem skołowany.

– Tysiąc to dziesięć setek – dodał Posłaniec.

Chłopak zastanawiał się nad tym przez chwilę, a potem pokręcił głową.

– Ale przecież na całym świecie nie ma tylu ludzi!

– Jest ich o wiele więcej. Szeroki świat czeka na wszystkich tych, którzy odważą się stawić czoła nocy.

Arlen nie odpowiedział i przez jakiś czas jechali w milczeniu.

* * *

Minęło półtorej godziny, zanim wóz przytelepał się do celu podróży. W centralnej części Potoku Tibbeta, zwanej powszechnie Ryneczkiem, stało kilka tuzinów drewnianych, chronionych runami domów, należących do wszystkich tych, których interes nie zmuszał do pracy w polu lub na plantacjach ryżowych, do łowienia ryb czy wreszcie wycinania drzew. To właśnie w Ryneczku składało się wizyty krawcowi, piekarzowi, kowalowi, bednarzowi i całej reszcie.

W samym środku Ryneczku znajdował się plac, na który rzucał cień największy w Potoku gmach, obszerny skład handlowy. Najchętniej odwiedzano tę jego część, gdzie ustawiono ławy oraz szynkwasy. Zaraz za nią znajdował się jeszcze większy magazyn, a pod nimi głęboka piwnica, wypełniona niemalże wszystkim, co w Potoku miało znacniejszą wartość.

Kuchnię prowadziły córki Wieprza, Dasy oraz Catrin. Za dwa płacidła można było u nich najeść się do syta, choć Silvy i tak nazywała Wieprza starym oszustem, dowodząc, że za tyle samo można kupić surowego ziarna na cały tydzień. Mimo to wielu mężczyzn chętnie płaciło tak wygórowaną cenę za posiłek, choć nie ze względu na jego jakość. Cóż z tego, że Dasy nie uchodziła za atrakcyjną, a Catrin nie grzeszyła zwiewną sylwetką – jak powiadał wujek

Cholie, ożenek z którąkolwiek ustawiał chłopca na całe życie.

Wszyscy ludzie w Potoku znosili Wieprzowi swe dobra, obojętne, czy była to kukurydza, mięso, futra czy też płótno, meble lub narzędzia. Handlarz szacował wartość tych towarów, a potem wręczał klientom równowartość w płacidłach, by ci mogli je wydać w jego składzie.

Powszechnie uważano, że Wieprz oferował zaniżone ceny za skupowane przedmioty. Arlen znał się na rachunkach wystarczająco dobrze, by samemu to wiedzieć. W miasteczku grzmiało od kłótni, jakie toczyli z nim sprzedawcy, ale to Wieprz ustalał ceny i transakcje zazwyczaj kończyły się z korzyścią dla niego. Nie istniał w Potoku człowiek, który nie miał własnych powodów, by nienawidzić Wieprza, ale z drugiej strony wszyscy go potrzebowali i woleli otwierać przed nim drzwi, aniżeli pluć mu pod nogi.

Choć mieszkańcy Potoku harowali w pocie czoła, rzadko kiedy udawało im się zaspokoić wszystkie swe potrzeby. Jednakże policzki Wieprza i jego córek zawsze były rumiane, ich brzuchy nieodmiennie pękate, a ubrania czyste i nieznoszone. Arlen, dla odmiany, musiał zawijać się w koc za każdym razem, gdy matka zabierała jego spodnie do prania.

Ragen przywiązał muły przed składem i razem z chłopcem weszli do środka. W traktierni świeciło pustkami. Zwykle pachniało tu smażonym boczkiem, ale tym razem z kuchni nie docierały żadne aromaty.

Arlen wyprzedził Posłańca i podbiegł do szynkwasu. Rusco ustawił tam niewielki brązowy dzwonek, który przywiózł ze sobą z Wolnych Miast. Chłopiec wprost go uwielbiał – z rozmachem spuścił nań swą dłoń i wyszczerzył zęby, gdy rozległ się czysty dźwięk.

Z zaplecza dobiegł jakiś rumor i już po chwili spomiędzy zasłon dzielących salę od kuchni wyłonił się Rusco, potężny mężczyzna, który pomimo szóstego krzyżyka nadal trzymał plecy prosto i zachował wiele krzepy. Ostatnio bardzo jednak utył, a stalowoszare włosy cofnęły się jeszcze dalej od silnie zarysowanego czoła. Miał na sobie lekkie spodnie, skórzane trzewiki oraz białą koszulę bawełnianą z podwiniętymi do połowy rękawami, odsłaniającymi grube przedramiona. Jego fartuch jak zwykle był nieskazitelnie czysty.

– Arlen Bales – powiedział z cierpliwym uśmiechem na widok chłopca. – Przyszedłeś, by pobawić się dzwonkiem, czy masz może jakąś sprawę?

– Ja mam sprawę. – Ragen podszedł do szynkwasu. – To ty jesteś Rusco Wieprz?

– Wystarczy Rusco – odparł właściciel składu. – Miejscowi przezywają mnie Wieprzem, choć żaden nie ma dość odwagi, by się tak do mnie zwrócić. Nie potrafią zdzierżyć, że komuś się powodzi.

– To już drugi raz... – szepnął z zadumą Ragen.

– Co rzekliście, panie?

– Dziennik podróżny Graiga już dwukrotnie wyprowadził mnie na manowce. Dziś rano nazwałem Selię Wyschniętą.

– Ha! – zaśmiał się Rusco. – Naprawdę? No, to ci numer. Wreszcie coś, za co warto postawić kufelek. Jak brzmi wasze imię, panie?

– Ragen. – Posłaniec odłożył ciężką sakwę, siadając przy kontuarze. Wieprz zdjął z haka drewniany kufel i podstawił go pod kurek w baryłce. Nalewał gęstego piwa o barwie miodu, aż nad brzegami naczynia uformowała się biała czapa piany, a potem nalał również sobie. W końcu zerknął na Arlena i napełnił mniejszy kufelek.

– Weź to do któregoś ze stołów i pozwól starszym porozmawiać w spokoju – zwrócił się do chłopca. – A jeśli wiesz, co dla ciebie miłe, lepiej nie wspominaj mamie, że cię poczęstowałem.

Rozpromieniony Arlen umknął ze zdobyczą, zanim Rusco zdążył się rozmyślić. Kilka razy smakował piwa z kufła ojca podczas rozmaitych świąt, ale nigdy wcześniej nie dostał własnego. Zasiadłszy w kąciaku, skupił się na podsłuchiowaniu rozmowy.

– Już miałem obawy, że nikt do nas nie przybędzie – rzekł Rusco.

– Zeszłej jesieni Graiga złapało przeziębienie, tuż przed wyjazdem w wasze okolice – tłumaczył Ragen, co chwila łapczywie pociągając z kufła łyk. – Zielarz nakazał mu odłożyć wyprawę, dopóki nie wydobrzeje, ale nadeszła zima, a jego stan tylko się pogarszał. Przed śmiercią poprosił mnie, bym przybył tu za niego, nim gildia znajdzie innego Posłańca. Tak czy owak, zmierzałem z karawaną soli do Angiers, więc włączyłem w jej skład dodatkowy wóz i po drodze odbiłem tutaj. Następnie chcę się udać z powrotem na północ.

Rusco napełnił opróżniony już kufel gościa.

– Za Graiga! – zawołał. – Zacny był z niego Posłaniec, a targować się potrafił jak mało kto.

Ragen skinął głową. Obaj mężczyźni stuknęli się kufłami i wychylili ich zawartość.

– Jeszcze jeden? – zapytał Rusco, gdy jego rozmówca z impetem odstawił puste naczynie na blat.

– Graig napisał w dzienniku, że ty też targujesz się jak mało kto. I że w pierwszej kolejności spróbujesz mnie upić.

Handlarz zachichotał i odkręcił kurek w baryłce.

– Kiedy już ubijemy interes, nie będę musiał niczego więcej ci stawiać. – Pchnął po ladzie piwo ze świeżą pianką.

– Będziesz musiał, jeśli chcesz, by twoja poczta dotarła do Miln – odparł Ragen z grymasem na twarzy, ale ujął kufel za ucho.

– Widzę, że próbujesz dorównać Graigowi w uporze – zaburczał Rusco i dolał również sobie. – No – rzucił, gdy uformowała się pianka. – W końcu obaj możemy dobijać targu po pijanemu.

Ze śmiechem stuknęli się naczyniami.

– Cóż słyhać w Wolnych Miastach? – zapytał handlarz. – Krasjanie nadal próbują się powybijać?

Posłaniec wzruszył ramionami.

– Wszystko na to wskazuje. Przestałem jeździć do Krasji parę lat temu, kiedy się

ożeniłem. Zbyt daleko, zbyt niebezpiecznie.

– Czyli to, że każą swym kobietom chodzić zakutym w koce, nie miało nic wspólnego z twoją decyzją?

– Na pewno częściowo na nią wpłynęło. – Ragen wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Ale najbardziej zniechęciło mnie ich zdanie na temat wszystkich ludzi z Północy, nawet Posłańców. Uważają nas za tchórzy tylko dlatego, że nie usiłujemy się powyrzynać każdej nocy.

– Może gdyby bardziej dbali o swe kobiety, mieliby mniejszą ochotę na te bezsensowne utarczki – zamyślił się Rusco. – A co z Angiers i Miln? Książęta nadal drą koty?

– Jak zwykle. Euchor potrzebuje drewna z Angiers, by napędzać swe rafinerie, oraz tamtejszego zboża, by wyżywić poddanych. Rhinebeck jest zaś uzależniony od dostaw metalu i soli z Miln. Muszą handlować, jeśli chcą przetrwać, ale zamiast ułatwić sobie współpracę, bez ustanku próbują się wzajemnie wyzyskać, zwłaszcza gdy jakiś ładunek przepadnie w drodze z powodu ataku otchłańców. Zeszłego lata demony napadły na karawanę wiozącą stal i sól. Wymordowały woźniców, ale większość ładunku pozostała nietknięta. Przywłaszczył go sobie Rhinebeck i odmówił zapłaty, powołując się na przywilej znalazcy.

– Książę Euchor zapewne nie posiadał się ze złości – stwierdził Rusco.

– W rzeczy samej. Osobiście przekazałem mu te wieści. Spurpurowiał i zaprzysiągł, że Angiers nie ujrzy ani uncji soli, dopóki Rhinebeck nie zapłaci.

– I zapłacił? – Handlarz pochylił się, pochłonięty opowieścią.

Ragen pokręcił głową.

– Przez kilka miesięcy obaj książęta robili wszystko, co w ich mocy, żeby zagłodzić swych poddanych. Zapłaciła w końcu Gildia Kupiecka, chcąc wywieźć towary przed nadejściem zimy, nim te zgniją w magazynach. Rhinebeck nie kryje gniewu za to, że ustąpili Euchorowi, ale przynajmniej zdołał uratować twarz, a wymiana handlowa nadal trwa, co jest najważniejsze dla każdego człowieka z wyjątkiem tych dwóch wściekłych psów.

– Byłoby mądrze zważać na słowa, kiedy mówisz o książętach – ostrzegł Rusco. – Nawet tak daleko od domu.

– A kto im doniesie? Ty? Chłopak? – Ragen skinął w stronę Arlena. Obaj mężczyźni wybuchli śmiechem. – A teraz muszę jeszcze przekazać Euchorowi wieści o Rzeczułce, co dodatkowo pogorszy całą sytuację.

– Graniczne miasteczko Miln. Ledwie dzień drogi od Angiers. Mam tam swe kontakty.

– Raczej miałeś – oznajmił dobitnie Posłaniec i na chwilę zamilkł. – Dość już złych wieści – dokończył wreszcie. Podrzucił ciężką sakwę i położył ją na ladzie. Rusco przyjrzał jej się podejrzliwie.

– Nie wygląda mi to na sól. Wątpię też, bym oczekiwał aż tylu listów.

– Dla ciebie jest ich sześć oraz równy tuzin paczek. – Ragen podał Wieprzowi zwitek papieru. – Znajdziesz je na tej liście wraz z innymi listami z sakwy i paczkami z wozu, które

należy rozdać. Przekazałem Selii kopię – ostrzegł.

– A na co mi ta lista czy twój wór z pocztą?

– Mówczyni jest zajęta. Nie znajdzie dość czasu, by rozdać listy i odczytać je tym, którzy tego nie potrafią, tak więc zgłosiła ciebie na ochotnika.

– Czyli mój cenny czas, który poświęcam na prowadzenie interesu, mam teraz przeznaczyć na czytanie jakichś epistoł mieszkańcom miasta? Jak zostanie mi to zrekompensowane?

– A satysfakcja z dobrego uczynku nie wystarczy? Sąsiedzi będą ci wdzięczni.

– Nie przybyłem do Potoku Tibbeta, by zawierać przyjaźnie – parsknął Rusco. – Jestem człowiekiem interesu, a interesów mam w tym mieście aż nadto.

– Czyżby?

– Mam, a co? Do stu otchłańców, zanim tu przyjechałem, miejscowi znali jedynie handel wymienny. Żadnej innej formy handlu, tylko to! Handel wymienny! – wymówił te słowa tak, że zabrzmiały niczym obelga, a potem splunął na podłogę. – Gromadzili owoce pracy na rynku Dnia Siódmego i wyklócali się, ile fasolek kosztuje kolba kukurydzy bądź też ile ryżu trzeba dać bednarzowi za zrobienie beczki na tenże ryż właśnie. A jeśli nie udało ci się kupić wszystkiego, czego potrzebowałeś, trzeba było czekać do następnego Dnia Siódmego lub chodzić od drzwi do drzwi i pytać. Teraz każdy może tu przyjść, obojętnie jakiego dnia, o dowolnej porze od wschodu do zachodu słońca, i za płacidła dostać wszystko, czego sobie zażyczy.

– Witaj, zbawco nas wszystkich! – zawołał Ragen kpiarskim tonem. – Oczywiście niczego nie żądasz w zamian za swe cudowne dokonania?

– Niczego poza należytych przychodem – odrzekł Rusco z krzywym uśmiechem.

– Jak często wieśniacy próbują cię powiesić za oszustwa?

Handlarz zwęził oczy.

– Zbyt często, zważywszy na fakt, że połowa z nich ledwie potrafi zliczyć paluchy u rąk, a reszta szczyci się umiejętnością dodawania do nich tych u stóp.

– Selia prosiła, bym ci przekazał, że kiedy znów wpadną na ten pomysł, będziesz musiał radzić sobie sam. – Głos Rageny niespodziewanie stwardniał. – Chyba że wykonasz swą część zadania. Widzisz, katusze, jakie czekają cię podczas czytania listów, wciąż nijak się mają do cierpień po przeciwnej stronie miasteczka.

Rusco zmarszczył brwi, ale chwycił listę i zataszczył ciężką torbę do spiżarni.

– Sprawy naprawdę mają się tak kiepsko? – zapytał po powrocie.

– Naprawdę. Jak dotąd dwudziestu siedmiu zabitych, ale los kilku jest wciąż niejasny.

– Stwórcu! – jęknął Rusco, kreśląc w powietrzu run ochronny. – Myślałem, że w najgorszym razie zabiły jakąś rodzinę, a tu...

– Dobrze by było.

I znów przez moment milczeli jak przystało, a potem spojrzeli po sobie.

– Przywiozłeś roczny przydział soli? – zapytał handlarz.

– A masz zapas ryżu dla księcia?

– Leżał całą zimę w magazynie. Nie moja wina, że przyjechałeś dopiero teraz.

Tym razem to oczy Rageną się zwięzły.

– Och, przecież wszystko z nim w porządku! – zawołał Rusco, unosząc dłonie, jakby prosił o litość. – Trzymałem cały zapas w suchym, zabezpieczonym pomieszczeniu, a w moich piwnicach nie ma szczurów.

– Oczywiście rozumiesz, że będę musiał to sprawdzić?

– Jasne, jasne jak słońce. Arlen, dawaj no lampę! – Wskazał chłopcu kąć za barem.

Arlen skwapliwie pochwycił latarnię, zapalił knot i z namaszczeniem opuścił szklaną osłonkę. Nigdy dotąd nie pozwolono mu wziąć do ręki niczego szklanego. Szkło było chłodniejsze, niż się tego spodziewał, ale szybko przejmowało temperaturę od liżącego je płomyka.

– Poświecisz nam w piwnicy – polecił Rusco.

Chłopiec usiłował ukryć podniecenie. Zawsze marzył, by ujrzeć, co się kryje pod traktiernią. Mówiono, że gdyby wszyscy ludzie w Potoku ułożyli cały swój dobytek w jeden stos, lichy by on wyglądał przy cudach piwnicy Wieprza.

Patrzył, jak Rusco pociąga za żelazny pierścień klapy w podłodze, odsłaniając szerokie zejście. Na wypadek gdyby handlarz zmienił zdanie, Arlen w okamgnieniu znalazł się przy krawędzi otworu. Zbiegł na dół po trzeszczących stopniach, unosząc wysoko latarnię, by oświetlić sobie drogę. Światło opromieniło setki skrzyń i baryłek, ustawionych w równe rzędy, które niknęły daleko w mroku. Podłogę wykonano z drewna, by uniemożliwić demonom przebicie się do piwnicy bezpośrednio z Otchłani, ale na biegnących wzdłuż ścian półkach znajdowało się kilka runów ochronnych. Stary Wieprz czujnie strzegł swych skarbów.

Tymczasem Rusco prowadził gości przez labirynt skrzyń, aż dotarli do zabezpieczonych beczek po drugiej stronie piwnicy.

– Wyglądają na nietknięte – oznajmił Ragen, sprawdzając drewno. Zastanawiał się przez chwilę, a potem wybrał losowo: – Ta!

Rusco burknął i wytoczył wskazaną beczkę. Choć czasem ludzie nazywali jego pracę łatwą, jego ramiona były równie twarde i szerokie, jak każdego, kto co rano chwycił za topór bądź kosę. Handlarz złamał pieczęć i odbił pokrywę, a następnie nabrał ryżu do płytkiego rondla i podał go Ragenowi.

– Porządny ryż z Mokradeł – powiedział. – Ani śladu robaków, ani śladu gnicia. Za taki ryż dostaniesz dobrą cenę w Miln, zwłaszcza po tak długim oczekiwaniu.

Posłaniec parsknął, kiwając głową. Rusco na powrót zamknął beczkę i wrócili na górę.

Sprzeczali się jeszcze jakiś czas co do tego, ile baryłek ryżu warte są ciężkie worki soli na wozie. Gdy targi dobiegły końca, żaden z nich nie wyglądał na szczególnie zadowolonego,

ale w końcu uścisnęli sobie dłonie, pieczętując umowę.

Rusco wezwał córki i wszyscy udali się do wozu, by rozpocząć rozładunek. Arlen próbował unieść jeden z worków, ale zorientował się poniewczasie, że jest na to za słaby. Upadł, upuszczając go na ziemię.

– Uważaj! – ofuknęła chłopca Dasy i pacnęła go w tył głowy.

– Skoro nie dajesz sobie rady, chwytaj za drzwi – warknęła Catrin. Sama zarzuciła sobie jeden worek na plecy, a drugi chwyciła pod tłustą pachę. Arlen pozbierał się i podbiegł do drzwi, by je przytrzymać dla córki właściciela składu.

– Leć do Ferda Młynarza i powiedz mu, że damy pięć... nie, lepiej cztery płacidła za każdy przemielony worek – przykazał Wieprz chłopakowi. Niemalże wszyscy ludzie w Potoku w ten czy inny sposób pracowali dla Wieprza, ale wśród nich prym wiedli mieszkańcy Ryneczku. – Pięć, jeśli zapakuje sól w beczki ryżu, aby nie nabrała wilgoci.

– Ferd pojechał do Osady przy Borach – wyjaśnił Arlen. – Prawie wszyscy tam są.

Rusco burknął coś pod nosem, ale nie odpowiedział. Wkrótce na wozie pozostało już tylko kilka skrzyń i worków, które nie zawierały soli. Córki Wieprza w milczeniu obrzucały je chciwymi spojrzzeniami.

– Wyniesiemy ryż dziś w nocy i przetrzymamy na zapleczu do chwili, gdy będziesz gotów ruszyć w drogę powrotną do Miln – rzekł Wieprz, kiedy ostatni worek zniknął na tyłach składu.

– Dziękuję. – Ragen skinął głową.

– A zatem książęce interesy zostały załatwione? – Handlarz wyszczerzył zęby w uśmiechu, zerkając na resztę ładunku na wozie.

– Tak, książęce interesy załatwione. – Posłaniec odpowiedział podobnym uśmiechem. Arlen miał nadzieję, że zanim zaczną się znów targować, poczęstują go kolejnym piwem. Wypity kufelek sprawił bowiem, że czuł się osobliwie rozluźniony i oszołomiony, zupełnie jak gdyby złapał przeziębienie, ale bez kaszlu, kataru i bóleści. Przypadł mu do gustu ten stan i miał ochotę doznać go raz jeszcze.

Pomógł w rozładunku pozostałych przedmiotów. Catrin przyniosła tacę z pajdami chleba suto obłożonymi mięsem, zaś Arlen otrzymał wymarzony kufelek do popicia. Co więcej, stary Wieprz oświadczył, że za jego pomoc zapisze mu dwa płacidła w swej księdze.

– Nie powiem twoim rodzicom – dodał. – Ale jeśli wydasz wszystko na piwo, a oni cię na tym przyłapią, odpracujesz wszystkie żale, którymi uraczy mnie twoja matka.

Arlen pokiwał głową z zapalem. Nigdy dotąd nie miał żadnych płacideł do wydania w składzie.

Po posiłku Rusco zaprowadził Ragen do szynkwasu i zaczęli otwierać przywiezione przez Posłańca skrzynie oraz worki. Oczy chłopaka aż błyszczały na widok każdego z wydobytych skarbów. Ujrzał bele najwspanialszego materiału, jaki kiedykolwiek widział, metalowe narzędzia i szpile, wyroby ceramiczne oraz egzotyczne przyprawy. Znalazło się

nawet kilka filiżanek z błyszczącego szkła.

Wieprz jednakże wydawał się mniej zachwycony.

– Graig przywiózł o wiele okazalszy towar w zeszłym roku – oświadczył. – Dam ci... Dam ci sto płacideł za całość.

Arlen rozdziawił usta w zdumieniu. Sto płacideł! Posłaniec mógłby kupić za to połowę Potoku!

Na Ragenie najwyraźniej ta suma nie zrobiła wrażenia. Jego oczy nagle załśniły, a pięść uderzyła w stół. Dasy i Catrin ze strachu przerwały zmywanie.

– Ażebyś przypadł w samej Otchłani z tymi twoimi płacidłami! – warknął Posłaniec. – Nie jestem jednym z miejscowych matolek i dobrze ci radzę, nie myl mnie z nimi, chyba że chcesz, by Gildia dowiedziała się o twoich kręactwach.

– Nie bierz sobie tego do serca! – zaśmiał się Rusco, unosząc dłonie w pojednawczym geście. – Musiałem spróbować, sam rozumiesz. Nadal tak bardzo lubią złoto w Miln? – zapytał z przebiegłym uśmiechem.

– Jak wszędzie indziej – odparł Ragen. Czoło nadal miał zmarszczone, ale gniew opuścił już jego głos.

– Wszędzie, tylko nie tu. – Handlarz zniknął za zasłoną, zza której po chwili dobiegły szuranie i rumor gorączkowych poszukiwań. – Tutaj wszystko, co nie nadaje się do zjedzenia, ubrania, wymalowania runów bądź wykorzystania w polu, nie jest wiele warte – ciągnął podniesionym głosem.

Wrócił po chwili z wielkim płóciennym workiem, który zabrzączał rzucony na kontuar.

– Miejscowi zapomnieli, że to złoto napędza nasz świat. – Rusco sięgnął w głąb worka i wyciągnął dwa ciężkie żółte krążki, którymi pomachał przed oczyma Rageny. – Dzieciaki młynarza uznały te tutaj za swoje zabawki. Zabawki! Myślały, że wyświadczam im przysługę, gdy zaproponowałem wymienić je na grę rzeźbioną w drewnie, którą miałem na zapleczu. Ferd nawet przyszedł następnego dnia, by osobiście mi podziękować!

Po tych słowach wybuchł donośnym śmiechem. Arlen miał wrażenie, że powinien poczuć się tym urażony, ale nie miał pewności, z jakiego powodu. Wiele razy grał w grę dzieci pana Ferda i wydawała mu się ona o wiele cenniejsza od dwóch metalowych krążków, obojętnie jak bardzo lśniących.

– Te dwa słońca nie wystarczą, by zapłacić za mój towar – rzekł Ragen.

– Nie martw się. – Rusco z uśmiechem rozwiązał worek. Wypadły z niego kolejne krążki, a także łańcuchy, pierścienie i sznurki z ponawlekanymi migoczącymi kamykami. Arlen uznał, że są bardzo piękne, ale widok oczu Rageny, naraz wybaluszonych i błyszczących pożądlivością, zaskoczył go co niemiara.

Dorośli znów powrócili do targów. Posłaniec co rusz unosił kamienie i oglądał je pod światło lub nagryzał monety, a Rusco obmacywał płótno i smakował przyprawę. Arlen, któremu kręciło się już w głowie od wypitego piwa, obserwował to zamglonym wzrokiem.

Catrin donosiła przekomarzającym się mężczyznom kufel za kuflem, ale nic nie wskazywało, by którykolwiek z nich doświadczał tego samego stanu co chłopiec.

– Dwieście dwadzieścia złotych słońc, dwa srebrne księżycy, ten łańcuch i trzy srebrne pierścienie – rzekł w końcu Rusco. – I ani miedzianego promyka więcej.

– Nic dziwnego, że osiadłeś w tym grajdole – warknął Ragen. – Pewnie wygonili cię z miasta za twoje szachrajstwa.

– Zniewagami się nie wzbogacisz – odparł Wieprz, przeświadczony, że zdobył nad przeciwnikiem przewagę.

– Nie o swoje bogactwo tu walczę. Po odliczeniu kosztów podróży wszystkie pieniądze, co do ostatniego promyka, trafią do wdowy po Graigu.

– Ach, Jenya... – Rusco na chwilę się zadumał. – Swego czasu pisała listy w imieniu ludzi z Miln, którzy nigdy nie posiadli tej umiejętności, jak choćby mój durny bratanek. Co się z nią stanie?

Ragen pokręcił głową.

– Gildia nie wypłaciła odszkodowania za śmierć Graiga, ponieważ biedak zmarł w domu. Co więcej, Jenya nie jest Matką, więc mało która praca się dla niej nadaje.

– Przykro mi to słyszeć.

– Graig, choć sam nigdy bogaczem nie był, zostawił żonie trochę pieniędzy. Gildia zaś nadal płaci jej za pisanie listów. Razem z zyskiem z tej wyprawy będzie miała z czego się utrzymać przynajmniej przez jakiś czas. Jest jednakże młoda i pieniądze kiedyś jej się skończą, chyba że wyjdzie znów za mąż lub znajdzie lepszą pracę.

– A co wtedy?

Ragen wzruszył ramionami.

– Znalezienie nowego męża będzie dla niej problemem, ponieważ raz już mężatką była i nie urodziła ani jednego dziecka. Wraz z moimi braćmi z gildii poprzysięgliśmy, że nie dopuścimy, by została żebraczką. Kiedy znajdzie się w naprawdę trudnej sytuacji, jeden z nas weźmie ją na służącą.

Rusco pokręcił głową.

– Tak czy owak, żyć wśród kupców i nagle zostać czyimś sługą... Co za upadek.

Sięgnął w głąb znacznie chudszej już sakwy i wyciągnął pierścień z przejrzystym, migotliwym kamieniem.

– Dopilnuj, by to otrzymała.

Ragen sięgnął po pierścień, ale handlarz nagle cofnął rękę.

– Chcę, by potwierdziła na papierze, że to dostała. Znam jej charakter pisma. Bez urazy – dodał szybko na widok spojrzenia Rageny.

Posłaniec uśmiechnął się.

– Jakże mógłbym żywić urazę wobec twej hojności? Za taki pierścień będzie miała co jeść przez długie miesiące.

– Cóż, chyba tak – mruknął Wieprz, patrząc na resztki swego majątku. – Nie wygadaj się przed miejscowymi, bo utracę reputację szachraja.

– Twój sekret jest u mnie bezpieczny – roześmiał się Ragen.

– A może chciałbyś jeszcze coś zarobić?

– Cóż znowu?

– Nasze listy miały trafić do Miln sześć miesięcy temu. Zatrzymaj się u nas na parę dni, daj nam czas na napisanie nowych. Wielu ludziom pewnie trzeba będzie w tym pomóc. Wynagrodzę ci zwłokę. Nie licz na więcej złota, ale Jenyi przyda się pewno baryłka ryżu czy trochę wędzonej ryby.

– Bez wątpienia.

– Znalazłbym również pracę dla Minstrela – dodał Rusco. – Z pewnością może liczyć na większe zainteresowanie tu, w Ryneczku, niż w samotnych gospodarstwach.

– Zgoda. Keerin będzie jednakże żądał zapłaty w złocie.

Wieprz skrzywił się, a Posłaniec zachichotał.

– Musiałem spróbować, sam rozumiesz. Niech więc będzie zapłata w srebrze.

Rusco pokiwał głową.

– Policzę jednego księżycza za wstęp od osoby, z czego ja zatrzymam jedną gwiazdę, a on trzy pozostałe – zaproponował.

– Czy nie mówiłeś wcześniej, że miejscowi nie mają pieniędzy?

– Większość nie ma. Sprzedam im księżycze za... powiedzmy, pięć płacideł sztuka.

– A zatem Rusco Wieprz znalazł już sposób, by zarobić dwa razy na jednej umowie? – zapytał Ragen.

Handlarz uśmiechnął się tylko.

* * *

Arlen był niezwykle podekscytowany podczas drogi powrotnej, ponieważ stary Wieprz obiecał, że pozwoli mu obejrzeć występ Minstrela za darmo. Chłopiec musiał jednak dopilnować, by rozniosły się wieści o przedstawieniu na Ryneczku, które zaplanowano na południe następnego dnia. Wstęp kosztował pięć płacideł lub srebrnego milneńskiego księżycza. Arlen nie miał zbyt wiele czasu – wiedział, że zaraz po powrocie rodzice zaczną się szykować do drogi, ale był pewien, że zdąży rozpuścić plotkę, zanim wciągną go na wóz.

– Opowiedz mi o Wolnych Miastach – poprosił, gdy jechali w stronę Osady. – Ile z nich widziałeś?

– Pięć – odparł Posłaniec. – Miln, Angiers, Lakton, Rizon oraz Krasję. Być może istnieją inne za górami bądź pustynią, ale nikt ze znanych mi ludzi nigdy tam nie zawędrował.

– Jak wyglądają?

– Fort Angiers, leśna forteca, leży na południe od Miln, za Rzeką Graniczną. Angiers

dostarcza drewna pozostałym miastom. Dalej na południe rozciąga się wielkie jezioro, na którego wodach wzniesiono Lakton.

– Czy jezioro to coś w rodzaju stawu?

– Jezioro ma się do stawu tak jak góra do wzgórza – wyjaśnił Ragen i dał chłopcu chwilę na przetrwanie myśli. – Żyjąc na wodzie, Laktończycy nie muszą się obawiać ognistych, drzewnych i skalnych demonów. Przed wichrowymi demonami chroni ich sieć runów, zaś w sztuce obrony przeciw demonom wody nie mają sobie równych. To naród rybaków i byt tysięcy ludzi w południowych miastach zależy od ich połowów. Na zachód od Lakton – ciągnął Posłaniec – znajduje się Fort Rizon, który jednak trudno nazywać fortem, gdyż w zasadzie można przeskoczyć jego mury. Niemniej osłania on największe gospodarstwa, jakie kiedykolwiek widziałeś. Bez Rizon mieszkańcom pozostałych Wolnych Miast groziłaby śmierć głodowa.

– A Krasja?

– Jak dotąd odwiedziłem Krasję tylko raz. Krasjanie niechętnie przyjmują gości, a dotarcie do nich zabiera całe tygodnie wędrówki przez pustynię.

– Przez pustynię?

– Przez piaski – wytłumaczył Ragen. – Przez piaski, które ciągną się całe mile we wszystkich kierunkach. Nie ma tam ani wody, ani niczego do jedzenia, próżno też szukać jakiegokolwiek osłony przed palącym słońcem.

– A mimo to mieszkają tam ludzie?

– Och, tak! Krasjanie swego czasu byli liczniejsi nawet od Milneńczyków, ale teraz wymierają.

– Dlaczego?

– Bo walczą z otchłāncami.

Oczy chłopca rozszerzyły się.

– Można walczyć z otchłāncami?

– Można walczyć z każdym przeciwnikiem, Arlenie. Jeśli jednak chodzi o walkę z otchłāncami, problem polega na tym, że najczęściej się przegrywa. Krasjanom udaje się wybić całkiem sporo demonów, ale sami ponoszą jeszcze cięższe straty. Co roku jest coraz mniej Krasjan na świecie.

– Mój tata twierdzi, że otchłāniec zeżre ci duszę, jeśli cię dopadnie.

– Cóż znowu! – Ragen splunął na bok. – Przesądne bzdury.

Byli już nieopodal Osady, kiedy po pokonaniu kolejnego zakrętu Arlen dostrzegł, że coś zwisa z rosnącego przed nimi drzewa.

– Co to takiego? – zapytał, wskazując palcem.

– A niech to noc pochłonie! – zaklął Ragen i zaciął muły, popędzając je do galopu. Pęd pchnął Arlena na kozioł. Chwilę trwało, nim chłopiec odzyskał równowagę, a wtedy ponownie spojrział na przybliżające się drzewo.

– Wujek Cholie! – wykrzyknął.

Zwisający z gałęzi człowiek wymachiwał nogami i szarpał linę zaciskającą się wokół jego szyi.

– Pomocy! Pomocy! – wrzeszczał Arlen. Zeskoczył z rozpędzonego wozu i uderzył o ziemię, ale natychmiast poderwał się na nogi i wystrzelił w kierunku Choliego. Już do niego dobiegł, lecz wiszący człowiek nie przestawał wierzgać i trafił chłopca prosto w usta. Arlen zatoczył się i upadł. Czuł w ustach smak krwi, ale, co dziwne, nie doświadczył żadnego bólu. Znów się poderwał, złapał Choliego za nogi i spróbował go podźwignąć, by zmniejszyć napór liny, lecz sam był zbyt niski, a Cholie za ciężki. Pomimo wysiłków wiszący mężczyzna nadal krztusił się i charczał. – Pomóż mu! – wykrzyknął Arlen do Rageny. – On się dusi! Pomóż!

Naraz dostrzegł, jak Poślaniec podnosi włócznię i rzuca, niemalże nie celując. Mimo to grot przeciął powróż, a nieszczęsny Cholie zwałił się na Arlena. Obaj upadli na ziemię.

Ragen przypadł do nich bez chwili zwłoki i błyskawicznie ściągnął linę z szyi Choliego. Mimo to uratowany mężczyzna nie przestawał rzeźić i drapać się po gardle. Oczy miał wybałuszone, jakby chciały wystrzelić z orbit, a policzki purpurowe. Przez moment miotał się i wierzgał, znów trafiając Arlena, który aż wrzasnął z bólu. Nagle znieruchomiał.

Ragen dzielił Choliego w pierś i zaczął wdmuchiwać w jego usta ogromne hausty powietrza, ale nic to nie dało. Powtarzał te czynności przez jakiś czas, aż w końcu opadł ciężko na drogę, przeklinając.

Arlen nie po raz pierwszy widział śmierć, która często gościła w Potoku Tibbeta. Zwykle jednak przychodziła wraz z otchłāncami bądź przeziębieniem. To było coś innego.

– Dlaczego? – zapytał. – Dlaczego z takim uporem walczył o przetrwanie zeszłej nocy tylko po to, by teraz samemu odebrać sobie życie?

– Walczył? – Ragen spojrzał na chłopca. – Czy ktokolwiek z nich naprawdę walczył? Czy może tylko wszyscy zbiegli się w bezpieczne miejsca i pochowali?

– Ja nie...

– Ucieczka nie zawsze wystarcza, Arlenie. Bywa, że ucieczka coś w tobie zabija i nawet jeśli przeżyjesz atak, jesteś już tylko chodzącym trupem.

– Cóż jeszcze mógł uczynić? Przecież nie można walczyć z demonem!

– Gdybym miał wybierać, wolałbym już chyba zmierzyć się z niedźwiedziem w jego gawrze – przyznał Ragen. – Ale to wykonalne.

– Kiedy sam powiedziałeś, że to właśnie wyniszcza Krasjan!

– Tak, ponieważ Krasjanie idą za głosem serca. Wiem, to brzmi jak brednie, lecz w głębi duszy mężczyźni naprawdę chcą walczyć, zupełnie jak bohaterowie w starych opowieściach. Chcą chronić swe kobiety i dzieci, jak przystało na mężczyzn. Ale nie mogą. Wielkie runy zostały utracone, więc kulą się w swych norach niczym płochliwe zające i przerażeni czekają do świtu. Czasem jednak, zwłaszcza gdy przyjdzie ci ujrzeć śmierć bliskich, napięcie ulatuje, a wtedy się łamiesz.

Położył dłoń na ramieniu chłopca.

– Przykro mi, że musiałeś na to patrzeć. Wiem, że nie ma w tym zbyt wiele sensu, ale...

– Właśnie że nie – odrzekł twardo Arlen. – To ma sens.

I naraz uświadomił sobie, że to prawda. Rozumiał potrzebę walki. Nie spodziewał się wygrać owego dnia, gdy zaatakował Cobiego i jego kamratów. W istocie oczekiwał, że zbierze tęgie lanie, większe niż kiedykolwiek wcześniej, ale w chwili gdy porwał za łagę, wcale go to nie obchodziło. Myślał tylko o tym, że dość ma już znoszenia zniewag, i chciał to zakończyć, obojętnie w jaki sposób.

Stanowiło dla niego wielką pociechę, że nie trwał w tym przekonaniu samotnie.

Spojrzał na wuja, który leżał w pyle drogi z oczyma nadal rozszerzonymi ze strachu. Przyklęknął i opuścił jego powieki. Cholie nie miał się już czego bać.

– Zabiłeś kiedyś otchłańca? – zapytał chłopiec.

– Nie. – Ragen pokręcił głową. – Ale walczyłem z kilkoma. Zostały mi po tym blizny na pamiątkę. Nie próbowałem ich zabijać, zawsze bardziej zależało mi na ucieczce bądź odciągnięciu ich uwagi od kogoś innego.

Arlen wciąż o tym rozmyślał, gdy zawijali ciało Choliego w płótno i układali je z tyłu wozu, a potem pędzili do Osady. Jeph i Silvy już czekali niecierpliwie przy spakowanym dobytku, by wreszcie ruszyć do domu. Widok truchła w jednej chwili sprawił jednak, że zapomnieli o gniewie z powodu spóźnienia syna.

Szlochająca Silvy opadła na ciało brata, ale nie było czasu do stracenia, jeśli mieli wrócić do gospodarstwa przed zapadnięciem ciemności. Jeph tulił mocno żonę, gdy Dobroduszny Harral malował runy na owijającym trupa płótnie, a potem cisnął go w płomienie.

Ocaleni, którzy nie chcieli zatrzymać się w domu Brine'a Rębacza, zostali podzieleni i przyjęci w gościnę przez pozostałych. Jeph i Silvy zaproponowali nocleg dwóm kobietom. Norine Rębacz liczyła sobie ponad pięćdziesiąt wiosen. Jej mąż zmarł kilka lat wcześniej, a teraz straciła córkę i wnuka. Marea Bales, również niemłoda, liczyła wiosen czterdzieści. Jej mąż został na zewnątrz, gdy ciągnięto losy o miejsce w kryjówce. Podobnie jak Silvy, obie siedziały zgarbione i zrozpaczone z tyłu wozu Jepha, ze wzrokiem wbitym w ziemię. Arlen pomachał Ragenowi na pożegnanie, a Jeph strzelił z bata.

Osada przy Borach niknęła już w oddali, gdy chłopiec niespodziewanie uświadomił sobie, że nie powiedział nikomu o występie Minstrela.

2

Gdyby to przytrafiło się tobie

319 RP

Gdy tylko rozładowano wozy i sprawdzono runy, zmaterializowały się otchłańce. Silvy nie miała sił gotować, zjedli więc zimny posiłek złożony z chleba z serem oraz kiełbasy. Siedzieli wokół stołu i przeżuwali bez entuzjazmu. Zaraz po zachodzie demony zaczęły sprawdzać moc runów ochronnych. Za każdym razem, gdy magiczne znaki wybuchały światłem, odrzucając któregoś z nich, Norine uderzała w płacz. Marea nawet nie tknęła jedzenia. Siedziała na sienniku z podkurczonymi nogami i kołysała się do przodu i do tyłu, szlochając za każdym rozbłyskiem. Silvy posprzątała w końcu talerze, ale nie wróciła już z kuchni. Arlen usłyszał jej płacz.

Wstał, by do niej pójść, ale Jeph złapał go za ramię.

– Chcę z tobą porozmawiać, Arlenie – powiedział. – Chodźmy.

Weszli do niewielkiego pokoiku, w którym znajdował się siennik chłopca, a także jego zbiór gładkich otoczków z potoku, piór oraz kości. Jeph wybrał barwne dziesięciocalowe pióro, po czym zaczął się nim bawić, unikając wzroku syna.

Arlen znał to zachowanie. Jeśli ojciec nie chciał na niego patrzeć, oznaczało to, że czuje się nieswojo i trudno jest mu znaleźć właściwe słowa.

– Gdy ujrzałem cię na trakcie z Posłańcem... – zaczął.

– Ragen już mi to wyjaśnił – przerwał mu Arlen. – Wujek Cholie tak naprawdę już nie żył, tylko jeszcze o tym nie wiedział. Czasami ludziom udaje się przeżyć atak, a mimo to umierają.

Jeph zmarszczył brwi.

– Nie tak bym to ujął. Ale to chyba prawda. Cholie...

– ...był tchórzem.

Spojrzał na syna zaskoczony.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Schował się w piwnicy, bo był zbyt przerażony, by umrzeć, a potem sam się zabił, bo był zbyt przerażony, by żyć – wytłumaczył chłopak. – Lepiej by się stało, gdyby porwał za kilof i zginął w walce.

– Nie chcę nawet słyszeć takiego gadania – napomniał go ojciec. – Nie da się walczyć z demonami. Nikt tego nie potrafi. Niczego nie osiągniesz, ginąc w bitwie.

Arlen pokręcił głową.

– Demony są jak źli chłopcy, co dręczą innych. Atakują, bo strach wiąże nam ręce i nie potrafimy im odpłacić pięknym za nadobne. Przywaliłem raz Cobiemu i jego kumplom kijem. Teraz mam spokój.

– Cobie nie jest skalnym demonem. Nie ma takiego kija, którym można przepędzić otchłańca!

– Musi być jakiś sposób. Przecież ludzie kiedyś z nimi walczyli, tak mówią opowieści z dawnych czasów.

– Te same opowieści mówią też, że istniała kiedyś magia, która w tej walce pomagała, ale runy wojenne zostały utracone.

– Ragen twierdzi, że gdzieś tam nadal zabijają demony. Twierdzi, że to możliwe.

– Już ja sobie pogadam z tym Posłańcem – burknął Jeph. – Nie powinien uczyć cię takich głupot.

– Czemu nie? A może więcej osób przeżyłoby wczorajszą noc, gdyby wszyscy mężczyźni porwali za...

– Byliby dziś martwi, co do jednego – przerwał synowi Jeph. – Są inne sposoby, by ochronić siebie i rodzinę, Arlenie. Mądrość. Przezorność. Pokora. Ruszenie do przegranej walki nie uczyni cię odważnym. Kto zająłby się kobietami i dziećmi, gdyby wszyscy mężczyźni dali się wyrznąć, próbując unicestwić to, czego unicestwić się nie da? Kto rąbałby drewno i budował domy? Kto by polował, kto pilnował stad, sadił rośliny i zabijał bydło? Kto płodziłby dzieci? Jeśli wszyscy mężczyźni zginą, otchłańce ostatecznie wygrają!

– Otchłańce już wygrywają – mruknął Arlen. – Sam mówisz, że z każdym rokiem nasze miasteczko staje się coraz mniejsze. Nie chcemy walczyć, więc źli chłopcy wracają. – Spojrzał na ojca. – Nie czujesz tego? Nie masz czasami ochoty, by samemu stanąć do walki?

– Oczywiście, że mam – odparł Jeph. – Ale nie będę umierać bez celu. Kiedy jest to ważne, kiedy jest to naprawdę ważne, wszyscy mężczyźni chcą walczyć. Zwierzęta uciekają, jeśli mogą, i walczą, jeśli muszą, a ludzie niczym się od nich nie różnią. Lecz ducha walki należy okazać tylko wtedy, gdy jest to naprawdę konieczne. Ale gdyby to przytrafiło się tobie – ciągnął – gdybyś to ty znalazł się poza domem albo twoja mama, gdybyście stanęli twarzą w twarz z otchłańcem, przysięgam, że walczyłbym do końca, by ich od was odciągnąć.

Rozumiesz?

- Chyba tak. – Arlen pokiwał głową.
- Zuch chłopak – stwierdził Jeph i uściśnął jego ramię.

* * *

Tej nocy sny chłopca wypełnił obraz wzgórz, które sięgały nieba, i stawów tak wielkich, że można by ułożyć na ich powierzchni całe miasto. Zobaczył żółte piaski ciągnące się dalej, niż sięga wzrok, a także otoczoną murami fortecę skrytą pośród drzew.

Widok ten przesłaniała mu jednak kołysząca się leniwie para nóg. Uniósł wzrok i ujrzał własną twarz spurpurowiałą od zaciśniętego stryczka.

Poderwał się gwałtownie z siennika mokrego od potu. Nadal było ciemno, ale na horyzoncie, tam gdzie na niebie koloru indygo wykwitła czerwona smuga, zaczynało się przejaśniać. Zapalił ogarek, wciągnął portki i chwiejnym krokiem wszedł do głównej izby. Żując znaną skórkę chleba, chwycił koszyk na jajka i dzbany na mleko, a następnie ustawił je przy drzwiach.

– Wcześniej wstałeś – usłyszał za plecami. Odwrócił się przestraszony i ujrzał wpatrzoną w niego Norine. Marea nadal leżała na sienniku, choć nie przestawała rzucać się przez sen.

– Dzień nie będzie dłuższy dzięki temu, że później otworzy się oczy – powiedział.

Kobieta pokiwała głową.

– Mój mąż zwykł tak mawiać. Rębacze i Drwale nie pracują przy blasku świec, jak ci z Ryneczku, powiadał też.

– Mam sporo roboty. – Arlen wyjrzał przez okiennicę, chcąc się przekonać, ile pozostało czasu, nim będzie mógł opuścić chroniony obszar domu. – Dziś w południe występuje Minstrel.

– Oczywiście – przytaknęła Norine. – W twoim wieku występ Minstrela też byłby dla mnie najważniejszą rzeczą pod słońcem. Dawaj no, pomogę ci w twoich obowiązkach.

– Nie musisz nic robić. Tata powiedział, że powinnaś odpoczywać.

Kobieta pokręciła głową.

– Przez beczynność myślę o rzeczach, o których lepiej zapomnieć. Skoro mam z wami zostać, lepiej, bym zaczęła zarabiać na swe utrzymanie. Dam sobie radę z karmieniem świń i zrywaniem kolb kukurydzy po tylu latach rąbania drewna w Osadzie?

Arlen wrzucił ramionami i podał Norine koszyk na jajka.

Z jej pomocą poranne obowiązki zleciały w mgnieniu oka. Była nie tylko pojętna, ale też przyzwyczajona do ciężkiej pracy i dźwigania ciężarów. Nim po domu rozszedł się zapach jajek smażonych na bekonie, wszystkie zwierzęta zostały nakarmione, jaja zebrane, a krowy wydojone.

– Przestań się wiercić – Silvy upomniała syna, gdy zasiedli do posiłku.

– Młody Arlen nie może się doczekać występu Minstrela – wyjaśniła Norine.

– Może jutro – rzekł Jeph, sprawiając, że twarz chłopca pociemniała.

– Co takiego? Ale...

– Żadnych „ale”! – uciął dyskusję. – Przez wczorajsze wydarzenia mamy sporo zaległości z pracą w gospodarstwie, a ponadto obiecałem Seli, że odwiedzę po południu Osadę.

Arlen odsunął talerz i ciężkim krokiem pomaszerował do swojego pokoju.

– Pozwól mu iść – poprosiła Norine, gdy już zniknął. – Przecież pomożemy wam z Marea.

Marea uniosła głowę na dźwięk własnego imienia, lecz chwilę później powróciła do bawienia się jedzeniem, pogrążona w apatii.

– Arlen miał wczoraj ciężki dzień. – Silvy przygryzła wargę. – Jak my wszyscy. Może Minstrel sprawi, że uśmiech powróci na jego twarz? Przecież nie ma do zrobienia niczego tak pilnego, by nie mogło poczekać.

Jeph zamyślił się na chwilę, a potem pokiwał głową.

– Arlen! – zawołał. Gdy nadąsana twarz chłopca wychyłała zza zasłony, zapytał: – Ile stary Wieprz bierze za obejrzenie występu?

– Nic – odparł szybko Arlen, nie chcąc dawać ojcu powodu do odmowy. – Ode mnie nic, bo pomogłem taszczyć worki z wozu Posłańca.

Nie było to do końca prawdą.

Co więcej, istniała spora szansa, że Wieprz będzie zły, ponieważ chłopiec zapomniał rozpuścić plotkę o przedstawieniu. Arlen liczył jednak, że w drodze do Ryneczku zdoła powiadomić wystarczająco dużo ludzi i uczciwie zarobi na swe dwa płacidła.

– Stary Wieprz zawsze zgrywa hojnego przed Posłańcem – stwierdziła Norine.

– Powinien, zwłaszcza po tym, jak obdzierał nas ze skóry przez całą zimę – odpowiedziała Silvy.

– W porządku, Arlenie, możesz iść – rzekł Jeph. – A po wszystkim spotkajmy się w Osadzie.

* * *

Wędrówka wytyczonym szlakiem do Ryneczku trwała jakieś dwie godziny. Ów szlak, w rzeczywistości ubity trakt dla wozów, który Jeph wraz z kilkoma miejscowymi gospodarzami utrzymywali przejeżdżnym, zataczał wielki łuk i docierał do mostka przecinającego potok w najważniejszym miejscu. Zwinny i szybki Arlen mógł jednakże skorzystać ze skrótu i pokonać strumień, skacząc po wystających z wody śliskich kamieniach.

Dziś spieszył się bardziej niż zwykle, chcąc po drodze odwiedzić jeszcze kilka miejsc. Jak szalony pędził wzdłuż błotnistych brzegów potoku i przeskakiwał nad zdradzieckimi korzeniami i krzakami z pewnością siebie typową dla kogoś, kto pokonał tę trasę setki razy.

Co rusz wypadał spomiędzy drzew, by zajrzeć do mijanych gospodarstw, ale nigdzie nie było żywego ducha. Ludzie pracowali na polach lub pomagali w Osadzie.

Dochodziło już południe, gdy dotarł do Zakątka Rybaków. Niektórzy z nich wypłynęli na sam środek niewielkiego stawu i krzyczenie do nich miało się z celem. Poza nimi jednakże w Zakątku nikogo nie zastał.

Przybył do Ryneczku ponury i przygnębiony. Wieprz co prawda wydawał się poprzedniego dnia miłszy niż zwykle, ale Arlen doskonale wiedział, jak się zachowa, gdy zrozumie, że ktoś pozbawił go zysku. Nieraz widywał go w takim stanie. Nie było szans, by pozwolił mu obejrzeć Minstrela za jedyne dwa płacidła. Będzie miał szczęście, jeśli nie dostanie solidnego lania.

Na samym rynku ujrzał jednakże ponadtrzytysięcospobowy tłum. Ludzie przybyli z każdego krańca Potoku – byli wśród nich rybacy, przybysze z Pagórka Bogginów i z Grząskich Mokradeł, nie mówiąc oczywiście o miejscowych. Nikt nie przyjechał z Południowej Strażnicy, czemu nie należało się jednak dziwić. Ludzie ze Strażnicy unikali Minstreli.

– Arlen, mój przyjacielu! – wykrzyknął Wieprz na widok chłopca. – Mam dla ciebie miejsce z przodu. Wrócisz do domu z workiem soli! Dobra robota!

Arlen spojrzał na niego zdumiony, ale wtedy dostrzegł stojącego tuż obok Ragen. Posłaniec puścił oko.

– Dzięki – odezwał się chłopak, gdy Wieprz odszedł, by zapisać w księdze kolejnych przybyszów. Córki handlarza sprzedawały jedzenie i piwo.

– Ludzie zasługują na odrobinę zabawy. – Ragen wzruszył ramionami. – Ale wygląda na to, że najpierw trzeba będzie przekonać waszego Opiekuna.

Wskazał na Keerina, toczącego spór z Harralem.

– Nawet nie próbuj sprzedawać moim ludziom bzdur o Zarazie! – oznajmił Harral, dźgając Minstrela palcem w pierś. Był od niego dwakroć potężniejszy, a jego mięśni nie pokrywał nawet gram tłuszczu.

– Bzdur? – pisnął Keerin, błędąc. – W Miln Opiekunowie zdarliby z Minstrela skórę pasami, gdyby nie opowiedział o Zarazie!

– Nie interesuje mnie, co się wyprawia w Wolnych Miastach. Tutaj masz przed sobą dobrych, serdecznych ludzi, którzy wiodą wystarczająco ciężkie życie. Nie potrzebują jeszcze kogoś, kto im nagada, że ich cierpienie wynika z braku pobożności!

– Co...? – zaczął Arlen, ale Keerin przerwał rozmowę i ruszył na środek placu.

– Lepiej szybko znajdź swoje miejsce – poradził chłopcu Ragen.

* * *

Zgodnie z obietnicą Wieprza Arlenowi przydzielono miejsce na samym przedzie, tam gdzie z reguły siedziały najmłodsze dzieci. Inni spoglądali na niego z zazdrością, a chłopiec

czuł się wyjątkowo, bo rzadko mu czegoś zazdrozczono.

Minstrel, jak wszyscy Milneńcy, był wysoki. Nosił pstrokate ubranie, zszyte z łątek w krzykliwych kolorach, które wyglądały, jakby je wykradziono z kubła na okrawki w warsztacie farbiarskim. Miał ciekłą kozią bródkę tego samego marchewkowego koloru co włosy, a także niewielki wąsik, który nie sięgał brody i wyglądał tak blado, jakby można go było ztrzeć podczas porządnego szorowania. Niemal wszyscy, zwłaszcza zaś kobiety, ze zdumieniem rozprawiali o jasnej czuprynie i zielonych oczach Minstrela.

Ludzie nadal napływali, a Keerin pojawiał się to tu, to tam, zonglując kolorowymi drewnianymi piłeczkami i opowiadając dowcipy, by wprowadzić tłum w dobry humor. Na sygnał Wieprza wyciągnął lutnię i zaczął grać, śpiewając mocnym, wysokim głosem. Widzowie klaskali rytmicznie podczas nieznanym sobie pieśni, gdy zaś podejmował te w Potoku znane, śpiewali razem z nim, nie dbając o to, że go zagłuszają. Arlenowi też to nie przeszkadzało – wydzierał się równie głośno co reszta.

Po występie muzycznym nadszedł czas na popisy akrobatyczne i magiczne sztuczki. Doszło do tego kilka dowcipów na temat mężów, po których kobiety wybuchały piskliwym śmiechem, a mężczyźni groźnie marszczyli brwi, oraz kilka o żonach, po których mężczyźni poklepywali się po udach, a kobiety piorunowały Minstrela spojrzeniami.

W końcu Keerin przerwał i uniosł wysoko dłonie, prosząc o ciszę. Tłum zaszemrał, a rodzice wypchnęli najmłodsze dzieci do przodu, nie chcąc, by umknęło im choćby słowo. Malutka Jessi z Pagórka Bogginów, która miała zaledwie pięć lat, wspięła się na kolano Arlena, by lepiej widzieć. Parę tygodni wcześniej chłopiec podarował jej rodzinie kilka szczeniaków po suce Jepha i od tej pory dziewczynka nie odstępowała Arlena na krok, gdy tylko go widziała. Posadził ją wygodniej, a Keerin rozpoczął od „Opowieści o Powrocie”. Jego głos, naraz głęboki i grzmiący, niósł się daleko ponad głowami słuchaczy.

– Świat nie był zawsze taki, jakim go znacie – powiedział Minstrel. – Nie, skądże. Dawno temu ludzie i demony żyli obok siebie, zupełnie sobie nie wadząc. Te wczesne lata noszą miano Wieku Niewiedzy. Czy ktoś wie, dlaczego właśnie takie?

W odpowiedzi uniosło się kilka dziecięcych rączek.

– Bo nie było żadnych runów ochronnych? – zapytała dziewczynka wskazana przez Keerina.

– To prawda – oznajmił Minstrel i wykręcił salto, wywołując wśród dzieci piski radości. – Wiek Niewiedzy to dla ludzi straszny okres, ale na szczęście nie istniało wówczas wiele demonów, a te, które nas nawiedzały, nie potrafiły zabić każdego człowieka. Podobnie jak dzisiaj, demony pojawiały się jednak w nocy i niszczyły wszystko, co zdołaliśmy zbudować za dnia. Chcąc przetrwać, musieliśmy zmienić nasze zwyczaje. Nauczyliśmy się, jak chować przed nimi pożywienie oraz zwierzęta, a także jak ich unikać. – Rozejrzał się gwałtownie, udając dezorientację, a potem uciekł za któreś z dzieci w doskonałej imitacji przerażenia. – Mieszkaliśmy w jamach wykopanych w ziemi, by nie mogły nas znaleźć.

– Jak króliczki? – zapytała ze śmiechem Jessi.

– Dokładnie! – Keerin podskoczył ze zmarszczonym nosem i zgiętymi palcami przytkniętymi do uszu. – Życie upływało nam na próbach przetrwania, aż wymyśliliśmy pismo. Wkrótce potem odkryto, że niektóre znaki powstrzymują otchłańce. Które z nich? – zapytał, nadstawiając ucha.

– Runy! – zawołały chórem dzieci.

– Właśnie! – Minstrel znów podskoczył. – Runy chroniły nas przed złem. Wkrótce zaczęliśmy nad nimi pracować, czyniąc je coraz doskonalszymi. Odkrywano coraz więcej pożytecznych runów, aż wreszcie ktoś opracował taki, który nie tylko powstrzymywał demony. Ten run potrafił wyrządzić im krzywdę.

Oniemiałe dzieci rozdziawiały usta, a Arlen, choć oglądał podobne występy, odkąd sięgał pamięcią, złapał się na tym, że sam nabrał głęboko tchu. Oddałby wszystko za taki run!

– Demonom nie przypadł do gustu ten wynalazek – ciągnął Keerin z krzywym uśmiechem. – Przyzwyczały się, że nocą ludzie szukają kryjówek bądź uciekają, więc gdy wreszcie stanęliśmy im naprzeciw i zaczęliśmy walczyć, zaatakowały z całą siłą. Tak rozpętała się Pierwsza Wojna z Demonami i nastał drugi wiek, Wiek Wybawiciela. Wybawiciel był człowiekiem powołanym przez Stwórcę do przewodzenia naszym armiom. Gdy on stał na polu bitwy, odnosiliśmy zwycięstwo za zwycięstwem! – Minstrel wznosił zaciśniętą pięść w powietrze, a dzieci zakrzyknęły z tryumfem. Entuzjazm był zaraźliwy. Arlen połaskotał Jessi z uciechy. – Nasza magia i strategia wojenna stawały się coraz doskonalsze. Ludzie żyli dłużej, narody rosły w siłę, zaś armie w liczebność, nawet pomimo tego, że coraz rzadziej spotykano demony. Mieliliśmy nadzieję, że otchłańce znikną z powierzchni ziemi raz na zawsze.

Minstrel zamilkł, a na jego twarzy zagościła powaga.

– Wtedy – powiedział po chwili – bez widocznego powodu demony zniknęły. Nigdy dotąd w historii świata nie upłynęła jedna noc bez wizyty otchłańców. Tymczasem mijał dzień za dniem, a z nastaniem zmierzchu demony wciąż nie przychodziły. Byliśmy zdumieni do granic. – Podrapał się po głowie, udając zdziwienie. – Wielu z nas wierzyło, że demony poniosły zbyt wielkie straty i po prostu uciekły, kryjąc się ze strachu w Otchłani. – Odskoczył od widowni, kuląc się i sycząc niczym kot, by jak najlepiej odegrać przerażenie. Kilko dzieci podjęło zabawę i zaczęło groźnie na niego warczeć. – Wybawiciel – mówił dalej Keerin – który widział demony stające co noc do walki bez cienia strachu, wielce w to wątpił. Tymczasem mijał miesiąc za miesiącem, a demony nie dawały znaku życia. Nasze armie zaczęły się rozpadać. Ludzkość świętowała zwycięstwo przez długie lata.

Keerin uniósł lutnię i zagrał skoczną melodię, energicznie płasając.

– Bez wspólnego wroga poczucie braterstwa marniało, aż w końcu zanikło bezpowrotnie. Po raz pierwszy w dziejach zaczęliśmy walczyć przeciwko sobie. – Głos Minstrelna przybrał złowieszczy ton. – Zanosilo się na prawdziwą wojnę. Wszystkie strony konfliktu wzywały

Wybawiciela, by objął dowództwo nad ich armiami, ale ten zakrzyknął: „Nie będę walczyć przeciwko ludziom, dopóki w Otchłani kryje się choć jeden demon!”. Po tych słowach opuścił ziemię, po których kroczyły już armie. Świat pogrążył się w chaosie. Owe wielkie wojny zrodziły potężne narody. – Z głosu Keerina tchnęło teraz otuchą. – Ludzkość sięgała coraz dalej, aż wkrótce podbiła cały świat. Wiek Wybawiciela dobiegł końca, nadszedł zaś Wiek Nauki. Ów Wiek Nauki – ciągnął Minstrel – był najwspanialszym okresem w naszych dziejach, lecz ta wielkość sprawiła, że przeoczyliśmy wielki błąd. Czy ktoś z was może mi powiedzieć, na czym on polegał?

Starsze dzieci znały odpowiedź, ale Keerin nakazał im gestem, by się nie odzywały i pozwoliły odpowiedzieć młodszym.

– Bo zapomnieliśmy magii – powiedział Gim Rębacz, ocierając nos rączką.

– Słusznie prawisz! – Keerin strzelił palcami. – Dowiedzieliśmy się wiele o tym, jak działa świat, zbudowaliśmy maszyny, zgłębiliśmy medycynę, ale zapomnieliśmy o magii, a co gorsza, zapomnieliśmy też o otchłańcach. Po trzech stuleciach nikt już nie wierzył, że demony kiedykolwiek istniały. To właśnie z tego powodu byliśmy całkiem nieprzygotowani na ich powrót – zakończył ponurym głosem. – Przez stulecia zapomnienia demony pomnożyły swe siły. Po trzystu latach powstały z Otchłani i przypuściły szturm na świat, by go odbić. Już pierwszej nocy zniszczyły całe miasta, świętując swój powrót. Ludzie próbowali stawić im opór, ale nawet najpotężniejsze bronie Wieku Nauki okazały się mało skuteczne przeciwko demonom. I tak Wiek Nauki dobiegł końca, a nadszedł Wiek Zniszczenia. A wraz z nim Druga Wojna z Demonami.

Oczyma wyobraźni Arlen ujrzał ową noc. Widział płonące miasta i przerażonych ludzi biegnących w mrok, gdzie już czekały otchłańce. Widział mężczyzn, którzy poświęcali życie, by zyskać na czasie i umożliwić ucieczkę rodzinom, widział kobiety, które własnymi ciałami zasłaniały dzieci przed pazurami napastników. Przede wszystkim jednak widział same demony, roztańczone, pijane szaloną radością, z ociekającymi krwią szponami i kłami.

Keerin szedł krok za krokiem w stronę widzów, a dzieci cofały się zdjęte strachem.

– Wojna trwała całe lata, a każde starcie kończyło się rzezią ludzi. Bez Wybawiciela na czele nie umieliśmy stawić otchłańcom oporu. W jedną noc niszczyły one całe narody, zaś mądrość Wieku Nauki spłonęła w żarze wznieconym przez ogniste demony. Uczeni z determinacją przetrząsali zgliszcza bibliotek w poszukiwaniu wskazówek. Nauka okazywała się bezsilna, ale wkrótce odkryto sposób na ratunek w opowieściach do tej pory uznawanych za bajdy i przesady. Ludzie zaczęli kreślić w piachu niezdarne symbole, zabezpieczając się w ten sposób przed otchłańcami. Starożytne runy nadal kryły w sobie moc, lecz kreślące je dłonie, drżące ze strachu, często popełniały błędy, które kosztowały wiele krwi. Ci, którzy przetrwali, gromadzili ludzi wokół siebie, chroniąc ich przez długie noce. Zostali oni pierwszymi Patronami Runów, którzy sprawują nad nami pieczę po dziś dzień. – Minstrel wskazał na tłum. – Gdy następnym razem ujrzycie jednego z nich, nie zapomnijcie mu

podziękować. Zawdzięczacie mu życie!

Arlen nigdy wcześniej nie słyszał tej wersji opowieści. Patroni Runów? W Potoku Tibbeta każde dziecko uczyło się sztuki kreślenia runów od chwili, gdy potrafiło rysować kijem w piasku. Wielu ludzi kiepsko sobie z tym radziło, ale Arlenowi nie mieściło się w głowie, by ktoś choćby nie spróbował opanować podstawowych zabezpieczeń przeciwko demonom ognia, skał, bagien, wody, wichru i drewna.

– Tak więc jesteśmy bezpieczni wewnątrz runów, a demony sięją zniszczenie na zewnątrz. Posłańcy – Keerin skinął w kierunku Ragen – najdzielniejsi z nas wszystkich, wędrują od miasta do miasta, rozwożąc towary i wieści, a także zapewniając ochronę podróżnym.

Chodził w tę i we w tę, odpowiadając twardym wzrokiem na przestraszone spojrzenia dzieci.

– Lecz my jesteśmy mocni! – zakrzyknął. – Mocni, nieprawdaż?

Dzieci kiwały głowami, choć nadal patrzyły na Minstrela oczyma szeroko rozwartymi ze strachu.

– Nie słyszę was! – Przyłożył dłoń do ucha.

– Jesteśmy! – zagrział tłum.

– Będziemy gotowi, gdy przybędzie Wybawiciel? Poznają demony, czym jest strach przed człowiekiem?

– Poznają! – ryknęli zebrani.

– Nie słyszę was!

– Poznają! – wrzeszczeli ludzie, unosząc zaciśnięte pięści, a Arlen wraz z nimi. Jessi próbowała go naśladować, wymachując piąstką i krzycząc, jakby sama była demonem. Minstrel uklonił się i poczekał, aż tłum zamilknie, po czym uniósł lutnię i rozpoczął kolejną pieśń.

* * *

Zgodnie z obietnicą Wieprza Arlen opuścił Ryneček z workiem soli, której starczyłoby całej rodzinie na długie tygodnie, nawet z Norine i Mareą. Sól nie została jeszcze zmielona, ale chłopak wiedział, że rodzice woleli zrobić to sami, aniżeli dać handlarzowi dodatkowo zarobić. Większość ludzi postąpiłaby w taki sam sposób, lecz Wieprz nie dawał im na to szansy. Meł sól zaraz po jej przywiezieniu i podnosił cenę o koszt usługi.

Arlen podskakiwał wesoło, zmierzając drogą w kierunku Osady. Zasepił się dopiero przy drzewie, na którym wisiał Cholie. Znow zaczął rozmyślać o tym, co Ragen powiedział na temat walki z otchłāncami, oraz o tym, co jego ojciec mówił o roztropności.

Sądził, że racja leży po stronie ojca. Wiedział, że trzeba się kryć zawsze, gdy to możliwe, i walczyć tylko wtedy, gdy nie ma innego wyjścia. Nawet Ragen zdawał się wyznawać tę

filozofię. Tak czy inaczej jednak Arlen nie mógł się wyzbyć wrażenia, że ucieczka również wyrządzała ludziom krzywdę, choć w niedostrzegalny sposób.

Gdy już dotarł do Osady, ojciec na jego widok z zapalem klepnął go w plecy. Reszta popołudnia upłynęła na bieganiu wśród zgliszcz i pomaganiu w odbudowie. Chłopi zdołali postawić kolejny dom i wszystko wskazywało, że przed zapadnięciem zmroku będą go na powrót chronić runy. Za kilka tygodni Osada miała być całkowicie odbudowana, co leżało w interesie wszystkich okolicznych mieszkańców, jeśli chcieli mieć zapas drewna na zimę.

– Obiecałem Seli, że będę tu zaglądać przez kilka najbliższych dni – oznajmił Jeph, gdy późnym popołudniem pakowali wóz. – Zajmiesz się gospodarstwem pod moją nieobecność. Będziesz sprawdzał słupy z runami oraz pełł pola. Widziałem, że pokazywałeś dziś rano Norine, na czym polegają twe obowiązki. Wygląda na to, że da sobie radę na podwórzu, a Marea pomoże matce w domu.

– W porządku – przytaknął skwapliwie Arlen. Pielenie i sprawdzanie słupów nie należało do łatwych zajęć, ale zaufanie ojca napełniło go dumą.

– Liczę na ciebie, Arlenie.

– Nie zawiodę cię, tato – obiecał chłopiec.

* * *

Kolejne dni upływały bez większych niespodzianek. Silvy czasem popłakiwała, ale miała wiele obowiązków na głowie i ani razu się nie poskarżyła, że musi wykarmić dwie dodatkowe gęby. Norine polubiła pracę przy trzodzie i nawet Marea powoli pokonywała przygnębienie. Pomagała przy zmiataniu bądź gotowaniu, zaś po kolacji siadała do kądzieli. Wkrótce zaczęła też zastępować Norine na podwórzu. Obie kobiety ze wszystkich sił starały się wypełnić swój przydział obowiązków, choć nadal bywało, że przerywały pracę, a ich twarze ściągało cierpienie.

Od wrywania chwastów dłonie Arlena pokryły się pęcherzami. Na domiar złego pod koniec dnia plecy i ramiona bolały go niemiłosiernie, ale chłopiec nie narzekał. Jedynym spośród nowych zajęć, które naprawdę sprawiało mu przyjemność, była opieka nad słupami runicznymi. Od zawsze miał do runów smykałkę i opanował podstawowe symbole ochronne, nim większość dzieci zaczęła się ich uczyć. Bardziej skomplikowane ciągi runiczne przyswoił sobie niedługo później. Wkrótce Jeph przestał doglądać pracy syna, bowiem dłoń Arlena poruszała się pewniej niż jego własna. Kreślenie runów nijak się miało do atakowania demonów przy pomocy włóczni, ale na pewno stanowiło jakąś formę walki.

Za każdym razem, gdy Jeph wracał o zmroku, Silvy już czekała z wodą ze studni, by mógł się obmyć. Arlen pomagał Norine i Marei zamknąć zwierzęta, a potem wspólnie zasiadali do kolacji.

Piątego dnia późnym popołudniem zerwał się wiatr, który podrywał tumany kurzu i

trzaskał drzwiami obory. Arlen wyczuwał, że zbliża się deszcz, a ciemniejące niebo potwierdziło jego domysły. Miał nadzieję, że ojciec również dostrzegł te znaki i wyruszył do domu wcześniej lub został na noc w Osadzie. Ciemne chmury oznaczały szybsze zapadnięcie zmroku, a to groziło pojawieniem się otchłańców jeszcze przed zachodem słońca.

Arlen porzucił więc pracę w polu i pomógł kobietom zapędzić wystraszone zwierzęta do obory. Silvy również wybiegła z domu. Szczelnie zamykała drzwi do piwnicy i sprawdzała, czy słupy z runami wokół zagród są dobrze umocowane. Gdy w oddali zamajaczył wóz Jepha, nie pozostało wiele czasu do stracenia. Niebo szybko ciemniało, nie było już widać słońca. Otchłańce mogły powstać w każdej chwili.

– Szkoda czasu na wyprzęganie! – zawołał Jeph, strzelając z bata, by popędzić Missy w kierunku obory. – Zajmiemy się tym z rana. Wszyscy do domu, prędko!

Kobiety usłuchały i ruszyły do środka.

– Zdażymy, jeśli się pospieszymy! – Arlen usiłował przekrzyczeć wycie wiatru. Po nocy spędzonej w uprzęży Missy potrafiła narowić się przez całe dnie.

Jeph pokręcił głową.

– Robi się zbyt ciemno. Noc w uprzęży przecież jej nie zabije!

– Zamknij mnie zatem w stodole – zasugerował Arlen. – Wyprzęgnę ją i przeczekam burzę wraz ze zwierzętami.

– Rób, co ci powiedziałem, synu! – Jeph zeskoczył z wozu i złapał chłopaka za ramię, wywlekając go z obory.

Zamknęli oba skrzydła bramy i założyli zasuwę, gdy niebo przecięła pierwsza błyskawica. Runy wymalowane nad drzwiami rozbłysły w jej blasku, zwiastując ulewę. W powietrzu już dało się ją wyczuć.

Ruszyli biegiem w stronę domostwa, rozglądając się za mgłą, która oznaczała nadejście demonów. Na razie, droga była wolna. Marea trzymała drzwi, gdy wpadli do środka, ścigani przez pierwsze, ciężkie krople deszczu.

Już zamykała, kiedy z zewnątrz dobiegło mrozące krew w żyłach wycie. Wszyscy zamarli.

– Pies – jęknęła, zakrywając usta. – Zostawiłam go przywiązanego do płotu!

– Za późno – stwierdził Jeph. – Zamykaj.

– Co?! – wykrzyknął Arlen z niedowierzaniem i obrócił się na pięcie ku ojcu.

– Wciąż nie ma mgły! – krzyknęła Marea i wybiegła.

– Marea, nie! – Silvy pognała w ślad za nią. Arlen również dopadł do drzwi, ale Jeph pochwycił go za szelki portek i szarpnął ku sobie.

– Zostań w środku! – nakazał, ruszając na zewnątrz.

Arlen wahał się krótką chwilę. Wybiegł z domu. Jeph i Norine stali na ganku, nie przekraczając jednak linii zewnętrznych runów. Gdy chłopiec dołączył do ojca, pies przemknął obok i wpadł do sieni. Przecięty sznur wciąż zwisał z jego karku.

Na podwórzu szalała wichura, porywając krople deszczu, które kęsały skórę niczym krwiożercze owady. Marea i matka Arlena pędziły już w stronę domu, gdy zaczęły pojawiać się demony, jak zwykle jako pierwsze te zrodzone z ognia. Smugi mgły zatańczyły nad ziemią, zlewając się i formując postaci zgarbionych, stojących na czworakach przybyszów z Otchłani. Należeli do najmniejszych otchłańców, mierzyli ledwie osiemnaście cali w kłębie, ale ich oczy, nozdrza i paszcze mieniły się ogniem.

– Szybciej, Silvy! – krzyczał Jeph. – Szybciej!

Przez moment wszystko wskazywało, że zdążą, ale wtedy Marea potknęła się i upadła. Silvy zawróciła, by jej pomóc. W tej samej chwili pierwszy demon ostatecznie się zmaterializował. Arlen drgnął, chcąc spieszyć matce na pomoc. W tymże momencie na jego ramię opadła ciężka dłoń Norine.

– Nie bądź głupcem! – syknęła kobieta.

– Wstawaj! – krzyczała w tym samym czasie Silvy, szarpiąc Mareę za ramię.

– Moja kostka! – wychrypiała Marea. – Nie mogę, zostaw mnie! Uciekaj!

– Niedoczekanie! Jeph, pomóż nam!

Demony pojawiały się na całym podwórzu. Jeph stał niczym wmurowany i obserwował, jak jeden po drugim dostrzegały kobiety i wrywały ku nim, zawodząc z radości.

– Puść mnie! – Arlen z całej siły nadepnął na stopę Norine. Kobieta zawyla, a chłopiec jednym szarpnięciem wyswobodził się z jej uścisku. Pochwycił najbliższą rzecz, która mogła służyć za broń – drewniane wiadro na wodę – i wybiegł na podwórze.

– Arlen, nie! – zawołał za nim ojciec, ale chłopak już go nie słuchał.

Któryś z ognistych demonów, nie większy od sporego kota, wskoczył na plecy Silvy. Kobieta krzyknęła, gdy szpony bestii wyłobiły głębokie bruzdy w jej skórze. Tył jej sukienki natychmiast przeobraził się w krwawy łachman. Uczepiony pleców Silvy demon zionął ogniem w twarz Marei. Ta wrzasnęła przeraźliwie, gdy płomienie objęły jej włosy i stopiły skórę.

Arlen dopadł do nich sekundę później i z całej siły rąbnął demona wiadrem. Naczynie roztrzaskało się na kawałki, lecz impet uderzenia strącił napastnika z pleców matki. Chłopiec szybko ją złapał, zanim upadła. Zbliżały się kolejne ogniste demony, nieopodal rozpościerały skrzydła demony wichru, a kilka kroków dalej przybierał materialną postać demon skał.

Silvy zawyla z bólu, lecz zdołała utrzymać równowagę. Arlen odciągnął ją od jęczącej w agonii Marei. Raptem spostrzegł, że wejście do domu zagroziły demony ognia. Tymczasem ogromny skalny demon zdążył już ich dostrzec i zaszarżował. Kilka wichrowych demonów, które przygotowywały się do wlotu, stało mu na drodze, ale bestia machnęła tylko uzbrojoną w szpony łapą, odrzucając je na bok równie łatwo, jak wprawny kosiarz przecina łodygi kukurydzy. Poszarpane i poobijane, znieruchomiały, a wtedy przypały do nich demony ognia, rozrywając je na kawałki.

Uwaga ogromnego potwora została odwrócona na bardzo krótką chwilę. Arlen zdążył ją

jednak wykorzystać, by odciągnąć matkę od domu. Wrota obory były zatrzaśnięte, ale ścieżka do zagród, gdzie trzymali zwierzęta za dnia, wyglądała na bezpieczną, o ile udałoby im się wyprzedzić otchłańce. Silvy nadal krzyczała – Arlen nie wiedział, czy z bólu, czy z przerażenia – ale brnęła naprzód, dotrzymując synowi kroku nawet pomimo zawadzających sukni.

Rzucili się do biegu. Ogniste demony już dostrzegły tę ucieczkę i zaczynały ich okrążyć. Deszcz padał coraz mocniej, wiatr dziko zawodził. Niebo przecięła kolejna błyskawica, na moment oświetlając potwory oraz zagrodę, która znajdowała się tak blisko, a zarazem tak daleko.

Ulewa zamieniła pył na podwórzu w śliskie błoto, lecz strach dodał uciekinierom wigoru i biegli, nie potykając się ani razu. Kroki szarżującego demona skał, równie głośne, co uderzenia pioruna, rozbrzmiewały coraz bliżej, a ziemia drżała coraz mocniej.

Dopadłszy do zagrody, Arlen w pośpiechu zaczął majstrować przy zasuwie furtki. W tej samej chwili demony ognia znalazły się dość blisko, by użyć swej najgroźniejszej broni. Zionęły ogniem, otumaniając zarówno Arlena, jak i jego matkę. Odległość osłabiła nieco niszczycielską moc płomieni, ale mimo to chłopiec poczuł swąd palonych włosów i uświadomił sobie, że jego ubranie stanęło w ogniu. Zalała go fala bólu, ale zdołał ją zignorować i wreszcie otworzył furtkę. Odwrócił się, by wciągnąć matkę do środka, lecz wtedy skoczył na nią kolejny demon, wbijając szpony w jej pierś. Chłopak szarpnął z całej siły. Gdy przekroczyli linię ochronną, runy eksplodowały światłem, a ich moc cisnęła otchłańcem do tyłu. Jego pazury wyrwały z ciała kobiety kawałki mięsa. Pocięła krew.

Z matką w ramionach Arlen padł na ziemię, przyjmując na siebie impet uderzenia, a potem przetoczył się raz i drugi po błocie, by dogasić ogień.

Nie miał najmniejszej szansy na zamknięcie furtki. Demony otaczały ją teraz ciasnym półkrygiem i raz po raz uderzały w sieć ochronną. Magia rozbłyskiwała, stawiając im opór. Furtka jednakże nie stanowiła żadnej osłony, podobnie jak i płot. Dopóki słupy runiczne pozostawały nietknięte, dopóty byli bezpieczni.

Nic ich jednak nie chroniło przed pogodą. Deszcz przerodził się w lodowatą, smagającą skórę ulewę. Silvy nie mogła już powstać po upadku. Leżała bezwładnie na ziemi, pokryta błotem zmieszonym z krwią. Chłopiec nie miał pojęcia, czy matka przeżyje tak ciężkie rany, a do tego jeszcze samą burzę.

Chwiejnym krokiem podszedł do koryta i przewrócił je kopniakiem, wylewając pomyje. Widział stamtąd skalnego demona nacierającego na sieć ochronną, ale magia nie pozwalała bestii wedrzeć się do środka. Błyskawice i płomienne oddechy otchłańców raz po raz rozświetlały podwórze, a wtedy mógł dostrzec Mareę, której ciało po chwili przesłonił rój demonów ognia. Potwory dopadały do zwłok, odrywały części mięsa i w podrygach odbiegały na bok, by pożreć je w spokoju.

Chwilę później demon skał porzucił swe wysiłki. Podszedł do ciała Marei i pochwycił je

szponiastą łapą za nogę, podobnie jak okrutny człowiek mógłby złapać kota. Ogniste demony uskoczyły na boki, a olbrzym uniósł kobietę w powietrze. Gdy znienacka z ust Marei wyrwał się ochryply jęk, Arlen ku swemu przerażeniu odkrył, że kobieta wciąż żyje. Natychmiast przyszło mu do głowy, by wybiec poza linie ochronne i ruszyć jej z pomocą. Oceniał nawet dzielący ich dystans, ale wtedy otchłaniec z potworną siłą cisnął Mareą o ziemię, a chłopak usłyszał przerażający odgłos miażdżonych kości.

Odwrócił głowę, nie chcąc patrzeć, jak bestia w gryza się w ciało kobiety. Gęsta ulewa splukiwała łzy z jego policzków. Pochwycił za brzeg koryta i przywłókł je do Silvy, a następnie oderwał podszewkę od jej sukni i wystawił ją na deszcz, by nasiąkła wodą. Najlepiej jak potrafił otarł rany matki z błota i przewiązał kolejnymi kawałkami materiału. Czystymi z pewnością nazwać się ich nie dało, ale były przynajmniej czystsze od błota, w którym na co dzień przebywały świnię.

Silvy drżała z zimna, więc chłopiec przytulił ją mocno, a potem naciągnął na nich cuchnące koryto, chcąc chociaż w ten sposób osłonić się przed ulewą i łakomymi spojrzeniami demonów. Gdy opuszczał koryto, niebo raz jeszcze rozciął zygzak błyskawicy. W jej blasku ujrzał swego ojca, który nadal stał na ganku, nieruchomy jak posąg.

Arlen pamiętał jego słowa: „Gdybyś to ty znalazł się poza domem albo twoja mama...”. Pomimo tych deklaracji wyglądało na to, że nic nie jest w stanie skłonić Jepha Balesa do walki.

* * *

Noc ciągnęła się w nieskończoność. Nie było szans, by choć na chwilę zmrużyć oczy. Krople deszczu wybijały jednostajny rytm na dnie koryta, obryzgując Arlena i Silvy resztkami pomyj, które przyłgnęły do jego wewnętrznych ścian. Zimne błoto cuchnęło świńskimi odchodami. Silvy dygotała w delirium, a Arlen przytulał ją mocno, przekazując jej tyle ciepła, ile tylko mógł. Dłonie i stopy miał zdrętwiałe.

Z wolna ogarnęła go rozpacz i szlochał wtulony w ramię matki. W pewnej chwili Silvy jęknęła i poklepała go po dłoni. Ów prosty, instynktowny gest niespodziewanie pomógł chłopcu zapomnieć o przerażeniu, rozczarowaniu oraz bólu.

Walczył z demonami i zachował życie. Stanął na podwórzu, gdzie się od nich roило, a mimo to wciąż oddychał. Otchłaniec może i są nieśmiertelne, ale można je zwieść, można je wyprzedzić, pomyślał.

A demon skał, przepędzający z drogi inne otchłaniec, udowodnił, że można również zadać im ból.

Tylko jakie to miało znaczenie w świecie, w którym ludzie tacy jak Jeph nie potrafili stawić czoła złu nawet w obronie własnej rodziny? Czy pozostała im jakakolwiek nadzieja?

Przez długie godziny chłopiec wpatrywał się w ciemność, ale oczyma wyobraźni nadal

widział twarz ojca obserwującego jego zmagania zza bezpiecznej linii ochronnej.

* * *

Deszcz przestał padać jeszcze przed świtem. Arlen wykorzystał chwilę, by unieść koryto i rozejrzeć się po okolicy, ale natychmiast tego pożałował, gdyż nagromadzone ciepło w jednej chwili uciekło. Opuścił koryto z powrotem, zerkając jednak na zewnątrz do chwili, gdy zaczęło się przejaśniać.

Choć większość demonów już zniknęła, po okolicy błąkało się jeszcze kilku maruderów. Dopiero gdy barwa nieba z indygo przeszła w lawendę, ostatnie otchłańce jęły się dematerializować. Wtedy chłopiec podźwignął koryto i z wysiłkiem stanął na nogi, bezskutecznie próbując zetrzeć oblepiające go odchody i błoto.

Zesztywniałe ramię zapiekło. Obejrzał je uważnie i dostrzegł zaczerwienienia na skórze w miejscu, gdzie demon plunął ogniem.

Tyle dobrego z nocy spędzonej w błocie, pomyślał. Wiedział, że poparzenia wyglądałyby o wiele gorzej, gdyby nie przeleżeli tylu godzin w chłodnym gnoju.

Gdy po ostatnich otchłańcach nie został już prawie ślad, Arlen wyszedł z zagrody i skierował kroki do obory.

– Arlen, nie! – krzyknął ktoś z ganku. Chłopak obejrzał się. Zawinięty w koc ojciec nadal stał przy drzwiach domu, bezpieczny wewnątrz obszaru ochronnego. – Słońce jeszcze całkiem nie weszło. Poczekaj!

Arlen zignorował przestrozę i rozwarł wrota stodoły. Missy, nadal zaprzężona do wozu, wyglądała na nieszczęśliwą, ale z pewnością miała dość sił na podróż do Ryneczku.

Czyjaś dłoń chwyciła chłopca za ramię, gdy wyprowadzał klacz na zewnątrz.

– Chcesz dać się zabić? – zapytał ostro Jeph. – Lepiej bądź posłuszny, synu!

Arlen oswobodził rękę, unikając wzroku ojca.

– Coline Trigg musi zbadać mamę – mruknął tylko.

– Ona żyje? – Jeph z niedowierzaniem odwrócił głowę, odnajdując wzrokiem ciało Silvy w błocie.

– Na pewno nie dzięki tobie. Zabieram ją do Ryneczku.

– Zabieramy – poprawił go Jeph. Wybiegł do zagrody, wziął żonę na rękę i zaniósł na tył wozu. Poleciwszy Norine, by zajęła się trzodą i odnalazła szczątki nieszczęsnej Marei, ruszyli do miasta.

Skóra Silvy ociekała potem. Jej poparzenia nie wydawały się groźniejsze od obrażeń, które odniósł Arlen, ale z głębokich, wyrzeźbionych szponami demonów bruzd nadal sączyła się krew, a brzegi ran paskudnie napuchły.

– Arlenie, ja... – przemówił w pewnym momencie Jeph, wyciągając drżącą rękę w kierunku syna. Chłopiec odsunął się, a mężczyzna cofnął dłoń jak oparzony.

Arlen wiedział, że jego ojciec próbuje zwalczyć wstyd. Ragen nie pomylił się nic a nic. Może Jeph nienawidził teraz siebie tak samo jak Cholie, ale nawet mimo to chłopiec nie potrafił zdobyć się na współczucie. Silvy zapłaciła wysoką cenę za tchórzostwo swego męża.

Resztę drogi do Ryneczku pokonali w milczeniu.

Dwupiętrowy dom Coline Trigg należał do największych w Potoku, a jego większą część zajmowały łóżka. Oprócz rodziny, która mieszkała na piętrze, Coline zawsze gościła przynajmniej jednego pacjenta, który odpoczywał na parterze.

Coline była niską kobietą z wielkim nosem i niewidocznym podbródkiem. Nie ukończyła jeszcze trzydziestki, a już urodziła szóstkę dzieci, przez co utraciła smukłą figurę. Jej ubranie zawsze pachniało palonymi ziołami, a do nieodłącznych elementów jej terapii należało picie wywarów o obrzydliwym smaku. Ludzie w Potoku Tibbeta często sobie z nich pokpiwali, lecz każdy wypijał je z wdzięcznością, gdy dopadło go przeziębienie.

Zielarce wystarczył jeden rzut oka na Silvy. Natychmiast kazała Arlenowi i Jephowi wnieść ją do domu. Nie zadawała pytań, co sprawiło im obu wielką ulgę, gdyż żaden nie wiedział, co miałby powiedzieć. Błyskawicznie przystąpiła do nacinania ran i wyciskania brunatnej ropy. Powietrze niebawem przesycał duszący odór zgnilizny. Następnie oczyściła rozcięcia wodą ze zmielonymi ziołami, by na końcu zabrać się za zszywanie. Jeph pozieleniał na twarzy i naraz zakrył usta.

– Wynocha mi stąd! – warknęła Coline, wskazując Jephowi drzwi.

Mężczyzna wymaszerował jak niepyszny, a Zielarka przeniosła wzrok na chłopaka.

– Ty też? – zapytała ostro, ale Arlen tylko pokręcił głową. Coline wpatrywała się w niego przez chwilę i w końcu skinęła z aprobatą. – Jesteś dzielniejszy od swego ojca – stwierdziła. – Przynieś móździerz i tłuczek. Nauczę cię, jak robić balsam na oparzenia.

Nie odrywając oczu od pracy, Coline instruowała Arlena, jak odnaleźć poszczególne składniki wśród niezliczonych słoików i misek jej apteki, a potem wyjaśniła, w jakich proporcjach je mieszać. Kontynuowała szycie ran, podczas gdy chłopiec przykładał balsam na oparzenia.

W końcu, kiedy wszystkie rany Silvy zostały już opatrzone, Zielarka postanowiła zbadać Arlena. Chłopak z początku protestował, ale maść zaczęła działać i dopiero gdy po jego ramionach rozlał się zbawienny chłód, uświadomił sobie, jak bardzo paliła go skóra.

– Przeżyje? – zapytał, skinąwszy na matkę. Choć jej oddech już się uspokoił, skóra wokół rozcięć przybrała niezdrowy kolor, a smród zgnilizny nadal był wyczuwalny.

– Nie wiem – odparła Zielarka. Nie należała do ludzi, którzy owijają w bawełnę. – Nigdy nie widziałam tak poważnych ran. Zazwyczaj gdy otchłāncom uda się podejść tak blisko...

– ...to zabijają – rzucił Jeph od progu. – I zabiłyby, gdyby nie Arlen.

Wszedł do pomieszczenia ze spuszczonego wzrokiem.

– Arlen nauczył mnie czegoś zeszłej nocy, Coline. Nauczył mnie, że to strach jest naszym wrogiem, o wiele groźniejszym od otchłānców. – Położył dłoń na ramieniu syna i spojrzał mu

prosto w oczy. – Nie zawiodę cię po raz drugi.

Arlen pokiwał głową, ale nie popatrzył na ojca. Chciał wierzyć jego słowom, jednak w myślach wciąż widział go na ganku, sparaliżowanego ze strachu.

Jeph podszedł do Silvy i ujął jej wilgotną dłoń. Kobieta wciąż się pocila, a od czasu do czasu rzucała na posłaniu.

– Umrze? – zapytał.

Zielarka wypuściła powietrze z płuc.

– Dobrze się znam na składaniu kości. Potrafię też odbierać porody. Umiem zbić temperaturę i przegnać przeziębienie, zdołam nawet oczyścić ranę zadaną przez demona, o ile jest świeża. – Pokręciła głową. – Ale twoja żona zapadła na gorączkę demoniczną. Podałam jej ziół, by złagodzić cierpienia i pomóc usnąć, lecz nie ma mowy, bym wymyśliła skuteczne lekarstwo. Będziesz musiał znaleźć lepszego Zielarza.

– A jest jeszcze ktoś? – zapytał Jeph. – Przecież poza tobą nie ma w Potoku nikogo innego!

– Jest kobieta, która nauczyła mnie fachu. Stara Mey Friman. Mieszka na obrzeżach Słonecznych Pastwisk, dwa dni drogi stąd. Jeśli ktokolwiek może wyleczyć Silvy, to tylko ona, ale lepiej nie zwlekaj. Gorączka będzie się wzmacniać i jeśli zanadto zmarudzisz po drodze, nawet stara Mey ci nie pomoże.

– Jak ją znaleźć?

– Trudno przeoczyć jej dom, prowadzi tam tylko jedna droga. Nie skręcaj jednakże na rozstajach w lesie, bo w przeciwnym razie spędzisz całe tygodnie na podróży do Miln. Posłaniec wyjechał w stronę Pastwisk parę godzin temu, ale musi się jeszcze zatrzymać w kilku miejscach w Potoku. Jeśli się pospieszysz, możesz go dogonić. Posłańcy wożą ze sobą własne runy. W jego towarzystwie będziesz mógł podróżować aż do zmierzchu, a nocą jego runy zapewnią ci ochronę. Dzięki Posłańcowi pokonacie ów dystans dwa razy szybciej.

– Znajdziemy go – oznajmił Jeph. – Za wszelką cenę.

Determinacja w jego głosie sprawiła, że Arlen poczuł, jak odżywa w nim nadzieja..

* * *

Sercem chłopca targnęło osobliwe poczucie tęsknoty, gdy siedział z tyłu wozu i obserwował niknące w oddali zabudowania Potoku Tibbeta. Po raz pierwszy w życiu miał się znaleźć dalej niż dzień drogi od domu. Po raz pierwszy w życiu miał zobaczyć inną osadę! Jeszcze tydzień temu wiele by oddał za taką przygodę, ale teraz marzył tylko o tym, by życie znów wyglądało jak dawniej.

Jak wtedy, gdy gospodarstwo było bezpieczne.

Gdy matce nic nie groziło.

Gdy nie uważał ojca za tchórza.

Coline obiecała wysłać któregoś ze swych chłopców do gospodarstwa, by powiadomił Norine, że Jepha i Arlena nie będzie przez tydzień lub dłużej, a także po to, by pomagał przy zwierzętach i sprawdzał runy ochronne. Sąsiedzi z pewnością przychodziliby z wizytą, ale Norine nie pogodziła się jeszcze ze stratą rodziny i nie mogła spędzać nocy samotnie.

Zielarka sprezentowała Jephowi prostą mapę, starannie zwiniętą i wsuniętą w tubę ze zwierzęcej skóry. Papier stanowił w Potoku wielką rzadkość i niechętnie się z nim rozstawano. Arlen był wprost zafascynowany podarunkiem. Studiował mapę całe godziny, nawet mimo tego, że nie potrafił rozszyfrować żadnej z nielicznych nazw, które na niej widniały. Ani on, ani jego ojciec nie umieli czytać ani pisać.

Choć mapa wskazywała drogę do Słonecznych Pastwisk, nie dawała żadnych wskazówek co do odległości. Kartograf zaznaczył co prawda gospodarstwa, w których mogliby prosić o schronienie, ale z samej mapy nie dało się ustalić, ile godzin jazdy je dzieliło.

Matka spała niespokojnie, nadal mokra od potu. Czasem mówiła przez sen, a czasem coś wykrzykiwała, lecz jej słowa nie miały sensu. Arlen ocierał jej czoło wilgotną szmatką i poił gorzkim wywarem zgodnie z zaleceniami Zielarki. Nic jednak nie wskazywało, by jego starania przynosiły jakiegokolwiek efekty.

Późnym popołudniem zbliżali się do domostwa Harla Garbarza, chłopca, który mieszkał na skraju Potoku. Jego gospodarstwo leżało zaledwie kilka godzin jazdy od Osady przy Borach, ale Arlen i Jeph wyruszyli zbyt późno, by wcześniej do niego dotrzeć.

Arlen pamiętał Harla i jego trzy córki z corocznych obchodów przesilenia letniego, choć nie widział ich od dwóch lat, odkąd otchłańce porwały mu żonę. Od tego czasu Harl z córkami żyli niczym pustelnicy i nawet tragedia w Osadzie nie skłoniła ich do opuszczenia gospodarstwa.

Trzy czwarte pól Harla zamieniło się w poczerniałe, spalone słońcem nieużytki. Tylko te wokół samego domu obsiano i otoczono słupami runicznymi. Wymizerowana krowa żuła paszę na błotnistym podwórzu, a na bokach przywiązanej przy kurniku kozy wyraźnie zaznaczały się żebra.

Prosty jednopiętrowy dom Harla zbudowano z kamienia wiązanego błotem i gliną. Na większych kamieniach wymalowano niegdyś runy, teraz już słabo widoczne. Arlen uznał je za kiepsko nakreślone, ale najwyraźniej jak dotąd spełniały swą rolę. Dach był nierówny, a gnijącą strzechę tu i ówdzie przebijały krótkie, masywne słupy runiczne. O ścianę domu wspierała się niewielka obórka z otworami okiennymi zabitymi deskami i drzwiami zwisającymi na jednym zawiasie. Po przeciwnej stronie podwórza stała druga obora, większa i sprawiająca jeszcze gorsze wrażenie. Runy mogły wytrzymać długo, ale sam budynek wyglądał, jakby zaraz miał runąć.

– Nigdy dotąd nie widziałem gospodarstwa Harla. – Jeph wodził wzrokiem po obejściu.

– Ja też nie – skłamał Arlen.

Z wyjątkiem Posłańców niewielu ludzi miało powody, by przemierzać drogę mijającą

Osadę przy Borach, stąd też ci, którzy przy owej drodze mieszkali, stanowili przedmiot niezliczonych plotek. Arlen niejedną raz podkradł się, by obejrzeć gospodarstwo Szalonego Garbarza. Nigdy też nie dotarł dalej. By zdążyć do domu przed zmierzchem, musiał biec długie godziny bez wytchnienia.

Pewnego razu, a było to kilka miesięcy wcześniej, o mały włos by się spóźnił. Usiłował wówczas podpatrzeć najstarszą córkę Harla, Ilain. Chłopcy mówili, że ma największe cycki w Potoku, i Arlen chciał się o tym przekonać na własne oczy. Czekał przez pół dnia, aż w końcu ujrzął, jak zapłakana wybiega z domu. Rozpacz uczyniła ją niezwykle piękną i Arlen zapragnął podejść i ją pocieszyć, choć liczyła sobie osiem wiosen więcej od niego. Nie zdołał jednakże zebrać w sobie dość odwagi i skończyło się na tym, że obserwował ją z ukrycia przez długie godziny, o wiele dłużej, niż pozwalał na to zdrowy rozsądek. Nieomal zapłacił wysoką cenę za swą głupotę, gdy słońce zaczęło zachodzić.

Dojeżdżali do gospodarstwa, obszczekiwani przez liniejącego psa. Na ganku stała młoda dziewczyna i przyglądała się podróżnym smutnymi oczyma.

– Chyba będziemy musieli poprosić o schronienie – powiedział Jeph.

Arlen pokręcił głową.

– Do zmierzchu zostało sporo czasu. Być może uda nam się dogonić Ragenę. Jeśli nie, jest jeszcze jedno gospodarstwo, tam gdzie droga odbiega ku Wolnym Miastom.

Jeph zerknął nad ramieniem syna na mapę.

– Spory kawałek.

– Mama nie może czekać. Nie dotrzemy dziś do celu, to pewne, ale każda godzina podróży przybliży nas do końca jej cierpień.

Jeph najpierw zerknął na spoconą Silvy, a potem na słońce i pokiwał głową. Pomachali dziewczynie na ganku, kiedy ją mijali.

Przez następne godziny pokonali spory szmat drogi, ale nie odkryli śladów Posłańca, ani też nie natknęli się na zaznaczone na mapie gospodarstwo. Jeph spojrzął w pomarańczowe niebo.

– Za niecałe dwie godziny będzie tu całkiem ciemno. Musimy zawrócić. Jeśli pognamy konia, uda nam się dotrzeć do Harla na czas.

– Ale przecież to gospodarstwo może się znajdować choćby i za tym zakrętem! – sprzeciwił się Arlen. – Odnajdziemy je!

– Nie ma co do tego pewności – stwierdził Jeph i splunął na bok. – Mapa nie jest dokładna. Zawracamy, póki to jeszcze możliwe. Nie chcę słyszeć słowa sprzeciwu!

Arlen szeroko rozwarł oczy ze zdumienia.

– Kiedy stracimy pół dnia, nie mówiąc już o nocy! Przez ten czas mama umrze!

Otulona kocami, spocona Silvy oddychała szybko i nierówno. Jeph ze smutkiem spojrzął na coraz dłuższe cienie i stłumił dreszcz.

– Jeśli zmierzch zastanie nas na drodze, zginiemy wszyscy troje.

Arlen pokręcił głową, nim ojciec zdążył dokończyć zdanie.

– Ale... Ale przecież możemy... Możemy wyrysować runy w piasku! Dookoła wozu! – wykrztusił wreszcie.

– A jeśli zerwie się wiatr i je rozwieje? Co wtedy?

– To gospodarstwo może być tuż za następnym wzgórzem! – nalegał Arlen.

– Albo dwadzieścia mil dalej. Albo spalone rok temu. Któż wie co się wydarzyło od czasu, gdy wyrysowano tę mapę?

– Chcesz przez to powiedzieć, że życie mamy nie jest warte ryzyka?

– Ani słowa o tym, ile jest ono warte! – wrzasnął Jeph, a chłopiec o mało co nie spadł z wozu. – Kocham ją i znam o wiele lepiej od ciebie! Nie mam jednak zamiaru postawić na szali życia całej naszej trójki! Silvy jest w stanie przetrwać tę noc! Musi ją przetrwać!

Z tymi słowami szarpnął za cugle i zawrócił wóz. Bez litości smagnął zad Missy, a klacz, przestraszona wizją nadciągającego mroku, pognąła przed siebie jak obłąkana.

Arlen odwrócił się ku Silvy, tłumiąc gorycz i gniew. Patrzył, jak ciało matki, obojętnej na tak szaleńczą jazdę, bezwładnie podskakuje, gdy koła wozu natrafiały na kamienie bądź zagłębienia. Ojciec mógł sobie myśleć, co chciał, ale Arlen wiedział, że jej szanse na przeżycie zostały właśnie zmniejszone o połowę.

* * *

Gdy docierali do samotnego gospodarstwa, słońce już zachodziło. Wyglądało na to, że zarówno Jephowi, jak i Missy udzieliło się skrajne przerażenie. Ojciec wrzaskiem poganiał dziko rżącego konia, a Arlen zeskoczył na tył wozu i usiłował uchronić matkę przed zsunięciem się na drogę. Trzymał ją mocno, płacąc za to wieloma siniakami i stłuczeniami.

Nie przed wszystkim zdołał ją jednak uchronić. Czuł, jak starannie założone szwy zaczynają pękać, a rany ponownie broczą krwią. Uświadomił sobie, że jeśli nie zabierze jej demoniczna gorączka, może to uczynić szalona jazda przez las.

Jeph wstrzymał konia przed samym gankiem.

– Harl! – wrzasnął. – Potrzeba nam schronienia!

Drzwi rozwarły się niemal natychmiast, zanim jeszcze zdążyli zeskoczyć z wozu. Na ganek wybiegł mężczyzna w znoszonym drelichu, wychudły i żyłasty niczym suszone mięso, dzierżąc długie widły. Tuż za nim stanęła Ilain, barczysta dziewczyna z mocną metalową łopatą w dłoniach. Gdy Arlen widział ją ostatnim razem, po jej policzkach spływały łzy, a twarz wykrzywiało przerażenie. Tym razem próżno było szukać strachu w jej oczach. Ignorując coraz ciemniejsze cienie, odważnie podeszła do wozu. Harl pokiwał głową, gdy Jeph wziął na ręce Silvy.

– Dawaj ją do środka – przykazał, a Jeph skwapliwie wypełnił polecenie. Przekraczając linię ochronną, westchnął głośno z ulgą.

– Otwieraj drzwi do dużej obory – polecił córce gospodarz. – Wóz nie zmieści się w małej!

Dziewczyna podwinęła suknię i pobiegła.

– Wprowadź wóz do obory, chłopcze! Szybko!

Arlen posłusznie uczynił, jak mu kazano.

– Nie ma czasu na wyprzęganie! – zawołał za nim Harl. – Jakoś wytrzyma.

A zatem Missy miała pozostać w zaprzęgu drugą noc z rzędu. Arlen zadał sobie w myślach pytanie, czy klacz kiedykolwiek jeszcze uwolni się od wozu.

Harl i Ilain pospiesznie zatrzęsali drzwi obory i sprawdzili runy.

– A ty na co jeszcze czekasz?! – mężczyzna ryknął na chłopaka. – Zaraz tu będą!

Ledwie wymówił te słowa, gdy demony zaczęły się materializować. Pomknęli w stronę domu. Chude, uzbrojone w szpony łapska i rogate głowy zdawały się wyrastać wokół nich prosto z ziemi.

Kluczyli wśród powstających demonów, a przerażenie wraz z napływem adrenaliny przydało im skrzydeł. Pierwsze z otchłańców, które zyskały materialną postać – wataha smukłych ognistych demonów – rzuciły się za nimi w pogoń i szybko zmniejszyły dystans. Arlen i Ilain pędzili przed siebie, gdy wtem Harl zawrócił i cisnął widłami w sam środek ścigającego ich stada.

Broń trafiła biegnącego na czele demona prosto w pierś i odrzuciła go na pobratymców. Nawet drobne demony ognia miały jednak zbyt twardą, chropowatą skórę, by można ją było przebić widłami. Bestia złapała narzędzie i plunęła na nie strumieniem ognia, a potem odrzuciła na bok.

Otchłaniec nie odniósł żadnych ran, ale dzięki desperackiemu manewrowi Harla uciekający zyskali kilka sekund. Demony skoczyły w ślad za nimi, jednak gdy tylko gospodarz wbiegał na ganek, pierwsze z nich uderzyły w linię ochronną, która powstrzymała je równie skutecznie, co ceglany mur. Runy rozgorzały, a ich moc odrzuciła demony z powrotem na podwórze. Harl zatrzęsął drzwi i wsparł się o nie plecami, zasunawszy skobel.

– Chwalmy Stwórcę – szepnął słabym głosem, blady i zdyszany.

* * *

Wewnątrz domostwa Harla panowała duchota, a powietrze cuchnęło zgnilizną. Zarobaczona trzcina, którą wyścielono podłogę, zapewne pochłaniała część przeciekającej przez strzechę wody, ale dawno nikt jej nie wymieniał. Po izbie kręciły się nadto dwa psy i kilkanaście kotów, co zmuszało do ostrożnego stawiania kroków. Nad paleniskiem wisiał kamienny sagan, z którego buchał kwaśny zapach duszonego mięsa, zaś w jednym z kątów rozwieszono pstrokatą zasłonę zapewniającą odrobinę prywatności podczas załatwiania potrzeb.

Arlen najlepiej jak umiał założył Silvy nowe opatrunki, a Ilain i jej siostra Beni ułożyły chorą w swym pokoju. Najmłodsza córeczka Harla, Renna, w międzyczasie postawiła na stole dwie spękane drewniane miseczki dla gości.

W domu znajdowały się tylko trzy pomieszczenia – jedno zajmowane przez dziewczęta, drugie przeznaczone dla Harla oraz wspólna izba, gdzie gotowano i pracowano. Miejsce spożywania posiłków wydzielala przewieszona przez izbę wystrzępiona kotara. Opatrzony runami drzwi prowadziły do mniejszej obory.

– Renna, dorośli muszą porozmawiać, a ja i Beni będziemy przygotowywać kolację – odezwała się Ilain. – Sprawdźcie z Arlenem w międzyczasie runy.

Renna skinęła głową i pociągnęła chłopca za rękę. Liczyła sobie prawie dziesięć wiosen, czyli niemalże tyle, co jedenastoletni Arlen. Smugi brudu na jej twarzy nie były w stanie ukryć, że jest ładną dziewczynką. Miała na sobie prostą sukienkę, znoszoną i wielokrotnie cerowaną, a brązowe włosy związała postrzępioną tasiemką, choć wiele kosmyków zdążyło się uwolnić i opadało na jej twarz.

– Ten się starł. – Wskazała run na jednym z parapetów. – Pewnie któryś z kotów tu wlaźł.

Wzięła kawałek węgla drzewnego i starannie dorysowała brakującą linię.

– To na nic – stwierdził Arlen. – Linie nie są już równe, a to osłabia run. Powinnaś narysować go raz jeszcze.

– Nie wolno mi rysować nowych runów – wyszeptała Renna. – Za każdym razem, gdy znajdę taki, którego nie umiem naprawić, mam powiedzieć ojcu bądź Ilain.

– Ja to zrobię. – Arlen odebrał dziewczynce węgielek. Starannie wytarł run i wyrysował nowy, prowadząc dłoń z wprawą i pewnością siebie. Skończywszy, cofnął się o krok, obejrzał dokładnie okno i szybko nakreślił jeszcze kilka innych znaków w miejscu starych.

Harl dostrzegł go podczas pracy. Zaczynał już wstawać, poruszony i zdenerwowany, lecz pojednawczy gest i kilka spokojnych słów Jepha sprawiły, że opadł z powrotem na krzesło.

Arlen przyjrzał się owocom swej pracy z zadowoleniem.

– Nawet demon skał tego nie sforsuje – oznajmił z dumą. Kiedy się odwrócił, zobaczył, że Renna uważnie go obserwuje.

– O co chodzi? – zapytał.

– Jesteś wyższy, niż pamiętam. – Dziewczynka spuściła wzrok, uśmiechając się nieśmiało.

– Cóż, nie widzieliśmy się od dobrych kilku lat – odparł Arlen, nie wiedząc, co innego powiedzieć. W tej samej chwili Harl zawołał córkę. Przez moment o czymś szeptali. Arlen dostrzegł, że dziewczynka raz czy dwa obejrzała się na niego, ale nie usłyszał ani słowa z ich rozmowy.

Na kolację podano potrawkę z twardego mięsa, którego Arlen nie potrafił rozpoznać, uduszonego z pasternakiem i kukurydzą. Choć posiłek nie smakował zbyt dobrze, przegnał głód i dał siłę potrzebną, by opowiedzieć o ostatnich wydarzeniach.

– Szkoda, żeście nie przyjechali do nas od razu – stwierdził Harl, gdy Jeph skończył mówić. – Odwiedzaliśmy starą Mey Friman wiele razy. Niepotrzebnieście do Ryneczku jechali. Szkoda czasu. Stąd jest blisko do Friman, gdybyś porządnie zaciął konia, Jeph, tak od serca, byłbyś w dwie godziny dotarł do gospodarstwa na Pastwiskach Macka. Stara Mey mieszka ledwie godzinę drogi dalej. Gdybyś dał szkapie popalić, dotarłbyś do celu jeszcze przed zmrokiem.

Arlen trzasnął łyżką o stół. Oczy wszystkich zwróciły się w jego stronę, ale chłopiec nawet tego nie dostrzegł. Siedział nieruchomo z gniewem malującym się na twarzy, wbijając wzrok w ojca.

Jeph nie potrafił długo znosić takiego spojrzenia.

– Skąd mogliśmy wiedzieć? – powiedział słabo.

Ilain dotknęła jego ramienia.

– Nie obwiniaj się o to, że okazałeś przezorność – pocieszyła Jepha, a potem spojrzała na Arlena z naganą w oczach. – Zrozumiesz to, gdy dorośniesz.

Arlen wstał gwałtownie od stołu. Przeszedł za zasłonę i skulił się przy oknie, obserwując demony przez szparę w okiennicy. Otchłańce raz za razem usiłowały sforsować runiczną osłonę i za każdym doznawały porażki. Mimo to Arlen nie czuł się chroniony przez magię. Czuł się przez nią uwięziony.

* * *

– Idźcie pobawić się z Arlenem w obórce – przykazał Harl młodszym córkom po zakończonym posiłku. – Ilain uprzątnie ze stołu. Dorośli muszą porozmawiać.

Beni i Renna w jednej chwili odskoczyły od stołu i wpadły za zasłonę. Arlen nie miał ochoty na zabawę, ale dziewczęta nie słuchały jego protestów. Siłą zmusiły chłopca, by powstał, a potem wciągnęły go przez drzwiczki do obory.

Beni zapaliła pękniętą latarnię i mdły blask rozjaśnił ciemność. Harl miał dwie stare krowy, cztery kozy, świnie z ósmioma prosiętami oraz sześć kurcząt. Wszystkie zwierzęta były wychudzone i kościste, bez wątplenia niedożywione. Nawet na skórze świni odznaczały się żebra. Wyglądało na to, że inwentarz Harla ledwie starczał, by wyżywić rodzinę.

Sama obórka również nie prezentowała się najlepiej. Połowa okiennic była zepsuta, a siano na podłodzegniło w najlepsze. Kozły wygryzły dziurę w przegrodzie i podjadały siano krowom. W miejscu przeznaczonym dla świń zalegała gruba warstwa błota, pomyj i odchodów.

Renna prowadziła Arlena pod każdą z przegród.

– Tacie się nie podoba, że nadajemy zwierzętom imiona – wyznała. – Tak więc robimy to w tajemnicy. To Pani Kopytko. – Wskazała na krowę. – Jej mleko jest kwaśne, ale tata twierdzi, że wszystko z nim w porządku. Ta obok niej to Zrzęda. Potrafi kopnąć, ale tylko

wtedy, gdy się za mocno ciągnie za wymiona. Albo za długo zwleka z dojeniem. Kozły są...

– Arlena nie interesują zwierzęta – zrugła siostrę Beni, a potem chwyciła chłopca za ramię i przyciągnęła do siebie. Była starsza i wyższa od Renny, ale Arlenowi to Renna wydawała się ładniejsza. Weszli po drabinie na stryżek i klapnęli na czyste siano.

– Zagrajmy w schronienie – zaproponowała Beni. Wyciągnęła z kieszeni skórzaną sakiewkę i wysypała z niej cztery drewniane kostki. Wymalowano na nich symbole ognia, skały, wody, wiatru i drewna. Szóstym symbolem był run. Istniało wiele odmian tej gry, ale główna zasada polegała na tym, że trzy runy wygrywają z czterema znakami innego rodzaju.

Przez chwilę grali w kości. Renna i Beni miały kilka własnych zasad, z których wiele, jak przypuszczał Arlen, wymyśliły na poczekaniu, by wygrać.

– Dwa runy wyrzucone trzy razy pod rząd liczą się jak trzy runy – oznajmiła Beni, uzyskawszy taką właśnie kombinację. – Wygrywamy.

Arlen był innego zdania, ale nie widział sensu w kłótni.

– A skoro wygrałyśmy, musisz zrobić to, co każemy – dodała starsza siostra.

– Ani mi się śni.

– Ależ tak! Musisz! – nalegała Beni. Arlen znów odniósł wrażenie, że kłótnia donikąd go nie zaprowadzi.

– A co niby mam zrobić? – zapytał podejrziwie.

– Buziaki! – Renna klasnęła w dłonie.

Beni pacnęła siostrę w głowę.

– Przecież wiem, matolku!

– Jakie znów buziaki? – dociekał Arlen, choć czuł, że zna odpowiedź.

– Och, zaraz zobaczysz! – parsknęła Beni, a obie dziewczynki zachichotały. – To zabawa dorosłych. Tata czasami bawi się w nią z Ilain. Wiesz, to takie udawanie małżeństwa.

– Co masz na myśli? Bawicie się w składanie przysięgi?

– Nie, matolku, w coś innego! – odparła Beni, a potem zarzuciła chłopcu ręce na szyję i przycisnęła swoje usta do jego.

Arlen nigdy dotąd nie całował dziewczyny. Córka Harla rozchyliła usta, więc uczynił to samo. Zderzyli się zębami i oboje odskoczyli.

– Auć! – jęknął Arlen.

– Zbyt mocno, Beni – stwierdziła młodsza z siostr. – Teraz moja kolej.

W rzeczy samej, pocałunek Renny był o wiele delikatniejszy i Arlen uznał, że jest dość przyjemny, zupełnie jak grzanie się przy ogniu w zimną porę.

– Patrz – powiedziała Renna, gdy ich usta się rozłączyły. – Tak trzeba to robić.

– Będziemy dziś w nocy dzielić łóżko – odparła Beni. – Możemy jeszcze później poćwiczyć.

– Przykro mi, że musiałyście oddać jedno łóżko mojej mamie.

– W porządku. – Renna wzruszyła ramionami. – Do śmierci mamy spałyśmy przecież

razem. Ale teraz to Ilain śpi z tatą.

– Dlaczego?

– Nie wolno nam o tym rozmawiać – szepnęła Beni.

Renna zignorowała reprimendę siostry i ciągnęła ściszym głosem:

– Ilain mówiła, że po śmierci mamy tata powiedział jej, że będzie mieć odtąd nowe obowiązki. Że będzie musiała dbać o niego tak, jak żony dbają o mężów.

– Chodzi o gotowanie, szycie i inne takie? – zapytał Arlen.

– Nie, chodzi o zabawę podobną do buziaków – odparła Beni. – Ale potrzeba chłopaka, żeby się w nią bawić. – Pociągnęła go za portki. – Jak nam pokażesz siusiaka, to cię nauczymy.

– Niczego wam nie pokażę!

– Czemu nie? – zapytała Renna. – Beni pokazała tę zabawę Lucikowi Bogginowi i teraz Lucik chce się bawić bez przerwy.

– Tata i ojciec Lucika mówią, że zostaliśmy sobie przyrzeczeni – pochwaliła się Beni. – Czyli wszystko jest w porządku. A skoro ty masz zostać przyrzeczony Rennie, to powinienes jej pokazać.

Renna przygryzła kciuk i odwróciła głowę, ale co rusz zerkała na Arlena kątem oka.

– To nieprawda! – wykrzyknął chłopak. – Nikomu nie zostałem przyrzeczony!

– A jak sądzisz, o czym rozmawiają teraz nasi ojcowie, matolku? – zapytała Beni.

– Na pewno nie o tym!

– No to idź i sam się przekonaj!

Arlen obrzucił dziewczęta podejrzliwym spojrzeniem, a potem zszedł po drabinie i najciszej jak umiał wślizgnął się do izby. Podkraść się do zasłony, zza której dolatywały głosy mężczyzn.

– Miałem zamiar wziąć Lucika od razu – mówił Harl. – Ale Fernan chce, by jeszcze przez jeden sezon wyrabiał paszę. Nie powiem, przyda się nowa para rąk do roboty. Ciężko wykarmić tyle gąb, tym bardziej że kury nie dają już jaj, a mleko jednej z krów skwaśniało.

– Weźmiemy Rennę w drodze powrotnej – powiedział Jeph.

– Powiesz mu, że zostali sobie przyrzeczeni?

Arlen skamieniał.

– Nie widzę powodu – odparł jego ojciec.

Harl parsknął.

– Po mojemu powinienes poczekać do jutra, jak już będziecie sami na drodze. Czasami chłopaki urządzają sceny, gdy im się mówi o przyrzeczeniu. To może zranić ich uczucia.

– Pewnie masz rację...

Arlen chciał wrzeszczeć.

– Wiem, że mam. Zaufaj ojcu trzech córek. Robią ci awanturę o byle co, zgadza się, Lainie?

Z izby dobiegło plaśnięcie, a Ilain pisnęła z bólu.

– Tak czy owak – ciągnął Harl – nie ma krzywdy, której by nie zaleczyło kilka godzin płaczu.

Nastąpiła chwila milczenia i Arlen zaczął się wycofywać w kierunku drzwi obórki.

– Idę spać – chrząknął Harl. Chłopiec zamarł. – Zajrzyj, co u Silvy, Lainie. Zajął ci łóżko, tak więc możesz przyjść do mnie, jak już doskrobiesz miski i położysz dziewczynki.

Arlen schował się pod stół warsztatowy. Siedział tam dłuższą chwilę, dopóki Harl nie ulżył sobie w ustępie i nie zniknął w swoim pokoju, zamykając drzwi. Już miał zamiar odczołgać się do obory, gdy usłyszał Ilain.

– Ja też chcę jechać! – wypaliła, ledwie drzwi trzasnęły o futrynę.

– Co takiego? – zapytał Jeph.

Z miejsca, w którym klęczał, Arlen widział ich stopy pod zasłoną. Ilain obeszła stół i usiadła tuż przy mężczyźnie.

– Zabierz mnie ze sobą – powtórzyła. – Błagam cię. Beni da sobie radę, gdy już przybędzie tu Lucik. Muszę stąd uciec.

– Dlaczego? Z pewnością wystarcza jadła dla całej waszej trójki.

– Nie chodzi o to. Mniejsza zresztą o powód. Powiem tacie, że będę na polu, gdy przyjedziecie po Rennę. Wyprzedzę was i poczekam na drodze. Nim tata się zorientuje, że mnie nie ma, zapadnie noc. Nigdy nie wyruszy w pościg.

– Nie byłbym tego taki pewien.

– Twoje gospodarstwo leży daleko stąd. – Arlen dostrzegł, jak Ilain kładzie dłoń na kolanie Jepha. – Będę pracować! Zarobię przecież na swoje utrzymanie!

– Nie mogę cię tak po prostu wykraść. Nie mam z Harlem żadnych zatargów i mieć nie zamierzam.

Ilain splunęła.

– Ten stary łajdak chciał ci wmówić, że śpię z nim z powodu Silvy. Tymczasem prawda jest taka, że podnosi na mnie rękę za każdym razem, gdy do niego nie przyjdę po ułożeniu dziewczynek do snu – wyznała cichym głosem.

Jeph milczał przez dłuższą chwilę.

– Rozumiem – powiedział w końcu. Zaciśnął pięści i zaczął się podnosić.

– Nie, proszę – szepnęła Ilain. – Nie wiesz, jaki on jest! Zabije cię!

– A zatem mam po prostu udawać, że o niczym nie wiem?

Arlen nie rozumiał przyczyny całego zamieszania. Co z tego, że Ilain spała w pokoju Harla?

Wtedy ujrzał, jak dziewczyna przysuwa się do jego ojca.

– Będziesz potrzebował kogoś, kto zaopiekuje się Silvy. Jeśli zaś ona odejdzie...

Po tych słowach przylgnęła do Jepha, a jej dłoń z kolana przesunęła się wyżej, podobnie jak chwilę temu Beni chciała to zrobić Arlenowi.

– Jeśli ona odejdzie, zostanę twoją żoną – dokończyła. – Twoje gospodarstwo zaroi się od dzieci.

Jeph jęknął.

Arlen poczuł, jak ogarniają go mdłości, a jego policzki zaczynają płonąć. Żółć podeszła mu do gardła i z trudem przełknął ślinę. Chciał powiedzieć o wszystkim Harlowi, wykrzyczeć mu, co jego córka teraz wyczyniała. Przecież Harl stawiał czoła otchłāncom w jej obronie, na co Jeph nigdy by się nie odważył. Oczyma wyobraźni chłopiec ujrzał gospodarza, który bije jego ojca po twarzy, i nie było to przykre wyobrażenie.

Jeph zawahał się, a potem odepchnął Ilain.

– Nie. Jutro zawieziemy Silvy do Zielarki. Moja żona wyzdrowieje.

– Ale zabierz mnie ze sobą! Zabierz! – błagała Ilain, padając mu do kolan.

– Ja... pomyślę o tym – wydukał.

W tym samym momencie Beni i Renna wpadły do izby. Arlen szybko wstał i dołączył do dziewczynek, udając, że wbiegł razem z nimi. Ilain pospiesznie poderwała się na nogi, a chłopak zrozumiał, że stracił okazję, by przyłapać ojca na gorącym uczynku.

Kiedy Ilain położyła już dziewczynki do łóżek i wyciągnęła dwa brudne koce dla Arlena i Jepha, odetchnąwszy głęboko, weszła do pokoju ojca. Niedługo później chłopiec usłyszał ciche posapywanie Harla i sporadyczne, stłumione jęki jego córki. Udając, że tego nie słyszy, zerknął na posłanie obok. Jeph przygryzał pięść.

* * *

Arlen obudził się jako pierwszy. Na chwilę przed wschodem słońca otworzył drzwi i ze zniecierpliwieniem przyglądał się demonom, syczącym i rozcinającym pazurami powietrze po przeciwnej stronie osłony runicznej. Gdy mgłę po ostatnim z przybyszów rozpędził wiatr, chłopak ruszył do dużej obory, by napoić Missy i pozostałe konie Harla. Klacz była niespokojna, od razu chciała go capnąć zębami.

– Jeszcze tylko dzień – pocieszył ją Arlen i podwiesił jej worek z obrokiem.

Gdy wrócił do izby, jego ojciec ciągle pochrapywał. Zapukał we framugę pokoiku, w którym spały młodsze córki Harla. Beni odsunęła zasłonę, a chłopak natychmiast dostrzegł smutek malujący się na twarzach obu dziewczynek.

– Nie chce się obudzić – zaszlochała klęcząca u boku Silvy Renna. – Pamiętałam, że chcecie wyruszyć ze wschodem słońca, ale kiedy nią potrząsnęłam... – Z oczyma pełnymi łez wskazała na łóżko. – Jest taka blada...

Arlen podbiegł do matki. Dłoń miała zimną i lepłą od potu, ale jej czoło aż płonęło. Oddychała nierówno, a nad jej ciałem unosił się odór demonicznej gorączki. Opatrunki nasiąkły brązowawożółtą wydzieliną.

– Tato! – wykrzyknął Arlen. Jeph pojawił się niemal natychmiast. Po krótkiej chwili

dołączyli do niego Ilain i Harl.

– Nie ma chwili do stracenia – oznajmił chłopiec.

– Weź jednego z moich koni – zaproponował Jephowi gospodarz. – Zaprzęgniesz go, gdy twój się zmęczy. Nie żałuj bata, a dotrzesz do Mey przed południem.

– Jesteśmy twoimi dłużnikami – odparł Jeph, ale Harl zbył go machnięciem ręki.

– Lepiej nie traćcie czasu. Ilain spakuje wam jadło na drogę.

Gdy Arlen odwrócił się, by wybiec z pokoju, Renna złapała go za ramię.

– Jesteśmy sobie przyrzeczeni – szepnęła. – Będę czekać na ciebie co wieczór na ganku, póki nie powrócisz.

I pocałowała go w policzek. Długo jeszcze pamiętał dotyk jej miękkich ust.

* * *

Wóz pędził po wyboistym trakcie, podskakując i trzeszcząc. Jeph zacinał konie, a gdy się zatrzymywał, to tylko po to, by je przepząc. Jedzenie spakowane przez Ilain wydawało się Arlenowi trucizną, ale jego ojciec pochłaniał je łapczywie.

Gdy w końcu chłopiec przemógł wstręt i ujął kromkę ziarnistego chleba z twardym, ostrym serem, pomyślał, że może to wszystko jest jednym wielkim nieporozumieniem. Może ubiegłej nocy się przesłyszał. Może ojciec nie zawahał się wcale, zanim odepchnął Ilain.

Była to kusząca iluzja, ale Jeph rozwiął ją chwilę później.

– Co sądzisz o młodszej córce Harla? – zapytał. – Spędziłeś z nią trochę czasu.

Arlen miał wrażenie, jakby ktoś walnął go pięścią w żołądek.

– O Rennie? – Postanowił udawać, że nie wie, do czego zmierza ojciec. – Jest chyba w porządku. Czemu pytasz?

– Rozmawiałem z Harlem. Renna dołączy do nas w drodze powrotnej.

– Po co?

– By opiekować się mamą i pomagać w gospodarstwie. Cóż, są jeszcze inne powody.

– Jakie powody? – naciskał Arlen.

– Chcemy z Harlem zobaczyć, czy będziecie do siebie pasować.

– A co, jeśli tak nie jest? Jeśli nie mam ochoty, by przez cały dzień łąziła za mną jakaś dziewczucha i namawiała mnie na zabawę w buziaki?

– Któręś dnia nie będziesz miał nic przeciwko tej zabawie.

– Dobrze więc, czemu nie. Niech jedzie. – Arlen wzruszył ramionami, wciąż udając, że nie wie, o co chodzi. – Dlaczego Harl tak bardzo chce się jej pozbyć?

– Widziałeś, w jakim stanie jest jego gospodarstwo – odparł Jeph. – Ledwie sami mogą się wyżywić. Harl bardzo kocha swe córki i chce dla nich jak najlepiej, a trudno o coś lepszego niż zamażpójście, póki jeszcze są młode. Dzięki temu będzie miał synów do pomocy, ujrzy też wnuki przed śmiercią. Ilain już przekroczyła wiek, w którym większość

dziewcząt wychodzi za mąż, a tej jesieni do gospodarstwa Harla dołączy Lucik Boggin. Mają nadzieję, że on i Beni będą do siebie pasować.

– Lucik też nie miał większego wyboru, co? – burknął Arlen.

– Ciesz się, że może pracować na farmie Harla! Dobrze wie, że spotkało go szczęście! – wybuchnął ojciec, straciwszy cierpliwość. – Czeka cię jeszcze niejedna trudna lekcja o życiu, Arlenie. W Potoku mieszka znacznie więcej chłopców niż dziewcząt, nie możemy trwonić naszego życia bez końca. Co roku umiera nas coraz więcej, jedni zabrani przez choroby, inni przez starość, jeszcze inni przez otchłance. Jeśli nie będą rodzić się dzieci, Potok Tibbeta zmarnieje i wyludni się jak setki innych wiosek! Nie możemy do tego dopuścić!

Arlen, przyzwyczajony do spokojnego charakteru ojca, z rozsądku nie powiedział ani słowa.

Jakąś godzinę później usłyszeli krzyk. Obaj natychmiast się odwrócili. Silvy próbowała powstać, rozdrapując skórę na piersi. Oddychała głośno i chrapliwie. Kiedy Arlen przeskoczył na tył wozu, pochwyciła go z zaskakującą siłą, kaszląc mu prosto w twarz. Po koszuli chłopaka spłynęły gęste plwociny. Wybałuszone, przekrwione oczy patrzyły prosto na niego, ale matka zdawała się nie poznawać własnego syna. Raptem jej ciałem targnął spazm. Arlen wrzasnął, trzymając ją najmocniej jak potrafił.

Jeph wstrzymał konia i wspólnie z chłopcem zmusili Silvy, by się położyła. Kobieta ciskała się i zawodziła ochryple, gdy raptem, podobnie jak Cholie, wygięła się po raz ostatni i znieruchomiała.

Gdy tylko Jeph to ujrzał, odrzucił głowę i zawył. Arlen niemalże przegryzł sobie wargę, ale nie zdołał powstrzymać łez. We dwójkę szlochali nad ciałem zmarłej.

Kiedy się wreszcie uspokoili, chłopak począł wodzić dookoła wzrokiem, choć w jego oczach nie było życia. Usiłował skupić spojrzenie, lecz świat wyglądał na zamazany, jakby nieprawdziwy.

– I co teraz pocniemy? – zapytał w końcu.

– Zawrócimy. – Słowa ojca smagały duszę Arlena niczym bat. – Zabierzemy ją do domu i spalimy. Spróbujemy jakoś żyć dalej. Wciąż mamy gospodarstwo i zwierzęta, o które trzeba zadbać, a nawet z Renną i Norine do pomocy czekają nas ciężkie czasy.

– Z Renną? – zapytał chłopak z niedowierzaniem. – Zabieramy Rennę, tak? Nawet po tym wszystkim?

– Życie musi toczyć się dalej. Jesteś już prawie mężczyzną, a mężczyzna potrzebuje żony.

– Dla siebie też zdążyłeś wszystko załatwić? – wybuchnął Arlen.

– O cóż...

– Słyszałem twoją rozmowę z Ilain zeszłej nocy! Ty już masz nową żonę! Po co w ogóle przejmujesz się jeszcze mamą? Przecież masz już kogoś, kto zajmie się twoim siusiakiem! Przynajmniej na razie, bo kto wie, być może i ona zginie, gdy znowu stchórzysz i nie pospieszysz jej z pomocą!

Jeph wymierzył synowi siarczasty policzek. Gdy echo uderzenia przecięło poranną ciszę, natychmiast tego pożałował. Jego gniew wyparował, a on sam wyciągnął ku Arlenowi rękę.

– Synu, wybacz, tak mi przykro... – wykrztusił, ale chłopak cofnął się i zeskoczył z wozu.
– Arlen! – krzyknął, lecz nic to nie dało.

Arlen biegł między drzewami ciągnącego się wzdłuż drogi lasu.

3

Samotna noc

319 RP

Arlen biegł przez las najszybciej jak potrafił, skręcając raz za razem to w jedną, to znów w drugą stronę. Robił wszystko, co możliwe, by Jeph nie zdołał go wytropić, ale nawoływania stawały się coraz odleglejsze i chłopak uświadomił sobie, że ojciec nie zamierza go gonić.

Bo niby po co? – zadał sobie w myślach pytanie. Przecież wie, że będę musiał wrócić przed zmrokiem. Dokąd miałbym uciec?

Dokądkolwiek.

Odpowiedź pojawiła się sama, ale w głębi duszy Arlen wiedział, że taka właśnie jest prawda.

Nie mógł już wrócić na gospodarstwo i udawać, że nic się nie stało. Nie potrafiłby patrzeć na Ilain w łóżku matki. Nawet ładniutka Renna, która całowała tak delikatnie, przypominałaby mu o tym, co stracił, a przede wszystkim dlaczego.

Ale dokąd miałby pójść? Co do jednego ojciec się nie mylił – Arlen nie mógł biec w nieskończoność. Musiał znaleźć kryjówkę przed zapadnięciem zmroku, jeśli nie chciał, by nadchodząca noc była jego ostatnią.

Powrót do Potoku Tibbeta również nie wchodził w rachubę. Każdy, u kogo poprosiłby o schronienie, następnego dnia zawłóklby go za ucho do domu i jedyne, co by uzyskał dzięki spektakularnej ucieczce, to czerwone pręgi na zadku.

A zatem Słoneczne Pastwiska. Mieszkańcy Potoku Tibbeta prawie nigdy się tam nie zapuszczali, chyba że Wieprz płacił im za przewiezienie jakiegoś towaru. Docierali tam tylko Posłańcy.

Coline zaś twierdziła, że Ragen miał odwiedzić Słoneczne Pastwiska w drodze powrotnej

do Wolnych Miast. Arlen zdążył polubić Ragenę, jedyne dorosłego, który nie traktował go z wyższością. Posłaniec wraz z Keerinem wyprzedzali go o ponad dzień drogi, a ponadto mieli konie, ale gdyby się pospieszył, być może zdołałby ich złapać i poprosić, by go zabrali do Wolnych Miast.

Wciąż miał przytroczoną do szyi mapę wskazującą drogę do Słonecznych Pastwisk i położone wzdłuż niej gospodarstwa. Nawet tu, w głębi lasu, doskonale wiedział, gdzie znajduje się północ.

W południe odnalazł drogę, czy może raczej droga odnalazła jego, przecinając bór. Musiał jednak stracić orientację wśród drzew. Maszerował już kilka godzin, a wciąż nie natrafił na żaden ślad gospodarstwa czy domostwa Zielarki. Spojrzenie w niebo wzmoгло jego niepokój – skoro szedł na północ, powinien mieć słońce po lewej, a nie przed sobą.

Przystanął i rozwinął mapę, co potwierdziło jego obawy – nie znajdował się na trakcie do Słonecznych Pastwisk, ale na drodze do Wolnych Miast. Na domiar złego ta jej część znajdowała się już poza krawędzią mapy.

Przerażała go wizja powrotu po własnych śladach, tym bardziej że nie miał pewności, czy zdoła znaleźć kryjówkę na czas. Zdobył się jednak na odwagę i postąpił w kierunku, z którego przybył.

Nie, postanowił w duchu. To ojciec by zawrócił. Ja idę naprzód, bez względu na to, co się ma wydarzyć.

I ruszył, zostawiając za sobą zarówno Potok Tibbeta, jak i Słoneczne Pastwiska. Każdy kolejny krok wydawał się coraz lżejszy.

Wędrował kilka godzin, aż wreszcie wyszedł z lasu na otwartą przestrzeń. Jak okiem sięgnąć ciągnęły się bujne, żyzne łąki, na których nigdy nie powstała stopa pasterza z bydłem czy chłopa z pługiem. Stał na szczycie pobliskiego wzgórza, łapczywie wdychając świeże, nieskażone cywilizacją powietrze. Wgramolił się na ogromny głaz i objął wzrokiem szeroki świat, który aż do tego dnia pozostawał poza jego zasięgiem. Nie dostrzegł jednak ani śladu ludzkiej bytności, a co za tym idzie żadnego miejsca, w którym mógłby poszukać schronienia. Bał się nadchodzącej nocy, ale było to odległe uczucie, coś jak świadomość, że któregoś dnia umrze ze starości.

Podczas gdy popołudnie powoli przechodziło w wieczór, wciąż szukał miejsca na przeczekanie nocy. Obiecująco wyglądało niewielkie skupisko drzew. Trawa rosła między nimi dość rzadko i bez trudu wyrysowałby runy w ziemi, ale drzewny demon mógłby się wdrapać po pniu i zeskoczyć w sam środek pola ochronnego.

Dostrzegł też niewielki kamienisty pagórek nieporośnięty trawą. Podniesiony na duchu, wbiegł na jego szczyt, ale wtedy poczuł silne podmuchy wiatru. Istniało więc ryzyko, że któryś z runów zostanie rozwiany i tym samym pozbawiony mocy.

W końcu odnalazł miejsce, gdzie niedawno szalały ogniste demony. Świeże źdźbła trawy przebijały się przez warstwę popiołu. Odgarnął go stopą, odsłaniając twardą, ubitą ziemię.

Oczyścił spory fragment terenu i rozpoczął wytyczanie pola ochronnego. Nie miał zbyt wiele czasu, postanowił więc poprzestać na niewielkim kręgu. Nie chciał, by pośpiech zmusił go do niedbałości.

Wyskrobywał znaki patykiem, oczyszczając je delikatnymi dmuchnięciami. Pracował ponad godzinę, stawiając run za runem i co chwila cofając się o krok, by ocenić, czy zostały należycie wykonane. Jak dotąd jego zręczna i pewna dłoń nie zawiodła go ani razu.

Gdy praca dobiegła końca, krąg osiągnął średnicę sześciu stóp. Arlen sprawdził runy trzykrotnie, ale nic nie wzbudziło jego niepokoju. Wsunął więc patyk do kieszeni i usiadł wewnątrz pola ochronnego. Obserwował, jak cienie stają się coraz dłuższe, a słońce znika za horyzontem, barwiąc niebo purpurą.

Być może zginie tej nocy. Być może zdoła przeżyć. Powtarzał sobie, że nie ma to większego znaczenia, ale gdy światło poczęło się rozpraszać, zdenerwowanie wzięło górę. Jego serce waliło jak młotem, zaś instynkt nakazywał skoczyć na równe nogi i uciekać. Sęk w tym, że nie miał dokąd. Najbliższe domostwa znajdowały się wiele mil stąd. Zadrzał, choć wcale nie czuł chłodu.

To był głupi pomysł, szepnął jakiś głos w jego głowie. Arlen parsknął z oburzeniem, ale gdy ostatnie promienie słońca zamigotały na horyzoncie, opuszczając na świat zasłonę ciemności, nie potrafił już rozluźnić napiętych mięśni.

Oto idą! – ostrzegł go ten sam przestraszony szept, gdy z ziemi wystrzeliły pierwsze smutki mgły.

Powoli gęstniały, formując ciała otchłańców. Arlen powstał, zaciskając kurczowo pięści, i już po chwili ujrzał ogniste demony. Płąsały w zapamiętaniu, ciągnąc za sobą warkocze migotliwego ognia. Zaraz po nich powstały demony wichru, które natychmiast rzucały się do biegu, rozpościerając skórzaste skrzydła i wyskakując w powietrze. Jako ostatnie przybyły demony skał, z mazołem wydźwigując masywne sylwetki z Otchłani.

Wtem intruzi dostrzegli bezbronnego chłopca i zaryczeli z radości.

Jako pierwszy zaatakował wichrowy demon. Pikował wprost na Arlena, wysuwając umieszczone w skrzydłach zakrzywione szpony, by w locie rozedrzeć ofierze gardło. Chłopak wrzasnął, lecz wtedy pazury bestii uderzyły w zaporę runiczną, wzniecając chmurę iskier. Niesiony siłą rozpędu demon grzmotnął w osłonę, która odrzuciła go w oślepiającym rozbłysku. Otchłaniec zawył, uderzywszy w ziemię, ale natychmiast się poderwał. Na jego luskowatym ciele co rusz rozbłyskiwały wyładowania magii.

Następnie natarły zwinne demony ognia, z których największy ledwie dorównywał rozmiarami psu. Otoczyły krąg, dziko skrzecząc i drapiąc pazurami osłonę. Arlen wzdragał się za każdym razem, gdy światło zyskiwało na intensywności, ale znaki wytrzymały. Gdy bestie zrozumiały, że postawiona przez chłopca bariera jest skuteczna, zionęły ogniem.

Arlen był jednak zbyt doświadczony, by dać się nabrać na ten podstęp. Kreślił runy od dnia, w którym jego dłoń ujęła kawałek węgla drzewnego, i znał również te, które chroniły

przed ognistymi wyziewami. Strumienie płomieni z paszcz otchłańców okazały się równie niegroźne, co ich pazury – Arlen nie poczuł nawet gorąca.

Demony ścigały ze wszystkich stron. Każdy rozbłysk magicznej osłony pozwalał mu dostrzec, że jest ich coraz więcej. Zgromadziła się wokół niego zajadła horda, gotowa rozszarpać go na kawałki.

Kolejne wichrowe demony przpuściły atak z powietrza i zostały odrzucone przez runy. Rozwścieczone, bliskie obłąkania demony ognia rzucały się na zaporę, cierpliwie znosząc palące wyładowania magii w nadziei, że zdołają się przebić. Osłona wytrzymywała natarcia i odpychała kolejnych napastników. Arlen nie drżał już ze strachu, wyrzaskiwał teraz obelgi i przekleństwa, zapominając o wcześniejszych obawach.

Jego upór jeszcze bardziej rozjuszył demony. Nienawykłe do kpin ze strony swych ofiar, zdwoiły wysiłki, by pokonać barierę. Chłopiec potrząsał pięściami i wykonywał nieprzystojne gesty, którymi dorośli w Potoku Tibbeta traktowali czasem Wieprza, gdy ten ich nie widział.

To te żalosne rozjuszone poczwary miały budzić trwogę? To przez nie cała ludzkość żyła w strachu? Przecież to śmieszne! Arlen splunął siarczyście, a ślina zaskwierczała na łuskach ognistego demona, potrając jego furję.

Niespodziewanie wycie otchłańców ucichło. W blasku rzucanym przez demony ognia chłopiec patrzył, jak zgraja przybyszów z Otchłani rozstępuje się, robiąc przejście dla demona skał. Każdy jego krok wprawiał ziemię w drżenie.

Przez całe życie Arlen oglądał demony z daleka, przez okna lub szpary w drzwiach. Przed koszmarnymi wydarzeniami ostatnich kilku dni nigdy nie przebywał na dworze z w pełni uformowanym otchłańcem, a już na pewno nigdy nie stanął żadnemu na drodze. Wiedział, że mogą się różnić od siebie rozmiarami, ale nie podejrzewał, że aż w takim stopniu.

Skalny demon mierzył piętnaście stóp. Był wprost gigantyczny.

Arlen zadarł głowę, wpatrzony w nadciągającego potwora, który nawet z oddali wydawał się niebotyczną masą mięśni i ostrych krawędzi. Jego gruby czarny pancerz chitynowy pokrywały kościane narośle, a najeżony kolcami ogon równoważył ciężar przeogromnych barków. Przygarbiony demon parł przed siebie, każdym krokiem wprawiając ziemię w drżenie i wydzierając w niej pazurami głębokie bruzdy. Jego długie, wykrzywione ręce zakończone były szponami rozmiarów noży rzeźnickich, a zza wilgotnych od śliny warg wyzierało kilka szeregów zębów przypominających ostrza. Otchłaniec wysunął spomiędzy nich czarny język, smakując strach ofiary.

Jeden z ognistych demonów nie zdążył się usunąć. Nadciągający kolos machnął łapskiem jakby od niechcenia, rozcinając skórę mniejszego otchłańca i posyłając go wysoko w powietrze.

Przerażony Arlen cofnął się o krok, a potem o jeszcze jeden. Opamiętał się w ostatniej chwili, tuż przed przekroczeniem linii runów.

Ponowna myśl o magicznej mocy kręgu przyniosła mizerną pociechę. Wątpił, czy

nakreślone przez niego znaki zdadzą taką próbę. Wątpił, czy jakiegokolwiek runy zdołałyby powstrzymać demona skał.

Otchłaniec przyglądał się chłopcu przez dłuższą chwilę, czerpiąc rozkosz z jego przerażenia. Skalne demony rzadko kiedy wykonywały gwałtowne ruchy, choć potrafiły poruszać się z oszałamiającą prędkością, jeśli zaszła taka potrzeba.

Gdy otchłaniec wyprowadził pierwszy cios, resztki opanowania odeszły w niebyt. Arlen krzyknął i skulił się na ziemi, zasłaniając głowę rękami.

Eksplozja powstała w wyniku zderzenia pięści demona z runiczną osłoną była wprost ogłuszająca. Arlen zasłonił oczy, ale mimo to dostrzegł oślepiający rozbłysk magii, zupełnie jakby noc nagle stała się dniem. Ryk wściekłości rozdarł powietrze i chłopak znów zerknął na bestię, tym razem w chwili kiedy obróciła się gwałtownie i uniosła ciężki, najeżony kolcami ogon, by wyprowadzić kolejny cios.

Magiczne znaki ponownie eksplodowały światłem, odrzucając napastnika.

Arlen zmusił się do wypuszczenia z płuc powietrza, które powstrzymywał od jakiegoś czasu. W oszołomieniu obserwował, jak demon uderza raz po raz w osłonę, wyjąc z wściekłości. Poczul, jak po udach cieknie mu coś ciepłego.

Zawstydzony sobą i swym tchórzostwem zerwał się na równe nogi. Patrząc bestii prosto w oczy, wydał z głębi wątlego ciała wrzask, chcąc tym sposobem zaprzeczyć wszystkiemu, czym otchłaniec był i co sobą przedstawiał.

Poderwał kamień i cisnął nim w potwora.

– Wracaj do Otchłani, skąd pochodzisz! – krzyczał. – Wracaj tam i zdychaj!

Demon ledwie zauważył pocisk, który odbił się od jego pancerza. Nadal uderzał w osłonę, a z każdym ciosem jego wzburzenie narastało. Arlen obrzucał go najgorszymi wyzwiskami, jakie należały do jego ubożego słownika, i jednocześnie miotał w otchłańca wszystkim, co tylko znalazł na ziemi.

Gdy zabrakło mu amunicji, zaczął podskakiwać i wymachiwać rękami, nie przestając krzyczeć.

I wtedy potknął się, nadeptując na jeden z runów.

Naraz wszystko ucichło, a czas jakby stanął w miejscu. Przez dłuższą chwilę zarówno Arlen, jak i monstrualny demon powoli uzmysławiali sobie doniosłość tego, co właśnie zaszło. Ocknęli się jednocześnie – chłopiec porwał patyk i przypadł do naruszonego runu, a demon wznosił potężną rękę.

Umysł Arlena pracował błyskawicznie, pozwalając mu w okamgnieniu odnaleźć zamazaną linię i uzupełnić ją szybkim pociągnięciem patyka. W tym samym momencie chłopiec zrozumiał jednak, że się spóźnił. Szpony potwora zahaczyły o jego ciało.

Lecz magia zadziałała raz jeszcze, odpychając otchłańca zawodzącego w agonii. Wewnątrz kręgu wrzeszczący z bólu Arlen ciskał się i przetaczał po ziemi, wyrwijąc pazury z pleców. Odrzucił je na bok i dopiero po chwili zrozumiał, do czego tak naprawdę doszło.

Ręka potwora leżała w kręgu, tłąc się i dymiąc.

Odcięta.

Skołowany chłopiec gapił się na kikut, a potem przeniósł wzrok na bestię, która ryczała i miotła się dookoła, atakując każdego otchłańca w zasięgu. W zasięgu tylko jednej ręki.

Znów spojrzał na oderwany kawałek ciała. Z przypalonej rany buchał gęsty dym. Zebrawszy się na odwagę, Arlen podniósł ramię i spróbował je odrzucić, lecz runiczna bariera działała w obie strony i nie przepuszczała otchłańców również od wewnątrz. Kikut odbił się i wylądował u stóp chłopca.

Wtedy Arlen poczuł palący ból. Dotknął rany na plecach i spojrzał na dłoń – była mokra od krwi. Opadł na kolana, tracąc siły i szlochając ze strachu przed naruszeniem kolejnego znaku, lecz przede wszystkim z tęsknoty za mamą. Nagle bowiem zrozumiał, jak Silvy czuła się tamtej strasznej nocy.

Czekał na świt, skulony z przerażenia. Słyszał, jak otchłańce krążą wokół kręgu, licząc na kolejny błąd, który otworzy im drogę do zwierzyny. Nawet gdyby Arlen mógł choć na chwilę zmrużyć oczy, nigdy by się na to nie odważył. Myśl, że poruszy się we śnie, zatrze jakiś symbol i tym samym zrealizuje marzenie demonów, przejmowała go strachem.

Często spoglądał tej nocy w górę, lecz za każdym razem widział jedynie okaleczonego demona skał. Potwór przyciskał zdrową rękę do zakrzepłej już rany. Nie odstępował od kręgu, wpatrując się w chłopca z nienawiścią w oczach.

Po oczekiwaniu trwającym niemal całą wieczność horyzont wreszcie ozdobiło czerwone pasmo wschodu słońca, które wnet stało się pomarańczowe, potem żółte, a wreszcie białe. Arlen nigdy wcześniej nie widział tak wspaniałej bieli. Potwory już dawno uciekły z powrotem do Otchłani i tylko demon skał czekał do ostatniej chwili, sycząc i odsłaniając kły. Nienawiść nie mogła jednak przewyciężyć jego strachu. Podczas gdy ostatnie cienie umykały przed światłem, jego ogromna, rogata głowa znikła pod powierzchnią ziemi. Arlen wyszedł z kręgu, krzywiąc twarz z bólu. Miał wrażenie, jakby jego plecy stanęły w ogniu. Przez noc rany przestały krwawić, ale w chwili gdy się wyprostował, poczuł, że pękają.

Myśl o ranach przypomniała mu o odrąbanej ręce, która spoczywała na ziemi tuż obok. Wyglądała jak wielka gałąź pokryta twardymi, zimnymi płytkami. Arlen podniósł ją i obejrzał.

Wreszcie mam jakieś trofeum, pomyślał, siląc się na odwagę, choć na widok zakrzepłej krwi na czarnych pazurach przeszły go dreszcze.

Wtedy dosięgły go promienie słońca, którego krawędź wynurzała się zza horyzontu. Ręka demona zaczęła skwierczeć i dymić, strzelając niczym mokra kłoda wrzucona w ognisko. Niespodziewanie zapłonęła i przestraszony Arlen upuścił ją na ziemię. W zafascynowaniu przyglądał się płomieniom podsycanym przez coraz intensywniejszy blask, aż w końcu z ręki potwora pozostał jedynie szerniały strzęp. Z zawziętością odkopnął go w pył.

* * *

Arlen znalazł gałąź, na której mógł się podpierać podczas mozolnej wędrówki. Doskonale wiedział, ile miał szczęścia. Nie można było polegać na runach rytych w ziemi, sam Ragen o tym wspominał. A gdyby zatarł je wiatr, jak przestrzegali ojciec?

Stwórco, a gdyby spadł deszcz? Ile nocy zdołam w ten sposób przetrwać?

Chłopiec nie miał pojęcia, co go czekało za następnym wzgórzem, a co gorsza, nic nie wskazywało, by na drodze do Wolnych Miast znajdowały się jakiegokolwiek ludzkie osiedla. Od samych Wolnych Miast dzieliły go zaś tygodnie wędrówki.

W jego oczach zbierały się łzy. Syknąwszy ze złości, wytarł je gwałtownym gestem. To Jeph zwykł ulegać przerażeniu, nie on. On już wiedział, że ta strategia nie przynosi rezultatów.

– Nie boję się – powiedział głośno. – Nic a nic.

I ruszył w dalszą drogę, dobrze wiedząc, że sam siebie oszukuje.

Okolo południa odnalazł wartki strumień z kamienistym dnem. Pochylił się, by zaczerpnąć w dłonie czystej, chłodnej wody. Plecy znów zapłonęły.

W żaden sposób nie zajął się ranami. Może i nie potrafił zszyć ich tak dobrze jak Coline, ale wtedy przypomniały mu się słowa powtarzane przez mamę za każdym razem, gdy wracał do domu z zadrapaniami lub obtarciami: najpierw należy obmyć pokaleczone miejsca.

Tył koszuli był poszarpany i sztywny od zakrzepniętej krwi. Zanurzył ją w wodzie i obserwował, jak brud i krew spływają wraz z nurtem. Rozłożył ubrania na kamieniach, by wyschły, a potem sam wszedł do strumienia.

W pierwszej chwili aż zadrżał z bólu, ale wkrótce zimno przyniosło ulgę. Obmył plecy najlepiej jak umiał, delikatnie opłukując piekące rany aż do chwili, gdy ból stał się nie do zniesienia. Drżąc, wyszedł na brzeg i zaległ na kamieniach przy ubraniu.

Zerwał się gwałtownie z głębokiego snu wiele godzin później. Zaklął siarczyście na widok słońca, które przemierzyło już znaczną część nieba. Mógł jeszcze pokonać nieco drogi, ale wiedział, że marsz stanowiłby ryzyko graniczące z głupotą. O wiele mądrzejszym pomysłem było wykorzystanie pozostałego czasu na przygotowywanie obrony.

Nieopodal strumienia ciągnął się obszar wilgotnej ziemi. Usunięcie darni nie stanowiło większego problemu. Arlen udeptał oczyszczoną w ten sposób glebę, wygładził ją i przystąpił do kreślenia runów. Tym razem stworzył okrąg o większym promieniu, a po trzykrotnym sprawdzeniu każdego ze znaków dorysował mniejszy krąg wewnątrz pierwszego. Runy wyryte w wilgotnej glebie z pewnością nie ulegną podmuchom wiatru, a niebo nie wieściło nadejścia deszczu.

Zadowolony z wykonanej pracy chłopiec wykopał dziurę i zgromadził suche gałązki, by ułożyć niewielkie ognisko. Słońce już zachodziło, gdy zasiadł w środku wewnętrznego kręgu, usiłując zignorować głód. Gdy niebo zaczęło przybierać kolor lawendy, zgasił ogień i czekał,

oddychając głęboko, by uspokoić mocno bijące serce. W końcu światło znikło. Otchłānce zaczęły powstawać.

Wstrzymał oddech w oczekiwaniu. Wreszcie zwiertzył go któryś z ognistych demonów i rzucił się w jego kierunku z dzikim skrzekiem. Chłopca znów ogarnęło skrajne przerażenie. Poczuł, jak krew zastyga mu w żyłach.

Otchłānce wydawały się nieświadome magicznej osłony, dopóki w nią nie uderzyły. Widząc pierwszy rozbłysk magii, Arlen odetchnął z ulgą. Demony drapały barierę, ale nie potrafiły jej sforsować.

Jakiś wichrowy demon wzbił się wysoko, tam gdzie moc runów była już słabsza, i przeleciał nad pierwszym kręgiem. Gdy jednak zanurkował w kierunku ofiary, uderzył prosto w wewnętrzną osłonę. Magia odrzuciła go i otchłāniec runął na ziemię między oba kręgi. Arlen zerwał się na równe nogi, usiłując zachować spokój.

Z patykowatych kończyn dwunożnego demona o chudym ciele wyrastały sześciocalowe szpony. Jego ramiona łączyła z nogami cienka błona, wzmocniona elastycznymi kośćmi, które wyrastały z boków potwora. Nie był wyższy od dorosłego człowieka, ale rozpiętość skrzydeł dwukrotnie przekraczała jego wzrost, stąd też na niebie sprawiał wrażenie dużego. Błona łączyła również grzbiet z rogiem, który wyrastał z głowy, zakrzywiał się do tyłu i ciągnął wzdłuż tułowia. Lancetowaty pysk krył rzędy kłów długich na cal, mieniących się żółto w blasku księżyca.

Pomimo wdzięku, z jakim tańczył w powietrzu, na ziemi otchłāniec sprawiał wrażenie niezdarne. Z bliska nie robił takiego wrażenia jak jego kuzyni. Skalne i drzewne demony, okryte niemożliwym do przebicia pancerzem, wymachiwały grubymi szponami z niesłychaną wprost siłą. Z kolei ogniste demony potrafiły prześcignąć każdego człowieka i pluły ogniem, który trawił wszystko na swej drodze. Demony wiatru... Arlen stwierdził, że Ragen mógłby przebić jedno z ich skrzydeł włócznią.

Niech to noc pochłonie, pomyślał, pewnie sam potrafiłbym to zrobić!

Nie miał jednak włóczni, a otchłāniec, bez względu na to, jak się teraz prezentował, wciąż mógł go zabić, z chwilą gdy wewnętrzny krąg zawiedzie. Chłopiec patrzył z napięciem, jak bestia podchodzi bliżej. Machnęła zakrzywionymi szponami. Zamknął oczy, lecz znaki znów zapłonęły i obroniły go przed atakiem.

Po kilku kolejnych natarciach otchłāniec spróbował wzbić się w powietrze. Biegał i rozpościerał skrzydła, chcąc złapać wiatr, ale zderzał się z zewnętrznym kręgiem, nim zdążył osiągnąć wystarczającą prędkość, i moc runów ciskała nim w błoto.

Chłopiec mimowolnie wybuchnął śmiechem, patrząc, jak poczwara usiłuje się podnieść. Na niebie jej wielkie skrzydła budziły przerażenie, lecz teraz tylko zawadzały o ziemię, przez co demon tracił równowagę. Nie miał dłoni, na których mógłby się podeprzeć, a patykowate ramiona nie wytrzymały ciężaru ciała. Miotał się przez chwilę w błocie, nim wreszcie zdołał wstać.

Raz za razem próbował wyskoczyć w powietrze, ale między kręgami nie było dość miejsca i wszystkie próby kończyły się fiaskiem. Ogniste demony wyczuły tarapaty kuzyna i aż zaskrzeczały z radości. Skakały dookoła zewnętrznego kręgu w ślad za uwięzionym otchłańcem, szydząc z jego niedoli.

Arlen poczuł zaś napływ dumy. Zeszłej nocy popełnił kilka błędów, ale drugi raz tego nie zrobi. Zaczynał mieć nadzieję, że jednak dotrze w jednym kawałku do Wolnych Miast.

Ognistym demonom wkrótce sprzykrzyło się wyśmiewanie z nieszczęśnika i odbiegły w poszukiwaniu łatwiejszej zdobyczy. Zionąc ogniem z pysków, wypłaszały drobne zwierzęta z kryjówek. Przerażony zając przeskoczył przez zewnętrzny krąg, a ścigający go otchłańiec zatrzymał się gwałtownie, zablokowany mocą runów. Zwierzątko wyminęło zręcznie wichrowego demona, który już skoczył w jego kierunku, i wybiegło z drugiej strony pola ochronnego. Również i tam natknęło się na otchłańca, więc zawróciło i ponownie wbiegło do kręgu, znów odrobinę za daleko.

Arlen chciał w jakiś sposób dać mu do zrozumienia, że jest bezpieczne w wewnętrznym kręgu, ale nie wiedział, jak to zrobić. Mógł tylko bezsilnie patrzeć, jak co chwila wyskakiwało za runy, a zaraz potem za nie wracało.

Wtedy jednak wydarzyło się coś nieprawdopodobnego. Po raz kolejny czmychając do wnętrza pola ochronnego, przerażone stworzenie naruszyło jeden ze znaków. Ogniste demony wdarły się przez powstałą lukę między kręgi, a samotny demon wicheru wypadł na zewnątrz i po kilku długich susach wzbił się w powietrze.

Arlen przeklął zająca. Uczynił to po raz drugi, kiedy stworzenie skoczyło w jego kierunku. Gdyby uszkodziło któryś z runów wewnętrznego kręgu, obaj niechybnie by zginęli.

Ze zręcznością chłopaka, który całe życie spędził na wsi, porwał je za uszy. Ciskało się i miało jak szalone, ale Arlen wielokrotnie musiał sobie radzić z zającami na polach ojca. Zarzucił zwierzę na szyję i mocno je ścisnął. W jednej chwili przestało stawiać opór, patrząc tępo przed siebie.

Chłopca kusilo, by cisnąć szkodnika demonom. Wystarczyła przecież chwila nieuwagi, by uciekł mu z rąk i być może uszkodził kolejny run.

Dlaczego nie? – zastanawiał się w myślach. Gdybym go złapał za dnia, sam bym go zjadł.

Zrozumiał jednak, że nie potrafiłby tego zrobić. Demony wykradły już z tego świata wystarczająco dużo, również i jemu samemu. Poprzysiągł, że nie odda im niczego więcej, ani teraz, ani kiedykolwiek.

Nie odda im nawet tego zająca.

Noc znów zdawała się ciągnąć w nieskończoność, a Arlen ścisnął przerażone stworzenie, mówiąc do niego cichym, łagodnym głosem i gładząc jego miękkie futro. Wszędzie dookoła wyły demony, ale chłopiec ich nie słyszał. Skupiał całą uwagę na małym towarzyszu niedoli.

Przez dłuższy czas nie myślał o zagrożeniu, kiedy nagle rozległ się potężny ryk, wyrrywając go ze skupienia. Podniósł głowę i ujrzał nad sobą ogromnego, jednorekiego

demona skał. Z wyszczerzonych kłów skapywała ślina i z sykiem wyparowywała w zetknięciu z runami. W miejscu zagojonej już rany na końcu łokcia widniał nabrzmiały guz. Wściekłość potwora wydawała się jednak o wiele większa niż poprzedniej nocy.

Otchłaniec walił w barierę, ignorując ogłuszające wybuchy magii. Wymierzał straszliwe ciosy, by przebić się do środka i dokonać zemsty. Arlen tulił mocno zająca, nie spuszczać z demoną wzroku. Wiedza, że rytmiczne uderzanie nie osłabi mocy runów, w żaden sposób nie mogła ukoić jego lęku przed potworem, którego najwyraźniej stał się obsesją..

* * *

Kiedy światło brzasku odpędziło demony, Arlen wypuścił zająca. Obserwując, jak zwierzę umyka w podskokach, usłyszał burczenie w brzuchu, ale po tym, przez co wspólnie przeszli, za nic w świecie nie pomyślałby o nim jako o posiłku.

Wstając, potknął się i niemalże upadł. Ogarnęły go mdłości, a rany wzdłuż pleców rozgorzały bólem. Dotknął nabrzmiałej skóry – była mokra od cuchnącej brunatnej wydzieliny, jaką Coline wycisnęła z ran Silvy. Czuł, jak trawi go żar, i z trudem utrzymywał przytomność. Znów zanurzył się w zimnym potoku, ale woda nie ostudziła gorąca promieniującego ze środka ciała.

Arlen zrozumiał, że przyjdzie mu umrzeć. Stara Mey Friman, jeśli w ogóle istniała, mieszkała w odległości dwóch dni marszu. Wszystko jedno, czy potrafiła wyleczyć gorączkę demoniczną – nie miał szans przeżyć dwóch dni.

Mimo to nie chciał dać za wygraną. Powłócząc nogami, ruszył śladem kolein pozostawionych na trakcie przez wozy.

Jeśli już musiał umrzeć, wołał, by stało się to bliżej Wolnych Miast niż więzienia, z którego właśnie uciekał.

4

Leesha

319 RP

Leesha płakała przez całą noc.

Sam płacz nie byłby niczym niezwykłym, gdyby tym razem nie spowodowała go matka. Wszystko przez krzyki. W którymś z domostw pękła osłona runiczna. Nie dało się w tej chwili ustalić, kto ucierpiał, ale wrzaski skrajnego przerażenia i bólu niosły się w ciemności, a w niebo buchały gęste kłęby dymu. Ściany budynków oblewał pomarańczowy blask pożarów, teraz już nieco przygaszony, gdy dym przesłonił płomienie.

Mieszkańcy Zakątka Drwali nie mieli odwagi ruszyć na poszukiwanie ocalałych. Nie ośmielili się nawet podjąć walki z ogniem. Jedyne, na co się zdobyli, to modlitwa do Stwórcy, by wiatr nie przeniósł pożaru na sąsiednie budynki. Z tychże względów domy w Zakątku budowano w sporej odległości od siebie, ale silny podmuch potrafił daleko ponieść iskrę. Nawet jeśli ogień nie objąłby innych zabudowań, popiół i dym mogły łatwo pokryć i wypaczyć kolejne runy, co umożliwiłoby demonom wdarcie się tam, gdzie tak desperacko pragnęły się dostać.

Żadne otchłańce nie sprawdzały wytrzymałości osłony wokół domu Leeshy. Był to zły znak, który zdradzał, że gdzieś w ciemnościach potwory znalazły łatwiejszą zdobycz.

Bezradna i przerażona Leesha robiła jedyne, co mogła – płakała. Płakała z rozpaczyny nad zabitymi, płakała ze współczucia dla rannych, płakała z żalu nad sobą. W wiosce, której ludność liczyła niewiele ponad czterysta głów, nie istniała osoba, której śmierć osobiście by jej nie dotknęła.

Niemalże trzynastoletnia Leesha była niezwykle piękną dziewczyną z długimi falami czarnych włosów i bladoniebieskimi oczami. Nie przeszła jeszcze pierwszego krwawienia, przez co do tej pory nie została wydana za męża, ale przyrzeczono ją Garedowi Rębaczowi,

najprzystojniejszemu chłopakowi w miasteczku. Wysoki i muskularny Gared liczył od niej dwie wiosny więcej. Inne dziewczęta piszczały na jego widok, ale wszyscy wiedzieli, że należał do Leeshy. Miał z nią spłodzić silne, zdrowe dzieci.

O ile zdoła przeżyć tę noc.

Drzwi do pokoiku nagle stanęły otworem. Matka nigdy nie kłopotowała się pukaniem.

Z twarzy i budowy ciała Elona bardzo przypominała córkę. W wieku trzydziestu lat wciąż uchodziła za piękność, a jej bujne czarne włosy spływały kaskadami po prostych ramionach, gdy kroczyła z dumą przez wieś. Miała pełną, kobiecą figurę, której zazdrościły jej wszystkie niewiasty, a przy tym jedyną rzecz, którą Leesha pragnęła po niej odziedziczyć. Piersi dziewczynki dopiero zaczęły się rozwijać i musiało jeszcze upłynąć sporo czasu, zanim rozmiarem dorównają biustowi matki.

– Dość tego pochlipywania, ty nic niewarty próżniaku! – warknęła Elona, rzucając córce szmatkę. – Samotne popłakiwanie nic tu nie da. Płacz przed Garedem, jeśli chcesz postawić na swoim, ale moczenie poduszki nie przywróci martwych do życia.

Trzasnęła drzwiami, a jedynym towarzyszem Leeshy pozostał złowrogi blask wpadający do pokoju przez szczeliny między okiennicami.

Czy twoje serce naprawdę jest z kamienia? – zapytała w myślach dziewczynka.

Matka miała rację – lzy nie wskrzeszą martwych. Myliła się jednak, twierdząc, że płacz w niczym nie pomoże. Płacz zawsze pozwalał Leeshy uciec, gdy sprawy przybierały niekorzystny obrót. Jej koleżanki uważały, że wiecie idealne życie. Z pewnością zmieniłyby zdanie, gdyby zobaczyły, jaki wyraz twarzy przybiera Elona, będąc sam na sam ze swym jedynym dzieckiem. Nie stanowiło tajemnicy, że zawsze chciała mieć synów, a Leesha i jej ojciec od dawna znosili szykany za to, że jej marzenie się nie ziściło.

Dziewczyna ze złością wytarła załzawione oczy. Wyczekiwała tęsknie chwili, gdy po raz pierwszy zacznie krwawić. Mieszkańcy wioski wybudują jej wtedy dom w prezencie weselnym, a jej nowy mąż przeniesie ją przez barierę runiczną i uczyni kobietą, podczas gdy wszyscy będą świętować. Urodzi dzieci i wychowa je całkiem inaczej niż jej własna matka.

* * *

Leesha nie zmrużyła tej nocy oka. Była już ubrana, gdy Elona załomotała do drzwi.

– Masz wyjść na zewnątrz, jak tylko bicie dzwonu oznajmi nadejście świtu – nakazała. – I nie chcę słyszeć słowa o zmęczeniu. Nie życzę sobie, by potem mówiono, że nasza rodzina ociaga się z pomocą.

Leesha doskonale wiedziała, że jej matka największy nacisk położyła na słowa „by potem mówiono”. Elonie zależało wyłącznie na pomaganiu sobie samej.

Ojciec dziewczyny stał już przy drzwiach, mierzony surowym spojrzeniem żony. Nie był mężczyzną potężnie zbudowanym, ani nawet żyłastym – to ostatnie zakładało bowiem

fizyczną siłę. Tymczasem Erny nie mógł się nią pochwalić. Nie imponował również siłą woli – należał do tych niepozornych ludzi, którzy nigdy nie podnoszą głosu. Był starszy od żony o kilkanaście lat i jego liche brązowe włosy ustępowały już przed powiększającą się na czubku głowy łysiną. Jako jedyny człowiek w wiosce nosił też okulary o cienkich oprawkach, które swego czasu kupił od jakiegoś Posłańca.

Krótko mówiąc, okazał się innym człowiekiem, niż tego oczekiwała Elona, ale lubiła pieniądze, a w Wolnych Miastach istniało duże zapotrzebowanie na doskonały papier, który wyrabiał jej mąż. W przeciwieństwie do matki Leesha naprawdę chciała pomóc sąsiadom. Ledwie otchłańce znikły i rozbrzmiał dzwon, dziewczyna pomknęła w kierunku pożaru.

– Leesha! Zostań z nami! – zawołała Elona, ale córka ją zignorowała. Zakryła usta fartuchem, by się osłonić przed dławiącym dymem.

Kilku innych mieszkańców dotarło na miejsce przed nią. Trzy domy spłonęły do cna, ale w dwóch nadal szalał ogień i wciąż istniała groźba, że przeniesie się na sąsiednie budynki. Krzyk przerażenia opuścił gardło Leeshy, gdy dziewczyna spostrzegła, że jeden ze spalonych domów należy do ojca Gareda.

Smitt, właściciel karczmy oraz sklepu, już był na miejscu i wyrzaskiwał polecenia. Odkąd Leesha sięgała pamięcią, pełnił zaszczytną funkcję Mówcy. Niechętnie wydawał innym rozkazy, choć wszyscy zgodnie twierdzili, że się do tego nadawał. Wołał jednak, by ludzie sami rozwiązywali swe problemy.

– ...woda ze studni idzie zbyt powoli! – wołał. – Musimy utworzyć szereg od strumienia! Jeśli nie będziemy polewać sąsiednich budynków, do zmroku spłonie cała wioska!

Wtedy pojawili się Gared i Steave, obaj zdyszani i brudni od sadzy, ale cali i zdrowi. Gared, choć liczył dopiero piętnaście lat, był potężniej zbudowany od większości dorosłych mężczyzn w wiosce, a Steave, jego ojciec, górował wzrostem nad wszystkimi. Na ich widok Leesha poczuła bezgraniczną ulgę.

Nim jednak zdążyła podbiec do wybranka, Smitt wskazał go palcem.

– Gared, zaciągnij wózek z wiadrami do strumienia! Leesha, idź razem z nim i pomóż przy ładowaniu!

Dziewczyna puściła się pędem za młodzieńcem. Choć ciągnął ciężki wózek, wyprzedził ją bez trudu i musiała biec ile sił w nogach. Niebawem znaleźli się nad brzegiem niewielkiego strumyka, który docierał do rzeki Angiers wiele mil na północ od wioski. W chwili gdy chłopak się zatrzymał, Leesha padła mu w ramiona. Sądziła, że wystarczyło go ujrzeć, by rozwiały się przerażające wizje, ale jego widok tylko je spotęgował. Nie miała pojęcia, co by zrobiła, gdyby straciła Gareda.

– Bałam się, że zginąłeś – wyszlochała, wtulając twarz w jego pierś.

– Jestem cały i zdrow – wyszeptał chłopiec. – Cały i zdrow.

Bez chwili zwłoki zaczęli rozładowywać wóz i napełniać wiadra, chcąc się przygotować na przybycie pozostałych ludzi, wraz z którymi mieli uformować szereg. Wkrótce ponad stu

mieszkańców wioski stanęło w równej linii biegnącej od brzegu strumienia aż po płonące domy, by podawać naprzód pełne wiadra i odbierać puste. Gared został odwołany do gaszenia ognia – potrzeba tam było silnych mężczyzn.

Wóz niebawem powrócił, ciągnięty przez Opiekuna Michela, tym razem wyładowany rannymi. Leesha patrzyła na to z mieszanymi uczuciami. Widok poparzonych i brutalnie poranionych sąsiadów sprawił, że ból ścisnął jej serce, lecz z drugiej strony rzadko kiedy demony pozostawiały kogokolwiek przy życiu po przełamaniu bariery runicznej. Każdy ocalony stanowił zatem dar, za który należało dziękować Stwórcy.

Święty Człowiek i jego akolita, Dziecię Jonas, ułożyli rannych przy strumieniu. Michel pozostawił młodzieńca, by pokrzepiał ich na duchu, a sam zawrócił i ruszył po kolejne ofiary ataku.

Leesha odwróciła od nich wzrok i skupiła się na napełnianiu kubłów. Stopy jej zdrętwiały od zimnej wody, a ramiona zaczynały ciążyć niczym ołów, ale mimo to pogрузzyła się całkowicie w pracę. Dopiero czyjś szept zwrócił jej uwagę:

– Wiedźma Bruna!

Dziewczyna poderwała głowę. W istocie, sędziwa Zielarka właśnie nadchodziła ścieżką, prowadzona przez nowicjuszkę Darsy.

Nikt we wsi nie mógł stwierdzić z całą pewnością, ile lat tak naprawdę miała Bruna. Mówiono, że była stara, zanim jeszcze obecni włodarze wioski osiągnęli wiek dojrzałości. Sama zresztą jako pierwsza witała większość z nich na tym świecie. Przeżyła swego męża, dzieci i wnuki, z całej rodziny nie pozostał jej już nikt.

Patrząc na nią, odnosiło się wrażenie, jakby jej ostre kości powlekała wyłącznie na wpół przezroczysta, pomarszczona skóra. Częściowo ślepa staruszka nie mogła już sprawnie chodzić i powłóczyła teraz nogami w piasku. Mimo to wciąż potrafiła wrzasnąć tak głośno, że słyszeć ją było po drugiej stronie wsi, a gdy coś ją rozgniewało, wywijiała wykrzywioną laską z zaskakującą siłą i celnością.

Leesha, podobnie zresztą jak większość mieszkańców wsi, panicznie się jej bała.

Dwudziestoletnia nowicjuszka Bruny prezentowała się raczej pospolicie. Miała chude nogi i ramiona oraz szeroką twarz. Wiedźmie przysłano całą gromadkę kandydatek na nowicjuszki, kiedy zmarła jej ostatnia uczennica, ale tylko Darsy potrafiła wytrzymać nieustający potok przekleństw i zniewag.

– Jest szpetna jak byk i jak byk silna – powiedziała kiedyś o Darsy Elona, chichocząc. – Czego ma się obawiać ze strony tej starej kobieciny? Na pewno nie tego, że będzie jej przeganiać kawalerów spod drzwi.

Bruna ukłękła przy cierpiących i z wprawą wodziła dłońmi po ranach. Tymczasem Darsy rozwijała ciężką płachtę materiału, od wewnętrznej strony zaopatrzoną w oznaczone różnymi symbolami kieszenie. Każda z nich mieściła instrument chirurgiczny, fiolkę lub woreczek z ziołami. Ofiary ataku jęczały i krzyczały z bólu, ale Bruna nie zwracała na to uwagi. Co rusz

szczypała którąś z ran i obwącowała palce, polegając nie tylko na zmyśle wzroku, ale też dotyku i powonienia. Nie oglądając się, otwierała odpowiednie kieszonki płachty i ugniatała zioła w moździerz.

Darsy zaczęła rozpalać niewielkie ognisko, gdy nagle uniosła głowę. Dostrzegłszy stojącą w strumieniu Leeszę, zawołała:

– Leesha! Przynieś nam wody, ale na jednej nodze!

Dziewczynka pospiesznie nabrała wody do wiadra i ruszyła ku dwóm kobietom. W tej samej chwili Bruna zerwała się i przytknęła nos do mielonych ziół.

– Ty idiotko! – zaskrzeczała. Leesha aż podskoczyła, sądząc, że Zielarka mówi do niej. Bruna rzuciła jednak moździerzem w Darsy. Zaczęła otwierać kolejne kieszenie i obwącować ich zawartość niczym zwierzę.

– Schowałeś bielun tam, gdzie powinien być rozchodnik! Pomieszałeś werbenę z turuniem! – krzyczała. Niespodziewanie uniosła powykrzywianą laskę i grzmotnęła Darsy między łopatki. – Masz zamiar pozabijać tych ludzi, czy po prostu wciąż jesteś zbyt głupia, by się nauczyć czytać?

Leesha nieraz widziała swą rodzicielkę doprowadzoną do ostateczności, ale jeśli Elona była przerażająca niczym otchłaniec, to Wiedźma przypominała matkę wszystkich demonów. Krok po kroku dziewczyna oddalała się od Zielarki w obawie, że zwróci jej uwagę.

– Nie będę wiecznie znosić tych zniewag, przeklęta stara wiedźmo! – wrzasnęła Darsy.

– A zatem precz! Precz stąd! Już prędzej uszkodzę każdy run w tej wiosce, niż pozostawię ci moją torbę z ziołami! Tym ludziom nie będzie się żyło dzięki tobie ani odrobinę lepiej!

Darsy wybuchła śmiechem.

– Mam iść precz? A kto będzie za tobą nosić butelki i stojaki, starucho? Kto rozpali ogień, przyrządzi jedzenie czy zetrze ci plwociny z gęby po ataku kaszlu? Kto będzie dźwigał twoje stare cielsko, gdy zimno i wilgoć odbiorą ci siły? Potrzebujesz mnie bardziej niż ja ciebie!

Bruna machnęła laską, a Darsy przezornie uskoczyła na bok, ale wtedy wpadła na Leeszę, która ze wszelkich sił starała się być niewidzialna. Obie dziewczyny runęły na ziemię.

Zielarka wykorzystała okazję, by wymierzyć jeszcze jeden cios. Leesha odczołyła się na bok, by uniknąć cięgów, ale staruszka nie ją chciała trafić. Darsy zasłoniła głowę i krzyczała z bólu, zbierając kolejne razy.

– Precz! – wrzasnęła Bruna raz jeszcze. – Muszę się zająć chorymi!

Darsy szybko wstała. Leesha przez chwilę myślała, że nowicjuszka uderzy mistrzynię, lecz miast tego odwróciła się i uciekła. Zielarka puściła w ślad za nią stek wyzwisk.

Leesha powoli wycofywała się na kolanach, wstrzymując oddech. Gdy już zaczęła mieć nadzieję, że zdoła umknąć, Bruna wycelowała w nią laskę i zaskrzeczała:

– Ty, dzieciaku Elony! Dokończ rozpalanie ognia i ustaw mój trójnóg!

Z tymi słowami nachyliła się nad rannymi. Leesha nie miała wyboru – musiała spełnić polecenie.

Przez następne kilka godzin Bruna wywarkiwała do dziewczyny niekończący się ciąg rozkazów, za każdym razem przeklinając jej opieszałość. Leesha przynosiła i gotowała wodę, mielila zioła, warzyła tynktury i przyrządzała maści. Często nie wykonała jeszcze połowy polecenia, gdy otrzymywała kolejne, przez co musiała pracować coraz szybciej. Z pogorzelska wciąż przywożono rannych z rozległymi poparzeniami i kośćmi połamanymi przez spadające elementy dachów. Dziewczyna zaczęła mieć obawy, że połowa wsi stanęła w płomieniach.

Dla niektórych Bruna warzyła ziółka na uśmierzanie bólu, innym podawała leki, które wprowadzały ich w stan głębokiego snu, a potem rozkrawała ich rany ostrymi instrumentami. Pracowała bez wytchnienia, szyjąc, robiąc okłady i bandażując.

Dopiero późnym popołudniem Leesha zdała sobie sprawę, że wszyscy zostali już opatrzeni, a rząd ludzi z wiadrami zniknął. Pozostała sama z Bruną i rannymi, z których najprzytomniejszy, wciąż oszołomiony ziołami, wpatrywał się bezrozumnie w przestrzeń.

Dziewczyna poczuła, jak ogarnia ją znużenie. Opadła na kolana i nabrała głęboko tchu. Każdy cal jej ciała pulsował bólem, lecz ku swemu zaskoczeniu odkryła, że ów ból przynosi jej satysfakcję. Część z tych, którzy tego dnia otarli się o śmierć, przeżyje dzięki jej wysiłkom.

Lecz, co musiała przyznać w duchu, prawdziwą bohaterką była Bruna. I nagle uświadomiła sobie, że od dobrych kilku minut staruszka nie wydała żadnego polecenia. Spojrzała w jej kierunku. Zielarka leżała na ziemi i z trudem oddychała.

– Pomocy! Pomocy! – wykrzyknęła Leesha. – Brunie coś się stało!

Poczuła nagły przyptyw sił. Przypadła do staruszki i uniosła jej zaskakująco lekkie ciało do pozycji siedzącej. Miała wrażenie, jak gdyby pod jej grubymi szalami i wełnianą spódnicą nie było nic prócz kości.

Bruna drżała, a z kącika jej ust ciekła wąska strużka śliny, grzęznąc w nieskończonym labiryncie zmarszczek. Ciemne oczy, pokryte jakby mleczną błoną, wbiła w dygoczące ręce.

Leesha rozejrzała się, ale w pobliżu nikogo nie dostrzegła. Wciąż podtrzymując staruszkę, ujęła jedną z jej dłoni i zaczęła rozcierać pochwycone kurczami mięśnie.

– Och, Bruno, co mam robić?! Proszę, nie wiem, jak ci pomóc! Musisz mi powiedzieć, co mam robić!

Znów poczuła się bezsilna i zaczęła płakać.

Naraz staruszka wyrwała dłoń z jej uścisku. Leesha aż krzyknęła, przewidując kolejną falę spazmów, ale okazało się, że jej starania odniosły pewien skutek. Zielarka odzyskała nad sobą panowanie w wystarczającym stopniu, by sięgnąć w głąb szala i wyciągnąć sakiewkę, którą wepchnęła dziewczynie w ręce. Na więcej nie starczyło jej czasu – gwałtowny atak kaszlu cisnął jej chudym ciałem o ziemię. Podskakiwała niczym ryba wyrzucona na brzeg za

każdym kaszlnięciem, a osamotniona Leesha ścisnęła sakiewkę, zdjęta przerażeniem.

W końcu spojrzała na płócienny woreczek. W środku znajdowały się zioła. Obwąchała go i wyczuła mieszankę różnych składników.

Podziękowała w myślach Stwórcy. Gdyby w sakiewce znajdowało się jedno zioło, nie potrafiłaby oszacować odpowiedniej dawki, ale zrobiła tego dnia dla Bruny wystarczająco dużo tynktur i wywarów, by zrozumieć, co właśnie otrzymała.

Podbiegła do czajnika, który wciąż parował na trójnogu. Nakryła kubek cienką szmatką, a następnie wysypała na nią grubą warstwę ziół z sakiewki. Powoli przelała przez nie wrzącą wodę, stopniowo wypłukując ich moc, a potem zręcznie podciągnęła rogi szmatki, zatrzymując zioła w środku i zanurzając je w wodzie.

Podbiegła do Bruny, dmuchając na gorący wywar. Jeszcze wystarczająco nie ostygł, ale nie było czasu do stracenia. Uniosła staruszkę jedną ręką i przysunęła kubek do jej ust, upstrzonych plamkami płwocin.

Nieco płynu ułało się na ziemię, gdy ciałem Zielarki targnął spazm, ale Leesha stanowczo zmusiła ją do picia. Żółty wywar ciekł kącikami jej ust, lecz staruszka piła. Choć nadal dygotała i kaszlała, symptomy zaczęły ustępować. Poruszała się coraz spokojniej i Leesha wreszcie pozwoliła sobie załkać z ulgą.

– Leesha! – krzyknął ktoś z oddali.

Dziewczyna uniosła głowę i ujrzała matkę biegnącą na czele grupy mieszkańców wioski.

– Coś ty najlepszego zrobiła, niedojdo! – wrzasnęła Elona, która wyprzedziła pozostałych i dobiegła do córki jako pierwsza. – Nie dość, że urodziłam bezużyteczną dziewczuchę, a nie syna, który walczyłby z pożarem – wyszczała – to co się jeszcze okazuje? Że ta niedojda zabiła wioskową Zielarkę!

Uniosła rękę, by spoliczkować Leeshę, ale wtedy koścista dłoń zamknęła się na jej nadgarstku i mocno go przytrzymała.

– Zielarka żyje tylko dzięki niej, idiotko! – zaskrzeczała Bruna. Śmiertelnie blada Elona cofnęła się o krok, zupełnie jakby nagle ujrzała otchłańca. Leesha przyglądała się tej scenie z satysfakcją.

Wtedy dołączyli do nich pozostali wieśniacy, dopytując, co się wydarzyło.

– Moja córka uratowała życie Bruny! – wykrzyknęła Elona, nim Leesha i Bruna zdążyły otworzyć usta..

* * *

Opiekun Michel uniosł wysoko opatrzone runami Kanon, by wszyscy mogli ujrzeć świętą księgę, podczas gdy szczątki poległych wrzucano w ostatni płonący dom. Wieśniacy stali naokoło z pochylonymi głowami, trzymając kapelusze w dłoniach. Jonas ciskał w ogień kadzidło, którego zapach przegnał wiszący w powietrzu kwaśny smród.

– Póki nie nadejdzie Wybawiciel, by położyć kres Pladze, pomnijcie wszyscy, że sprowadziły ją na nas grzechy ludzkości – wykrzyknął Michel. – Sprowadzili ją na nas cudzołożnicy i grzesznicy! Kłamcy, złodzieje i lichwiarze!

– Czyli ci, co zbyt mocno zaciskali pośladki – mruknęła Elona. Ktoś zachichotał.

– Ci, którzy opuszczają ten świat, zostaną osądzeni – ciągnął Michel. – Ci, którzy służą Stwórcy, przyłączą doń w Niebiosach, a ci, którzy zawiedli Jego zaufanie, będą przez wieczność płonąć w Otchłani!

Zamknął księgę, a zgromadzeni wieśniacy pochylili głowy jeszcze niżej.

– Żałoba jest rzeczą słuszną i stosowną – oznajmił Opiekun. – Nie powinniśmy jednakże zapominać o tych, którym Stwórca pozwolił żyć. Napełnijmy nasze naczynia i wypijmy za pamięć zmarłych. Opowiadajmy o nich historie, które ukochaliśmy sobie najbardziej, i śmiejmy się, gdyż życie jest cenne i nie powinno się go marnować. Oszczędzajmy łyżę do chwili, gdy znów zapadnie noc, a my znajdziemy się w domach chronionych przez runy.

– Oto i nasz Opiekun – mruknęła Elona. – Wykorzysta każdy pretekst, by odszpuntować baryłkę.

– Skądże, moja droga. – Erny poklepał jej dłoń. – Przecież nie ma na myśli nic złego.

– A mój drogi tchórz staje w obronie pijaków. – Kobieta cofnęła rękę. – Steave wbiega do płonących domów, a mój mąż kuli się ze strachu wraz z kobietami.

– Podawałem wiadra z wodą! – zaprotestował Erny. Swego czasu rywalizował ze Steave'em o rękę Elony. Mówiono, że zwycięstwo zawdzięczał raczej pękatej sakiewce niż zaletom ciała i ducha.

– Jak kobieta – zgodziła się Elona, szukając wzrokiem muskularnego Steave'a.

Zawsze tak było. Leesha marzyła, by ogłuchnąć i nie słyszeć ich kłótni. Marzyła, by otchłańce porwały jej matkę, a nie siedmioro zacnych ludzi. By ojciec sprzeciwił się choć raz, jeśli nie w obronie godności córki, to przynajmniej własnej i by wreszcie doczekać pierwszego krwawienia i odejść z Garedem.

Mieszkańcy wioski zbyt starzy lub zbyt młodzi, by walczyć z płomieniami, przygotowali obfity posiłek, który rozłożyli na długich stołach. Wszyscy siedzieli teraz w milczeniu, wyczerpani do cna i wpatrzni w tłące się popioły.

Pożar jednakże został ugaszony, rany oczyszczone i opatrzone, a do zachodu słońca pozostały długie godziny. Słowa Opiekuna pomogły odpędzić poczucie winy tym, którzy mieli szczęście i przeżyli. Resztę załatwiło ciemne piwo Smitta. Mówiło się, że pozwala ono zapomnieć o każdej zgrzyzocie, a nie brakowało ich tego popołudnia. Wkrótce zagrzmiały pierwsze salwy śmiechu wieńczące opowieści o tych, którzy odeszli.

Gared siedział kilka stołów dalej z przyjaciółmi: Renem, Flinnem oraz Evinem. Wszyscy oni byli drwalami z zawodu i choć od Gareda starsi, z wyjątkiem Rena nie dorównywali mu wzrostem. Wydawało się jednak, że z czasem Gared i jego przerośnie. Jedynym z całej grupki, który nie został jeszcze nikomu przyrzeczony, był Evin. Słyszał z porywczosci, ale

mimo to uciekały ku niemu spojrzenia wielu dziewcząt.

Młodzieńcy bez litości żartowali sobie z Gareda, zwłaszcza w kwestii jego narzeczonej. Jej samej niezbyt odpowiadała konieczność towarzyszenia przy stole rodzicom, ale siedzenie z Garedem, podczas gdy Ren i Flinn czynili sprośne uwagi, a Evin prowokował awantury, często okazywało się jeszcze gorsze.

Po posiłku Opiekun Michel oraz Dziecię Jonas powstali i zanieśli wielką tacę z jedzeniem do Świętego Domu, gdzie Darsy zajmowała się rannymi i Bruną. Leesha przeprosiła rodziców, by zaoferować swą pomoc. Garede zauważył, że wstała, i sam chciał do niej podejść, lecz wtedy Leeszę otoczyły Brianne, Saira i Mairy, jej najbliższe przyjaciółki.

– Czy to prawda? – zapytała Saira, ciągnąc Leeszę za lewą rękę.

– Wszyscy gadają, że dałaś po głowie Darsy i uratowałaś Wiedźmę! – Mairy uczepiła się prawej. Leesha spojrzała bezradnie na Gareda i pozwoliła, by przyjaciółki odprowadziły ją na bok.

– Twój niedźwiedź poczeka na swoją kolej – oznajmiła Brianne.

– Coś mi się wydaje, że nawet po ślubie będzie wołała koleżanki od ciebie, Garede! – zawołał Ren, a wszyscy dookoła ryknęli rubasznym śmiechem, uderzając pięściami w stół. Dziewczęta całkowicie ich zignorowały. Rozłożyły spódnice i usiadły na trawie z dala od coraz głośniejszego towarzystwa, które w szybkim tempie opróżniało beczkę za beczką.

– Garede jeszcze długo będzie musiał tego słuchać! – roześmiała się Brianne. – Ren założył się o pięć drewniaków – miała na myśli lakierowane monety z Angiers – że Garede nie zdoła pocałować cię przed zmierzchem, nie mówiąc już o czymś poważniejszym.

Mimo że miała dopiero szesnaście lat, od dwóch była wdową, ale nie cierpiała na brak adoratorów. Utrzymywała, że zawdzięcza to znajomości sztuczek, które każda żona znać powinna. Mieszkała z ojcem oraz dwoma starszymi braćmi, choć tak naprawdę robiła im raczej za matkę.

– W przeciwieństwie do niektórych z nas nie pozwalam na coś poważniejszego każdemu, kto się napatoczy – oznajmiła Leesha. Brianne spojrzała na nią, udając oburzenie.

– Ja bym Garedowi pozwoliła na wiele, gdybym była mu przyrzeczona – stwierdziła piętnastoletnia Saira, dziewczyna o krótkich brązowych włosach i z piegami na pucułowatych policzkach. Rok temu przyrzeczono ją pewnemu chłopakowi, ale któreś nocy otchłańce zabrały go wraz z jego ojcem.

– Nie macie pojęcia, jak bardzo chciałabym zostać komuś przyrzeczona – rzekła Mairy ze skargą w głosie, chudziutka piętnastolatka o zapadniętych policzkach i wydatnym nosie. Już dawno przeszła pierwsze krwawienie, ale pomimo wysiłków jej rodziców wciąż nie znalazła męża. Elona nazywała ją strachem na wróble.

– Żaden rodzic nie skaże syna na wbijanie się między te patykowate uda – zadrwiła pewnego razu. – Nikomu też nie zależy, by biedny strach na wróble rozpęknął się podczas pierwszego porodu.

– Cierpliwości – pocieszyła przyjaciółkę Leesha. – Poczekaj jeszcze trochę.

Choć była najmłodsza z całej grupy, dziewczęta lubiły się wokół niej gromadzić. Elona utrzymywała, że jej córka zawdzięcza to urodzie oraz majątkowi, ale Leesha nie wierzyła, by jej przyjaciółkami kierowały tak małostkowe pobudki.

– Naprawdę grzmotnęłaś Darsy kijem? – zapytała Mairy.

– Nie, to nie tak. Darsy popełniła jakiś błąd i oberwała lagą od Bruny. Próbowала się wycofać i wpadła prosto na mnie. Obie upadłyśmy na ziemię, a Bruna biła ją tak długo, aż Darsy uciekła.

– Gdyby to mnie uderzyła, oddałabym od razu – rzekła Brianne. – Tata mówi, że Bruna jest wiedźmą i gzi się z demonami po nocach.

– Ohydna bzdura! – parsknęła Leesha.

– To czemu niby mieszka tak daleko od wioski? – zapytała Saira. – I dlaczego wciąż żyje, skoro nawet jej wnuki powymierały ze starości?

– Bo jest Zielarką – odparła Leesha. – A zioła nie rosną w samym środku wsi. Pomagałam jej dzisiaj i to było wspaniałe uczucie. Wydawało mi się, że połowa z tych ludzi odniosła zbyt ciężkie rany, by przeżyć, ale ona ocaliła ich wszystkich.

– Widziałaś, jak rzuca czary? – zapytała z podnieceniem Mairy.

– Ona nie jest wiedźmą! Uleczyła tych ludzi dzięki ziołom, nożom i niciom.

– Cięła ich? – Skrzywiła się z obrzydzeniem.

– Wiedźma i tyle – stwierdziła Brianne, a Saira pokiwała głową.

Leesha zgromiła przyjaciółki wzrokiem.

– Przecież ona nie wbija noża w trzewia każdemu, kto się napatoczy – powiedziała. – Ona ich leczyła. To było... Nie umiem tego opisać. Jest stara jak świat, ale nie przerwała ani na chwilę, póki wszystkich nie opatrzyła. Wyglądało na to, że trzyma się tylko dzięki sile woli. Padła zaraz po tym, jak skończyła pracę przy ostatnim z rannych.

– To wtedy ją ocaliłaś? – zapytała Mairy.

Leesha pokiwała głową.

– Wcisnęła mi do ręki lekarstwo, zanim rozpoczął się atak kaszlu. Ja je tylko zagotowałam. Podtrzymałam ją do chwili, gdy kaszel wreszcie ustał, a wtedy znaleźli nas mieszkańcy.

– Dotykałaś jej? – skrzywiła się Brianne. – Dam głowę, że cuchnie zepsutym mlekiem i ziołami.

– Stwórcu! – Leesha pokręciła głową. – Bruna uratowała dzisiaj tuzin ludzkich żywotów, a was stać jedynie na drwiny?

– Na litość! Oto nasza Leesha ratuje wiedźmę i nagle jej cycki przestają się mieścić w gorscie!

Leesha wbiła w przyjaciółkę pełne pretensji spojrzenie.

Dojrzewała najwolniej z całej grupy i była przewrażliwiona na punkcie swych piersi, a

właściwie ich braku.

– Nie tak dawno mówiłaś o niej w tym samym tonie – zauważyła Saira.

– Nawet jeśli, to więcej nie będę. Może i jest wredną staruchą, ale zasługuje na lepsze traktowanie.

W tym momencie podszedł do nich Dziecię Jonas. Liczył już siedemnaście lat, ale był zbyt drobnej postury, by unieść siekiere czy ciągnąć za piłę. Większość czasu zajmowało mu pisanie lub czytanie listów tym wszystkim, którzy sami tego nie potrafili, czyli prawie każdemu mieszkańcowi wioski. Leesha, jedno z nielicznych czytających dzieci, często do niego zaglądała, by pożyczać książki z biblioteczki Opiekuna Michela.

– Mam wiadomość od Bruny – powiedział do Leeshy. – Chce...

Urwał szarpnięty gwałtownie do tyłu. Gared, choć dwa lata młodszy, okręcił go jak frygę, a potem złapał za szaty, uniósł i przyciągnął tak blisko, że zetknęli się nosami.

– Coś ci mówiłem o rozmawianiu z pannami, które nie są ci przyrzeczone – warknął.

– Ale ja z nikim nie rozmawiałem – zaprotestował Jonas, wymachując nogami, które od ziemi dzielił dobry cal. – Ja tylko...

– Natychmiast postaw go na ziemię! – huknęła Leesha.

Gared najpierw spojrzał na nią, a potem na Jonasa. Na chwilę umknął wzrokiem ku przyjaciółom, a potem znów popatrzył na Leeshę. W końcu rozwarł pięści. Jonas padł niezdarnie na ziemię, podniósł się i umknął w pośpiechu. Brianne i Saira zachichotały, ale Leesha uciszyła je znaczącym spojrzeniem, a potem wbiła wzrok w Gareda.

– Cóż ci opętało, na Otchłań? – zażądała wyjaśnień.

Gared opuścił głowę.

– Przepraszam. Ja chyba... Przez cały dzień nie miałem kiedy gęby do ciebie otworzyć, no i poniosło mnie, gdy zobaczyłem, jak ten tu gada z tobą.

– Och, Gared! – Leesha pogładziła go po policzku. – Nie musisz być zazdrosny. Przecież jesteś dla mnie całym światem.

– Naprawdę?

– A przeprosisz Jonasa?

– Tak – obiecał chłopak.

– A zatem naprawdę. No, wracaj do stołu. Zaraz do ciebie przyjdę. – Ucałowała go, a on uśmiechnął się szeroko i odbiegł.

– Chyba właśnie tak wygląda tresura niedźwiedzia – zadumała się Brianne.

– Niedźwiedzia, który usiadł na krzaku dzikiej róży – dodała Saira.

– Dajcie mu spokój – burknęła Leesha. – On nie chce nikomu zrobić krzywdy. Jest po prostu nieco zbyt silny i odrobinę...

– Przygłupi? – podsunęła Brianne.

– Tępawy? – zaproponowała Saira.

– Pacanowaty? – zasugerowała Mairy.

Leesha wymierzyła każdej z nich kuksańca i wszystkie wybuchły śmiechem.

* * *

Gared i Steave dołączyli do rodziców Leeshy, dzięki czemu chłopak wreszcie mógł usiąść przy wybrance. Dziewczyna marzyła, by otoczył ją ramieniem, ale byłoby to niestosowne, nawet pomimo tego, że zostali sobie przyrzeczeni. Musiała najpierw osiągnąć odpowiedni wiek, by Opiekun mógł oficjalnie zatwierdzić ich związek. Aż do nocy poślubnej należało się ograniczyć do pocałunków i wstrzemięźliwego dotykania.

Leesha pozwalała Garedowi wyłącznie na pocałunki, bez względu na to, co mówiła Brianne. Chciała uczynić zadość tradycji, by ich noc poślubna stała się wielką chwilą, która na zawsze zapadnie im w pamięci.

Rzecz jasna, pamiętała też o kochającej taniec i flirt Klarissie. To ona nauczyła Leeszę oraz jej przyjaciółki wiązać wianki i wplatać kwiaty we włosy. Jako niezwykle piękna dziewczyna, Klarissa nie mogła się opędzić od adoratorów.

Jej synek miał już chyba trzy lata, ale jak dotąd żaden mężczyzna w Zakątku Drwali nie domagał się uznania go za ojca. Powszechnie uważano, że był nim ktoś żonaty. Obserwując jej rosnący brzuch, Opiekun Michel podczas każdego kazania wykorzystywał sposobność, by przypomnieć, że popełniła grzech i że to właśnie przez takie zachowania ludzkość nadal musi znosić Plagę Stwórcy.

„Echo Otchłani rozbrzmiewa najdonośniej w nas samych”, powiedział.

Choć wszyscy kochali Klarisę, po tych wydarzeniach cała wieś odwróciła się do niej plecami. Kobiety stroniły od jej towarzystwa, a mężczyźni przy żonach unikali jej spojrzeń. Gdy byli sami, nie szczędzili lubieżnych komentarzy.

Klarissa opuściła wieś wraz z Posłańcem jadącym do Fortu Rizon wkrótce po tym, jak odstawiła chłopca od piersi, i nigdy już nie wróciła. Leesha bardzo za nią tęskniła.

– Zastanawiam się, po co Bruna przysłała Jonasa – powiedziała.

– Nie znoszę tego gnojka – warknął Gared. – Z pewnością za każdym razem, gdy na ciebie patrzy, wyobraża sobie, że jesteś jego żoną.

– A co ci do tego, jeśli to tylko myśli?

– Nie mam zamiaru dzielić się tobą z innymi mężczyznami, nawet w ich marzeniach! – rzekł chłopak. Wyciągnął spod stołu ogromną dłoń i nakrył nią drobną rączkę wybranki. Leesha z westchnieniem pochyliła się w jego stronę. Bruna mogła poczekać.

Właśnie wtedy, chwając się od nadmiaru wypitego piwa, Smitt uderzył w stół.

– Uwaga! Uwaga, mam coś do powiedzenia! – zawołał.

Stefny, jego żona, pomogła mu wejść na ławę, podtrzymując go, gdy się zatoczył. Tłum ucichł, a Smitt odchrząknął. Choć nie przepadał za wydawaniem poleceń, wielce upodobał sobie wygłaszanie mów.

– W tych najtrudniejszych chwilach ujawnia się w nas to, co najlepsze – zaczął. – To właśnie wtedy pokazujemy Stwórcy naszą odwagę i zapał. Pokazujemy, że uporaliśmy się już z własnymi żywotami i staliśmy się godni przybycia Wybawiciela, który zakończy Plagę. Pokazujemy, że nocne zło nie może nam odebrać poczucia przynależności do wielkiej rodziny. Bowiem tym właśnie jest Zakątek Drwali – ciągnął. – Rodziną! Och, bywa, że się sprzeczmamy, bierzemy czyjąś stronę w konflikcie, ale gdy przybywają otchłańce, wówczas owe więzy rodzinne trzymają nas razem niczym mocne powrozy. Bez względu na dzielące nas różnice nikt nie jest skazany na samotność w obliczu demonów. Przybysze z Otchłani przełamali bariery runiczne w czterech domostwach! – krzyknął do tłumu. – Po raz kolejny doświadczyliśmy na własnej skórze, jak bezlitosne są otchłańce. Lecz dzięki naszemu bohaterstwu zginęło tylko siedem osób. Niklas! – zawołał, wskazując płowowłosego mężczyznę, który siedział naprzeciwko. – Niklas wbiegł do płonącego domu, by wyciągnąć swą matkę! Jow! – Wskazał inną osobę, która aż podskoczyła na dźwięk swego imienia. – Nie dalej niż dwa dni temu tak zapamiętała klócił się z Dave’em, że mało do bijatyki nie doszło. Ale tej nocy Jow zdzielił siekierą drzewnego demona – drzewnego demona, powiadam wam! – by otworzyć Dave’owi i jego rodzinie drogę do własnego domu!

Smitt nagle wskoczył na stół. Ogarnięty pasją, poruszał się zwinnie, mimo że wlał w siebie niejedną kufel napitku. Przeszedł przez całą długość stołu, wykrzykując imiona siedzących i opowiadając o ich wyczynach.

– Lecz równie łatwo znaleźć bohatera za dnia! – ciągnął. – Oto Gared i Steave! Porzucili płonący dom, by pomóc gasić dobytek tych, którzy mieli mniej szczęścia. Dzięki nim i wielu innym spłonęło tylko osiem domów, gdy pożar mógł objąć całą wieś!

Smitt odwrócił się i spojrzał na Leeszę. Wycelowany w jej stronę palec uderzył w nią niczym pięść.

– A oto Leesha! Choć ma zaledwie trzynaście lat, uratowała życie Zielarce Brunie! W piersi każdego mieszkańca Zakątka Drwali bije serce bohatera! – zakończył Smitt, zamaszystym ruchem ręki wskazując wszystkich zebranych. – Atakują nas otchłańce, ciężko doświadcza los, ale my, ludzie z Zakątka Drwali, jesteśmy twardzi niczym milneńska stal. Nigdy się nie poddamy!

Tłum zaryczał z entuzjazmem. Ci, którzy utracili bliskich, z policzkami mokrymi od łez krzyczeli najgłośniej.

Stojący w samym środku zgromadzenia Smitt napawał się mocą wrzawy. Po chwili klasnął w dłonie i chlōpi ucichli.

– Opiekun Michel rozтворzył wierzeje Świętego Domu dla rannych. Stefny i Darsy zgłosiły się na ochotnika, by ich doglądać przez całą noc. Opiekun z radością użyczy też runów Stwórcy wszystkim, którzy tej nocy nie mają gdzie spać.

Znów podniósł pięść.

– Lecz przecież nie możemy pozwolić, by prawdziwi bohaterowie układali się do snu na

twardych ławkach świątyni! Czyż nie otacza ich rodzina? Pod dachem mojej gospody zmieści się bez trudu dziesięć osób, a nawet więcej, jeśli będzie potrzeba. Kto jeszcze uczczy runów i łózek bohaterom?

Wszyscy wiwatowali, tym razem jeszcze głośniej. Smitt uśmiechnął się szeroko i po raz kolejny klasnął w dłoń.

– Stwórca słucha was z radością, ale robi się późno. Przydzielę...

Wtedy powstała Elona. Sama również wychyliła kilka kufli i lekko się chwiała.

– Ja i Erny przygarniemy Gareda i Steave’a – oznajmiła. Mąż spojrział na nią ze zdumieniem. – Mamy mnóstwo wolnego miejsca, a ponieważ Gared i Leesha zostali sobie przyrzeczeni, jesteście prawie rodziną.

– To niezwykle miło z twojej strony, Elono. – Smitt z mizernym skutkiem próbował ukryć zaskoczenie. Elona rzadko okazywała hojność, a jeśli już to czyniła, zwykle czerpała z tego jakąś ukrytą korzyść.

– Jesteś pewien, że tak wypada? – głośno zapytała Stefny.

Spojrzenia wszystkich zebranych natychmiast powędrowały w jej kierunku. Większość czasu Stefny spędzała w karczmie męża, ale kiedy tylko miała wolną chwilę, pomagała w Świątym Domu bądź studiowała Kanon. Nienawidziła Elony – co zdaniem Leeshy należało poczytywać za cnotę – lecz z drugiej strony była pierwszą osobą we wsi, która zwróciła się przeciwko Klarissie, gdy jej brzuch zaczął rosnać.

– Dwoje przyrzeczonych sobie dzieci pod jednym dachem? – zapytała. Jej spojrzenie uciekło jednak w kierunku Steave’a, a nie Gareda. – Któż wie do jakich niestosowności mogłoby dojść? Będzie chyba lepiej, jeśli przyjmiecie innych pod swój dach, a Garedowi i Steave’owi pozwolicie nocować w karczmie.

Elona zwięzła oczy.

– Sądzę, że troje rodziców da sobie radę z przypilnowaniem dwójki dzieci, Stefny – powiedziała lodowatym głosem, a następnie uszczypnęła Gareda w ramię. – Mój przyszły zięć pracował dziś za pięciu, a Steave... – Ze swobodą osoby, która wypijała zbyt dużo, poklepała masywną pierś ojca chłopaka. – A Steave za dziesięciu!

Odwróciła się ku Leeshy zbyt szybko i straciła równowagę. Roześmiany Steave pochwyił ją w talii. Jego ogromna dłoń niemalże zakryła jej brzuch.

– Nawet moja... – ugryzła się w język, by nie powiedzieć „bezużyteczna”, ale Leesha i tak usłyszała to słowo. – Nawet moja córka dokonała dziś wielkich czynów. Nie pozwolę, by tej nocy rozdzielono moich bohaterów!

Stefny obrzuciła ją jadowitym spojrzeniem, ale pozostali zebrani uznali sprawę za zamkniętą. Na wyścigi jęli oferować gościnę pozostałym potrzebującym.

Elona znów się zachwiała i ze śmiechem usiadła na kolanie Steave’a.

– Możesz spać w pokoju Leeshy – rzuciła. – Jest tuż obok mojego.

Ostatnie zdanie chciała wypowiedzieć ściszym głosem, ale była pijana i wszyscy ją

usłyszeli. Policzki Gareda utonęły w rumieńcach, Steave zarechotał, a Erny zwiesił głowę. Leeszę raptem ogarnęło współczucie.

– Wiele bym oddała, żeby porwały ją otchłańce – mruknęła do siebie.

Ojciec spojrział na nią surowo.

– Nie waż się mówić takich rzeczy głośno! O nikim!

Mierzył córkę wzrokiem tak długo, aż ta wreszcie kiwnęła głową.

– Tak czy inaczej – dodał ze smutkiem – pewnie wkrótce by ją oddały.

* * *

Wszyscy, którzy nie mieli gdzie przeczekać nocy, szybko znaleźli dach nad głową i już zaczęli się rozchodzić, gdy nagle podniósł się szmer. Tłum robił przejście dla powłóczącej nogami Wiedźmy Bruny. Dziecię Jonas podtrzymywał ją za jedno ramię. Leesha zerwała się, by ująć za drugie.

– Bruno, nie powinnaś wstawać – napomniała staruszkę. – Powinnaś odpoczywać!

– To twoja wina, dziewczyno – odcięła się Zielarka. – Ci w Świętym Domu mają się znacznie gorzej ode mnie, a ja potrzebuję ziół z chatki, by ich leczyć. Gdyby twój dzielny obrońca – spojrzała ostro na Gareda, który cofnął się o krok – pozwolił Jonasowi przekazać moją wiadomość, już dawno byłabyś w drodze z listą. A tak jest za późno i będę musiała iść razem z tobą. Zatrzymamy się w mojej chatce na noc i wrócimy rano.

– Dlaczego ja? – zapytała Leesha.

– Bo reszta dziewczyn ma kielbie we łbie i nie potrafi czytać! – zaskrzeczała Bruna. – Pomieszałyby butelki jeszcze gorzej niż ta głupia krowa Darsy!

– Kiedy Jonas też potrafi czytać!

– Zaproponowałem, że pójde... – zaczął akolita, ale Bruna zdzieliła go końcem kija w stopę i młodzieniec tylko jęknął z bólu.

– Zielarstwo to zadanie dla kobiety – oznajmiła. – Święci Mężowie powinni się modlić, kiedy my pracujemy.

– Ja... – Leesha spojrzała błagalnie na rodziców.

– To wspomniały pomysł! – zakrzyknęła Elona, której wreszcie udało się podnieść z kolan Steave'a. – Spędź noc u Bruny. – Pchnęła Leeszę w stronę staruszki, rozciągając usta w szerokim uśmiechu. – Moja córka pomoże ci z radością!

– A może Gared powinien pójść wraz z wami? – zaproponował Steave i szturchnął syna.

– Będziesz potrzebować silnego mężczyzny, który przyniesie tu z rana wszystkie zioła i mikstury – poparła go Elona.

Stara Zielarka spojrzała najpierw na nią, a potem na Steave'a i w końcu skinęła głową.

* * *

Wiedźma z trudem poruszała nogami, przez co podróż przeciągała się w nieskończoność. Dotarli do chatki tuż przed zachodem słońca.

– Sprawdź runy, chłopcze – nakazała Bruna.

Gared pobiegł wykonać polecenie, a Leesha wprowadziła staruszkę do środka i pomogła jej usiąść w wyściełanym poduszkami fotelu, a potem przykryła ją kocami. Widząc, jak wiedźma oddycha z trudem, dziewczynę naszły obawy, że lada chwila będzie świadkiem kolejnego ataku kaszlu. Nalała więc wody do czajnika i podłożyła drewna w palenisku, po czym zaczęła się rozglądać w poszukiwaniu hubki i krzesiwa.

– Pudełko na szpargały – odezwała się Bruna, wskazując drewniany kuferek. Leesha otworzyła go, ale w środku nie znalazła ani krzesiwa, ani hubki, a tylko krótkie drewniane patyczki z czymś przypominającym zaschniętą glinę na końcówkach. Wyjęła dwa z nich i spróbowała potrzeć jednym o drugi.

– Nie tak, dziewczyno! – warknęła Bruna. – Nigdy nie widziałaś ognistego patyka?

Leesha pokręciła głową.

– Tato ma tego trochę w warsztacie, gdzie miesza różne substancje, ale nie wolno mi tam zaglądać.

Stara Zielarka westchnęła, przywołując dziewczynę gestem. Chwyciła jeden z patyczków i oparła go o szorstki paznokieć kciuka. Potem gwałtownie poruszyła palcem, a koniec patyczka zapłonął. Leesha wybałuszyła oczy.

– Zielarki znają się nie tylko na ziołach – powiedziała Bruna, przytykając płomień do knota świecy. Zanim przekazała świeczkę Leeshy, zapaliła latarenkę. Uniosła ją, oświetlając zakurzoną półkę pełną ksiąg.

– Nie wierzę własnym oczom! – wykrzyknęła Leesha. – Masz tu więcej tomów niż Opiekun Michel!

– Co więcej, nie są to nudne historyjki cenzurowane przez Świętych Mężów. Zielarki są powierniczkami okruchów wiedzy z dawnego świata, ze świata przed Powrotem, kiedy to demony spaliły wielkie biblioteki.

– Nauka? Czyż to właśnie nie pycha i zarozumiałość sprowadziły na nas Plagę?

– Czcza gadanina Michela. Gdybym wiedziała, że ten chłopak wyrośnie na tak zadufanego osła, nie pomogłabym mu wyjść spod nóg jego matki. Przecież to właśnie nauka do spółki z magią pomogła za pierwszym razem odpędzić demony. Sagi opowiadają o wielkich Zielarkach, które leczyły śmiertelne rany i które mieszały zioła i minerały, by wytruwać zastępy demonów.

Leesha już miała zadać kolejne pytanie, kiedy do chatki wpadł Gared. Bruna skinęła w kierunku paleniska, więc dziewczyna rozpałała ogień i nastawiła czajnik. Wkrótce woda zaczęła się gotować i Bruna sięgnęła do wnętrza jednej z wielu kieszeni szaty. Wydobyła z niej specjalną ziołową miksturę, którą przelała do swego kubka. Do kubków Leeshy i Gareda

wsypała zwykłą herbatę. Jej dłonie poruszały się szybko, ale mimo to dziewczyna zdołała dostrzec, że do naczynia Gareda Zielarka dodała coś jeszcze.

Leesha zalała kubki wrzącą wodą. Cała trójka sączyła napary w niezręcznej ciszy. Gared wypił jako pierwszy i niemalże natychmiast zaczął masować policzki. Chwilę później osunął się na podłogę, pogrążony w głębokim śnie.

– Dorzuciłaś coś do jego herbaty – stwierdziła Leesha oskarżycielskim tonem.

Staruszka zachichotała.

– Turuń i pyłek z werbeny. Każdy z nich ma wiele rozmaitych zastosowań, ale po wymieszaniu wystarczy nawet szczypta, by uśpić potężnego byka.

– Ale dlaczego?

Choć Bruna się uśmiechnęła, wyraz jej twarzy budził trwogę.

– Powiedzmy, że w ten sposób odgrywam rolę przyzwoitki. Nie uwierzę, by piętnastoletni chłopak nie skorzystał z okazji i nie zaczął się dobierać do dziewczyny w środku nocy. Nie pozwolę na to, nawet jeśli jesteście sobie przyrzeczeni.

– A więc czemu pozwoliłaś mu z nami pójść?

Bruna pokręciła głową.

– Mówiłam twemu ojcu, by się nie żenił z tą zdzirą, ale wystarczyło, by wypięła kuper, a chłop postradał rozum. – Westchnęła. – Steave i twoja matka nieźle sobie popili, ale i tak będą się dzisiaj gzić, że hej, bez względu na to, kto przebywa z nimi w domu. Nie oznacza to jednak, że Gared musi tego słuchać. Chłopcy w jego wieku są wystarczająco zepsuci.

Leesha wybałuszyła oczy.

– Ale moja matka nigdy by...

– Zastanów się, co tak naprawdę chcesz powiedzieć – przerwała jej Bruna. – Stwórca nienawidzi kłamców.

Dziewczyna straciła rezon. Dobrze wiedziała, jaką osobą jest Elona.

– Ale Gared nigdy by tego nie zrobił.

Bruna parsknęła.

– Ciekawe, czy twierdziłabyś to samo, gdybyś odbierała porody wszystkich kobiet we wsi.

– Nie miałoby znaczenia, gdybym poczęła dziecko – stwierdziła Leesha. – Gared i ja moglibyśmy wtedy się pobrać i robiłabym dla niego wszystko to, co żona robić powinna.

– Już nie możesz się doczekać, co? – Bruna wykrzywiła usta w złośliwym uśmiešku. – W sumie nic w tym złego, muszę przyznać. Mężczyźni nadają się do wielu rzeczy, nie tylko do machania siekierą i dźwigania ciężarów.

– Ale dlaczego tak długo to u mnie trwa? Saira i Mairy plamiły prześcieradła już podczas dwunastej wiosny, a ja właśnie kończę trzynastą! Co jest ze mną nie tak?

– Nic. Wszystko jest w porządku. Każda dziewczyna zaczyna krwawić w swoim czasie. Być może przyjdzie ci czekać jeszcze rok, być może dłużej.

– Rok! – wykrzyknęła Leesha.

– Ciesz się dzieciństwem, póki jeszcze możesz, dziewczyno. Gdy dobiegnie końca, nagle zaczniesz za nim tęsknić. Świat ma znacznie więcej do zaoferowania niż tylko rozkładanie nóg przed mężczyzną i rodzenie mu dzieci.

– Ale co mogłoby się z tym równać?

Bruna skinęła w kierunku półki.

– Wybierz książkę. Jakąkolwiek. Przynieś ją tutaj, a pokażę ci, co jeszcze świat ma do zaoferowania.

5

Dom pełen ludzi

319 RP

Stary kogut Bruny oznajmił nadejście świtu. Leesha przetarła twarz i namacała miejsce na policzku, gdzie odcisnęła się okładka książki. Gared i Bruna jeszcze spali. Staruszka zasnęła wcześniej, ale dziewczyna pomimo ogromnego zmęczenia czytała do późna w nocy. Do tej pory myślała, że zadaniem Zielarek jest nastawianie kości oraz przyjmowanie porodów, i dopiero teraz odkryła, że zajmowały się one wieloma innymi rzeczami. Studiowały sekrety świata, próbując wykorzystać rozliczne dary Stwórcy, by pomagać Jego dzieciom.

Dziewczyna ściągnęła z włosów wstążkę i zaznaczyła nią stronę. Zamknęła księgę z nabożnym szacunkiem, zupełnie jakby miała do czynienia z Kanonem. Wstała i przeciągnęła się, a następnie dorzuciła drewna do paleniska i poszturchała pogrzebaczem rozżarzone szczapy, aż objął je ogień. Nastawiła czajnik z wodą, po czym podeszła do Gareda.

– Wstawaj, leniu! – szepnęła, szarpiąc go za ramię.

Chłopak tylko mruknął przez sen. Nie miała pojęcia, co Bruna mu podała, ale nie było to nic słabego. Kiedy potrząsnęła młodzieńcem nieco mocniej, machnął w jej stronę ręką, nie otwierając oczu.

– Wstawaj w tej chwili albo możesz zapomnieć o śniadaniu! – roześmiała się Leesha i szturchnęła go stopą.

Gared znów coś burknął, ale jego powieki wreszcie się podniosły. Kiedy Leesha zamierzyła się do kolejnego kopniaka, raptem złapał ją za stopę i pociągnął. Pisnęła, upadając na jego posłanie.

Natychmiast otoczył ją potężnymi ramionami. Szybko zmienił pozycję, by znalazła się pod nim. Chichotała, gdy zasypywał ją pocałunkami.

– Przestań! – szepnęła, odpychając go bez przekonania. – Przestań, bo obudzisz Brunę.

– I co z tego? Przecież ta czarownica ma ze sto lat i jest ślepa jak kret.

– Ale wciąż doskonale słyszy. – Zielarka otworzyła jedno oko.

Gared kwiknął i wyskoczył z posłania, cofając się zarówno przed Leeshą, jak i Bruną.

– Jesteś pod moim dachem, chłopcze, i lepiej trzymaj łapy przy sobie albo podam ci coś, po czym twoja męskość straci moc na cały rok – oznajmiła Zielarka.

Leesha obserwowała, jak z twarzy Gareda odpływa krew, i zagryzła usta, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Z jakiegoś powodu nie czuła już lęku przed staruszką, za to czerpała teraz przyjemność z obserwowania, jak reagują na nią inni.

– Rozumiemy się? – zapytała Bruna.

– Tak, proszę pani – natychmiast odpowiedział Gared.

– Dobrze. A teraz zrób użytek z tych szerokich ramion i narąb nam trochę drewna.

Gared wybiegł z chatki, nim zdążyła dokończyć zdanie. Gdy drzwi się za nim zamknęły, dziewczyna wybuchła śmiechem.

– Podobało ci się, co? – spytała Zielarka.

– Nigdy nie widziałam, by ktokolwiek tak popędził Garedowi kota.

– Podejdź bliżej, bym mogła ci się przyjrzeć. – Gdy Leesha spełniła prośbę, staruszka ciągnęła: – Wioskowy uzdrowiacz musi umieć leczyć na wiele sposobów, nie tylko uwarzonymi eliksirami. Najsilniejszemu chłopakowi we wsi przyda się trochę strachu. Być może pomyśli dwakroć, zanim znów kogoś zrani.

– Gared nie zrobiłby nikomu krzywdy.

– Z pewnością – powiedziała Bruna, ale nie zabrzmiało to przekonująco.

– Czy naprawdę potrafiłabyś uwarzyć eliksir, po którym zwiędłaby jego męskość?

Zielarka zachichotała.

– Ale nie na cały rok. W każdym razie jedna dawka to za mało. Na parę dni bądź tydzień? Byłoby to równie łatwe, co uspienie go wczoraj wieczorem.

Leesha pogrążyła się w zadumie.

– Co znowu, dziewczyno? Zaczynasz mieć wątpliwości, czy narzeczony oszczędzi twój wianek do ślubu?

– Myślałam raczej o Steavie.

– I słusznie. – Bruna pokiwała głową. – Ale musisz zachować czujność. Twoja matka zna się na różnego rodzaju sztuczkach. Za młodu często mnie odwiedzała, bo potrzebowała mądrości Zielarki, by zatrzymać krwawienie i uchronić się przed niechcianą ciążą. Zamydliła mi oczy i przykro mi to powiedzieć, ale nauczyłam ją zbyt wiele.

– Czyli mama nie była dziewicą, gdy ojciec przeniósł ją przez osłonę runiczną? – zapytała zszokowana Leesha.

Bruna parsknęła i splunęła na podłogę.

– Pół wioski wylądowało z nią na sianie, zanim wszystkich przepędził Steave.

Dziewczyna rozdziawiła usta.

– Ale moja matka potępiła Klarisę!

– Wszyscy zwrócili się wówczas przeciw tej biednej dziewczynie. Obludnicy, co do jednego! Smitt gada o jednej wielkiej rodzinie, ale nawet nie kiwnął palcem, gdy jego żona namówiła całą wieś do obławy, której nie powstydziliby się stado ognistych demonów. Połowa z tych kobiet, które wytykały ją palcami i krzyczały: „Grzesznica!”, dopuściła się tego samego występku. Miały jednakże sporo szczęścia i szybko wyszły za mąż albo sporo rozumu i zastosowały odpowiednie środki zaradcze.

– Środki zaradcze?

Bruna pokręciła głową.

– A zatem Elona tak bardzo pragnie wnuka, że o niczym ci nie powiedziała? Powiedz mi, dziewczyno, jak powstają dzieci?

Policzki Leeshy oblał rumieniec.

– Mężczyzna, to znaczy twój mąż... On...

– Wykrztuś to wreszcie – warknęła Zielarka. – Jestem zbyt stara, by czekać, aż twój rumieniec zblednie.

– On sprawia, że jego nasienie w ciebie wnika – dokończyła Leesha, jeszcze bardziej się czerwieniąc.

Bruna zachichotała.

– Potrafisz leczyć poparzenia czy rany zadane przez otchłānce, ale wstydzisz się mówić o poczęciu?

Leesha otworzyła usta, chcąc się odciąć, ale Zielarka weszła jej w słowo:

– A więc nakłoń swego chłopca, by oddał nasienie na twój brzuch, a możesz z nim sypiać do woli. Niemniej trudno takiemu zaufać, że ucieknie z ciebie w porę, co poniewczasie zrozumiała Klarissa. Sprytniejsze dziewczyny przychodzą do mnie po wywary.

– Wywary? – spytała Leesha, chłonąc każde słowo.

– Liście glisowca zmieszane w odpowiedniej proporcji z innymi ziołami dają w rezultacie wywar, dzięki któremu męskie nasienie nie rozkwita.

– Ale Opiekun Michel mówi...

– Oszczędź mi cytatów z Kanonu! To księga spisana przez mężczyzn, którzy nie poświęcili ani jednej myśli prawdziwej doli kobiety.

Leesha zamknęła usta.

– Twoja mama często mnie odwiedzała – ciągnęła tymczasem Zielarka. – Zadawała rozmaite pytania, pomagała mi w obejściu, miała dla mnie zioła. Myślałam nawet, czy nie wziąć jej na uczennicę, ale jej zależało wyłącznie na tajemnicy wywarów. Gdy już jej powiedziałam, jak je wytwarzać, znikła i nigdy nie wróciła.

– Oto cała ona.

– Wywar z glisowca w niewielkich dawkach nie może zaszkodzić, ale Steave był pożądanym mężczyzną, a twoja matka zażywała z nim rozkoszy zbyt często. Moim zdaniem,

gzili się z tysiąc razy, zanim interesy twego ojca zaczęły przynosić spore dochody i Elona wreszcie zwróciła na niego uwagę. Do tego czasu jej łono zdążyło wyschnąć do reszty.

Dziewczyna słuchała z zafascynowaniem.

– Poślubiwszy Erny'ego, Elona przez dwa lata bezskutecznie usiłowała począć dziecko. W międzyczasie Steave poślubił jakąś młódkę i zapłodnił ją w dwa tygodnie, co tylko pogłębiło frustrację Elony. W końcu trafiła do mnie, żebrząc o pomoc.

Leesha pochyliła się w stronę rozmówczynie. Czowała, jakby całe jej życie miało zależeć od tego, co zaraz usłyszy.

– Wywar z glisowca należy pić w niewielkich dawkach – powtórzyła Zielarka. – Dobrze jest też zrobić sobie raz na miesiąc przerwę i przeczekać krwawienie. Jeśli tego zaniedbasz, ryzykujesz bezpłodność. Ostrzegałam Elonę, lecz ona była już owładnięta manią rozkładania nóg i nie miała ochoty mnie słuchać. Zbadałam ją i przez całe miesiące dawałam zioła, które mieszała z posiłkami Erny'ego. W końcu powiła dziecko.

– Mnie. Powiła mnie.

Bruna kiwnęła głową.

– Bałam się, że nie przeżyjesz, dziewczyno. Łono twojej matki było bardzo słabe i wiedzieliśmy, że Elona nie otrzyma kolejnej szansy. Przychodziła do mnie każdego dnia, bym sprawdziła, jak się miewa jej syn.

– Syn?

– Ostrzegałam, że to może być dziewczynka, ale Elona postawiła na swoim. Twierdziła, że Stwórca nie wyrządziłby jej takiej krzywdy. A przecież to właśnie Stwórca dał światu otchłańce.

– Więc jestem tylko okrutnym żartem Stwórcy?

Bruna złapała dziewczynę kościstą dłonią za podbródek i przyciągnęła do siebie. Leesha ujrzała z bliska długie szare włoski okalające jej pomarszczone usta na podobieństwo kocich wąsów.

– Jesteśmy tym, czym sami chcemy być – wycedziła Zielarka. – Jeśli pozwolisz innym decydować o twojej wartości, będziesz stracona. Jak świat długi i szeroki nie ma takiej osoby, której byłoby w smak przyznać, że inni są od niej więcej warci. Elona może winić tylko siebie za swe decyzje, lecz jest zbyt próżna, by to przyznać. Łatwiej jej zwalić całą winę na ciebie bądź na biednego Erny'ego.

– Chciałabym, by jej winy wyszły na jaw i by wypędzono ją ze wsi – rzuciła twardo Leesha.

– Zdradziłabyś własną pleć z powodu uprzedzeń?

– Nie rozumiem.

– Nie ma nic złego w tym, że kobieta chce rozłożyć nogi przed mężczyzną. Zielarka nie może osądzać ludzi tylko dlatego, że za młodu robili to, do czego skłoniła ich natura. Nienawidzę natomiast tych, którzy łamią przysięgi. Jeśli zamierzasz je składać, dziewczyno,

lepiej załóż, że dotrzymasz słowa.

Leesha pokiwała głową.

W tym samym momencie w progu stanął Gared.

– Przyszła Darsy. Chce panią odprowadzić do wioski.

– Przecież wyrzuciłam tę przygłupią macioreę na zbity pysk!

– Wczoraj rada wsi zdecydowała, że mam wrócić na termin – oznajmiła Darsy, wchodząc nieproszona do środka. Nie dorównywała wzrostem Garedowi, ale niewiele jej brakowało, a masą ciała z pewnością go przewyższała. – To twoja wina. Nikt inny nie ma ochoty z tobą pracować.

– Nie mają prawa mi tego zrobić! – warknęła Bruna.

– Ależ mają! Nie znoszę cię tak samo, jak ty mnie, ale możesz lada dzień umrzeć, a wioska potrzebuje kogoś, kto zajmie się chorymi.

– Przeżyłam już nowicjuszeki lepsze od ciebie. To ja wybieram, kogo uczyć.

– Cóż, mam u ciebie zostać, póki mnie wszystkiego nie nauczysz. – Darsy wyszczerzyła zęby w kierunku Leeshy.

– A więc przydaj się na coś i wstaw owsiankę – rozkazała staruszka. – Gared wciąż rośnie i trzeba go dobrze karmić, żeby nie stracił sił.

Darsy spojrzała na nią niechętnie, ale zakasała rękawy i ruszyła w stronę czajnika.

– Zamienię ze Smittem kilka słów, gdy wrócę do miasta – burknęła Zielarka.

– Darsy naprawdę jest tak nieudolna? – zapytała Leesha.

Bruna zwróciła zamglone oczy w kierunku młodzieńca.

– Wiem, że jesteś silniejszy od młodego byczka, ale na podwórku zostało chyba kilka pniaków do porąbania.

Garedowi nie trzeba było dwakroć powtarzać. Momentalnie wypadł za drzwi i po chwili z podwórza dobiegł odgłos rąbania.

– Darsy przydaje się w obojętności – przyznała Bruna. – Rąbie drewno niemal tak sprawnie, jak twój chłopiec, robi też niezłą owsiankę. Ale te jej mięsiste dłonie są zbyt niezdarne, by mogła nimi leczyć, a ona sama wykazuje zbyt mało zdolności, by przyswoić sobie sztukę zielarską. Od biedy nada się na położną – byle idiotka zdoła przecież wyciągnąć dziecko z łona matki. No i nie ma sobie równych w nastawianiu kości, ale subtelniejsze sztuki są poza jej zasięgiem. Na płacz mi się zbiera, gdy pomyślę o wiosce, w której pełniłaby funkcję Zielarki.

* * *

– Kiepską będziesz żoną dla Gareda, jeśli nie nauczysz się przygotowywać choćby prostego posiłku! – krzyknęła Elona.

Leesha spojrzała na matkę z wyrzutem. O ile pamięć jej nie myliła, nigdy w życiu nie

zjadła ugotowanego przez nią posiłku. Nie pamiętała też, kiedy się ostatnio wyspała, ale matka nie kiwnęłaby palcem, żeby jej pomóc.

Dziewczyna spędziła cały dzień w świątyni, opiekując się rannymi. Łatwo się uczyła, przez co stara Zielarka demonstrowała Darsy pewne rzeczy na jej przykładzie. Niezdarna uczennica miała jednakże wszystko gdzieś.

Choć nikt na razie o tym nie wspominał, Leesha czuła, że staruszka chce ją wziąć na nauki. Musiała jednak pamiętać o warsztacie papierniczym ojca. Od najmłodszych lat tam pracowała, w wielkiej izbie połączonej z domem. Zazwyczaj pisała listy bądź składała zeszyty i Erny twierdził, że córka ma do takich zajęć prawdziwy talent. Wykonane przez nią oprawy w istocie wyglądały ładniej od tych, które wychodziły spod rąk jej ojca, a ponadto lubiła ozdabiać strony kwiatowymi wzorami. Za takie zeszyty damy w Lakton i Forcie Rizon płaciły o wiele więcej niż ich mężowie za zwykłe.

Erny miał nadzieję, że któregoś dnia Leesha przejmie po nim interes, a Gared zajmie się wytwarzaniem masy papierowej i pozostałymi cięższymi pracami. Wytwarzanie papieru nigdy szczególnie jego córki nie interesowało. Pomagała w warsztacie głównie po to, by spędzać czas jak najbliżej ojca i jak najdalej od matki oraz jej kąśliwych uwag.

Elona może i lubiła pieniądze, ale samego warsztatu nie znosiła. Narzekała ustawicznie na smród ucieranego w kadziach łągu czy hałas wydawany przez młyn papierniczy. Warsztat stanowił więc rodzaj azylu dla Leeshy i Erny'ego. Był miejscem rozbrzmiewającym śmiechem, którego w części mieszkalnej domu nigdy nie słyszano.

Tubalny rechot Steave'a sprawił, że Leesha uniosła głowę znad warzyw, które właśnie wkrajała do gulaszu. Ojciec Gareda siedział na fotelu jej ojca w głównej izbie, popijając piwo. Elona przysiadła na poręczu mebla i położyła dłoń na ramieniu kochanka.

Nagle Leesha zapragnęła przeistoczyć się w demona i pluć w nich ogniem. Nigdy nie czuła się szczęśliwa uwięziona w domu z matką, ale teraz myślała wyłącznie o opowieściach Bruny. Elona nie kochała męża ani teraz, ani najprawdopodobniej nigdy wcześniej. Uważała, że jej własna córka to okrutny żart Stwórcy. Co więcej, nie była dziewicą, gdy Erny przeniósł ją przez barierę runiczną swego domu.

Z jakichś przyczyn to właśnie sprawiło dziewczynie największy ból. Wedle Bruny czerpanie przyjemności z obcowania z mężczyzną to jeszcze nie grzech, ale Leesha nie mogła wybaczyć matce obłudy. Elona uczestniczyła w wypędzeniu Klarissy, by ukryć własne przewiny.

Nie stanę się taka jak ty, poprzysięgła nagle Leesha. Dzień mojego ślubu będzie wyglądać tak, jak zaplanował to Stwórca, a z podlotka przemienię się w kobietę dopiero w łóżku męża.

Elona pisnęła w reakcji na jakieś słowa Steave'a i Leesha zaczęła podśpiewywać pod nosem, by ich nie słyszeć. Głos miała czysty i melodyjny. Opiekun Michel zawsze ją prosił, by śpiewała na nabożeństwach.

– Leesha! – krzyknęła Elona chwilę później. – Przestań już piąć! Nie słyszymy tu

własnych myśli!

– Nie wygląda mi na to, żeby ktokolwiek tam myślał – mruknęła dziewczyna.

– Co takiego?

– Nic! – odparła najbardziej niewinnym głosem, na jaki potrafiła się zdobyć.

Zjedli kolację zaraz po zachodzie słońca, a Leesha z dumą patrzyła, jak Gared wyciera chlebem trzecią miskę jej potrawy.

– Kiepska z niej kucharka – rzuciła nagle Elona. – Ale da się zjeść, o ile oczywiście nie będziesz tego wahał.

Steve, który właśnie brał łyk piwa, zakrztusił się i puścił je nosem. Elona zerwała chusteczkę z kolan Erny'ego, by obetrzeć kochankowi twarz, a Gared ryknął śmiechem. Leesha zerknęła na tatę, oczekując wsparcia, lecz on nawet nie uniósł oczu znad miski. Nie odezwał się słowem, od kiedy wrócił z warsztatu.

To była kropla, która przepełniła czarę. Leesha posprzątała ze stołu i umknęła do swej izdebki, ale i to nie pomogło jej odzyskać równowagi. Zapomniała, że matka pozwoliła zamieszkać tam Steve'owi na czas jego gościny, która mogła trwać całą wieczność. Olbrzymi drwal naniósł do pokoju błota i wybrudził nieskazitelnie czystą podłogę. Pozostawił również ślad buta na jej ulubionej książce, którą zostawiła przy łóżku.

Leesha krzyknęła i podbiegła do swojego skarbu, ale nie zdołała doczyścić okładki. Utkana z miękkiej rizoniańskiej wełny pościel była poplamiona Stwórcą jeden wie czym, a ponadto cuchnęła ohydą mieszaniną potu i drogich angierskich perfum, uwielbianych przez jej matkę.

Dziewczyna dostała mdłości. Przycisnęła bezcenną książkę do piersi i umknęła do warsztatu ojca, na próżno usiłując oczyścić zabrudzoną okładkę. To właśnie tam znalazł ją Gared.

– A więc to tu się chowasz. – Podeszedł do niej i pochwycił ją w talii potężnymi dłońmi.

Leesha wymknęła się z jego uścisku, ocierając oczy i próbując odzyskać pewność siebie.

– Potrzebowałam chwili spokoju.

Gared złapał ją za rękę.

– Chodzi o ten żart twojej matki?

Leesha pokręciła głową, usiłując się wyrwać, ale chłopak trzymał ją mocno.

– Ja się tylko śmiałem z ojca. Twoja potrawka wspaniale smakowała.

– Naprawdę?

– Naprawdę. – Gared przyciągnął dziewczynę bliżej i namiętnie ją pocałował. – Takim jedzeniem wykarmilibyśmy cały zastęp synów – szepnął ochrypłym głosem.

– Mogłabym mieć spore problemy z wyciśnięciem z siebie zastępu małych Garedów – odparła Leesha i zachichotała.

Chłopak chwycił ją mocniej, zbliżając usta do jej ucha.

– Teraz interesuje mnie tylko wciśnięcie dużego Gareda.

Leesha jęknęła, ale mimo to odepchnęła go delikatnie.

– Wkrótce będziemy małżeństwem – powiedziała cicho.

– Nawet wczoraj to dla mnie za późno – odparł Gared, ale ustąpił.

* * *

Leesha leżała zawinięta w koce przy palenisku w głównej izbie. Steave dostał jej pokój na własność, a Gared spał w warsztacie. W nocy od podłogi bił chłód, czuło się też przeciągi, zaś wełniany dywanik, na którym leżała, był szorstki i twardy. Tęskniła za własnym łóżkiem, ale wiedziała, że trzeba będzie je spalić, by pozbyć się smrodu grzechu jej matki i Steave'a.

Nie potrafiła odgadnąć, dlaczego Elona zadaje sobie trud i uprawia grę pozorów. Przecież nikogo nie mogła w ten sposób zwieść. Dlaczego więc po prostu nie wygoniła Erny'ego do głównej izby i nie zaprosiła Steave'a do własnego łóżka?

Leesha tęsknie wypatrywała chwili, gdy wraz z narzeczonym opuszczą ten dom.

Nie mogła zasnąć. Leżała, słuchając wyładowań magii, kiedy demony próbowały sforsować barierę. Wyobrażała sobie prowadzenie warsztatu papierniczego z Garedem, kiedy ojciec zbyt się zestarzeje, by pracować, a wspomnienia matki i Steave'a odejdą raz na zawsze. Widziała siebie z pękatym, idealnie zaokrąglonym brzuszkiem, jak wstaje znad ksiąg rachunkowych i wychodzi na spotkanie Garedowi, który wraca spocony po pracy w młynie. Całuje ją na powitanie, a ich maleństwa skaczą dookoła po warsztacie.

Wizja ta dodawała otuchy, ale Leesha pamiętała słowa Bruny i zastanawiała się, czy będzie jej czegoś brakować, jeśli poświęci życie opiece nad dziećmi i produkcji papieru. Znow zamknęła oczy i zobaczyła siebie jako Zielarkę Zakątka Drwali, bez której nikt nie mógł zwalczać chorób, rodzić czy leczyć ran. Spodobały jej się te marzenia, ale o wiele trudniej było znaleźć w nich miejsce dla męża i dzieci. Zadaniem Zielarki jest odwiedzanie chorych, a nie potrafiła sobie wyobrazić, by Gared miał dla niej przynosić zioła i instrumenty z miejsca na miejsce. Na to, że będzie zajmował się dziećmi podczas jej nieobecności, również nie mogła liczyć.

Wiele, wiele lat temu Bruna zdołała jakoś pogodzić jedno z drugim. Wyszła za męża, wychowywała dzieci i wciąż zajmowała się chorymi, ale Leesha nie miała bladego pojęcia, jak to było możliwe. Czuła, że powinna o to zapytać.

Usłyszała, jak drzwi otwierają się z cichym skrzypnięciem, i uniosła głowę. Gared wychodził właśnie z warsztatu, ostrożnie stawiając kroki. Udawała, że śpi, póki nie znalazł się bliżej, a wtedy przetoczyła się gwałtownie na bok i syknęła:

– Co ty tu robisz?

Gared podskoczył i zakrył dłońmi usta, chcąc stłumić jęk przerażenia. Leesha musiała przygryźć wargę, by nie zaśmiać się głośno.

– Chciałem skorzystać z wychodka – szepnął chłopak, klękając tuż przy niej.

– Przecież w warsztacie też jest.

– No to przyszedłem po całuska na dobranoc. – Pochylił się ku dziewczynie, składając usta w dzióbek.

– Już dostałeś trzy, zanim poszedłeś spać – odparła Leesha i odepchnęła go pocałunkiem.

– Czy to źle, że chcę jeszcze jednego?

– Chyba nie – stwierdziła i zarzuciła mu rękę na szyję.

Gdy zaraz potem dobiegło ich kolejne skrzypnięcie, spanikowany Gared rozejrzał się w poszukiwaniu kryjówki. Leesha wskazała jedno z krzesel. Chłopak był o wiele za duży, by się w całości pod nim zmieścić, ale w pomieszczeniu panował półmrok rozświetlany jedynie żarem paleniska. Podstęp mógł zadziałać.

Światelko, które ukazało się w szparze między drzwiami a framugą, rozwiało ich wątpliwości. Leesha ledwie zdążyła paść z powrotem na posłanie i zamknąć oczy, gdy drzwi się otworzyły.

Rozchyliła nieco powieki i ujrzała, jak jej matka zagląda do izby. Trzymana przez nią latarenka była częściowo osłonięta i po ścianach pełzały wielkie plamy cienia, dzięki czemu przy odrobinie szczęścia Gared mógł pozostać niezauważony.

Niepotrzebnie się martwili. Dostrzegłszy, że córka śpi, Elona otworzyła drzwi do pokoju zajmowanego przez Steave'a i zniknęła w jego wnętrzu.

Leesha patrzyła za nią przez dłuższą chwilę. Nie zaskoczyła jej niewierność matki, ale aż do tej pory łudziła się, że nie łamie ślubów z taką ochotą.

Poczuła czyjaś dłoń na ramieniu.

– Leesha, przykro mi – wyszeptał Gared, a dziewczyna wtuliła twarz w jego pierś i zaszlochała. Obejmował ją mocno, tłumiąc jej płacz, i kołysał się w przód i w tył.

Gdzieś w oddali zaryczał jakiś demon, a Leesha zapragnęła mu zawtórować, ale ugryzła się w język. Miała nadzieję, że jej ojciec spał, nie zważając na posapywanie Elony – choć szansa na to była niewielka, jeśli nie został wcześniej uraczony jakimiś środkami nasennymi od Bruny.

– Zabiorę cię stąd – przyrzekł Gared. – Nie będziemy tracić czasu na snucie planów. Zbuduję dla nas dom przed ceremonią, nawet jeśli będę musiał osobiście ścinać i taszczyć wszystkie kłody.

– Och, Gared... – Leesha ucałowała wybranka. Chłopak odpowiedział tym samym, a potem ułożył ją na posłaniu. Postukiwanie z pokoju Steave'a oraz wrzaski demonów zniknęły, zagłuszone przez łomot serca.

Dłonie Gareda bez przeszkód przesuwaly się po ciele Leeshy, a ona pozwalała im dotykać miejsc, które wolno dotykać tylko mężowi. Wzdychała i wiła się porywana spazmami rozkoszy. Chłopak skorzystał z okazji i wślizgnął się między jej nogi. Poczuła, jak ściera spodnie, i zrozumiała, do czego zaraz dojdzie. Wiedziała, że powinna zaprotestować, ale w głowie miała ogromną pustkę, a Gared wydawał się jedyną osobą na świecie, która mogła tę

pustkę wypełnić.

Tymczasem Gared już się szykował, by wejść w dziewczynę, gdy w sąsiednim pokoju Elona jęknęła z rozkoszy. Leesha zeszywniała. Czy była lepsza od matki, skoro tak łatwo zarzucała swe śluby? Przysięgała, że przejdzie przez barierę runiczną małżeńskiego domu jako dziewica. Przysięgała, że nie stanie się taka jak Elona, a tymczasem właśnie zaprzepaszczała to wszystko tylko po to, by rozłożyć nogi przed chłopakiem ledwie kilka kroków od miejsca, gdzie grzeszyła jej matka.

„Nienawidzę tych, którzy łamią przysięgi”, usłyszała w głowie słowa Bruny i nagle mocno odepchnęła Gareda.

– Nie, proszę – szepnęła. Chłopak zamarł na dłuższą chwilę, aż w końcu odturlał się na bok i zapiął spodnie. – Przepraszam – wydukała słabym głosem.

– Nie, to ja przepraszam. – Gared ucałował ją w czoło. – Mogę zaczekać.

Zanim wstał, Leesha zdążyła go uścisnąć. Zapragnęła, by został z nią do rana, ale już i tak zbyt kusili fortunę. Gdyby Elona przyłapała ich razem, zapewne surowo ukarałaby córkę bez względu na własne grzechy. A może właśnie przez nie?

Gdy drzwi prowadzące do warsztatu zamknęły się cicho, Leesha padła na posłanie, a jej głowę wypełniły ciepłe myśli o Garedzie. Dopóki go miała, dopóty mogła znieść każdy ból zadany jej przez matkę.

* * *

Podczas śniadania panowała niezręczna cisza. Siedzący wokół stołu domownicy nie rozmawiali, a odgłosy zucia i przelknięcia niemalże odbijały się echem. Wyglądało na to, że nie zostało już nic do powiedzenia. Leesha bez słowa uprzątnęła ze stołu, podczas gdy Gared i Steave przynieśli siekiery.

– Będziesz dzisiaj w warsztacie? – zapytał chłopak, przerywając wreszcie ciszę. Erny uniósł głowę po raz pierwszy tego poranka, zaintrygowany, jaka będzie odpowiedź córki.

– Obiecałam Brunie pomóc przy pielęgnowaniu rannych – odparła Leesha, spoglądając przepraszająco na ojca. Ten pokiwał głową na znak zrozumienia i uśmiechnął się blado.

– Jak długo to jeszcze potrwa? – zapytała Elona.

Leesha wzruszyła ramionami.

– Póki im się nie polepszy, jak sądzę.

– Spędzasz zbyt wiele czasu z tą starą wiedźmą.

– Na twoje życzenie – przypomniała.

– Nie wymądrzaj się tak!

Leesha poczuła, jak wzbiera w niej gniew, ale narzucając płaszcz na ramiona, zmusiła się do najbardziej czarującego uśmiechu.

– Bez obaw, matko. Będę uważać z piciem jej wywarów.

Steve parsknął, a Elona wytrzeszczyła oczy, ale dziewczyna wyszła na zewnątrz, zanim ktokolwiek zdobył się na odpowiedź.

Gared odprowadził ją do miejsca, gdzie co rano spotykali się drwale. Jego przyjaciele już tam czekali.

– Spóźniłeś się, Gar – burknął Evin.

– Ma przecież kobietę, która dla niego gotuje – rzekł Flinn. – Człowiek nigdy potem nie może z niczym zdążyć.

– Szczególnie jeśli nie zdoła zasnąć – parsknął Ren. – Po mojemu to udało mu się namówić ją do czegoś więcej niż tylko gotowania, i to tuż pod nosem starego.

– Ren ma rację, co, Gar? – zapytał Flinn. – Znalazłeś zeszłej nocy nową skrytkę dla swego toporka?

Leesha aż się najeżyła i już otworzyła usta, by odpowiedzieć ciętą uwagą, ale Gared położył jej dłoń na ramieniu.

– Nie zwracaj na nich uwagi – poprosił. – Chodzi im tylko o to, by cię zdenerwować.

– Mógłbyś stanąć w mojej obronie. Ze względów znanych jedynie Stwórcy gotowi jesteście tłuc się z każdego innego powodu.

– Ależ zrobię to – obiecał Gared. – Nie chcę tylko, żebyś na to patrzyła. Wolę, byś mnie uważała za łagodnego człowieka.

– Przecież ty jesteś łagodny. – Leesha wspięła się na palce, by ucałować narzeczonego w policzek. Pozostali mężczyźni zawyli i zatupali, a ona pokazała im język, zanim odeszła.

* * *

– Durna dziewczka – mruknęła Zielarka, gdy Leesha opowiedziała jej o utarczce z matką. – Tylko skończony głupek pokazuje karty zaraz po rozpoczęciu gry.

– To nie gra! – zaprotestowała dziewczyna. – To moje życie!

Bruna nagle złapała ją za twarz i ścisnęła za policzki, sprawiając, że jej usta przybrały kształt dziobka.

– Tym bardziej warto okazać więcej zdrowego rozsądku! – warknęła. W jej mlecznych oczach błysnął gniew.

Leesha znów poczuła złość. Jakim prawem ta kobieta tak się do niej odzywała? Przecież sama gardziła całą wsią, a ponadto groziła każdemu, kto się tylko napatoczył. Czy była kimś lepszym od jej matki? Czy naprawdę powiedziała o Elonie te wszystkie okropne rzeczy dla jej dobra? A może przeinaczała fakty, by ją skłonić do wstąpienia w termin, podobnie jak Elona usiłowała ją zmusić, by jak najszybciej wyszła za Gareda i rodziła mu dzieci? W głębi serca Leesha pragnęła obu tych rzeczy, ale miała dosyć nacisków.

– Kogóż ja tu widzę? – usłyszała nagle od progu. – Nasze cudowne dziecko powróciło.

Leesha uniosła głowę. W drzwiach Świętego Domu ujrzała Darsy z naręczem chrustu.

Uczennica Bruny nawet nie próbowała kryć swej antypatii, a w sprzyjających okolicznościach potrafiła okazać się równie przerażająca, co sama Wiedźma. Leesha próbowała ją przekonać, że nie stanowi zagrożenia, ale wszystko wskazywało, że tylko pogorszyła tym sytuację.

– Nie obwiniaj dziewczyny o to, że przez dwa dni nauczyła się więcej niż ty przez cały pierwszy rok – zaskrzeczała Bruna, gdy Darsy rzuciła drewno na podłogę i podniosła ciężki pogrzebacz.

Leesha była przekonana, że nie dojdzie z Darsy do porozumienia tak długo, aż Zielarka nie zostawi uczennicy w spokoju. Zajął się ucieraniem ziół na okłady. Kilku z poparzonych cierpiało na zakażenie skóry i ich obrażenia wymagały nieprzerwanej uwagi. Pozostali mieli się jeszcze gorzej. Zeszłej nocy Bruna musiała dwukrotnie wstawać, by się nimi zajmować, ale jak dotąd zarówno jej zioła, jak i umiejętności doskonale im służyły.

Zdobyła już zresztą całkowitą kontrolę nad Świętym Domem, a Opiekun Michel i pozostali wypełniali jej polecenia ze skwapliwością godną milneńskich służących. Staruszka trzymała Leeszę blisko siebie i nie przestawała jej objaśniać natury obrażeń i właściwości stosowanych ziół. Dziewczyna zaś pilnie słuchała jej gadaniny, nacinała rany i zszywała ich brzegi. Uświadomiła sobie przy tym, że jej żołądek nabiera odporności na straszliwe widoki.

Poranek przeszedł w popołudnie i Leesha postanowiła nakłonić Brunę do chwili przerwy. Inni zapewne nie zauważali, że staruszka oddycha z coraz większym wysiłkiem, a jej dłonie zaczynają drżeć, ale dziewczyna знаła ją już całkiem nieźle.

– Dość tego – powiedziała wreszcie, wyrywając moździerz i tłuczek z rąk Zielarki, która rzuciła jej rozgniewane spojrzenie. – Czas na odpoczynek.

– Co ty sobie myślisz, dziewczyno... – zaczęła Bruna, sięgając po laskę.

Leesha zorientowała się w sytuacji w samą porę i pochwyciła laskę, a potem pomachała nią tuż przed haczykowatym nosem staruszki.

– Czeka cię kolejny atak, jeśli nie zaczniesz szanować swego zdrowia. Zabieram cię stąd, bez gadania! Stefny i Darsy dadzą sobie radę przez godzinę.

– Wątpię – burknęła Bruna, ale pozwoliła, by Leesha pomogła jej wstać.

Gdy wyszły na zewnątrz, słońce stało wysoko na niebie. Okalająca świątynię trawa była zielona i soczysta, z wyjątkiem kilku czerniałych śladów pozostawionych przez ogniste demony. Leesha rozłożyła koc i pomogła Zielarce usiąść, a potem przyniosła specjalny wywar oraz miękki chleb, który nie stanowił problemu dla słabego i niekompletnego uzębienia staruszki.

Obie cieszyły się przez chwilę ciszą oraz ciepłem wiosennego dnia. Dziewczyna uświadomiła sobie, że porównywanie Bruny do Elony było jawną niesprawiedliwością. Kiedy po raz ostatni wespół z matką czerpały przyjemność ze wspólnego wypoczywania? Czy kiedykolwiek coś takiego miało miejsce?

Naraz usłyszała dźwięk przypominający bulgotanie. Odwróciła się i ujrzała, że Bruna pochrapuje. Mimowolnie rozciągnęła usta w uśmiechu i nakryła ją szalem, a potem sama

wyciągnęła nogi, kładąc się na trawie. Wtedy dostrzegła Sairę oraz Mairy, które wyszywały nieopodal. Obie przyjaciółki przywołały ją gestami, a gdy podeszła, zrobiły dla niej miejsce na kocu.

– Jak tam terminowanie u Zielarki? – zapytała Mairy.

– Ledwie żyję – odpowiedziała Leesha. – A gdzie Brianne?

Dziewczęta spojrzęły po sobie i zachichotały.

– W lesie z Evinem – szepnęła konspiracyjnie Saira.

– Ona skończy nie lepiej niż Klarissa.

Saira wzruszyła ramionami.

– Twierdzi, że nie należy potępiać tego, czego się samemu nie spróbowało.

– Ty też masz zamiar spróbować? – zapytała Leesha.

– Sama pewnie uważasz, że nie ma powodu, by nie okazać odrobiny wstrzemięźliwości – odparła Saira. – Ja też tak uważałam. Do czasu, gdy demony porwały Jaka. Teraz oddałabym wszystko, by być z nim choćby raz przed jego śmiercią. Nawet jeśli potem miałam urodzić jego dziecko.

– Przepraszam – wyjąkała Leesha.

– Nic się nie stało – ze smutkiem odparła Saira. Przyjaciółki objęły się, a Mairy dołączyła do uścisku.

Nagle usłyszały za plecami wołanie:

– Och, jaki piękny widok! Ja też chcę!

Spojrzęły za siebie, w chwili gdy wpadła na nie Brianne. Całą czwórką przewróciły się ze śmiechem na trawę.

– Wesoło dziś wyglądasz – zauważyła Leesha.

– Och, to wszystko zasługa małego bara-bara w lesie. – Brianne puściła oko i kuksnęła Leeszę łokciem w żebra. – A tak na marginesie, Eevin zdradził mi taaajemniicie!

– Mówże, mów! – jak na komendę zawołała cała trójka.

Brianne zaśmiała się i strzeliła oczami w kierunku Leeshy.

– Może później. A jak się dziś miewa nowa uczennica wioskowej Zielarki?

– Nie jestem jej uczennicą – zaprotestowała Leesha. – Bez względu na to, co sama na ten temat mówi. Wciąż mam zamiar prowadzić warsztat ojca, gdy się pobierzemy z Garedem. Póki co pomagam tylko przy chorych.

– Ja tam wolę trzymać się od tego z daleka – stwierdziła Brianne. – Zielarstwo to ciężka robota. Niespecjalnie dzisiaj wyglądasz. Wypałaś się zeszłej nocy?

Leesha pokręciła głową.

– Podłoga przy palenisku nie jest tak wygodna jak moje łóżko.

– Nie miałabym nic przeciwko spaniu na podłodze, gdyby to Gared był moim siennikiem.

– Brianne zachichotała.

– A co to znów miało znaczyć?

– Nie zgrywaj niewiniątka, Leesh – sarknęła Brianne z nutką irytacji w głosie. – Jesteśmy przecież przyjaciółkami.

– O co ci chodzi?

– Daj już spokój i zejdź wreszcie z piedestału, dziewczyno. Wiem, że spałaś z Garedem zeszłej nocy. Miałam nadzieję, że będziesz z nami szczerą.

Saira i Mairy westchnęły ze zdumienia, a Leesha nagle poczerwieniała, patrząc na Brianne szeroko otwartymi oczyma.

– Do niczego między nami nie doszło! – wykrztusiła wreszcie. – Kto ci to powiedział?

– Evin. Twierdzi, że Gared tylko o tym dziś rozprawia.

– A więc Gared jest parszywym kłamcą! Myślisz sobie, że niby kim jestem? Zwykłą dziwką, która chodzi po wsi i...

Twarz Brianne nagle pociemniała, a Leesha wstrzymała oddech i zasłoniła usta.

– Och, Brianne... Przepraszam cię, nie chciałam...

– A właśnie że chciałaś. Myślę też, że to jedyna rzecz, jaką powiedziałaś dziś szczerze.

Brianne wstała i otrzepała suknię. Dobry nastrój, którym zwykle promieniała, zniknął bez śladu.

– Chodźcie, dziewczyny. Chodźmy gdzieś, gdzie powietrze nie cuchnie obłudą.

Saira i Mairy spojrzały po sobie, a potem na Leeshę, ale Brianne już odchodziła, tak więc czym prędzej się podniosły i pospieszyły za koleżanką. Osamotniona Leesha otworzyła usta, ale nie opuściło ich ani jedno słowo. Nie miała pojęcia, co powiedzieć.

– Leesha! – usłyszała wołanie Bruny. Odwróciła głowę i dostrzegła, że staruszka usiłuje wstać, wspierając się na lasce. Z bólem spojrzała po raz ostatni za odchodzącymi przyjaciółkami, po czym pospieszyła jej z pomocą.

* * *

Leesha czekała na Gareda i Steave'a, którzy wolnym krokiem szli ścieżką prowadzącą do jej domostwa. Dowcipkowali i śmiali się głośno, a ich wesołość niespodziewanie obudziła w sercu Leeshy siłę, której potrzebowała. Zaciśnęła dłonie na sukni, aż zbieleły jej kłykcie, i wyszła im naprzeciw.

– Leesha! – Steave powitał ją z kpiarskim uśmiechem. – Jak się dziś miewa moja przyszła synowa?

Rozłożył przy tym ręce, jakby chciał ją wyściskać. Dziewczyna całkiem go zignorowała, podeszła do Gareda i z całej siły zderzyła go w policzek.

– Co ty wyrabiasz? – wykrzyknął Gared.

– Ho, ho! – roześmiał się jego ojciec.

Leesha wbiła w niego ciężkie spojrzenie, którego nauczyła się od matki, i drwał postąpił krok w tył, unosząc ręce w pojednawczym geście.

– Widzę, że musicie sobie pogadać – stwierdził. – Najlepiej więc będzie, jeśli zostawię was samych. Przyjemność ma swoją cenę – rzucił na odchodnym do Gareda, puszczając oko.

Leesha znów zamierzyła się do ciosu, ale tym razem młody drwal złapał ją za nadgarstek.

– Przestań w tej chwili! – zażądał.

Dziewczyna zignorowała ból i kopnęła go kolanem między nogi. Grube sukno ubrania złagodziło nieco siłę uderzenia, ale to wystarczyło, by chłopak puścił jej rękę i osunął się na ziemię, ściskając krocze. Leesha kopnęła go raz jeszcze, lecz ciało Gareda było twarde jak skała, a dłonie zasłaniały najwrażliwsze miejsce.

– Leesha, na Otchłan, cóż cię opętało? – jęknął chłopak, ale ona nie słuchała i kopnęła go w twarz.

Gared ryknął z bólu, a gdy zamierzyła się do kolejnego kopniaka, złapał ją za nogę i pchnął z całej siły. Dziewczyna zatoczyła się i padła na plecy. Uderzenie wybiło jej dech z piersi i zanim zdążyła wstać, Gared skoczył na równe nogi, przypadł do niej i unieruchomił ją w potężnym uścisku.

– Oszalałaś? – wrzasnął. Jego twarz była purpurowa, a oczy łzawiły.

– Jak mogłeś? – pisnęła Leesha, nie przestając się rzucać. – Ty pomociłeś demona, jak mogłeś być tak okrutny?!

– Na noc, o czym ty mówisz? – warknął Gared, przypierając ją do ziemi.

– Jak mogłeś? Jak mogłeś tak skłamać? Jak mogłeś opowiedzieć wszystkim, że zeszłej nocy ze mną spałeś?

Twarz Gareda wykrzywił grymas niekłamanego zaskoczenia.

– Od kogo to usłyszałaś?

Leesha po raz pierwszy pozwoliła sobie na przypuszczenie, że to nie on skłamał.

– Evin powiedział Brianne.

– Zabiję tego syna Otchłani. – Gared rozluźnił nieco chwyt. – Obiecał, że będzie trzymał mordę na kłódkę!

– A więc to prawda? – jęknęła Leesha. W tej samej chwili ponownie wbiła kolano w krocze chłopaka, a on zawył i odcoczył się na bok. Dziewczyna błyskawicznie wstała, zanim ponownie zdążył ją złapać. – Dlaczego? Dlaczego tak nakłamałeś?

– Tak sobie tylko gadaliśmy, nic poważnego – jęknął Gared. – Przecież to nic ważnego.

Aż do tej chwili nigdy wcześniej nie splunęła.

– Nic ważnego?! I za to nic ważnego zrujnowałeś całe moje życie?

Gared wstał, a dziewczyna zaczęła się cofać.

– Twoje życie nie jest zrujnowane.

– Brianne wie! A także Saira i Mairy! Jutro cała wieś będzie wiedzieć o wszystkim!

– Leesha...

– Ilu jeszcze?

– Co? – Gared zmarszczył brwi.

– Ilu jeszcze powiedziałaś, głupcze?

Wcisnął dłonie w kieszenie i spuścił wzrok.

– Tylko pozostałym drwalom – bąknął w końcu.

– Wszystkim?! – Leesha rzuciła się na niego, chcąc przeorać mu twarz paznokciami, ale chłopak zdążył ją złapać.

– Uspokój się! – huknął. Jego dłonie zacisnęły się niczym ogromne szczypce na jej rękach. Przeszył ją ból, który pomógł jej oprzytomnieć.

– To boli! – wykrztusiła z całym spokojem, na jaki było ją stać.

– Znacznie lepiej – odrzekł chłopak i nieco rozluźnił dłonie. – Wątpię jednak, czy boli tak bardzo jak kopniak między nogi.

– Zasłużyłaś.

– Nie będę się o to kłócił. Możemy już porozmawiać jak ludzie?

– Jeśli mnie puścisz.

Gared zmarszczył brwi, ale usłuchał i odskoczył poza zasięg nóg dziewczyny.

– Powiesz wszystkim, że kłamałaś? – zapytała.

Pokręcił głową.

– Nie mogę tego zrobić. Wyjdę na idiotę.

– Już lepiej, żebym ja wyszła na kurwę?

– Przecież nie jesteś kurwą, Leesh! Zostaliśmy sobie przyrzeczeni! Nie jesteś taka jak Brianne!

– Dobrze. Może więc sama rozpowiem kilka kłamstw. Skoro twoi przyjaciele dokuczali ci już wcześniej, ciekawe, jak zareagują na wiadomość, że dużo gadasz, a mało robisz.

Gared zacisnął ogromne pięści.

– Nie chcesz tego robić. Jestem wobec ciebie cierpliwy, ale jeśli zaczniesz rozpowiadać takie kłamstwa, to przysięgam, że...

– A tobie kłamać na mój temat wolno?

– Gdy się pobierzemy, przestanie to mieć znaczenie. Wszyscy i tak zapomną.

– Nie wyjdę za ciebie – rzekła Leesha i nagle poczuła, jak z serca spada jej ogromny ciężar.

Gared spojrział na nią z gniewem w oczach.

– Nie sądzę, byś miała wybór. Nikt cię teraz nie zechce, chyba że ten mól książkowy Jonas czy ktoś mu podobny, ale jeśli się tak stanie, spiorę go na kwaśne jabłko. Nikt w całym Zakątku Drwali nie odbierze mi czegoś, co do mnie należy.

– A zatem ciesz się owocami tych łgarstw – powiedziała dziewczyna i odwróciła się na pięcie, by ukryć łzy. – Ponieważ rzucę się na pastwę nocy, zanim zdążysz urzeczywistnić swe marzenia.

* * *

Kosztowało ją to wiele wysiłku, ale zdołała powstrzymać wybuch płaczu podczas przygotowywania jedzenia. Każdy dźwięk wydany przez Gareda bądź Steave'a był niczym długa szpila wbijana w jej serce. Gared kusił ją zeszłej nocy i niemalże mu uległa, choć dobrze wiedziała, co to oznaczało. Stawienie czoła pokusie przyszło jej z wielkim trudem, ale sądziła, że odda swój wianek dopiero wtedy, gdy sama uzna to za stosowne. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że Gared może jej go odebrać kilkoma słowami.

– Dobrze, że spędzasz tyle czasu z Bruną – usłyszała za sobą szept. Odwróciła się gwałtownie i ujrzała Elonę uśmiechniętą z wyższością. – Nie chcemy przecież, żebyś obnosiła się z okrągłym brzuszkiem w dniu ślubu.

Leesha natychmiast pożałowała wcześniejszego komentarza na temat wywarów. Już otworzyła usta, by odpowiedzieć, ale matka zachichotała i odeszła, zanim dziewczyna zdołała cokolwiek z siebie wydusić.

Napłula więc do jej miski, a potem do misek Gareda i Steave'a. Patrząc, jak jedzą, poczuła pustą satysfakcję.

Obiad przebiegał w okropnej atmosferze. Steave szeptał coś do ucha Elony, a ona chichotała w odpowiedzi. Gared nie przestawał wpatrywać się w Leeszę, ale dziewczyna ani razu nie spojrzała w jego stronę. Wbiła wzrok w miskę, a jej ruchy były powolne i pozbawione animuszu, podobnie jak ruchy jej ojca siedzącego tuż obok.

Erny jako jedyny nie słyszał chyba jeszcze o kłamstwach Gareda. Leesha cieszyła się z tego faktu, ale w głębi duszy wiedziała, że nie potrwa to długo. Zbyt wielu ludzi pragnęło jej zaszkodzić.

Wstała od stołu najszybciej jak mogła. Gared nawet nie drgnął, ale czuła, że wodzi za nią wzrokiem. Ledwie wszedł do warsztatu, założyła kłode na drzwi, dzięki czemu poczuła się odrobinę bezpieczniej.

Po raz kolejny płakała, dopóki nie usnęła.

* * *

Kiedy Leesha się obudziła, miała wrażenie, jakby nawet nie zmrużyła oka. Jej matka złożyła w nocy Steave'owi kolejną wizytę, ale słuchając ich posapywania na tle kakofonii wrzasków demonów, dziewczyna czuła wyłącznie obojętność.

Gared również narobił tej nocy sporo hałasu, kiedy odkrył, że wejście do warsztatu zostało zabarykadowane. Leesha uśmiechnęła się ponuro na wspomnienie jego usilnych prób sforsowania drzwi.

Erny ucałował ją w czubek głowy, gdy stawiała garnek z owsianką na ogniu. Od wielu dni nie mieli okazji zostać ze sobą sam na sam. Zastanawiała się, jak jej zrezygnowany i nieszczęśliwy ojciec zareaguje na kłamstwa Gareda. Łudziła się, że uwierzy raczej jej

słowom, ale z drugiej strony wciąż nie mógł przeboleć zdrady żony. Wiedziała, że w tym człowieku nie zostało już zbyt wiele miłości i zaufania do bliskich.

– Dziś też będziesz się zajmować chorymi? – zapytał, a gdy jego córka kiwnęła głową, posłał jej ciepły uśmiech. – To wspaniale.

– Przykro mi, że nie miałam ostatnio czasu na pracę w warsztacie.

Chwył Leeshę za ręce i pochylił się, patrząc jej prosto w oczy.

– Ludzie są zawsze ważniejsi od papieru – stwierdził.

– Nawet niegodziwcy?

– Nawet niegodziwcy. – Choć jego uśmiech wyglądał na wymuszony, w głosie nie dało się wyczuć wahania czy wątpliwości. – Odszukaj najbardziej niegodziwego człowieka na świecie, a wyglądając w nocy przez okno, i tak ujrzysz coś potworniejszego.

Łzy spłynęły po policzkach Leeshy. Erny przytulił ją mocno. Kołysał się i gładził jej włosy.

– Jestem z ciebie dumny, Leesh – szepnął. – Wyrabianie papieru to moja pasja, ale runy cię nie zawiodą, jeśli wybierzesz dla siebie inne życie.

Dziewczyna przyłgnęła do ojca, zwilżając jego koszulę łzami.

– Kocham cię, tato. Obojętne, co się wydarzy, nigdy nie przestawaj w to wierzyć.

– Nie mógłbym przestać, promyczku. Ja również będę cię zawsze kochać.

Trwali w uścisku przez długą chwilę. Leesha pomyślała, że na całym świecie został jej już tylko ojciec.

Wymknęła się, gdy Gared i Steave wciąż naciągali buty. Miała nadzieję, że uda jej się dotrzeć niepostrzeżenie do Świętego Domu, ale przyjaciele Gareda czekali na zewnątrz. Powitali ją głośnymi gwizdami i drwinami.

– Postanowiliśmy sprawdzić, czy ty i twoja matka nie zatrzymujecie przypadkiem Gareda i Steave'a w łóżkach – zawołał Ren. – Jeszcze by się nieboraki do pracy spóźniły!

Leesha poczuła, jak jej policzki zaczynają płonąć, ale nie powiedziała słowa i puściła się biegiem w kierunku Świętego Domu. Odgłos gremialnego śmiechu długo ją jeszcze ścigał.

Wiedziała, że niczego sobie nie wmawia – napotkani ludzie naprawdę patrzyli na nią w szczególny sposób i ścisiali głosy, gdy przechodziła obok. Spieszyła ku schronieniu, jakie spodziewała się znaleźć w Świętym Domu, lecz gdy dotarła na miejsce, w progu zastała Stefny. Małżonka Smitta zagroziła przejście. Jej nozdrza poruszały się szybko, zupełnie jakby Leesha cuchnęła ługiem, którego jej ojciec używał do wyrabiania papieru.

– Cóż znowu? – zapytała przygarbiona dziewczyna. – Wpuść mnie do środka. Przyszłam pomóc Brunie.

Stefny pokręciła głową.

– Nie skazisz świętego miejsca smrodem swego grzechu – warknęła.

Leesha wyprostowała plecy. Choć była od Stefny sporo wyższa, czuła się przed nią niczym mysz przed nastroszonym kotem.

– Nie popełniłam żadnego grzechu.

– Ha! Cała wieś rozprawia o tym, co wyczyniacie nocą z Garedem. Żywiłam co do ciebie pewne nadzieje, ale wygląda na to, że bez reszty wdałaś się w matkę.

Nim Leesha zdążyła zaprotestować, usłyszała skrzek Bruny:

– Co to za zamieszanie?

Stefny odwróciła się na pięcie i spojrzała wyniośle na Zielarkę.

– Ta dziewczyna to zwykła kurwa. Nie wpuszczę jej do domu Stwórcy.

– Ty jej nie wpuścisz? Czyżbyś teraz to ty pełniła rolę naszego Stwórcy?

– Nie bluźnij w tym miejscu, kobieto – syknęła Stefny. – Jego słowa zostały tu umieszczone tak, by wszyscy mogli je ujrzeć. – Uniosła oprawiony w skórę egzemplarz Kanonu, z którym nigdy się nie rozstawała. – To przez cudzołóżników spadła na nas Plaga, a zarówno ta mała zdzira, jak i jej matka doskonale do tej kategorii pasują.

– A gdzie jest dowód ich przestępstwa?

Stefny uśmiechnęła się z wyższością.

– Gared rozpowiadał o ich grzechu każdemu, kto miał ochotę słuchać.

Bruna prychnęła. Nieoczekiwanie wzięła zamach laską i dzieliła kobietę w głowę, powalając ją na ziemię.

– Jesteś gotowa potępić tę dziewczynę, za jedyny dowód mając gadaninę jakiegoś młokosa?! Chłopięce przechwałki nie są warte funta kłaków, sama dobrze o tym wiesz.

– Tak samo jak wszyscy wiedzą, że jej matka jest wioskową kurwą! – parsknęła Stefny. Po świątynnej podłodze płynęła strużka krwi. – Niby czemu szczenię miałyby się różnić od suki, która je zrodziła?

Bruna z zawziętością wbiła koniec laski w ramię Stefny.

– Ejże! – wykrzyknął Smitt, wpadając do środka. – Dość już tego!

– To jest Świąty Dom, a nie jakaś angieriańska tawerna! – zawtórował mu Opiekun Michel.

– To sprawy między kobietami i lepiej trzymajcie się z daleka, jeśli wiecie, co wam miłe! – warknęła Brunna, pozbawiając ich animuszu, a potem spojrzała na Stefny. – Powiesz im prawdę czy twój grzech również mam ujawnić?

– Na moim sumieniu nie ma grzechów, wiédźmo!

– Przyjęłam poród każdego dziecka w tej wsi – odparła Brunna szeptem zbyt cichym, by mężczyźni mogli ją usłyszeć. – Pomimo krążących tu i ówdzie plotek z bliska widzę całkiem dobrze. Trudno więc, bym nie widziała niemowlęcia, które trzymam na ręku.

Stefny pobladła i spojrzała najpierw na męża, a potem na Opiekuna.

– Zostawcie nas samych! – zawołała.

– Prędeżj mnie Otchłań pochłonie! – Smitt złapał za laskę Bruny i szarpnął nią ku górze, uwalniając żonę. – Posłuchaj, kobieto! Czy jesteś Zielarką czy nie, nie wolno ci chodzić po wsi i bić kogo popadnie.

– Och, a twoja żona może potępiać, kogo zechce? – Bruna wyrwała laskę z uścisku mężczyzny i stuknęła go w głowę.

Smitt cofnął się, łapiąc równowagę.

– No dobra – wydyszał, pocierając czoło. – Próbowałem załatwić to spokojnie.

Zwykle po tych słowach zakasywał rękawy i wyrzucał kogoś z karczmy. Nie był mężczyzną wysokim, ale za to krępkim i barczystym. Co więcej, miał mnóstwo doświadczenia w potyczkach z pijanymi drwałami.

Bruna nie przypominała żyłastego, umięśnionego drwala, lecz bynajmniej nie wyglądała na wystraszoną i nawet nie drgnęła, gdy Smitt ruszył w jej kierunku.

– W porządku! – krzyknęła. – Wyrzuć mnie! Leczcie ze Stefny tych, którzy rzygają krwią i łapią gorączkę demoniczną! Sami przyjmujcie porody i warczcie sobie leki! Wyrabiajcie własne płomienne patyczki! Na jaką cholere potrzebna wam Wiedźma?

– No właśnie? – zapytała Darsy, podchodząc do Smitta i przyciągając spojrzenia wszystkich zebranych. – Sama też mogę mieszać zioła i przyjmować porody.

Zielarka parsknęła śmiechem. Nawet Smitt popatrzył na Darsy z powątpiewaniem, lecz ona zignorowała jego reakcję.

– Sądzę, że nadszedł czas na zmiany – oznajmiła. – Może i nie mam stu lat doświadczenia jak Bruna, ale przynajmniej nie będę wszystkich bić i zastraszać.

Smitt podrapał się po policzku i zerknął na chichoczącą staruszkę.

– No dalej! – zachęciła go. – Przyda mi się trochę spokoju. Ale nie przyłażcie potem do mnie, kiedy ta głupia krowa zszyje to, co powinna rozciąć, lub rozetnie to, co powinna załatać.

– Może Darsy w istocie zasługuje na szansę... – głośno zastanawiał się Smitt.

– A zatem postanowione. – Dla podkreślenia wagi swych słów Bruna stuknęła laską w podłogę. – Tylko nie zapomnijcie przekazać mieszkańcom, do kogo od tej pory należy chodzić po leki. Ja zamierzam się cieszyć spokojem w chatce. Idziemy – zwróciła się do Leeshy. – Pomożesz staruszce dotrzeć do domu.

Ujęła Leeshę pod ramię i ruszyła ku wyjściu.

Gdy mijala Stefny, zatrzymała się na moment i wycelowała w nią laskę.

– Jedno złe słowo o tej dziewczynie – szepnęła cicho, by nikt jej nie podsłuchał – a cała wieś pozna twój grzech.

Wspomnienie malującego się na twarzy Stefny przerażenia prześladowało Leeshę przez całą drogę do chatki Zielarki. Gdy już znalazły się w środku, Bruna zapytała:

– I co, dziewczyno? Czy to prawda?

– Nie! – wykrzyknęła Leesha. – To znaczy my prawie... Ale powiedziałam mu, żeby przestał, a on posłuchał!

Sama dobrze wiedziała, że zabrzmiało to mało wiarygodnie. Ogarnęło ją przerażenie. Bruna jako jedyna stanęła w jej obronie i nagle dziewczyna uświadomiła sobie, że pęknie jej

serce z rozpaczy, jeśli również staruszka oskarży ją o kłamstwo.

– Możesz... Możesz to sprawdzić, jeśli chcesz. – Wbiła wzrok w podłogę. Zacisnęła powieki, chcąc powstrzymać łzy. Na jej policzkach znów rozlały się rumieńce.

Bruna chrząknęła i pokręciła głową.

– Wierzę ci.

– Dlaczego? – zapytała Leesha niemalże błagalnie. – Dlaczego Gared tak nakłamał?

– Ponieważ chłopcy zyskują poklask za to, za co dziewczęta wypędzane są ze wsi. Ponieważ dla mężczyzn najważniejszą rzeczą jest to, co inni sądzą o ich przyrodzeniu. Ponieważ Gared, nędzny gnojek z kłosem drewna zamiast mózgu, nie zdaje sobie sprawy, jaki skarb posiada.

Leesha znów uderzyła w płacz. Miała wrażenie, jakby łzy towarzyszyły jej od zawsze i jakby musiało już tak pozostać. Czy ludzkie ciało naprawdę jest zdolne pomieścić w sobie aż tyle łez?

Bruna pozwoliła, by dziewczyna padła jej w objęcia.

– Już dobrze, już dobrze – szepnęła spokojnym głosem. – Wyrzuć to z siebie, a potem pomyślimy, co z tym wszystkim począć.

* * *

Gdy Leesha pracowała nad wywarami, w chatce panowała cisza. Było jeszcze wcześniej, ale dziewczyna czuła się całkowicie wyczerpana. Jak mogła w ogóle mieć nadzieję, że dożyje ostatnich dni w Zakątku Drwali?

Fort Rizon leży ledwie tydzień drogi stąd, pomyślała. Mieszkają tam tysiące ludzi i żaden z nich nie słyszał o łgarstwach Gareda. Być może udałoby mi się odnaleźć Klarissę...

I co dalej? Zdawała sobie sprawę, że to mrzonki. Nawet jeśli jakiś Posłaniec zechciałby ją zabrać do Fortu Rizon, przerażała ją wizja spędzenia ponad tygodnia pod gołym niebem. Co więcej, Rizończycy byli rolnikami i nie potrzebowali listów ani papieru. Może zdołałaby znaleźć nowego męża, ale świadomość, że miałyby wkrótce związać los z innym mężczyzną, stanowiła niewielkie pocieszenie.

Przyniosła Brunie wywar z nadzieją, że ona znajdzie odpowiedź na jej rozterki, ale staruszka nie odezwała się słowem. W ciszy popijała ziółka małymi łyčzkami, a Leesha klęczała przy jej krześle.

– Co mam teraz począć? – zapytała w końcu. – Nie mogę przecież wiecznie się tutaj ukrywać.

– Mogłabyś – odparła Zielarka. – Bez względu na to, czym chelpi się Darsy, nie zdołała zapamiętać nawet części tego, czego ją uczyłam, a nie nauczyłam jej nawet części tego, co sama wiem. Ludzie wkrótce znów zaczną tu przychodzić i żebrać o pomoc. Zostań, a za rok mieszkańcy Zakątku Drwali nie będą wiedzieć, jak dawali sobie bez Ciebie radę.

– Matka nigdy mi na to nie pozwoli. Nadal chce mnie wydać za Gareda.

Bruna pokiwała głową.

– I pewnie tak już zostanie. Nigdy sobie nie wybaczyła, że nie urodziła Steave’owi synów. Uparła się, byś to ty naprawiła jej błędy.

– Nie zrobię tego. Prędzej rzucę się na pastwę nocy, niż pozwolę Garedowi, by mnie dotykał. – Leesha uświadomiła sobie z przerażeniem, że każde z tych słów wypowiedziała szczerze.

– Odważna z ciebie dziewczyna – rzekła Brunna, ale w jej głosie słychać było potępienie.

– W istocie, odebranie sobie życia z powodu łgarstw jakiegoś młodzieniaszka i strachu przed matką to odważny czyn.

– Nie boję się jej!

– A zatem czego? Może chwili, kiedy jej powiesz, że nie wyjdiesz za chłopaka, który zszargał twoje dobre imię?

Leesha milczała przez dłuższą chwilę, aż wreszcie kiwnęła głową.

– Masz rację. Chyba najlepiej zrobię, jeśli załatwię to od razu.

Wstawała powoli, lecz staruszka nie odezwała się już słowem. Ruszyła więc ku drzwiom i dopiero w progu spojrzała za siebie.

– Bruno? Jaki grzech ma na sumieniu Stefny?

– Smitt ma troje pięknych dzieci – odparła Zielarka i upiła łyk wywaru.

– Czwooro – poprawiła ją Leesha.

Staruszka pokręciła głową.

– To Stefny ma czwooro. Smitt ma tylko troje.

Dziewczyna otworzyła oczy ze zdumienia.

– Ale jak to możliwe? Przecież Stefny nigdy nie opuszcza tawerny, chodzi tylko do Świętego...

I nagle wstrzymała oddech.

– Nawet Święci Mężowie są mężczyznami – dokończyła za nią Brunna.

* * *

Leesha szła do wioski wolnym krokiem, próbując ułożyć w myślach odpowiednią mowę, ale w końcu zrozumiała, że nie ma to sensu. Co za różnica, jak to powie? Liczyło się przecież tylko to, że nie poślubi Gareda, a nie reakcja matki.

Było już późne popołudnie, gdy dotarła do domu. Steave i Gared nie wrócili jeszcze z lasu, a Leesha zamierzała zakończyć sprawę, zanim się pojawią.

– Cóż, tym razem naprawdę niezłe narozrabiałaś – rzuciła matka na jej widok. – Oto moja córka, wioskowa zdzira i ladacznica.

– Nie jestem ladacznicą! – wybuchła dziewczyna. – Gared rozpowiada kłamstwa.

- Ani się waż oskarżać go tylko dlatego, że nie potrafiłaś trzymać nóg razem!
- Nie spałam z nim!
- Nie traktuj mnie jak idiotki! Ja też byłam kiedyś młoda!
- I chyba nadal jesteś, sądząc po tym, co wyrabiasz w nocy. A Gared to kłamca i tyle.

Elona uderzyła córkę w twarz. Leesha zatoczyła się i upadła.

- Nigdy więcej nie odzywaj się do mnie w ten sposób, ty mała dziwko!

Dziewczyna leżała nieruchomo, wiedząc, że jeśli spróbuje wstać, matka uderzy ją po raz kolejny. Policzek płonął żywym ogniem.

Na widok upokorzonych córki Elona wzięła głęboki oddech i zaczęła się uspokajać.

– To w sumie nieistotne – powiedziała. – Zawsze uważałam, że trzeba cię strącić z piedestału, na który wznosił cię twój ojciec niedojda. Wkrótce wyjdiesz za Gareda, a ludziom znudzi się szeptanie po kątach.

Dziewczyna napięła mięśnie.

- Nie wyjdę za niego – oświadczyła. – To zwykły kłamca. Nie zrobię tego.

– Ależ oczywiście, że zrobisz.

– Nie! – zaprotestowała Leesha, wstając. Słowa matki przydały jej sił. – Nie wypowiem słów przysięgi, a ty mnie do tego nie zmusisz.

– No cóż, to się dopiero okaże – stwierdziła Elona i zaczęła odpinać grubą skórzany pas z metalową klamrą, który zawsze nosiła luźno zapięty wokół talii. Zakładała go tylko po to, by go mieć pod ręką, kiedy zapragnie spuścić córce lanie.

Leesha krzyknęła ze strachu i zaczęła się cofać w kierunku kuchni. Dopiero w środku uświadomiła sobie, że powzięła najgorszą decyzję z możliwych – w kuchni nie było tylnego wyjścia.

Elona zamachnęła się i smagnęła córkę klamrą przez plecy. Suknia nie chroniła wystarczająco dobrze przed uderzeniem i dziewczyna wrzasnęła z bólu. Elona uniosła pas do kolejnego uderzenia, a wtedy Leesha w desperacji rzuciła się prosto na nią. Zbiła ją z nóg i przetoczyły się po podłodze. Wtem dobiegł do nich dźwięk otwieranych drzwi i dudniący głos Steave'a. Jednocześnie w warsztacie rozległo się wołanie klienta.

Leesha znieruchomiała na ułamek sekundy, a Elona wykorzystała moment jej nieuwagi i z całej siły grzmotnęła ją w twarz. Błyskawicznie zerwała się na nogi i znów smagnęła córkę pasem. Z zaciśniętych ust dziewczyny wydarł się kolejny jęk bólu.

– Na Otchłań, cóż tam się wyprawia?! – dobiegło wołanie z progu. Leesha uniosła głowę i ujrzała ojca, który usiłował przedostać się do kuchni. Drogę blokowała mu ręka Steave'a, potężna niczym konar.

– Zejdź mi z drogi! – wrzasnął Erny.

– To sprawa między nimi – skrzywił się Steave.

– To mój dom, a ty jesteś w nim gościem! Zejdź mi z drogi!

Steave nawet nie drgnął i nagle Erny dzielił go pięścią.

Wszyscy zamarli. Przez chwilę nie było jasne, czy Steave w ogóle poczuł uderzenie, ale wtedy ciszę przerwał jego tubalny śmiech. Olbrzymi drwał odepchnął Erny'ego do głównej izby.

– A wy, drogie panie, załatwcie swoje sprawy na osobności – oznajmił, mrugając filuternie okiem. Kiedy zatrzęsnał drzwi kuchni, Elona znów dopadła do córki.

* * *

Leesha szlochała cichutko na zapleczu warsztatu, delikatnie obmywając skaleczenia i siniaki. Z odpowiednimi ziołami zapewne działałaby znacznie więcej, ale do dyspozycji miała jedynie zimną wodę i ręcznik.

Uciekła do warsztatu zaraz po laniu i zarygłowała drzwi od środka. Nie otworzyła ich nawet wtedy, gdy rozległo się delikatne pukanie ojca. Gdy wreszcie oczyściła wszystkie rany, a najgłębsze opatrzyła, skuliła się na podłodze, drżąc z bólu i wstydu.

– Wyjdiesz za Gareda w dniu twego pierwszego krwawienia – obiecała córce Elona. – Jeśli ci to nie odpowiada, będę cię prac codziennie, aż wybije ci z głowy sprzeciwy.

Leesha wiedziała, że matka nie żartuje. Wiedziała też, że przez kłamstwa Gareda wielu ludzi weźmie stronę Elony. Wszyscy będą nalegać, by dziewczyna wyszła za młodego drwala, jak zwykle nie zwracając uwagi na jej siniaki. Nie zrobię tego, obiecała sobie Leesha. Prędzej oddam się nocy niż Garedowi.

I właśnie wtedy jej wnętrznościami targnął skurcz. Leesha jęknęła, a potem poczuła wilgoć na udach. Przerazona wytarła ją w pośpiechu czystą szmatką, modląc się przy tym żarliwie. Niestety, choć zakrawało to na okrutny żart Stwórcy, na szmatce dostrzegła krew.

Krzyknęła ze zgrozy. Ktoś odpowiedział jej z wnętrza domu, a potem usłyszała walenie do drzwi.

– Leesha, wszystko w porządku? – zawołał jej ojciec.

Dziewczyna w milczeniu wpatrywała się w ślady krwi. Czy nie o to właśnie składała modły do nieba ledwie dwa dni temu? Teraz miała wrażenie, jakby ta krew przybyła do niej z samego serca Otchłani.

– Leesha, natychmiast otwieraj albo przez całą noc będziesz płacić za nieposłuszeństwo! – wrzasnęła Elona, ale i ją dziewczyna zignorowała.

– Jeśli nie posłuchasz matki, wyważę drzwi, zanim doliczę do dziesięciu! – zagrział Steave. – Obiecuję!

I zaczął liczyć. Leesha nie wątpiła, że Steave jest w stanie wedrzeć się do środka za pomocą jednego solidnego uderzenia. Podbiegła więc do drzwi prowadzących na dwór i szeroko je rozwarła.

Zapadał zmrok. Niebo przybrało kolor głębokiej purpury, a widoczny jeszcze rąbek słońca miał się skryć za horyzontem za kilka minut.

– Pięć! – wołał Steave. – Cztery! Trzy!
Leesha nabrała głęboko tchu i wybiegła z domu.

6

Sekrety ognia

319 RP

Leesha uniosła spódnicę, pędząc jak szalona. Od chaty Bruny dzieliła ją jednak ponad mila i w głębi serca dziewczyna wiedziała, że za nic w świecie nie zdąży na czas. Zza jej pleców dochodziły krzyki członków rodziny, ale zagłuszały je bicie serca i tupot stóp. Czula ostre klucie w boku, a plecy i uda piekły w miejscach obitych pasem. Potknęła się i podrapała sobie dłonie, próbując zachować równowagę. Mimo to powstała, ignorując ból, i samą siłą woli zmusiła się do dalszego biegu.

W połowie drogi do chaty Zielarki światło słoneczne przygasło, a gęstniejące ciemności zaczęły przywabiać demony z Otchłani. Tu i ówdzie pojawiały się ciemne kłęby mgieł krzepnące w złowieszcze postaci potworów.

Leesha zbyt późno uświadomiła sobie, że nie chce umierać. Nawet gdyby postanowiła zawrócić, od domu dzieliła ją teraz jeszcze większa odległość niż od chaty Bruny, a po drodze nie było żadnego schronienia. Erny celowo wzniósł dom na uboczu, zmuszony wysłuchiwać niekończących się skarg na temat smrodu jego preparatów. Leesha nie miała więc wyboru, musiała biec przed siebie, ku chatce na skraju lasu, gdzie roiło się od drzewnych demonów.

Kilka otchłańców próbowało pochwycić dziewczynę, ale wciąż nie uzyskały materialnej postaci. Poczula ukłucie zimna, gdy widmowe szpony przeszły jej pierś, zupełnie jakby dotknął jej duch. Wrażeniu temu nie towarzyszył jednak ból i mogła biec dalej.

W pobliżu lasu trudno było spotkać ognistego demona, dla których demony drzew nie miały litości. Choć zwykły ogień nie wyrządzał im krzywdy, od splunięcia kuzynów mogły stanąć w płomieniach. Tuż przed dziewczyną zmaterializował się demon wichru, ale zdołała go wyminąć. Patykowate odnóża bestii nie nadawały się do pieszej gonitwy, tak więc potwór poprzestał na wydaniu z siebie przeraźliwego wrzasku.

Leesha dostrzegła w oddali słaby blask, zapewne latarni wiszącej przy drzwiach chatki Zielarki. Zmusiła się do jeszcze jednego szaleńczego zrywu.

– Bruno! Bruno! – krzyczała w biegu. – Proszę, otwórz!

Nie usłyszała jednak odpowiedzi, a drzwi nawet nie drgnęły. Na szczęście drogi do chatki nikt nie zastępował i zaczynała już mieć nadzieję, że ujdzie z życiem.

W chwili gdy to pomyślała, tuż przed nią pojawił się ośmionogi demon drzew.

Wszelka nadzieja umarła.

* * *

Demon ryknął, ukazując rzędy długich i ostrych zębów. Przy jego twardych mięśniach, okrytych pancerzem przypominającym korę, nawet potężny Steave wyglądał jak chuchro.

Leesha nakreśliła w powietrzu run, modląc się do Stwórcy o szybką śmierć. Opowiadano bowiem, że demony pożerają nie tylko ludzkie ciała, ale i dusze.

Cóż, zaraz sama się o tym przekonam, przemknęło jej przez głowę.

Otchłaniec podchodził, coraz bardziej ograniczając dziewczynie możliwości ucieczki. Nie spuszczał z niej oczu, próbując odgadnąć, w którym kierunku jego ofiara rzuci się do biegu. Leesha wiedziała, że powinna uciekać, ale nie dość, że przerażenie całkiem ją sparaliżowało, to w dodatku demon stał na drodze do jedynego schronienia.

Nagle jednak zaskrzypiały zawiasy i na podwórzu wylało się światło z wnętrza chatki. Demon odwrócił głowę i zmierzył wzrokiem staruszkę, która wyszła na zewnątrz, powłócząc nogami.

– Bruno! – krzyknęła Leesha. – Stój! Tu jest drzewny demon!

– Moje oczy nie są tak dobre jak kiedyś, słonko – odparła Zielarka – ale takiego paskudztwa nie przegapiłabym za nic w świecie.

Zrobiła jeszcze jeden krok i przekroczyła barierę. Leesha jęknęła, gdy otchłaniec zawył i rzucił się w kierunku staruszki.

Bruna nawet nie drgnęła, wpatrzona w potwora, który szarżował z przerażającą prędkością. Naraz sięgnęła w głąb szala i wyciągnęła jakiś drobny przedmiot, który przytknęła do latarni.

Demon już się szykował do skoku, gdy Zielarka wzięła zamach i rzuciła w niego płonącym przedmiotem. Pocisk eksplodował, zalewając bestię płynnym ogniem. Płomienie strzeliły wysoko ku niebu i Leesha poczuła żar na policzkach, pomimo że od sceny walki dzieliło ją wiele jardów.

Otchłaniec zawył przeraźliwie i padł na ziemię, tarzając się w rozpaczliwej próbie ugaszenia ognia. Płomienie jednakże za nic nie chciały ustąpić i potwór ciskał się jak szalony, wyjąc wniebogłosy.

– Lepiej wchodź już do środka, Leesh – poradziła Bruna. – Jeszcze się przeziębisz.

* * *

Zawinięta w jedną z chust staruszki Leesha wpatrywała się w parę buchającą z kubka z wywarem, którego nie miała zamiaru wypić. Ryki drzewnego demona dochodziły zza drzwi jeszcze przez dłuższą chwilę, aż przeszły w ciche popiskiwanie, a w końcu całkiem zamarły. Dziewczyna wyobrażała sobie zwęglone kikuty na podwórzu i miała wrażenie, że zaraz zwymiotuje.

Bruna siedziała tuż obok na bujanym fotelu i robiła na drutach, cicho nucąc. Leesha nie rozumiała jej spokoju. Wątpiła, czy sama kiedykolwiek zazna tego uczucia.

Stara Zielarka zbadała ją bez słowa, pochrzając od czasu do czasu, gdy nacierała maściami i bandażowała obrażenia, z których kilka musiało powstać podczas ucieczki. Pokazała też dziewczynie, w jaki sposób zatamować krwotok między nogami, i poradziła, by często zmieniała szmatki, których do tego celu używa.

Lecz teraz siedziała wygodnie w fotelu, jak gdyby nic się nie stało, a jedynymi dźwiękami zakłócającymi ciszę było postukiwanie drutów i trzask płomieni w palenisku.

– Co zrobiłaś temu demonowi? – zapytała Leesha, nie potrafiąc znieść milczenia.

– To był płynny ogień demoniczny – odparła Brunna. – Niebezpieczne paskudztwo. Trudno je wytworzyć. Z drugiej strony to jedyna znana mi broń zdolna powstrzymać drzewnego demona. One są odporne na zwykły ogień, ale płynny pali je równie skutecznie, jak ogniste splunięcia ich pobratymców.

– Nie wiedziałam, że w ogóle można zabić demona.

– Już ci mówiłam, dziewczyno, że Zielarki strzegą wiedzy minionych dziejów – odparła staruszka, po czym odchrząknęła i splunęła na podłogę. – Przynajmniej garstka z nas. Możliwe, że jestem ostatnią, która zna recepturę tej piekielnej substancji.

– Dlaczego trzymasz to w tajemnicy? Moglibyśmy się uwolnić od demonów raz na zawsze!

– Uwolnić? – zachichotała Brunna. – W pierwszej kolejności spalilibyśmy zapewne całą wioskę aż do fundamentów, a w drugiej lasy. Poza tym najgorętsze płomienie nawet nie połaskoczą demona ognia ani nie zatrzymają demona skał. Żaden ogień nie buchnie tak wysoko, by sięgnąć demona wichru i żaden nie osuszy stawu bądź jeziora, by dostać się do demonów wody.

– Ale przecież to, czego dokonałaś tej nocy, może być dla nas użyteczne! – naciskała dziewczyna. – Przecież ocaliłaś mi życie...

Bruna pokiwała głową.

– Strzeżemy wiedzy minionych dni, by znów ją kiedyś wykorzystać, ale ta wiedza wymaga ogromnej odpowiedzialności. Podczas studiowania historii nasuwa się zaś jeden wniosek – mężczyznom nie powinno się powierzać tajemnic ognia. To dlatego Zielarki

zawsze są kobietami – ciągnęła. – Mężczyźni wykorzystują zdobytą potęgę we własnych celach. Będę sprzedawać Smittowi ogniste patyczki i jarmarczne petardy, ale nigdy mu nie powiem, jak je wyrabiać.

– A Darsy? Jest kobietą, a nigdy jej tego nie uczyłaś.

– Ta głupia krowa nie potrafiłaby mieszać składników bez podpalenia siebie albo i innych – parsknęła Bruna. – Poza tym ona właściwie myśli jak mężczyzna. Już chyba wolałabym nauczyć tej sztuki Steave’a.

– Będą mnie szukać i z pewnością tu przyjdą. Staruszka machnęła ręką na kubek ze stygnącym wywarem.

– Pij – nakazała. – Jutro będziemy się martwić.

Leesha usłuchała. Zdażyła zauważyć, że kwaśny smak turunia i gorycz werbeny przyprowadzają o zawroty głowy, a potem na skraju świadomości zarejestrowała, że kubek wypada jej z rąk.

* * *

Obudziła się rankiem obolała jak nigdy dotąd. Bruna dodała Wierzbicy do jej wywaru, by załagodzić ból oraz rozluźnić kurcze w żołądku, ale lekarstwo zaburzyło jej zmysły. Miała wrażenie, jak gdyby unosiła się nad posłaniem, a mimo to jej członki były ciężkie niczym z ołowiu.

Erny przybył zaraz po świcie. Na widok córki padł na kolana i wybuchnął płaczem.

– Myślałem, że cię straciłem – szlochał.

Leesha wyciągnęła ku niemu słabe ręce i zmierzwiła jego rzadziejące włosy.

– To nie twoja wina – szepnęła.

– Już dawno powinienem był postawić się twojej matce.

– Mało powiedziane – burknęła Bruna znad robótki. – Żaden mężczyzna nie może pozwolić, by własna żona tak go traktowała.

Erny pokiwał głową, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Twarz miał ściągniętą smutkiem, a spod jego okularów popłynęły kolejne łzy.

Ktoś załomotał do drzwi. Bruna powiodła wzrokiem za Ernym, który wstał, by je otworzyć.

– Jest tutaj? – rozległ się głos Elony. W tej samej chwili Leesha poczuła, jak jej skurcze odżywają ze zdwojoną mocą. Nie miała dość sił, by powstać i walczyć. Nie miała ich nawet tyle, by zejść z łóżka.

Chwilę później Elona weszła do środka, a za nią, niczym para ogarów, Jared i Steave.

– A zatem tu jesteś, ofiario losu! – wrzasnęła Elona. – Zdajesz sobie sprawę, ile napędziłaś mi strachu, uciekając z domu prosto w mrok? Połowa wsi cię szuka! Czeka cię za to niezłanie!

– Nie będziesz nikogo bić – zaprotestował Erny. – Jeśli ktokolwiek ponosi za to wszystko winę, jesteś to ty.

– Zamknij się – syknęła Elona. – To przez ciebie Leesha jest taka krnąbrna! To ty ją tuliłeś i rozpieszczęsałeś!

– Nie zamknę się – rzekł twardo mężczyzna i zagroził żonie drogę.

– Zastanów się, co będzie dla ciebie najlepsze, chłopie – ostrzegł go Steave, zaciskając pięści.

Erny spojrział na niego i przełknął ślinę.

– Nie boję się ciebie – powiedział, lecz jego głos zabrzmiał cienko, niemalże piskliwie. Gared zachichotał.

Steave pochwycił Erny'ego za koszulę i dźwignął go jedną ręką. Drugą zamierzył się do ciosu.

– Lepiej skończ już z tymi wygłupami – ostrzegła męża Elona. – A ty – zwróciła się do córki – idziesz z nami. I to w tej chwili.

– Ona nigdzie nie idzie. – Bruna odłożyła wreszcie robótkę. Wstała, opierając się na lasce. – Jeśli ktokolwiek opuści teraz mój dom, będziecie to wy.

– Cicho, stara wiedźmo. Nie pozwolę ci zrujnować życia mojej córce w ten sam sposób, w jaki zrujnowałaś moje!

– Czy to ja przemocą wlewałam w ciebie wywar z glisowca i zmuszałam cię, byś rozwierała nogi przed całą wsią? Sama jesteś sobie winna. A teraz wynocha z mojego domu!

– A jeśli nie?

Staruszka obdarzyła matkę Leeshy bezzębnym uśmiechem i bez ostrzeżenia rąbnęła ją końcem laski w stopę. Elona wrzasnęła z bólu, lecz Zielarka już wyprowadzała kolejne uderzenie, tym razem w brzuch. Kobieta upadła na ziemię, nie mogąc złapać oddechu.

– Spokój! – huknął Steave, odrzucając Erny'ego. Wraz z Garedem ruszyli na staruszkę.

Bruna wydawała się równie spokojna jak podczas szarży demona drzew. Bez słowa sięgnęła pod chustę i wyciągnęła garstkę proszku, którym dmuchnęła w kierunku twarzy obu drwali. Gared i Steave rzucili się z wrzaskiem na podłogę, drapiąc i trąc policzki.

– Mam tego więcej, Elono – oznajmiła. – Prędzej wszyscy troje oślepniecie, niż ja wykonam czyjekolwiek polecenie we własnym domu.

Elona pomknęła ku drzwiom na czworakach, osłaniając twarz. Zielarka zaśmiała się i soczystym kopniakiem w zadek pomogła jej wyjść na zewnątrz.

– Wy też wynocha! – krzyknęła do Gareda i Steave'a. – Wynocha, bo was podpalę!

Obaj mężczyźni dźwignęli się niezdarnie, jęcząc z bólu. Ich zaczerwienione twarze były mokre od łez. Bruna ujęła mocniej laskę i pogoniła ich ku drzwiom niczym psy, które właśnie nasikały na podłogę.

– Jeśli postanowicie tu wrócić, gorzko tego pożałujecie! – zawołała za nimi, dziko chichocząc, gdy niezdarnie wybiegali z podwórza.

* * *

Nieco później tego dnia znów ktoś zapukał do drzwi. Leesha potrafiła już wstawać z łóżka, ale wciąż czuła się osłabiona.

– Cóż znowu? – warknęła Bruna. – Nie miałam tylu gości jednego dnia, odkąd mi cycki zwiędły!

Pokuśtykała do drzwi i otworzyła je na oścież. W progu stał Smitt, nerwowo splatając dłonie. Staruszka zwęziła oczy.

– Ja już nie lecę – rzuciła. – Idź do Darsy.

Z tymi słowami zaczęła zamykać.

– Poczekaj, błagam! – Smitt włożył rękę między drzwi a framugę. Bruna spiorunowała go wzrokiem i mężczyzna cofnął dłoń jak oparzony.

– Czekam – powiedziała z rozdrażnieniem.

– Chodzi o Andego. Rana brzucha zaczęła gnicić i Darsy ją rozcięła, ale teraz wycieka z niej krew.

Staruszka splunęła na buty właściciela karczmy.

– Mówiłam ci, że tak właśnie będzie.

– Wiem. Miałaś rację, powinienem był cię posłuchać. Proszę, wróć do nas. Zrobię wszystko, co zechcesz.

– Nie mogę pozwolić, by Ande płacił za twoją głupotę – burknęła. – Ale dotrzymasz słowa. Niech ci nawet do głowy nie przyjdzie, że mogłabym o tym zapomnieć.

– Zrobię wszystko, o co poprosisz – przyobiecał ponownie Smitt.

– Erny! – warknęła wiedźma. – Przynies no moją płachtę z ziołami. Smitt mi ją poniesie, a ty pomożesz córce. Idziemy do wsi.

Leesha oparła dłoń na ramieniu ojca. Obawiała się, że będzie opóźniać marsz, ale mimo osłabienia potrafiła dotrzymać kroku powłóczącej nogami staruszce.

– Powinam cię zmusić, byś mnie poniósł na plecach – burknęła Zielarka do Smitta. – Moje nogi nie są już tak zwawe jak niegdyś.

– Poniosę cię, jeśli zechcesz.

– Nie rób z siebie idioty!

Połowa mieszkańców wsi czekała już przed Świętym Domem. Na widok Bruny rozległy się westchnienia ulgi, a posiniaczone ciało i porwane suknie Leeshy wywołały szmer szeptów.

Staruszka zignorowała zgromadzonych i weszła do Świętego Domu, torując sobie drogę laską. Podążająca za nią Leesha dostrzegła również Gareda oraz Steave'a, którzy leżeli na posłaniach z wilgotnymi szmatkami na oczach. Z trudem opanowała szyderczy uśmieszek. Bruna już jej wyjaśniła, że wykorzystwała przeciwko drwalom mieszanek pieprzu i bielunia,

która nie mogła wywołać trwałych obrażeń, ale dziewczyna miała nadzieję, że Darsy nie zna się na ziołach na tyle dobrze, by im to wyjaśnić. Nachylona nad nimi Elona posłała Zielarce mordercze spojrzenie.

Bruna podeszła prosto do posłania Andego. Ciało wieśniaka lśniło od potu, bił też od niego fetor zgnilizny. Skóra zdążyła pozółknąć, a płótno, którym go owinięto, przesiąkło krwią, uryną i odchodami. Brunna spojrzała na niego i splunęła. Na twarzy siedzącej nieopodal Darsy widać było ślady łez.

– Leesha, rozwiń płachtę – rozkazała Zielarka. – Mamy robotę.

Darsy natychmiast ruszyła w kierunku dziewczyny.

– Ja się tym zajmę – oznajmiła. – Wyglądasz, jakbyś sama miała paść ze zmęczenia.

Leesha mocniej zacisnęła ręce na materiale i pokręciła głową.

– To moje miejsce – rzekła, a następnie rozwinęła płachtę, by umożliwić staruszce dostęp do rozlicznych kieszonek z ziołami.

– Leesha jest teraz moją uczennicą! – wrzasnęła Brunna, by wszyscy ją usłyszeli. Spojrzała Elonie w oczy i dodała: – Jej przyrzeczenie wobec Gareda staje się zatem nieważne, a od dziś dziewczyna będzie mi służyć przez siedem lat i jeden dzień. Zaś każdy, kto źle się wyrazi o niej lub jej nowym zajęciu, sam będzie leczyć swe choroby!

Elona otworzyła usta, ale wtedy Erny wskazał ją palcem:

– Zamknij się! – huknął.

Kobieta wytrzeszczyła oczy i zakrztusiła się niewypowiedzianymi jeszcze słowami. Tymczasem Erny pociągnął Smitta za rękę, by porozmawiać z nim na osobności.

Pogrążona w pracy Leesha wkrótce straciła poczucie czasu. Próbując usunąć zgniliznę, Darsy przypadkowo nacięła jelito Andego i zatrąła go jego własnymi nieczystościami. Brunna klęła nieprzerwanie, usiłując naprawić wyrządzone przez byłą uczennicę szkody, a Leesha uwijała się jak fryga, czyszcząc instrumenty, przynosząc zioła i mieszając eliksiry. Przez cały ten czas Zielarka uczyła młodą adeptkę, objaśniała jej błędy Darsy i swoje kroki celem ich naprawienia.

Gdy już zrobiły wszystko, co mogły, ciasno zaszyły ranę i przewiązały ją czystymi bandażami. Ande, którego wcześniej napojono wywarami kojącymi, wciąż był pogrążony w głębokim śnie, ale wydawało się, że oddycha z większą łatwością, a jego skóra zmieniła kolor na bardziej naturalny.

– Wyjdzie z tego? – zapytał Smitt, gdy Leesha pomogła Brunie dźwignąć się na nogi.

– Jeśli tak, to na pewno nie dzięki tobie czy Darsy – parsknęła Zielarka. – Ale jeśli pozostanie tutaj i będzie pielęgnowany ściśle wedle instrukcji, to nie zejdzie z tego świata z powodów błędu tej krowy.

Gdy szły w stronę wyjścia, zatrzymała się przy posłaniach Gareda i Steave'a.

– Zdejmijciez te głupie bandaże z oczu i przestańcie jęczeć! – warknęła.

Gared posłuchał polecenia jako pierwszy i zamrugnął oślepiiony promieniami słońca.

– Widzę! – krzyknął.

– Ależ oczywiście, że widzisz, ty głupcze z kłosem drewna zamiast mózgu – sarknęła Bruna. – Ta wieś potrzebuje osiłeków do taszczenia ciężarów z miejsca na miejsce, a ślepy byś temu nie podolał. Ale jeśli zdenerwujesz mnie raz jeszcze – pogroziła mu laską – ślepotą stanie się najmniejszym z twoich zmartwień.

Blady ze strachu Gared pokiwał energicznie głową.

– Dobrze, to teraz mów prawdę. Odebrałeś Leeshy jej wianek?

Chłopak rozejrzał się dookoła, aż w końcu opuścił głowę.

– Nie. Kłamałem.

– Co tak cicho, chłopcze?! Jestem starą kobietą, a moje uszy nie służą mi tak jak kiedyś. Czy odebrałeś Leeshy wianek? – zapytała Bruna donośnym głosem, by wszyscy mogli ją usłyszeć.

– Nie! – wrzasnął Gared, a jego twarz poczerwieniała jeszcze bardziej niż na skutek działania proszku. W zebranim na zewnątrz tłumie podniosły się szepty.

Steave również zdjął bandaż z twarzy i mocno zdzielił syna w tył głowy.

– Na Otchłań, cieniutko zaśpiewasz, gdy wrócimy do domu – zagroził.

– Z pewnością nie do mojego – odezwał się nagle Erny. Elona skarciła go wzrokiem, ale zignorował tę reakcję i wskazał kciukiem Smitta. – W gospodzie znajdzie się miejsce dla waszej dwójki.

– I odpracujecie koszty pobytu – dodał karczmarz. – Daję wam miesiąc. Po tym czasie wylecicie na zbity pysk, nawet jeśli uda wam się zbudować jedynie mizerny szałasik.

– Przecież to kpiny! – wybuchła Elona. – Nie dadzą rady postawić domu w miesiąc, jednocześnie pracując na swe utrzymanie!

– Sądzę, że powinnaś się teraz martwić o siebie – odparował Smitt.

– Co masz na myśli?

– Ma na myśli to, że czas podjąć pewną decyzję – wyjaśnił Erny. – Nauczysz się dotrzymywać przysięgi małżeńskiej albo poproszę Opiekuna, by nas z niej zwolnił. Będziesz wtedy mogła zamieszkać ze Steave'em i Garedem.

– Nie mówisz chyba poważnie...

– Nigdy w życiu nie byłem poważniejszy.

– Niechże go Otchłań pochłonie! – wrzasnął Steave. – Chodź ze mną.

Elona spojrzała na niego spode łba.

– By mieszkać w twoim szałasie? Niezbyt mi się to uśmiecha.

– A zatem najlepiej będzie, jak od razu wrócisz do domu – rzekł Erny. – Trochę potrwa, zanim nauczysz się pracować w kuchni.

Elona skrzywiła się z niesmakiem. Leesha wiedziała, że jej ojciec właśnie rozpoczął trudną batalię, ale matka posłuchała i ruszyła w kierunku wyjścia, co mogło oznaczać, że nie był w tej walce skazany na porażkę.

Erny ucałował córkę.

– Jestem z ciebie dumny. Mam nadzieję, że pewnego dnia i ty będziesz ze mnie.

– Ależ, tato! – Leesha objęła go z całych sił. – Już jestem!

– A więc wrócisz do domu? – zapytał z nadzieją.

Dziewczyna spojrzała na Brune, a potem znów na ojca i pokręciła głową.

– Rozumiem. – Erny złożył na czole córki jeszcze jeden pocałunek.

Rojer

319 RP

Rojer chodził za matką, która zamiatała podłogę gospody, i naśladował jej szerokie zamachy, dzierżąc w dłoniach własną miotkę. Kobieta co rusz mierzwiła jego jasnorude włosy, a on odpowiadał promiennym uśmiechem. Miał dopiero trzy lata.

– Wymieć za piecem, Rojer – powiedziała. Chłopczyk podreptał wypełnić polecenie. Wsunął miotkę w szczelinę między piecem a ścianą i pociągnął kilkakrotnie, wzbijając chmurę kurzu i drobnych odłamków drewna. Matka zamiotła wszystko na większą kupkę.

Drzwi naraz stanęły otworem i do środka wszedł ojciec Rojera z naręczem drewna. Przeszedł przez izbę, zostawiając za sobą piasek i wióry.

– Jessum! – wykrzyknęła kobieta. – Właśnie tu posprzątałam!

– A ja pomogłem! – z dumą oznajmił chłopczyk.

– To prawda – przytaknęła. – A teraz twój ojciec nam tu bałagani.

– Chcesz, żeby skończyło nam się drewno? Akurat teraz, gdy gościmy księcia i jego orszak? – zapytał Jessum.

– Ale Jego Łaskawość nie wróci przynajmniej przez tydzień.

– Lepiej wszystkiego dopilnować, póki mamy w gospodzie spokój, Kally – odparł mężczyzna. – Nie wiadomo przecież, ilu dworzan książę tym razem ze sobą przywiedzie. Pewno znów będą nas poganiać tam i z powrotem, jakby Rzeczułka była samym Angiers.

– Jeśli chcesz zrobić coś naprawdę pożytecznego, sprawdź runy na zewnątrz, bo zaczynają się zacierać.

Jessum pokiwał głową.

– Widziałem. Drewno odkształciło się podczas ostatniego mrozu.

– Patron Piter miał je nakreślić na nowo już tydzień temu.

– Rozmawiałem z nim wczoraj. Skierował wszystkich do prac na moście, ale mówi, że będą gotowi przed powrotem księcia.

– To nie powrót księcia mnie martwi – parsknęła kobieta. – Piter troszczy się jedynie o to, by wyrzucić dobre wrażenie na Rhinebecku i otrzymać książęce nadanie. Ja mam prostsze zmartwienia, jak na przykład to, by mojej rodziny nie pożarły w nocy demony.

– W porządku, w porządku! – Jessum uniósł ręce. – Pójdę i raz jeszcze z nim porozmawiam.

– Myślałam, że Piter okaże się mądrzejszy – ciągnęła Kally. – Przecież Rhinebeck nie jest nawet naszym księciem.

– Ale jest jedynym księciem, który dotrze do nas w porę, jeśli będziemy potrzebowali pomocy. Dopóki zaglądną tu Posłańcy, a podatki płacone są na czas, dopóty Euchor będzie miał Rzeczułkę gdzieś.

– Zaczynaj myśleć rozsądnie. Rhinebeck przybędzie do nas tylko dlatego, że sam ma chrapkę na nasze pieniądze. Zobaczysz, będziemy płacić obu władcom, zanim Rojer skończy cztery lata.

– A co wedle ciebie mamy niby zrobić? – Jessum wzruszył ramionami. – Rozgniewać księcia, który sąsiaduje z nami o dzień drogi, i okazać lojalność temu, od którego dzielą nas dwa tygodnie wędrówki na północ?

– Nie twierdzę, że powinniśmy go urazić. Nie rozumiem tylko powodu, dla którego zabieganie o jego względy stało się nagle istotniejsze od bezpieczeństwa naszych domów.

– Przecież powiedziałem, że pójdę!

– A więc idź – ponagliła go Kally. – Już minęło południe. I weź ze sobą Rojera, może Piter przypomni sobie, co tak naprawdę najbardziej się liczy.

Jessum powstrzymał ochotę, by spojrzeć na żonę spode łba, i kucnął przed synkiem.

– Chcesz zobaczyć most?

– Rybki? – zapytał chłopiec, ucieszony wizją połowów. Jessum zaśmiał się i przyciągnął Rojera do piersi.

– Nie dziś. Mama chce, byśmy zamienili słowo z Piterem.

Posadził sobie synka na ramionach.

– No, a teraz trzymaj się mocno.

Malec objął ojca za kłującą zarostem szyję.

Do mostu nie było daleko. Na całą Rzeczułkę składały się jedynie garstka domów i sklepików, koszary dla żołnierzy, którzy pobierali myto, oraz gospoda rodziców chłopca. Rojer pomachał do mytników, gdy mijali ich posterunek, a oni odpowiedzieli tym samym.

Most łączył brzegi Rzeki Granicznej w jej najwęższym miejscu. Zbudowano go wiele pokoleń temu przy użyciu dwóch przęsł, które razem miały ponad trzysta stóp długości. Był wystarczająco szeroki, by mogły się na nim wyminąć dwa wozy zaprzężone w konie. Grupa konstruktorów z Miln codziennie kontrolowała stan lin i wsporników. Droga Posłańców –

jedyna droga przebiegająca przez wioskę – ciągnęła się w obu kierunkach jak okiem sięgnąć.

Patron Piter stał po przeciwnej stronie mostu i wykrzykiwał w dół polecenia. Rojer spojrział w tym samym kierunku i dostrzegł mężczyzn, którzy zwisali na linach, kreśląc runy.

– Piter! – zawołał Jessum, gdy znajdowali się w połowie długości mostu.

– O, Jessum! – odrzyknął Patron Runów. Właściciel gospody postawił dziecko na ziemi, by się przywitać.

– Most wygląda naprawdę nieźle – stwierdził. Piter zdążył już zastąpić większość prostszych, wymalowanych runów bardziej złożonymi, wykaligrafowanymi znakami, które najpierw grawerowano, a następnie lakierowano i polerowano.

– Książę narobi w portki, gdy zobaczy moje runy – oznajmił z dumą Piter.

– A w międzyczasie Kally wypucuje gospodę – dodał ze śmiechem Jessum.

– Niech wyjedzie stąd zadowolony, a świetlaną przyszłość mamy zapewnioną. Starczy skromna pochwała wyszeptana do właściwego ucha i przeniesiemy nasze interesy do Angiers. Będziemy mogli raz na zawsze pożegnać się z tym grajdołem.

– Ten grajdoł to mój dom. – Jessum zmierzył Patrona wzrokiem. – Mój dziadek urodził się w Rzeczułce i moje wnuki też się tu urodzą, jeśli to mnie przyjdzie o tym decydować.

Piter kiwnął głową.

– Bez urazy, chłopie. Po prostu tęsknię za Angiers.

– Dlaczego więc nie wrócisz? Droga stoi otworem, a jedna noc na trakcie nie stanowi przecież żadnego wyzwania dla Patrona Runów. Nie potrzebujesz chyba do tego księcia.

Piter pokręcił głową.

– W Angiers aż się roi od Patronów. Byłbym tam jednym z setek, jeśli nie tysięcy. Jednakże przychylność księcia mogłaby mnie zaprowadzić wysoko.

– Póki co bardziej mnie martwi dzień dzisiejszy – wyznał Jessum. – Runy mi się łuszczą i Kally ma obawy, że dziś w nocy mogą zawieść. Rzuciłbyś na nie okiem?

Piter wypuścił powietrze z płuc.

– Mówiłem ci wczoraj... – zaczął, ale Jessum nie pozwolił mu dokończyć.

– Wiem, co mi powiedziałeś, ale to nie wystarczy. Nie pozwolę, by mojego synka chroniły słabe runy, bo ty akurat upiększasz sobie inne. Nie możesz ich poprawić?

– Przecież sam sobie z tym poradzisz. Po prostu pogrub linie. Dam ci trochę farby.

– Nawet Rojer rysuje lepiej ode mnie. Pokpię sprawę i otchłańce dadzą mi popalić, a jeśli nie one, to Kally.

Piter skrzywił się. Już miał odpowiedzieć, gdy od strony drogi dobiegł okrzyk:

– Hej, Rzeczułko!

– Geral! – zawołał Jessum, a zaintrygowany Rojer uniósł głowę i natychmiast rozpoznał potężną postać Posłańca. Na jego widok prawie pociekła mu ślinka, bowiem Geral zawsze miał dla niego coś słodkiego.

Tuż obok Posłańca jechał drugi człowiek, co prawda nieznanomy, ale pstrokate kolory

ubrania szybko uspokoiły chłopca. Przypomniawszy sobie, jak poprzedni Minstrel śpiewał, tańczył i chodził na rękach, aż podskoczył z podniecenia. Uwielbiał Minstreli ponad wszystko.

– Oto mój mały Rojer! – wykrzyknął Geral. Ściągnął wodze i zeskoczył na ziemię, by unieść chłopca w powietrze. – Ledwie wyjechał, a ten już wystrzelił o kolejne sześć cali!

Posłaniec był wysokim mężczyzną o sylwetce przypominającej beczkę na deszczówkę, okrągłej twarzy i szarej brodzie. Swego czasu Rojer bał się jego kolczugi i pozostawionej przez demona blizny na dolnej wardze, która nadawała jego twarzy gniewny grymas, ale dawno już pokonał swój lęk. Zaśmiał się głośno, połaskotany przez mężczyznę.

– W której kieszeni? – zapytał Geral, a Rojer natychmiast wskazał właściwą – Posłaniec zawsze trzymał słodycze w tej samej.

Olbrzym z uśmiechem wyciągnął nieco rizoniańskiego cukru zawiniętego w liście kukurydzy. Malec pisnął i usiadł na trawie, by wydobyć skarb.

– Co tym razem sprowadza cię do Rzeczułki? – zapytał Jessum.

Zanim doczekał się odpowiedzi, Minstrel wystąpił i odrzucił płaszcz z galanterią. Był roslim, opalonym mężczyzną z brązową brodą i długimi włosami wypłowiałymi od słońca, przez co wyglądały niemalże na złote. Jego szczęka miała kształt idealnie kwadratowy. Na pstrokatym ubraniu nosił wspaniałą tunikę z herbem w postaci zielonych liści na brązowym tle.

– Zwą mnie Arrickiem Słodką Pieśnią. Jestem mistrzem Minstreli i heroldem Jego Łaskawości księcia Rhinebecka III, Strażnika Leśnej Fortecy, Powiernika Drewnianej Korony i władcy całego Angiers. Przybywam, by przyjrzeć się wsi przed wizytą Jego Łaskawości.

– Książęcy herold Minstrelem? – zapytał Piter, unosząc brew.

– Kogóż innego wysyłać do wioski? – Geral zmrużył oko. – Wieśniakom nie jest aż tak pilno powiesić go na drzewie za wieści o wyższych podatkach, gdy zabawia dzieci.

Zaśmiał się głośno na widok grymasu dezaprobaty na twarzy Minstrela.

– Bądź dobrym człowiekiem i zawołaj stajennego, by zatroszczył się o nasze konie – przykazał Arrick Jessumowi.

– To ja jestem miejscowym stajennym. Nazywam się Jessum, a oto mój synek, Rojer.

Arrick zignorował zarówno chłopca, jak i dłoń Jessuma. Niespodziewanie wyciągnął znikąd srebrny księżyc, który wyrzucił w powietrze. Gospodarz złapał monetę i obejrzał ją z zaciekawieniem.

– Konie! – rzucił Arrick dobitnie. Jessum zmarszczył brwi, ale ruszył w kierunku zwierząt. Geral odegnał go gestem i sam ujął wodze swego wierzchowca.

– Nadal mi zależy, byś rzucił okiem na moje runy, Piter – przypomniał Jessum. – Naprawdę nie chcesz, żebym przysłał tu Kally.

– Wygląda na to, że most wymaga jeszcze wiele uwagi przed przybyciem Jego Łaskawości – zauważył Arrick. Piter wyprostował się na te słowa i obrzucił Jessuma

kwaśnym spojrzeniem.

– Czy zatem życycie sobie spać dzisiaj za zaporą ze złuszczonej runy, heroldzie? – spytał Jessum. Brązowa skóra Arricka niespodziewanie pobrała.

– Spojrzę na nie, jeśli chcesz – zaproponował Geral. – Sam je poprawię, o ile nie są w zbyt kiepskim stanie, a jeśli są, osobiście zawlekę tam Pitera.

Wbił koniec włóczni w ziemię i spojrzał twardo na Patrona, który szybko pokiwał głową na znak zrozumienia. Posłaniec podniósł Rojera i posadził go w siodle ogromnego wierzchowca.

– Trzymaj się, maluchu! Czeka nas przejażdżka!

Rojer ze śmiechem zacisnął rączki na grzywie konia, a Geral i Jessum poprowadzili go w kierunku gospody. Arrick szedł przed nimi niczym możny pan, za którym kroczą sługi. Kally czekała przy drzwiach.

– Geral! – zawołała. – Cóż za miła niespodzianka!

– A to kto? – Minstrel błyskawicznie przygładził włosy i poprawił ubranie.

– To Kally – odparł Jessum. – Moja żona – dodał na widok błysku w oczach nieznanego.

Arrick zdawał się jednak nie słyszeć jego słów. Podszedł do kobiety, odrzucił poły kolorowego płaszcza i złożył przed nią zamaszty ukłon.

– Wielka to przyjemność ujrzeć was, pani. – Ucałował jej dłoń. – Zwę się Arrick Słodka Pieśń. Jestem mistrzem Minstreli i heroldem Jego Łaskawości księcia Rhinebecka III, Strażnika Leśnej Fortecy, Powiernika Drewnianej Korony i władcy całego Angiers. Jego Łaskawość będzie zachwycony, widząc tak piękną kobietę, gdy zawita do waszej gospody.

Kally zakryła usta dłonią, a jej blade policzki pokraśniały, dorównując intensywnością koloru rudym włosom. Odpowiedziała niezręcznym dygnięciem.

– Musicie być strudzeni. Wejdźcie, a ugoszczę was gorącą zupą.

– Będziemy zachwyceni, dobra pani. – Arrick ukłonił się raz jeszcze.

– Geral obiecał, że sprawdzi nasze runy przed zmierzchem, Kal – wtrącił Jessum.

– Co? – Jego żona oderwała oczy od czarującego uśmiechu Minstrela. – Och, dobrze. Odprowadźcie konie i zajmijcie się runami, a ja pokażę mistrzowi Arrickowi pokój i zacznę nakrywać do kolacji.

– Doskonały pomysł. – Minstrel podał kobiecie ramię. Razem weszli do gospody.

– Uważaj na Arricka, gdy przebywa blisko twej żony – mruknął Geral. – Nazywają go Słodką Pieśnią, bo kobietom wilgotnieje między nogami na dźwięk jego głosu. Nie słyszałem też, by kiedykolwiek przejął się ślubami małżeńskimi.

Jessum zmarszczył brwi.

– Rojer – ściągnął syna z konia – biegnij do środka i zostań z mamą.

Chłopiec kiwnął głową i podreptał ku drzwiom.

* * *

– Ostatni Minstrel połykał ogień – zauważył Rojer. – Umiesz połykać ogień?

– Pewnie – odparł Arrick. – Umiem nim też plunąć jak demon.

Chłopczyk zaklaskał, a Arrick znów spojrzał na Kally, która nachylała się za szynkwasem, by napełnić kufel. Włosy zasłoniły jej twarz.

Rojer pociągnął Minstrela za płaszcz. Arrick odrzucił jego poły na bok, by utrudnić chłopcu psotę, ale wtedy poczuł szarpnięcie za nogawkę.

– O co chodzi? – zapytał, zerkając na małego łobuza ze zniecierpliwieniem.

– A umiesz śpiewać? Bo ja lubię śpiew.

– Może pośpiewam ci później – zbył chłopca i znów się odwrócił.

– Och, zaśpiewaj mu choć króciutką piosenkę – poprosiła Kally, stawiając na ladzie kufel spienionego piwa. – Sprawisz mu tym wiele radości.

Spojrzenie Arricka powędrowało ku zapięciu sukni gospodyni, które w tajemniczy sposób rozwiązało się, gdy nalewała piwa.

– Oczywiście – odpowiedział z promiennym uśmiechem. – Pozwól mi tylko skosztować twego wspaniałego piwa, bym splukał kurz z gardła.

Opróżnił kufel jednym haustem, nie spuszczać wzroku z dekoltu kobiety, po czym sięgnął po leżący na podłodze pstrokaty worek. Wyciągnął lutnię, a w międzyczasie Kally ponownie napełniła kufel.

Izbę wypełniła muzyka. Delikatnie wodząc palcami po strunach, Arrick zaśpiewał przepięknym, czystym altem o wioskowej dziewczynie, która przegapiła swą szansę, by zaznać miłości z młodym mężczyzną, zanim ten wyjechał do Wolnych Miast. Kally i Rojer wpatrywali się w Minstrela z zachwytem, a kiedy skończył, nagrodzili jego występ brawami.

– Jeszcze! – zawołał chłopiec.

– Nie teraz. – Arrick zmierzwił mu czuprynę. – Może po kolacji. A może... – Znow sięgnął do pstrokatego worka. – Może sam coś zagrzasz?

Wyciągnął proste skrzypki – kilka podłużnych kawałków wypolerowanego palisandru różnej długości osadzonych w polakierowanej drewnianej ramie. Mocnym sznurkiem przymocowano sześciocalowy gryf zakończony kulą.

– Zmykaj się pobawić, podczas gdy ja pogawędzę sobie z twoją cudowną mamą.

Rojer zapiszczał z zachwytem, porwał zabawkę i odbiegł na bok. Klapnął na drewnianej podłodze i zaczął trącać struny, ciesząc się czystymi dźwiękami.

Kally roześmiała się na ten widok.

– Któregoś dnia z pewnością zostanie Minstrelem – stwierdziła.

– Interes kiepsko się kręci? – zapytał Arrick, wskazując puste stoły.

– Och, podczas obiadu mieliśmy wielu gości, ale o tej porze roku mało kto zostaje tu na noc, z wyjątkiem odwiedzających nas czasem Posłańców.

– Człowiek musi się czuć bardzo samotny, doglądając pustej gospody.

– Czasami tak bywa – przyznała Kally. – Ale Rojer dba o to, bym się nie nudziła. Potrafi znaleźć mi zajęcie nawet wtedy, gdy w gospodzie panuje spokój, a w sezonie karawan, kiedy pijani woźnicy budzą go przez całą noc śpiewami, nie mogę go wręcz odstępować.

– Pewnie tobie równie trudno wówczas zasnąć.

– Tak, to prawda. Ale Jessum potrafi przespać wszystko.

– Czyżby? – zapytał Arrick, muskając dłoń gospodyni. Kally wstrzymała oddech, ale nie cofnęła ręki.

Nagle drzwi wejściowe rozwarły się z impetem.

– Runy poprawione! – zawołał Jessum od progu. Kally wyrwała rękę tak szybko, że potrafiła kufel. Pochwyciła szmatę, by zetrzeć ściekające z kontuaru piwo.

– Starczyło je poprawić? – zapytała z powątpiewaniem, nie patrząc na męża, by nie dostrzegł jej rumieńców.

– Ale skąd! – zaoponował Geral. – Są w oplakany stanie. Szczerze mówiąc, to szczęście, że chroniły was tak długo. Poprawiłem te, które wyglądały najgorzej, a jutro rano zamienię słowo z Piterem. Dopilnuję, by przed zmierzchem wykreślił na nowo każdy run na ścianach tej gospody, nawet jeśli bym miał przez cały ten czas trzymać go na końcu włóczni.

– Dziękuję. – Kally wbiła w męża spojrzenie pełne pretensji.

– Wciąż zwożę gnój do obory – powiedział wymijająco Jessum – więc przywiązałem konie na podwórzu wewnątrz kręgu Posłańca.

– W porządku. A teraz idźcie się umyć, zaraz będzie kolacja.

* * *

– Doskonale – stwierdził Arrick. Na kolację, do której zdążył już wypić ogromne ilości piwa, Kally upiekła bowiem nadziewany ziołami udziec jagnięcy, a jego najlepsze kawałki podała księżętemu heroldowi.

– Nie masz aby siostry równie pięknej co ty? – zapytał między jednym kęsem a drugim. – Jego Łaskawość poszukuje właśnie nowej żony.

– Wydawało mi się, że księżę już ma żonę. – Zarumieniona Kally nachyliła się, by napęlić kufel Minstrela.

– Ano ma – burknął Geral. – Czwartą.

Arrick parsknął.

– Jeśli wierzyć krążącym po pałacu pogłoskom, nie jest wcale płodniejsza od poprzednich. Rhinebeck będzie się rozglądał za żonami dopóty, dopóki nie znajdzie takiej, która da męskiego potomka.

– To może być prawdą – przyznał Geral.

– Ile jeszcze razy Opiekunowie pozwolą mu przysięgać przed majestatem Stwórcy, że

bierze sobie żonę do grobowej deski? – zapytał gospodarz.

– Tyle, ile będzie trzeba – zapewnił Arrick. – Lord Janson trzyma Świętych Mężów za pysk.

Posłaniec splunął.

– To niesprawiedliwe. Ludzie, którzy oddali życie Stwórcy, muszą się teraz korzyć przed tym...

Arrick ostrzegawczo uniósł palec.

– Mówi się, że nawet drzewa mają uszy i nasłuchują, czy ktoś nie wygaduje złych rzeczy o naszym pierwszym ministrze.

Gerał spiorunował Minstrela wzrokiem, ale przezornie nie powiedział już ani słowa.

– Cóż, w Rzeczułce raczej nie znajdzie dla siebie żony – stwierdził Jessum. – Nawet nam samym brakuje tu kobiet. Ja musiałem pojechać aż do Świerszczowej Ostoi po Kally.

– Jesteś Angierianką, moja droga? – zapytał Arrick.

– Z urodzenia – odparła gospodyni. – Ale Opiekun zmusił mnie na ślubie, bym złożyła przysięgę lojalności wobec Miln. Wszyscy mieszkańcy Rzeczułki poprzysięgają wierność Euchorowi.

– Do czasu – rzekł Minstrel.

– A więc plotki są prawdziwe? – dociekał Jessum. – Rhinebeck przybywa, by ogłosić swe prawa do Rzeczułki?

– Nie sądzę, by przybrało to aż tak dramatyczną formę. Jego Łaskawość po prostu wychodzi z założenia, że skoro połowa mieszkańców wioski jest angierskiej krwi, a most został wybudowany z angierskiego drewna, powinny nas połączyć – Arrick zerknął znacząco na żonę gospodarza – nieco bliższe stosunki.

Jessum prychnął.

– Jakoś wątpię, by Euchor chciał zrezygnować z Rzeczułki. Rzeka Graniczna dzieli ich ziemie od tysiąca lat. Już prędzej porzuciłby tron, niż oddał granicę.

Minstrel wzruszył ramionami i znów się uśmiechnął.

– Te sprawy pozostawmy księżętom i ich ministrom. – Uniósł kufel. – My, maluczcy, nie musimy się nimi kłopotać.

Słońce wkrótce zaszło i z dworu co rusz dobiegały suche trzaski, którym towarzyszyły rozbłyśki światła przenikającego przez szczeliny w okiennicach. Rojer nie znosił tych ostrych, nieprzyjemnych dźwięków i potępieńczego wycia. Siedział na podłodze i brzdąkał na instrumencie coraz głośniej, próbując je zagłuszyć.

– Otchłańce są dziś głodne – zadumał się jego ojciec.

– Rojer jest niespokojny. – Kally wstała i podeszła do synka.

– Nie ma strachu. – Arrick otarł usta, po czym sięgnął do pstrokatego worka i wydobył zeń wąski futerał na skrzypki. – Zaraz przepędzimy stąd te demony.

Przytknął smyczek do strun. Po chwili izba rozbrzmiała muzyką. Rojer śmiał się,

klaszcząc w dłonie, a jego strach zniknął bezpowrotnie. Jego matka również klaskała i oboje wnet podchwycili wygrywaną przez Minstrela melodię. Geral i Jessum niebawem do nich dołączyli.

– Zatańcz ze mną, Rojer! – Kally złapała syna za rączki i poderwała go do tańca.

Chłopiec usiłował nadażyć za mamą, która podskakiwała w rytm muzyki, ale potknął się i stracił równowagę. Kally pochwyciła go w ramiona. Zawirowała, tuląc go i całując. Rojer śmiał się z radości.

Nagle usłyszeli huk. Smyczek Arricka ześlizgnął się ze strun. Wszyscy błyskawicznie zwrócili spojrzenia ku ciężkim drewnianym drzwiom, które zadrżały we framudze. Wytrząśnięty spomiędzy szpar kurz wolno opadał na podłogę.

Geral zareagował jako pierwszy. Z szybkością zaskakującą u tak potężnego mężczyzny doskoczył do włóczni i tarczy. Przez dłuższą chwilę pozostali wpatrywali się w niego w otępieniu. Potem rozległ się kolejny huk, a z pękających drzwi wyjrzały grube czarne pazury. Kally krzyknęła.

Jessum ruszył do paleniska i złapał za ciężki pogrzebacz.

– Zabierz Rojera do kryjówki w kuchni! – wrzasnął do żony. Jego słowa podkreślił ryk na zewnątrz.

Geral rzucił tarczę Arrickowi.

– Pilnuj Kally i dzieciaka!

Kolejne uderzenie rozbiło drzwi na drobne kawałki. Do izby wtargnął mierzący siedem stóp skalny demon. Geral i Jessum zwrócili się ku niemu, a potwór odrzucił łeb i zaryczał. Drobne, zwinne demony ognia wślizgnęły się do izby między jego masywnymi nogami.

Ściskając dziecko, Kally skoczyła ku Arrickowi, by ich osłonił tarczą, ale Minstrel odepchnął ją, porwał za worek i ruszył biegiem do kuchni.

– Kally! – krzyknął Jessum na widok żony, która upadła na podłogę, osłaniając synka przed zderzeniem.

– Niech cię Otchłań pochłonie, Arrick! – przeklął Minstrela Geral. – Oby wszystkie twe marzenia legły w gruzach!

Skalny demon machnął łapskiem, a trafiony Posłaniec przeleciał przez całą izbę.

Któryś z demonów ognia ruszył w kierunku powstającej kobiety. Jessum zdążył go jednak rąbnąć pogrzebaczem i odrzucić na bok. Płomienie buchnęły z pyska poczwary, zajmując podłogę.

– Biegnij! – krzyknął, gdy Kally zdołała się wreszcie podnieść. Rojer wyjrzał zza jej ramienia i dostrzegł, jak demon plunął ogniem w ojca. Jessum wrzasnął, kiedy jego ubranie stanęło w płomieniach.

Kally biegła korytarzem, szlochając i przyciskając synka do piersi. Z głównej izby doleciał ryk bólu Posłańca.

Wpadli do kuchni, w chwili gdy Arrick poderwał już chronioną runami klapę w podłodze

i zeskoczył na dół. Potem sięgnął na zewnątrz, próbując namacać ciężki żelazny pierścień.

– Mistrzu Arrick! – krzyknęła za nim Kally. – Poczekaj!

– Demon! – rozdarł się Rojer.

Nie zdążył jednak w porę ze swym ostrzeżeniem. Ognisty demon wpadł na nich z ogromną siłą i pozbawił Kally tchu, ale ona nadal trzymała synka i nie puściła nawet wtedy, gdy pazury bestii wbiły się głęboko w jej ciało. Wrzasnęła przeraźliwie, kiedy napastnik zaczął się po niej wspinać i zanurzył ostre kły w jej ramieniu. Część z nich zahaczyła o dłoń chłopca, który natychmiast uderzył w płacz.

– Rojer! – krzyknęła Kally. Zataczając się, zrobiła krok w kierunku balii, ale straciła równowagę i padła na kolana. Zawodząc z bólu, sięgnęła za siebie i złapała za jeden z rogów otchłańca.

– Nie... dostaniesz... mojego... syna! – wycedziła i rzuciła się do przodu, szarpiąc za róg z całej siły. Potwór, oderwawszy kawałki skóry z jej pleców, zatoczył w powietrzu łuk i wylądował w balii.

Naczynia rozbryzgnęły się na wszystkie strony, a podtapiany otchłaniec bulgotał i wymachiwał odnóżami.

Woda natychmiast zaczęła się gotować. Niebawem całą kuchnię wypełniła para. Kally wrzeszczała z bólu, ale dusiła potwora pod powierzchnią wrzącej wody tak długo, aż nie przestał wierzgać.

– Mamo! – zawołał chłopczyk. Kobieta odwróciła się i ujrzała dwa kolejne otchłańce. Złapała Rojera i podbiegła do zejścia. Podniosła ciężką klapę jedną ręką. Arrick spojrzał na nią z dołu oczyma wielkimi ze strachu.

Kally upadła, gdy kolejny ognisty demon przywarł do jej nogi i wyszarpnął kawał mięsa z uda.

– Weź go! Proszę! – błagała. Pchnęła Rojera prosto w ramiona Arricka. – Kocham cię! – zdążyła jeszcze zawołać, nim zatrzasnęła klapę.

* * *

Ze względu na bliskość Rzeki Granicznej domy w Rzeczułce budowano na wielkich, opatrzonych runami blokach, by się zabezpieczyć przed skutkami powodzi. Arrick i Rojer czekali w mroku, chronieni przed otchłańcami przez potężne fundamenty, ale niebawem w kryjówce pojawił się dym.

– Wszystko jedno, czy zabiją mnie demony czy się tu uduszę – mruknął Arrick. Zaczął już odsuwać klapę, gdy do jego nogi przywarł Rojer.

– Puść mnie! – syknął Minstrel i szarpnął nogą, usiłując strząsnąć dziecko.

– Nie zostawiaj mnie! – wykrzyknął zapłakany chłopczyk.

Arrick zmarszczył czoło. Splunął, wyczuwając coraz gęstszy dym.

– No dobrze. – Posadził sobie Rojera na plecach. – Trzymaj się mocno, chłopcze.

Związał rogi peleryny, dzięki czemu chłopiec znalazł się w czymś na kształt prowizorycznego nosidełka. Następnie pochwycił tarczę Gerala i ruszył tunelem między fundamentami gospody, a przy jego końcu uklęknął, by wypełznąć w ciemność na zewnątrz.

– Stwórco umiłowany... – wyszeptał, ujrawszy całą Rzeczułkę w płomieniach. Demony tańczyły w mroku, niektóre wywlekały z budynków ludzkie truchła. – Wygląda na to, że Piter zaniedbał runy nie tylko twoich rodziców. Mam nadzieję, że potwory zabrały tego drania prosto do Otchłani.

Wykorzystał zamieszanie wśród otchłańców i obszedł gospodę, garbiąc się i kryjąc w kłębach gęstego dymu. Wkrótce dotarł do dziedzińca, gdzie znajdował się krąg Gerala, a w nim dwa konie – wysepka spokoju i bezpieczeństwa w krainie chaosu.

Rzucił się biegiem w kierunku azylu. Dostrzegł go jakiś demon i plunął w niego ogniem, ale tarcza odbiła płomień w rozbłysku magii. Stanąwszy wewnątrz kręgu, Arrick upuścił chłopca i padł na kolana, ciężko dysząc. Gdy już doszedł do siebie, zaczął desperacko grzebać w jukach.

– Musi tu być... – mrucał. – Przecież wiem, że zostawiłem cały... Ach, jest!

Odkorkował bukłak i zaczął łapczywie pić.

Rojer zaszlochał, przyciskając zakrwawioną rączkę do brzucha.

– Co ci jest? – zapytał Arrick.

Chciał obejrzeć rany dziecka i aż wstrzymał oddech, gdy zobaczył jego rękę. Palec środkowy i wskazujący znikły, odgryzione przez demona, a ocalałe paluszki zaciskały się kurczowo na kosmyku rudych włosów matki.

– Nie! – zaprotestował malec, gdy Arrick spróbował wyjąć kosmyk z jego dłoni. – To moje!

– Nie zabiorę ci ich. Muszę tylko obejrzeć twoją rączkę.

Przełożył kosmyk do drugiej dłoni chłopca. Częściowo przypalona przez ślinę otchłańca rana nie krwawiła, ale ociekała śluzem i śmierdziała.

– Nie jestem Zielarką! – Arrick wzdrygnął się i polał okaleczoną dłoń winem z bukłaka. Rojer pisnął z bólu, a Minstrel oderwał kawałek pięknej tuniki, by założyć opatrunek.

Owinął zapłakane dziecko płaszczem.

– No już dobrze. – Poglądził je po plecach. – Przeżyliśmy, by opowiedzieć tę historię, a to już coś, nieprawdaż?

Rojer nadal płakał, więc Minstrel zaczął śpiewać kołysankę. Śpiewał i śpiewał, a wokół płonęły domy Rzeczułki. Śpiewał, a demony tańczyły i ucztowały. Słowa jego pieśni otoczyły ich niczym tarcza i osłonięty nią Rojer wreszcie poddał się zmęczeniu i zapadł w sen.

W drodze do Wolnych Miast

319 RP

Gorączka wzrastała i Arlen coraz mocniej opierał się na prowizorycznej lasce. Przyklęknął i spróbował zwymiotować, ale jego pusty żołądek wyrzucił z siebie jedynie żółć. Chłopak wstał, rozglądając się w poszukiwaniu czegoś, na czym mógłby skupić spojrzenie.

I wtedy dostrzegł smugę dymu.

Daleko przed nim, na poboczu drogi, wznosiła się jakaś budowla. Kamienny mur zarósł winoroślami do tego stopnia, że prawie nie było go widać. To stamtąd wydobywał się dym.

Nadzieja wlała nowe siły w osłabione ciało chłopca. Powłócząc nogami, ruszył w dalszą drogę. W końcu dotarł do muru i wspierając się na nim, szukał wejścia. Wszędobylskie pędy wciskały się w spękane kamienie, w każdą szczelinę, każdy zakamarek. Stary mur już dawno by się rozpadł bez wiążących go winorośli, podobnie jak Arlen padłby teraz na ziemię, gdyby nie mógł się o niego podpierać.

Wreszcie dotarł do zwieńczonej łukiem bramy. Metalowe skrzydła furtki, których zawiasy już dawno przerdzewiały, leżały w krzakach, nadgryzione zębem czasu. Brama prowadziła na szeroki dziedziniec, gęsto pokryty pniącymi się chwastami. Pękniętą fontannę wypełniała brudna deszczówka. Niziutki budynek tak zarósł bluszczem, że w pierwszej chwili można go było przeoczyć.

Arlen obszedł dziedziniec, zachwycony i oszołomiony zarazem. Jak okiem sięgnąć nadkruszone kamienie poddawały się niszczącej sile roślinności. Wielkie drzewa wbiły korzenie w szczeliny między głazami i powywracały nawet te największe, które następnie zaatakował mech. Nieporośnięte głazy nosiły szerokie ślady pazurów.

Nigdzie nie ma runów, uświadomił sobie chłopiec ze zdumieniem. To miejsce pochodzi sprzed Powrotu!

Jeśli się nie mylił, zostało porzucone ponad trzysta lat temu.

Przegniłe drzwi do budynku uległy wpływowi czasu podobnie jak brama. Wąska, wyłożona kamieniami sień prowadziła do przestronnej izby ozdobionej splecionymi drutami, stanowiącymi przejaw dawno zapomnianej sztuki. Z grubego dywanu została już tylko warstwa szlamu, a na resztkach mebli widniały głębokie szramy, pamiątka po ataku, który położył kres ludzkiej bytności w tym miejscu.

– Halo? – zawołał Arlen. – Jest tu kto?

Żadnej odpowiedzi.

Dygotał, choć trawił go żar. Wiedział, że nie zdoła długo kontynuować poszukiwań, ale przecież dostrzegł dym, a dym mógł oznaczać czyjaś obecność. Ta myśl znów dodała mu sił. Odnalazł sypiące się schody i ruszył na górę.

Większa część dachu zapadła się i piętro budynku tonęło w świetle słońca. Z kamieni sterczały rdzewiejące metalowe pręty.

– Jest tam kto? – zakrzyknął znów Arlen. Przeszukał całe piętro, ale nie znalazł nic prócz zgliszczy.

Zaczynał już podupadać na duchu, gdy wtem przez okno po drugiej stronie korytarza znów dostrzegł dym. Podbiegł, by wyrzucić na zewnątrz, ale na tyłach ogrodu ujrzał tylko odłamaną, szerniałą gałąź, po której skakały niewielkie płomyki.

Ten widok całkiem pozbawił go wiary. Poczuł, jak drży mu broda, ale powstrzymał płacz. Przyszło mu do głowy, by usiąść i poczekać na demony w nadziei, że przyniosą mu śmierć szybszą niż choroba, ale przecież poprzysiągł, że już nigdy niczego im nie odda. Co więcej, śmierć Marei raczej nie należała do szybkich. Wyrzwał raz jeszcze na podwórze.

Upadek z takiej wysokości z pewnością mnie zabije, pomyślał.

Znów ogarnęły go wyrzuty sumienia. Doszedł do wniosku, że rzucenie się w dół będzie nie tylko łatwe, ale i sensowne.

Podobnie myślał Cholie. Oczyma wyobraźni Arlen wyraźnie ujrzał stryzyk. Natychmiast odegnął od siebie tę wizję i odepchnął się od okna.

Nie, Cholie nie postąpił słuszniej od ojca. Ja się nie poddam. Jeśli już muszę zginąć, wolę, by coś mnie zabiło.

Z okna rozciągał się widok na całą okolicę. Wtem na drodze daleko za murem chłopiec dostrzegł jakiś ruch. Ktoś zmierzał w jego kierunku.

Ragen.

Arlen sięgnął do najgłębszych pokładów energii, z których istnienia nie zdawał sobie dotąd sprawy. Zbiegł po schodach z taką sprawnością, jakby był całkiem zdrowy, i wypadł na dziedziniec.

Gdy jednak dotarł do drogi, siły znów go opuściły. Potknął się, przewrócił i padł w błoto. Ciężko dyszał i znów poczuł w boku dotkliwy ból. Miał wrażenie, jakby w jego klatkę piersiową wbiło się tysiąc drzazg.

Uniósł głowę. W oddali zamajaczyły jakieś postaci, wystarczająco blisko, by mogły go zauważyć. Usłyszał czyjś okrzyk, a potem świat spowiły ciemności.

* * *

Słońce wciąż stało na niebie, kiedy Arlen otworzył oczy. Leżał na brzuchu. Nabrał tchu i wtedy poczuł, że jego pierś ciasno owijają bandaże. Plecy wciąż bolały, ale już nie miał wrażenia, jakby płonęły żywym ogniem, a jego twarz była chłodna po raz pierwszy od kilku dni. Napiął mięśnie, chcąc się podnieść, i wtedy przeszył go ostry ból.

– Bez pośpiechu, chłopcze – poradził siedzący obok Ragen. – Masz szczęście, że żyjesz.

– Co się stało?

– Znalazłem cię nieprzytomnego na drodze. Rany na plecach wyglądały, jakby je brała zgnilizna. Przed zaszcieniem musiałem je rozciąć i odsączyć.

– Gdzie jest Keerin?

Posłaniec zachichotał.

– W środku. Przez ostatnie dni woli się trzymać na uboczu. Niezbyt dobrze znosi widok drastycznych scen i aż się pochorował, kiedy cię znaleźliśmy.

– Przez ostatnie dni? – Chłopak rozejrzał się dookoła. Wciąż leżał na dziedzińcu starego domu. Ragen rozłożył tam obozowisko i otoczył posłania oraz zwierzęta przenośnym kręgiem runów.

– Znaleźliśmy cię w południe Dnia Trzeciego – rzekł. – Teraz mamy Dzień Piąty. Przez cały ten czas majaczyłeś w delirium i ciskałeś się po posłaniu, wylewając chorobę z potami.

– Uleczyłeś moją gorączkę demoniczną? – zapytał zdumiony Arlen.

– Tak to nazywają w Potoku? Cóż, nazwa dobra jak każda inna, ale to nie była magiczna choroba, a zwykłe zakażenie. Znalazłem nieco rozchodnika nieopodal drogi, więc mogłem oczyścić rany. Zrobię z niego później wywar. Jeśli będziesz go pił przez następne kilka dni, szybko dojdiesz do siebie.

– Rozchodnika?

Ragen pokazał chłopcu zioło, które rosło niemal wszędzie.

– Każdy Posłaniec trzyma co nieco w swej sakwie, choć najlepiej działa wkrótce po zerwaniu. Dostaje się od niego zawrotów głowy, lecz z jakichś powodów doskonale zwalcza gorączkę.

Arlen nagle wybuchnął płaczem. Czy naprawdę jego matka mogła zostać uleczona zielskiem, które regularnie wyrывał z pola Jepha? Nie potrafił znieść tej myśli.

Łzy ciurkiem ściekały po jego policzkach. Wydawać się mogło, że minęła cała wieczność, nim zaczęły płynąć wolniej, a szloch wreszcie ustał. Przez cały ten czas Posłaniec milczał.

– Co ty tu właściwie robisz? – zapytał, podając chłopcu szmatkę do otarcia twarzy.

Arlen przyglądał mu się przez dłuższą chwilę, usiłując zdecydować, jaka odpowiedź będzie najlepsza. Kiedy jednak otworzył usta, słowa popłynęły same. Opowiedział o wszystkim od momentu, gdy jego matka została zraniona przez otchłanica, a kończąc na ucieczce od ojca.

Ragen nie wtrącił się ani razu, pozwalając chłopcu mówić.

– Przykro mi z powodu twojej mamy – powiedział, gdy już zapanowała cisza. Arlen pociągnął nosem i skinął głową.

Zaczął tłumaczyć Posłańcowi, jak próbował odnaleźć Słoneczne Pastwiska, ale zblądził i trafił na drogę do Wolnych Miast. W trakcie opowieści pojawił się Keerin. Chłopiec opowiadał o pierwszej samotnej nocy, o spotkaniu z ogromnym demonem skał i o naruszeniu jednego z runów. Pobladał na słowa o desperackiej próbie naprawienia znaku.

– To ty oberznąłeś rękę temu demonowi? – zapytał z niedowierzaniem Ragen. Keerin wyglądał, jakby za chwilę miał zemdleć.

– Nie mam zamiaru próbować tej sztuczki po raz drugi – oświadczył Arlen.

– Trudno ci się dziwić. – Posłaniec zachichotał. – W każdym razie okaleczenie demona mierzącego piętnaście stóp to niewątpliwie wyczyn, który zasługuje na pieśń, co nie, Keerin?

Szturchnął przy tym Minstrela w bok, sprawiając, że coś w nim pękło. Keerin poderwał się, zakrył usta i odbiegł na bok. Ragen pokręcił głową z westchnieniem.

– Pewien jednoręki demon skał prześladowuje nas, odkąd cię odnaleźliśmy – wyjaśnił. – Tłucze w barierę runiczną tak zaciekle, jak żaden inny otchłaniec.

– Dojdzie do siebie? – Arlen wskazał wymiotującego Minstrela.

– Prędzej czy później. Pora, bym wmusił w ciebie coś do jedzenia.

Z pomocą Ragena chłopiec wstał i oparł się o końskie siodło. Wykrzywił twarz, gdy gwałtowny ruch wywołał ukłucie bólu.

– Musisz to sobie pogryzać – poradził Posłaniec, podając mu poskręcany korzeń. – Zakręci ci się od tego w głowie, ale załagodzi ból.

– Jesteś też Zielarzem?

– Skądże. Posłaniec winien jednak posiadać wiedzę z wielu dziedzin, jeśli chce przeżyć na szlaku.

Sięgnął do juków i wyciągnął metalowy garnek do gotowania oraz kilka innych naczyń.

– Szkoda, że nie powiedziałeś Coline o rozchodniku. – Arlen wciąż nie mógł się pogodzić z tym, co wcześniej usłyszał.

– Powiedziałbym jej wszystko, gdyby w ogóle przyszło mi do głowy, że o tym nie wie. – Ragen napełnił garnek wodą i zawiesił go na trójnogu nad paleniskiem. – To niewiarygodne, ile wiedzy zostało zapomniane.

Zdążył rozdmuchać płomienie, zanim wrócił Keerin. Był blady, ale najwyraźniej czuł się lepiej.

– Z pewnością opowiem o wszystkim, gdy wrócimy do Potoku Tibbeta.

– Gdy wrócimy? – Arlen uniósł brwi.
– Ano wrócimy – odparł Keerin.
– Oczywiście, że wrócimy – przytaknął Ragen. – Twój tato będzie cię szukał.
– Ale przecież ja nie chcę wracać! Chcę pojechać z wami do Wolnych Miast.
– Nie możesz tak po prostu uciekać przed problemami.
– Nie wrócę do domu! Możecie mnie tam zawlec siłą, ale ledwie mnie puścicie, a znów ucieknę.

Ragen wpatrywał się w chłopca przez dłuższą chwilę, a potem przeniósł wzrok na Keerina.

– Wiesz, co o tym myślę – zareagował na to Minstrel. – Nie uśmiecha mi się spędzać pod gołym niebem co najmniej pięciu dodatkowych nocy.

Posłaniec znów spojrzął na chłopca i zmarszczył czoło.

– Napiszę list do twego ojca, gdy tylko dotrzemy do Miln – ostrzegł.

– Szkoda twego czasu. – Arlen wzruszył ramionami. – On nigdy po mnie nie przyjedzie.

* * *

Kamienny bruk podwórza i wysoki mur zapewniły im tej nocy bezpieczne schronienie. Ragen rozłożył dwa kręgi runiczne – większy, który zabezpieczał wóz, a w środku mniejszy, gdzie ustawiono spętane zwierzęta. Wszyscy trzej rozsiedli się w wewnętrznym kręgu tuż przy ognisku.

Keerin leżał skulony na posłaniu z kocem naciągniętym na głowę. Dygotał, choć nie było zimno, a gdy któryś z otchłanców sprawdzał wytrzymałość bariery, kulił się jeszcze bardziej.

– Dlaczego wciąż atakują, choć nie potrafią się przebić? – zapytał Arlen.

– Szukają słabych punktów osłony – odrzekł Ragen. – Żaden otchłaniec nie zaatakuje dwakroć tego samego miejsca. – Postukał się w głowę. – One pamiętają. Nie są na tyle sprytne, by zapamiętać poszczególne znaki i wywnioskować, gdzie znajdują się najsłabsze ogniwa, tak więc muszą ich szukać, nacierając na barierę. Rzadko kiedy przynosi to jakies rezultaty, ale bywa, że ich wysiłki się opłacają.

Jakiś wichrowy demon zniżył lot nad murem i odbił się od runów. Keerin załkał pod kocem na odgłos wybuchu magii.

Ragen spojrzął na jego posłanie i pokręcił głową.

– Jemu się chyba wydaje, że skoro on nie widzi demonów, to one jego też – mruknął.

– Zawsze tak ma?

– Ten jednoręki demon wystraszył go bardziej niż zwykle. Ale z drugiej strony nigdy wcześniej nie nocował na otwartej przestrzeni. – Wzruszył ramionami. – Zgłosiłem się po Minstrela na krótko przed wyjazdem, tak więc gildia przydzieliła mi Keerina. Zwykle nie podróżuję z nowicjuszami.

– Więc po co ci w ogóle Minstrel?

– Och, zawsze trzeba zabrać jednego na wyprawę po siołach. Wieśniacy gotowi są ukamienować Posłańca, który przybywa sam.

– Po siołach?

– Po niewielkich wioskach, takich jak Potok Tibbeta, gdzie większość ludzi nie potrafi czytać ani pisać. Po miejscach zbyt odległych, by ksiązę mógł nimi z łatwością zarządzać.

– A cóż to za różnica?

– Niepiśmiennym Posłaniec nie przyda się na wiele – wytłumaczył Ragen. – Rzecz jasna, z radością powitają przywiezioną przez niego sól czy inne towary, których odczuwają brak, ale rzadko który podejdzie i przekaże ci ostatnie nowiny. Tymczasem podstawowym zadaniem każdego Posłańca jest zbieranie wieści. Starczy jednak zabrać ze sobą Minstrela, a ludzie rzucają wszystko i przybiegną, by obejrzeć jego występ. Widzisz, nie rozpuszczałem plotki o przedstawieniu Keerina tylko ze względu na ciebie. Niektórzy ludzie – ciągnął – potrafią być jednocześnie Minstrelem, Zielaarzem i Posłańcem, a na dodatek radzić sobie w handlu, ale chyba łatwiej znaleźć przyjaznego otchłańca niż kogoś takiego. Stąd właśnie większość jeżdżących po siołach Posłańców musi brać ze sobą Minstreli.

– A ty zwykle nie wędrujesz po siołach – przypomniał sobie Arlen.

Ragen mrugnął do niego porozumiewawczo.

– Minstrel z pewnością wywrze niemałe wrażenie na mieszkańcach wioski, ale na dworze książęcym będzie tylko przeszkodą. Książęta i najwięksi kupcy mają własnych Minstreli. Interesuje ich zresztą jedynie handel i wieści, a płacą o wiele więcej, niż warta jest cała piwnica starego Wieprza.

* * *

Ragen obudził się przed wschodem słońca. Skinął głową w geście aprobaty, widząc, że chłopiec już nie śpi.

– Posłańców nie stać na przywilej wylegiwania się do późna. – Głośno trzasnął garnkami, by obudzić Keerina. – Każdy promyk słońca jest dla nas cenny.

Arlen czuł się już wystarczająco dobrze, by usiąść obok Minstrela na wozie, który ruszył w kierunku drobnych, niewysokich kształtów na horyzoncie, zwanych przez Rageną górami. Dla zabicia czasu Posłaniec opowiadał o swych podróżach i wskazywał rosnące na poboczu zioła. Tłumaczył, które są jadalne, a których należy się wystrzegać, którymi można obłożyć ranę, a które tylko pogorszyłyby stan chorego. Zwracał też uwagę na najbezpieczniejsze miejsca do rozbicia obozu, wyjaśniając, dlaczego łatwo się w nich obronić, a dodatkowo ostrzegał przed rozlicznymi drapieżnikami.

– Otchłańce zabijają najwolniejsze i najsłabsze zwierzęta – mówił. – Przeżywają zatem tylko te największe, najsilniejsze lub najsprytniejsze. Pod gołym niebem demony nie są

jedynymi istotami, które uznają cię za zdobycz.

Keerin rozejrzał się nerwowo.

– Co to było za miejsce, w którym spędziliśmy ostatnie kilka dni? – zapytał Arlen.

Ragen wzruszył ramionami.

– Ruiny posiadłości jakiegoś pomniejszego szlachcica, jak sędzę. Stąd aż do Miln są ich całe setki, wszystkie oskubane do czysta przez niezliczonych Posłańców, którzy się tam zatrzymywali.

– Posłańców?

– Pewnie. Niektórzy z nas spędzają całe tygodnie w poszukiwaniu nieodkrytych jeszcze ruin. Jeśli jakiś szczęściarz na takowe trafi, przywozi najrozmaitsze łupy. Złoto, kamienie szlachetne, rzeźby, czasem nawet stare runy. Jednakże najcenniejszą zdobyczą byłyby runy wojenne. O ile kiedykolwiek naprawdę istniały.

– A sądzisz, że istniały?

Ragen przytaknął.

– Ale nie mam zamiaru ryzykować głową i schodzić z ubitego traktu, by ich szukać.

Po kilku godzinach podróży dotarli do niewielkiej jaskini.

– Jeśli to możliwe, zawsze najlepiej zabezpieczać runami jakąś kryjówkę – powiedział Posłaniec. – Ta jaskinia należy do kilku tych miejsc, które Graig odnotował w swym dzienniku.

Ragen i Keerin rozłożyli obozowisko – najpierw nakarmili i napoili zwierzęta, a potem przenieśli zapasy do grotty. Wyprężony wóz otoczyli kręgiem. Gdy obaj zajęci byli pracą, Arlen przyjrzał się runom.

– Nie znam ich wszystkich – napomknął, wodząc po nich palcem.

– Ja też zauważyłem w Potoku Tibbeta kilka takich, których nigdy wcześniej nie widziałem – przyznał Ragen. – Przerysowałem je do dziennika. Mógłbyś dziś wieczorem opowiedzieć mi, do czego służą?

Arlen uśmiechnął się zadowolony, że może w jakiś sposób odplacić przewodnikowi za jego hojność.

Gdy jedli kolację, Keerin zaczął się nerwowo wiercić. Co chwila spoglądał na ciemniejące niebo, ale Ragen bynajmniej nie przejmował się coraz dłuższymi cieniami.

– Trzeba by wprowadzić muły do jaskini – zasugerował w końcu.

Keerin natychmiast podreptał wypełnić polecenie.

– Zwierzęta juczne nie znoszą jaskiń – wyjaśnił chłopcu Ragen. – Najlepiej więc zwlekać z wprowadzeniem ich do środka aż do ostatniej chwili. Konia zawsze wprowadza się na samym końcu.

– Nadałeś jej jakieś imię? – zapytał Arlen.

Posłaniec pokręcił głową.

– Moje konie muszą sobie zapracować na imię. Gildia poddaje zwierzęta specjalnym

ćwiczeniom, ale mimo to wiele z nich ulega przerażeniu, gdy spędzają noc w przenośnym kręgu. Nazywam tylko te, co do których mam pewność, że ze strachu nie zrobią czegoś głupiego. Tę klacz kupiłem w Angiers, po tym jak mój rumak pognał w ciemność i został pożarty przez demony. Nadam jej imię, jeśli dotrze z nami do Miln.

– Da sobie radę – stwierdził Arlen, gładząc szyję konia. Poczekał, aż muły znajdą się w jaskini, a potem chwycił klacz za uzdę i ruszył z nią do środka.

Gdy tylko towarzysze do niego dołączyli, przyjrzał się wejściu. Runy wykuto w kamieniu, zamiast wyrysować je w podłożu.

– Bariera jest niekompletna – oznajmił.

– Wręcz przeciwnie. – Ragen spojrział na chłopca z zaciekawieniem. – Przecież nie można kreślić runów w ziemi. Czego twoim zdaniem tu brakuje?

Arlen raz jeszcze przyjrzał się zagadce. Wejście do jaskini przypominało odwróconą literę „U”, przez co zabezpieczenie go runami wymagało pewnej sprawności, ale bynajmniej nie było niemożliwe. Co więcej, znaki wyryte w kamieniu należały do dość powszechnych. Chłopiec podniósł jakiś patyk i nakreślił kilka runów na ziemi. Ich kształty połączyły się idealnie z tymi, które wyrysowano już wcześniej. Sprawdził je trzykrotnie i cofnął się do środka, zerkając na Rageną w oczekiwaniu na aprobatę.

Posłaniec milczał przez chwilę, przyglądając się nowym znakom, a potem pokiwał głową.

– Dobra robota – powiedział, a chłopak aż się rozpromienił. – Znakomicie rozplanowałeś wierzchołki. Sam chyba nie nakreśliłbym bardziej zwartej sieci. No i ani chybi wykonałeś wszystkie obliczenia w pamięci.

– Uff, dziękuję – odparł Arlen, choć nie miał bladego pojęcia, o jakie obliczenia chodzi.

– Bo chyba ich dokonałeś, nieprawdaż? – Ragenowi najwyraźniej udało się wychwycić zawahanie w głosie chłopca.

– Jakich obliczeń? Ta kreska – Arlen wskazał najbliższy run – łączy się z tym runem – pokazał drugi na ścianie. – Przecina te kreski tutaj – jego palec przesunął się na inne znaki – które krzyżują się z tymi. Ot i cała filozofia.

Ragen wyglądał na wstrząśniętego.

– Chcesz powiedzieć, że zrobiłeś to wszystko na oko?

– Wielu ludzi używa liniałów, by posprawdzać linie – przyznał chłopiec, wzruszając ramionami. – Ale mnie się nigdy nie chce.

– Jak to możliwe, że Potok Tibbeta nie zniknął jeszcze z powierzchni ziemi? – Posłaniec wyciągnął worek z juków, kucnął przy wyjściu z jaskini i dokładnie wytarł nakreślone przez Arlena znaki.

– Runy wyrysowane w ziemi zawsze stanowią ryzyko, obojętnie, jak dobrze się je wykona – dodał, po czym wyciągnął z worka garść polakierowanych drewnianych deszczulek. Używając liniałów zaopatrzonych w miarki, rozmieścił je szybko, na nowo zamykając sieć.

* * *

W niecałą godzinę po zapadnięciu zmroku na polanę wpadł gigantyczny, jednoręki demon skał. Zawył głośno, rozpędzając pomniejszych otchłanów, a potem ruszył ku wejściu do grotty, rycząc wyzywająco. Keerin jęknął i wcisnął się w najdalszy kąt jaskini.

– Ten otchłaniec zna twój zapach – ostrzegł chłopca Ragen. – Już cię nie opuści. Będzie za tobą podążał w nadziei, że którejś nocy popełnisz błąd.

Arlen przez chwilę przyglądał się potworowi, rozważając słowa Posłańca. Demon ryczał i szarżował na barierę, ale runy odrzucały go w rozbłyskach światła. Nie zważając na szlochanie Keerina, chłopiec wstał i ruszył ku wyjściu z jaskini. Spojrzał demonowi prosto w oczy, wolno uniósł obie ręce i nagle klasnął, szydząc z jego kalectwa.

– Niech więc marnuje swój czas – powiedział, gdy demon zawył z wściekłości i niemocy.
– Nie dostanie mnie.

* * *

Wędrówka trwała niemal tydzień. Ragen prowadził ich na północ przez coraz wyższe wzniesienia biegnące wzdłuż łańcucha górskiego. Raz na jakiś czas zatrzymywał się i polował na drobną zwierzynę przy pomocy cienkich oszczepów.

Większość nocy spędzali w schronieniach opisanych w dzienniku Graiga, choć dwukrotnie musieli zanoć na szlaku. Jak każde inne zwierzę, klacz Rageny była przerażona obecnością demonów, ale nie próbowała się wyrwać i rzucić do ucieczki.

– Zasługuje na imię – oświadczył po raz setny Arlen.

– Dobrze już, dobrze! – skapitulował wreszcie Ragen i zmierzwił młokosowi włosy. – A zatem jakie?

– Nocna Mara – odparł uśmiechnięty chłopiec.

Posłaniec spojrział na klacz i pokiwał głową.

– To dobre imię.

9

Fort Miln

319 RP

Teren stawał się coraz bardziej skalisty, a niewysokie kształty na horyzoncie rosły z każdą chwilą. Ragen nie przesadził, kiedy powiedział, że setka Pagórków Bogginów mogłaby się pomieścić w jednej górze, a cały ich łańcuch ciągnął się przecież dalej, niż Arlen sięgał wzrokiem. W miarę wspinaczki powietrze chłodziło, a na zbocza nacierały silne podmuchy wiatru. Chłopak spojrzął za siebie i ujrzał cały świat roztaczający się u jego stóp niczym mapa. Wyobrażał sobie przez chwilę, że podróżuje przez te krainy jedynie z włócznią i sakwą Posłańca.

Kiedy w końcu zobaczył Fort Miln, nie mógł wprost uwierzyć własnym oczom. Pomimo opowieści Rageny nadal zakładał w głębi duszy, iż ujrzy coś na kształt większego Potoku Tibbeta. Prawie spadł z wozu na widok potężnej fortecy. Fort Miln opierał się o ścianę góry, która rzucała długi cień na szeroką dolinę. Po jej przeciwnej stronie wyrastała druga, bliźniaczo podobna góra. Miasto otaczał krąg murów wysokich przynajmniej na trzydzieści stóp, choć wiele skrytych za nimi budowli sięgało wierzchołkami znacznie wyżej, aż ku chmurom. Kiedy podjeżdżali, z każdą chwilą rosły, a mur zdawał się ciągnąć na wiele mil w obie strony.

Wymalowano na nim największe runy, jakie Arlen kiedykolwiek widział. Wodził wzrokiem wzdłuż niewidzialnych linii łączących jeden ogromny znak z drugim i tworzących sieć, która stanowiła dla otchłańców przeszkodę nie do pokonania.

Choć z pewnością należało to uznać za ogromne osiągnięcie mieszkańców, Arlen poczuł zawód. Rzeczono „wolne” miasta tak naprawdę nie miały wiele wspólnego z wolnością. Obwarowania, które odgradzały otchłańce od domostw, jednocześnie więziły ludzi w swych granicach. W Potoku Tibbeta owe więzienne ściany były przynajmniej niewidoczne.

– Jak to się dzieje, że wichrowe demony nie przelatują nad murem? – zapytał chłopiec.

– Na samym szczycie rozmieszczono słupy runiczne, które rozciągają sieć nad miastem – odparł Ragen.

Arlen uświadomił sobie, że powinien był się tego domyślić i bez pomocy Posłańca. Miał więcej pytań, ale zachował je dla siebie, a jego przenikliwy umysł już pracował nad odpowiedziami.

* * *

Dotarli do celu grubo po południu. Ragen wskazał palcem snop dymu unoszący się wyżej na zboczu góry, w odległości wielu mil nad miastem.

– To Książęce Kopalnie, osada większa niż twój Potok. Nie jest samowystarczalna, ale to się akurat księciu podoba. Niemalże co tydzień wędrują tam karawany, zwożąc jedzenie, a zwożąc sól, metale i węgiel.

Od głównego muru odbiegał mniejszy, który zataczał w dolinie szeroki łuk. Chłopak dostrzegł strzelające z niego słupy runiczne i ciągnące się za nim równe rzędy zieleni.

– Oto wielkie ogrody oraz Książęcy Sad – oznajmił Ragen.

Brama miejska stała otworem. Mijały ich grupy robotników, którzy wracali do miasta bądź je opuszczali. Na widok wozu Posłańca gwardziści przy posterunkach zaczęli machać. Byli to wysocy mężczyźni w metalowych hełmach oraz starych kaftanach lamelkowych narzuconych na przeszywanice. Obaj dzierżyli włócznie, lecz bardziej na pokaz niż z prawdziwej potrzeby.

– Hej, Posłańcze! – zawołał jeden z nich. – Witamy z powrotem!

– Gaims, Woron. Witajcie. – Ragen skinął ku nim głową.

– Książę spodziewał się ciebie wiele dni temu – powiedział Gaims. – Zaczynaliśmy się o ciebie martwić.

– Myśleliście, że demony mnie dorwały? Nie ma mowy! Otchłańce napadły na sioło, przez które przejeżdżałem w drodze powrotnej z Angiers, tak więc zostaliśmy tam nieco dłużej, by pomóc miejscowym.

– Przygarnąłeś jakiegoś przybłądę po drodze? – zagaił Woron z uśmiechem. – Drobną prezencik dla twojej żony, która wciąż czeka, byś uczynił ją Matką?

Twarz Rageny stężała, a gwardzista cofnął się o krok.

– Nie chciałem cię rozgniewać – wydukał pospiesznie.

– To radzę, byś nie wygadywał rzeczy, które to sprawiają, sługo!

Woron poblądł i pokiwał głową.

– Znalazłem go na trakcie – wytłumaczył Posłaniec, mierzwiąc czuprynę chłopca. Wyszczerył przy tym zęby w uśmiechu, zupełnie jakby przed chwilą nie padły żadne nieprzyjemne słowa.

Arlen bardzo lubił tę cechę Rageny. Imponowało mu, że chętnie się śmiał i nie żywił do nikogo urazy, ale oczekiwał od każdego szacunku i dawał każdemu do zrozumienia, gdzie jest jego miejsce. Miał nadzieję, że kiedyś sam taki będzie.

– Na trakcie? – Oczy Gaimsa rozszerzyły się ze zdumienia.

– I to całe dnie drogi od jakiegokolwiek schronienia! Ten chłopak zna się na runach lepiej od niektórych Posłańców.

Arlen aż się napuszył z dumy, słysząc takie słowa.

– A ty, Minstrelu? – zagaił Woron. – Jak ci się podobała pierwsza noc pod gwiazdami?

Na widok grymasu niezadowolenia, który wykrzywił twarz Keerina, gwardziści wybuchli śmiechem.

– Nieźle, nie? – rzucił Woron.

– Dzień nam ucieka – przerwał im Posłaniec. – Poślijcie gońca do Matki Jone z wieścią, że przybędziemy do jej pałacu zaraz po tym, jak złożę ryż w magazynie i zajrzę do domu, by się wykapać i zjeść jakiś uczciwy posiłek.

Żołnierze zaszalutowali i odeszli na bok, przepuszczając wóz.

Po wcześniejszym rozczarowaniu nie pozostał najmniejszy ślad i splendor Miln niebawem całkiem przytłoczył Arlena. Ku niebu strzelały budynki, przy których wszystko, co do tej pory widział, wyglądało jak skarłale, a ulicę pokrywały kocie łby. Otchłańce nie miały możliwości wydostać się z zabezpieczonej w ten sposób ziemi, ale chłopiec i tak nie potrafił sobie wyobrazić wysiłku koniecznego, by obrobić i dopasować setki tysięcy kamieni.

W Potoku Tibbeta domy wznoszono na kamiennych fundamentach, wykańczano drewnem i kryto strzechą, tu i ówdzie wstawiając deski z runami ochronnymi. W Miln prawie wszystkie budowle wykonano w całości z kamienia, a każdy z nich tchnął historią. Bez względu na znaki wymalowane na zewnętrznych murach pojedyncze kamieniczki także zabezpieczano runami. Niektóre z nich stanowiły fantastyczne dzieła sztuki, inne zaś przykład funkcjonalności.

Powietrze na ulicy cuchnęło nieczystościami, palonym nawozem i ludzkim potem. Arlen próbował wstrzymać oddech, ale wkrótce tego poniechał i skupił się na oddychaniu przez usta. W przeciwieństwie do niego Keerin oddychał swobodnie chyba po raz pierwszy od chwili ich spotkania.

Ragen poprowadził wóz w kierunku targowiska, gdzie chłopiec ujrzał więcej ludzi, niż poznał w całym swoim życiu. Setki przekupniów podobnych do Rusco Wieprza wołało doń ze wszystkich stron: „Kup to!”, „Spróbuj tego!” lub „Specjalna cena tylko dla ciebie!”. Każdy z nich wyglądał jak olbrzym w porównaniu z niewysokimi mieszkańcami Potoku.

Minęli wozy wyładowane owocami i warzywami, z jakich istnienia Arlen nie zdawał sobie dotąd sprawy. Przejechali obok tylu sprzedawców ubrań, jakby Milneńcy o niczym innym nie myśleli. Na targowisku sprzedawano również obrazy i rzeźby, niektóre tak skomplikowane i wymyślne, że chłopiec zaczął się zastanawiać, jak komukolwiek starcza

czasu na ich wykonywanie.

Wóz zatrzymał się przy kupcu po przeciwnej stronie rynku. Na jego namiocie widniał symbol tarczy.

– To człowiek księcia – powiadomił towarzyszy Posłaniec.

– Ragen! – zawołał kupiec. – Cóż masz dla mnie tym razem?

– Ryż z Mokradeł i podatki z Potoku.

– A zatem widziałeś się z Rusco Wieprzem? – mężczyzna bardziej stwierdził, niż zapytał.

– Czyli ten stary oszust nadal rabuje sąsiadów w biały dzień?

– Znasz Wieprza – odparł krótko Ragen.

Kupiec zarechotał.

– Dziesięć lat temu zeznawałem przed Radą Matek w sprawie cofnięcia mu pozwolenia. Próbował sprzedać ładunek ziarna razem ze szczurami. Niebawem wyjechał z miasta i zapuścił korzenie gdzieś na krańcu świata. Słyszałem, że podobny numer chciał wyciąć wcześniej w Angiers, co tłumaczy, dlaczego w ogóle znalazł się w Miln.

– Szczęście, że sprawdziliśmy ten ryż – mruknął Ragen.

Targowali się przez jakiś czas o ceny ryżu i soli, aż kupiec w końcu ustąpił i przyznał, że Posłaniec wyszedł na transakcji korzystniej niż Wieprz. Wręczył mu pobrzękującą sakiewkę, by wyrównać różnicę.

– Czy Arlen może stąd poprowadzić wóz? – spytał Keerin. Ragen omiótł go spojrzeniem i kiwnął głową. Rzucił sakieweczkę, a Minstrel złapał ją zreźnie i zeskoczył na ziemię.

Posłaniec pokręcił głową, gdy Keerin zniknął w tłumie.

– Nie jest złym Minstrelem – powiedział – ale nie nadaje się na trakt.

Ponownie wskoczył w siodło i poprowadził wóz przez zatłoczoną ulicę. Chłopak czuł, jak wszechobecny zgielek zaczyna go przytłaczać. Mimo to zauważył, że niektórzy ludzie nosili jedynie postrzępione szmaty, choć górskie powietrze było chłodne.

– Co oni robią? – zapytał, przyglądając się, jak wyciągają puste kubki w kierunku przechodniów.

– Żebrzą. Nie każdego w Miln stać na jedzenie.

– A nie możemy po prostu podzielić się z nimi tym, co wieziemy?

– Żeby to było takie proste... – Ragen westchnął. – Ziemia nie jest tu wystarczająco żyzna, by wyżywić nawet i połowę ludności. Potrzebujemy ziarna z Fortu Rizon, ryb z Lakton oraz owoców i bydła z Angiers. Nie myśl, że te miasta oddadzą nam to za darmo. Wszystkie te towary trafiają do ludzi, którzy potrafią handlować i zarobić pieniądze, by nimi zapłacić – czyli do kupców. Kupcy zatrudniają sługów, którym zapewniają wikt i opierunek, a którzy w zamian zajmują się interesami w ich imieniu.

Wskazał gestem człowieka okutanego w postrzępione szmaty, który trzymał przed sobą popękaną drewnianą miseczkę. Przechodzący obok mężczyzna wyminął go, unikając kontaktu wzrokowego.

– Tak właśnie kończą ci, którzy nie pracują. Jedynym wyjątkiem są Święci Mężowie lub Królewskiej Krwi.

Arlen skinął głową, udając, że rozumie, choć nie mieściło mu się to wszystko w głowie. Ludziom bez przerwy kończyły się płacidła w sklepie w Potoku Tibbeta, ale nawet Wieprz nie pozwalał, by głodowali.

W pewnym momencie Ragen dał chłopcu znak, by ściągnął wodze. Zatrzymali się przed domem niezbyt dużym w porównaniu do wielu innych w Miln. Jednakże, złożony z dwóch pięter i w całości zbudowany z kamienia, robił spore wrażenie.

– To tu mieszkasz? – zapytał chłopiec.

Ragen pokręcił głową. Zeskoczył z siodła i załomotał w drzwi. Chwilę później otworzyła je młoda kobieta z długimi brązowymi włosami zaplecionymi w ciasny warkocz. Jak wszyscy ludzie w Miln była wysoka i krępa. Nosiła zapiętą pod szyją suknię, która opinała ciasno jej talię, opadając aż po kostki. Arlen nie miał pewności, czy można ją określić jako piękną. Już doszedł do wniosku, że chyba nie, gdy nagle jej twarz, rozpromieniona uśmiechem, zmieniła się nie do poznania.

– Ragen! – krzyknęła, zarzucając mężczyźnie ręce na szyję. – Wróciłeś! Dzięki niech będą Stwórcy!

– Ależ oczywiście, że wróciłem, Jenya. My, Posłańcy, wiemy, jak o siebie zadbać.

– Ja nie jestem Posłańcem – odparła Jenya.

– Byłaś żoną jednego z nich, a to jedno i to samo. Graig zmarł jako Posłaniec i niech Otchłań pochłonie orzeczenie gildii.

Na te słowa kobieta posmutniała i Ragen natychmiast postanowił zmienić temat. Podeszedł do wozu, by zabrać się do rozładowywania towarów.

– Przywiozłem ci dobry ryż z Mokradeł, a także sól, mięso i ryby. – Chwycił jeden z worków i ruszył z nim pod drzwi, a Arlen pospieszył mu z pomocą. – I mam jeszcze to – dodał Posłaniec, wyciągając zza pazuchy sakiewkę ze złotem i srebrem, którą otrzymał od Wieprza. Dorzucił do niej zawartość niewielkiego mieszka książęcego kupca.

Oczy Jenyi otworzyły się szeroko, gdy zajrzała do środka.

– Och, Ragen – szepnęła. – Przecież to za dużo. Nie mogę...

– Możesz. Przynajmniej tyle jestem w stanie dla ciebie zrobić.

Po policzku kobiety spłynęły łzy.

– Nie wiem, jak mam ci dziękować – szlochała. – Tak bardzo się bałam. Pisanie dla gildii nie pokrywa wszystkich moich wydatków, a bez Graiga... Już myślałam, że będę musiała wrócić do żebrania.

– Daj już spokój. – Ragen poklepał ją po ramieniu. – Moi bracia i ja nigdy na to nie pozwolimy. Prędzej przyjmę cię pod swój dach.

– Och, zrobiłbyś to dla mnie?

– Jeszcze jedno. Podarek od Rusco Wieprza. – Uniósł w górę pierścień. – Chce, byś do

niego napisała, że to dostałaś.

Oczy Jenyi znów wezbrały łzami, gdy patrzyła na piękny klejnot.

– Graig był kochanym człowiekiem. – Ragen wsunął pierścień na jej palec. – Niechże ten klejnot stanowi symbol pamięci po nim. Pieniądzy i jedzenia starczy ci na jakiś czas, a niebawem być może znajdziesz dla siebie nowego męża i zostaniesz Matką. Jeśli jednak sprawy ułożą się tak źle, że będziesz musiała sprzedać ten pierścień, udaj się najpierw do mnie, rozumiesz?

Jenya pokiwała głową, ale wzrok miała spuszczonej, a po jej policzkach nadal płynęły łzy. W milczeniu bawiła się podarunkiem.

– Obiecuj mi – rozkazał jej Ragen.

– Obiecuję.

Skinął i uściskał ją po raz ostatni.

– Będę do ciebie zaglądał, gdy tylko znajdę chwilę – obiecał na odchodnym.

Arlen obejrzał się, gdy odjeżdżali. Kobieta wciąż roniła łzy.

– Wyglądasz na skołowanego – zauważył Posłaniec.

– Bo chyba tak się czuję.

– Rodzice Jenyi byli żebrakami. Jej ojciec jest ślepy, a matka ciężko chora. Mieli jednakże skarb, czyli zdrową, ładną córeczkę. Jenya wyszła za Graiga, czym podźwignęła siebie i rodziców o dwa stany. Graig zabrał całą trójkę pod swój dach i choć nie trafiły mu się najkorzystniejsze trasy, zarabiał wystarczająco dużo, by żyli dostatnio i szczęśliwie.

Pokręcił głową.

– Teraz biedaczce został czynsz do opłacenia oraz trzy gęby do wykarmienia. Sama zresztą też nie może oddalać się od domu, bo jej rodzice nie są już samodzielni.

– Cieszę się, że jej pomogłeś – wyznał chłopiec. – Wyglądała niezwykle pięknie, gdy się uśmiechała.

– Nie zdołasz pomóc każdemu człowiekowi, Arlenie, ale trzeba zrobić wszystko, co w twojej mocy, by pomóc choć niektórym.

Chłopak pokiwał głową z powagą.

Jechali pod górę krętą drogą, aż w końcu dotarli pod rozległą, trzypiętrową posiadłość. Otaczał ją wysoki na sześć stóp mur z bramą, a na każdym piętrze tuzin okien mienił się w promieniach słońca. Dom był większy od gmachu w Pagórku Bogginów, który przecież mógł pomieścić wszystkich mieszkańców Potoku Tibbeta podczas festynu przesilenia letniego. Na murze oraz na ścianach posiadłości wymalowano barwne runy.

Tak wspaniała budowla musi należeć do samego księcia, pomyślał Arlen.

– Moja mama miała filizankę ze szkła zdobionego runami – powiedział, przyglądając się oknom. Z domu wyszedł jakiś człowiek i pognął ku bramie. – Była twarda niczym stal. Mama trzymała ją w ukryciu, ale czasem, gdy przyszli goście, wyciągała ją i pokazywała, jak pobłyskuje w świetle.

Nieznajomy otworzył bramę i wóz ruszył szeroką ścieżką biegnącą przez piękny, nietknięty przez otchłańce ogród. Kilkoro ludzi pracowało przy grządkach z warzywami.

– To jedyny dom w Miln, który ma wszystkie okna ze szkła – z dumą oznajmił Ragen. – Zapłaciłbym dużo, by ktoś wymalował na nich runy chroniące przed stłuczeniem.

– Wiem, jak to zrobić – odparł chłopiec. – Ale potrzeba do tego żywego otchłańca. Musi dotknąć szkła, by run nabrał mocy.

Ragen zachichotał i pokręcił głową.

– W takim razie chyba sobie daruję.

Na terenie posiadłości stały również mniejsze budynki – kamienne chatki z dymiącymi kominami, między którymi jak w małej wiosce uwijali się ludzie. Wokół biegały ubrudzone dzieci, czujnie obserwowane przez kobiety zajęte swymi obowiązkami. Podjechali do stajni, gdzie jak spod ziemi wyrósł stajenny i ujął wodze Nocnej Mary. Skłonił się przed Ragenem jak przed królem z dawnych opowieści.

– Myślałem, że się zatrzymamy u ciebie, zanim złożymy wizytę w pałacu księcia – powiedział Arlen.

Ragen wybuchnął śmiechem.

– Ale my jesteśmy u mnie! Naprawdę myślisz, że ryzykowałbym podróżę pod gołym niebem i nie chciał z tego nic dla siebie?

Chłopiec spojrzał na dom wytrzeszczonymi oczyma.

– To wszystko jest twoje?

– Wszystko. Książęta chętnie obdarowują brzęczącą monetą tych, którzy nie lękają się otchłańców.

– Kiedy dom Graiga nie jest nawet w połowie tak wielki!

– Graig był dobrym człowiekiem, ale nie wyróżniał się jako Posłaniec – wytłumaczył Ragen. – Wystarczał mu jeden wyjazd do Potoku Tibbeta na rok, a w międzyczasie krótkie wypadki do okolicznych siół. Posłaniec, który tak ogranicza swą działalność, może utrzymać rodzinę i nic ponadto. Jenya dostała ode mnie tyle pieniędzy jedynie dlatego, że zapłaciłem Wieprzowi za dodatkowe towary z własnej kiesy. Graig zazwyczaj musiał pożyczać na ten cel od gildii, a oni nie mają litości, jeśli chodzi o ściąganie długów.

Wysoki mężczyzna o kamiennej twarzy otworzył drzwi wejściowe i skłonił się przed Ragenem. Odziany był w spłowiały błękitny kubrak z farbowanej wełny. Zarówno twarz, jak i ubranie miał czyste, co kontrastowało z wyglądem ludzi na dziedzińcu. Gdy tylko weszli do przedsionka, podbiegł do nich chłopiec niewiele starszy od Arlena i żwawo złapał za sznur dzwonu zawieszonoego u stóp szerokich schodów. We wnętrzu domu rozbrzmiało radosne dzwonienie.

– Widzę, że raz jeszcze dopisało ci szczęście – rozległ się zaraz potem kobiecy głos. Na marmurowym balkonie nad przedsionkiem pojawiła się brunetka z niebieskimi oczami o przenikliwym spojrzeniu. Miała na sobie ciemnobłękitną szatę, piękniejszą od wszystkich,

jakie chłopiec kiedykolwiek widział, a na jej nadgarstkach i szyi migotały klejnoty. Przyglądała im się z chłodnym uśmiechem.

Była najpiękniejszą i najwdzięczniejszą kobietą, jaką Arlen kiedykolwiek spotkał.

– To moja żona, Elissa – szepnął Ragen. – Dobry powód, by wracać... I by wyjeżdżać.

Chłopiec nie miał pewności, czy Posłaniec stroi sobie żarty, ale kobieta nie wyglądała na zadowoloną z ich przybycia.

– Za którymś razem otchłańce cię dopadną – oznajmiła, zstępując po schodach. – A ja wreszcie odzyskam swobodę i będę mogła poślubić mego młodego kochanka.

– Płonne nadzieje. – Ragen uśmiechnął się i przyciągnął kobietę do siebie, by ją pocałować. Odwróciwszy się do Arlena, objaśnił: – Elissa tęsknie wypatruje dnia, w którym odziedziczy moją fortunę. Ja zaś chronię się przed otchłańcami nie tyle ze względu na własne życie, co po to, by ją zezłościć.

Kobieta zaśmiała się, a chłopak odetchnął z ulgą.

– Któż to? – zapytała. – Przygarnąłeś przybłądę, by oszczędzić sobie wysiłków zapłodnienia mego łona?

– Jedynym znanym mi wysiłkiem jest stapianie lodu na twych zimnych halkach – odciął się Ragen. – Oto Arlen z Potoku Tibbeta. Znalazłem go na trakcie.

– Na trakcie? Przecież to tylko dziecko!

– Nie jestem dzieckiem! – krzyknął Arlen i natychmiast poczuł się głupio. Zmierzony kwaśnym spojrzeniem Ragen spuścił wzrok.

Elissa sprawiała wrażenie, jakby w ogóle nie usłyszała protestu.

– Zdejmij zbroję i udaj się prosto do łaźni – poleciła mężowi. – Cuchniesz potem. Ja zajmę się naszym gościem.

Gdy Posłaniec odszedł, Elissa wezwała służącego i nakazała, by przygotował dla chłopca posiłek. Arlen pomyślał, że u Ragen służy więcej ludzi, niż mieszka w całym Potoku Tibbeta. Przyniesiono mu plasterki zimnej szynki oraz cienkie skibki chleba, a do tego zsiadłą śmietanę i mleko do popicia. Kobieta obserwowała chłopca, gdy pochłaniał jedzenie, a on czuł, że wypada podjąć rozmowę. Nie miał jednak pojęcia, co powiedzieć, więc skupił uwagę na talerzu.

Gdy kończył śmietanę, przed Elissą ukloniła się służąca w sukni o tym samym odcieniu błękitu, co kubraki mężczyzn.

– Pan oczekuje na piętrze.

– Dziękuję ci, Matko. – Przez twarz Elissy przemknął dziwny grymas, gdy bezwiednie przesunęła dłonią po brzuchu, ale natychmiast uśmiechnęła się i spojrzała na chłopca.

– Zabierz naszego gościa do łaźni – poleciła. – I nie pozwól mu zaczerpnąć powietrza dopóty, dopóki nie będziesz pewna, jaki kolor naprawdę ma jego skóra.

Zaśmiała się i wybiegła z pomieszczenia.

Arlen, dla którego mycie polegało na polewaniu ciała zimną wodą nad balią, poczuł się

zmieszany na widok głębokiej kamiennej kadzi. Patrzył, jak służąca o imieniu Margrit dolewa wrzątku do zimnej wody. Jak chyba wszyscy ludzie w Miln była wysoka, lecz miała łagodne oczy, a jej miodowe włosy, wyslizgujące się spod czepka, tu i ówdzie zaczynały siwieć. Odwróciła wzrok, pozwalając Arlenowi zdjąć ubranie i wskoczyć do kadzi, a gdy znów na niego spojrzała, jęknęła na widok szwów na plecach. Nachyliła się, by je obejrzeć.

– Au! – krzyknął chłopak, gdy uszczypnęła najwyżej położoną ranę.

– Nie bądź taki delikatny – ofuknęła go, obwąchując palce. Arlen zaciskał zęby, kiedy służąca powtarzała tę czynność na każdej z ran. – Masz więcej szczęścia, niż ci się zdaje. – Pokręciła głową. – Gdy pan powiedział, że odniosłeś rany, pomyślałam sobie, że chodzi o jakieś skaleczenia, ale to... Nie mówiła ci mama, że nie wolno wychodzić w nocy z domu?

Arlen chciał się odciąć, ale nagle poczuł, jak serce podchodzi mu do gardła. Zagryzł wargę, usiłując powstrzymać łzy. Margrit spostrzegła jego smutek i natychmiast złagodziła ton głosu.

– Dobrze się goją – powiedziała, a potem natarła dłonie mydłem i zaczęła myć chłopcu plecy, starając się zachować ostrożność. Arlen znów zacisnął zęby. – Kiedy skończymy kąpiel, przygotuję dla ciebie okłady i świeże bandaże.

– Jesteś matką Elissy? – zapytał.

– Na Stwórcę, skąd ci to przyszło do głowy?

– Nazwała cię w ten sposób.

– To dlatego, że powiłam dzieci – rzekła Margrit z dumą. – Mam dwóch synów i trzy córki, z których jedna niebawem sama zostanie Matką.

Potem pokręciła głową ze smutkiem.

– Nieszczęsna Elissa, tyleż ma bogactw, a wciąż jest tylko Córką. Co gorsza, stuknęła jej już trzydziestka! Rozpacz mnie ogarnia, gdy o tym pomyślę.

– Czy bycie mamą jest naprawdę takie ważne? Kobieta spojrzała na chłopca w taki sposób, jakby zapytał, czy powietrze jest niezbędne do życia.

– A cóż może być ważniejszego od macierzyństwa? Obowiązkiem każdej kobiety jest rodzić dzieci, by nasza forteca pozostała silna. To dlatego Matki otrzymują najlepszą żywność i prawo pierwszeństwa przy zakupie towarów na rynku. To dlatego wszystkie doradczynie księcia są Matkami. Mężczyźni nadają się jedynie do psucia i budowania, ale politykę i fascykule najlepiej zostawić kobietom, które ukończyły Szkołę Matek. Cóż, w końcu to Matki wybierają nowego księcia, gdy odejdzie jego poprzednik.

– To czemu Elissa nie jest Matką?

– Na pewno nie dlatego, że się nie stara. Założę się, że robi to właśnie w tej chwili. Po sześciu tygodniach na trakcie każdy mężczyzna jest jurny niczym młody byczek, a ja sporządziłam jej eliksir na płodność i zostawiłam go na nocnym stoliku. Mam nadzieję, że w czymś to pomoże, ale nawet największy dureń wie, że najlepszą porą na płodzenie dzieci są godziny tuż przed świtem.

– Dlaczego w takim razie Ragen nie zapłodnił jeszcze jej łona? – zapytał Arlen. Wiedział tylko tyle, że płodzenie dzieci ma coś wspólnego z zabawami, na które chciały go namówić Renna i Beni.

– Stwórca jeden wie. Może Elissa już wyszła? Może Ragen jest niepłodny? To akurat byłaby szkoda. Brakuje nam porządnych mężczyzn, a Miln potrzebuje swych synów. – Westchnęła. – Elissa ma sporo szczęścia, że do tej pory jej nie wyrzucił ani nie zrobił dziecka jakiejś służącej.

– Miałby zostawić swą żonę? – Arlen aż jęknął z niedowierzania.

– Dziwi cię to, chłopcze? Mężczyźni potrzebują męskich potomków i są gotowi zdobyć ich za wszelką cenę. Księżę Euchor ma już trzecią żonę, a jak dotąd może się pochwalić jedynie córkami.

Pokręciła przy tych słowach głową.

– Ale Ragen taki nie jest. Bywa, że zrą się z Elissą jak dwa otchłańce, ale kocha ją niczym samo słońce. Nigdy jej nie opuści. Elissa też go nie zostawi, pomimo tego, z czego dla niego zrezygnowała.

– A z czego zrezygnowała?

– Cóż, była szlachcianką. Jej matka zasiada w Radzie Księżęcej. Gdyby Elissa wyszła za jakiego szlachcica i urodziła mu dziecko, mogłaby służyć księciu, ale zrezygnowała z zaszczytów, by poślubić Rageną wbrew woli matki. Od tamtej pory w ogóle ze sobą nie rozmawiają. Elissa należy teraz do stanu kupców, choć na niczym jej nie zbywa. Jeśli jednak nie ukończy Szkoły Matek, nie otrzyma prawa do objęcia żadnej znaczącej pozycji, a służba na dworze księcia jest już wykluczona.

Chłopiec milczał, gdy Margrit czyściła jego rany, a potem zebrała z podłogi brudne ubranie. Parsknęła, spoglądając na plamy i rozdarcia.

– Ty się tu wymocz, a ja spróbuję je pocerować – obiecała i wyszła.

Pozostawiony samemu sobie Arlen próbował poukładać w głowie to wszystko, co właśnie usłyszał, ale wielu rzeczy nadal nie potrafił zrozumieć. Margrit przypominała mu Catrin, córkę Wieprza.

– Wypaple ci każdy sekret tylko po to, byś jej słuchał choćby krótką chwilę dłużej – mawiała o niej Silvy.

Kobieta powróciła niebawem ze świeżymi, choć niedopasowanymi rzeczami. Zabandażowała rany chłopca i pomimo jego protestów pomogła mu się ubrać. Musiał podwinąć przydługie rękawy tuniki i związać nogawki, by się nie przewrócić, ale przynajmniej po raz pierwszy od długiego czasu poczuł się czysty.

Zasiadł do wczesnej kolacji z Ragenem i jego żoną. Posłaniec przyciął brodę, związał z tyłu włosy i przyodział się we wspaniałą białą koszulę i ciemnobłękitny kaftan z aksamitu.

Na powitanie pana domu zarżnięto świnie. Wkrótce na stole pojawiły się wieprzowe kotlety, żeberka, plasterki bekonu i soczyste kiełbasy. Podano również dzbany schłodzonego

piwa i zimnej wody. Elissa zmarszczyła brwi, gdy Ragen nakazał służącemu, by nalał Arlenowi kufel piwa, ale nie odezwała się słowem. Popijała wino z kieliszka tak delikatnego, że chłopak miał wrażenie, jakby nawet jej smukłe palce miały go zaraz skruszyć. Służący przynieśli również chrupki chleb – nigdy w życiu nie widział tak białego pieczywa – oraz miski z gotowaną rzepą i pomidorami, które wysmarowano grubą warstwą masła.

Arlen przyglądał się daniom, co rusz przełykając ślinę, a przed oczyma miał obraz ludzi żebrzących na ulicach miasta. Wkrótce jednak głód pokonał wyrzuty sumienia i chłopiec zaczął próbować każdej potrawy z osobna, co chwila na nowo napełniając talerz.

– Stwórcu, gdzie ty to wszystko mieścisz? – zapytała Elissa. – Czyżbyś miał Otchłań zamiast żołądka?

– Nie słuchaj jej – poradził Ragen. – Kobiety potrafią przez cały dzień krzątać się po kuchni, ale przy stole nie uszczkną więcej niż drobny kawałek w obawie, że ktoś uzna to za obżarstwo. Tylko mężczyźni doceniają dobry posiłek.

– Mój mąż ma rację, a jakże. Kobiety nie potrafią docenić subtelności życia tak jak wy, mężczyźni.

Ragen właśnie nalewał sobie piwa, ale nie trafił strumieniem do kufła. Arlen uświadomił sobie, że Elissa kopnęła go pod stołem, i zdecydował, że jednak ją lubi.

Po kolacji podszedł do nich paż ubrany w szarą tunikę z symbolem księżęcej tarczy i przypomniał o umówionej wizycie. Posłaniec westchnął, ale zapewnił, że natychmiast wyruszą w drogę.

– Arlen nie jest odpowiednio odziany na spotkanie z księciem – ostudziła jego zapał Elissa. – Nie staję się przed obliczem Jego Łaskawości w stroju żebraka.

– Nic na to nie poradzimy, kochanie – odparł Ragen. – Do zmroku zostało ledwie parę godzin. Nie mamy czasu, by ściągać tu krawca.

Elissa nie miała zamiaru ustąpić. Przyglądała się chłopcu przez chwilę, a potem pstryknęła palcami i wyszła z izby. Po chwili wróciła z niebieskim dubletem oraz parą wypucowanych skórzanych butów.

– Jeden z naszych paziów jest niemalże w twoim wieku – powiedziała, pomagając Arlenowi się przebrać. Rękawy dubletu były przykrótkie, a buty odrobinę ciasne, ale Elissa wydawała się usatysfakcjonowana. Przeczesała grzebieniem włosy chłopca i cofnęła się o krok.

– Może być – oceniła z uśmiechem. – I pamiętaj o dobrych manierach!

Arlen odwzajemnił uśmiech, choć czuł się nieswojo w niedopasowanym ubraniu.

* * *

Zamek księcia wzniesiono w granicach miasta. Mur zewnętrzny, wysoki na ponad dwadzieścia stóp, wykonano z kamienia i opatrzone najsilniejszymi runami. Bez ustanku

patrowali go opancerzeni żołnierze zbrojni we włócznie. Przez szeroką bramę Ragen i chłopiec wjechali na rozległy dziedziniec pałacu. Budowla ta, przy której dom Posłańca wyglądał niepozornie, liczyła aż cztery piętra, a wieńczyły ją dwakroć wyższe wieże. Szerokie, spiczaste runy znajdowały się na każdym kamieniu. W oknach lśniło szkło.

Mężowie w kolczugach przemaszerowywali dziedziniec tam i z powrotem, tu i ówdzie przebiegali również paziowie odziani w barwy księcia. Wokół w pocie czoła pracowała ponad setka mężczyzn – cieśle, kamieniarze, kowale i rzeźnicy. Arlen dostrzegł stosy worków ze zbożem i bydło, a nawet rozległe ogrody, o wiele większe od tych przy domu Rageny. Doszedł do wniosku, że gdyby księżę musiał zatrzaskać bramy swego zamku, przetrwałby w nim całą wieczność.

Zgiełk podwórca oraz unoszące się wkoło zapachy zniknęły jednakże w jednej chwili, gdy zatrzasknięto za nimi ciężkie podwoje pałacu. Podłogę wyścielał szeroki dywan, a na zimnych kamiennych ścianach wisiały gobeliny. Arlen dostrzegł jedynie kilku mężczyzn – wyłącznie gwardzistów. Za to z szelestem szerokich sukien korytarzami przemykały dziesiątki kobiet. Inne prowadziły rachunki na tabliczkach lub zapisywały jakieś pozycje w ogromnych księgach, a kilka dostojniej odzianych przechadzało się wolnym krokiem, bacznie obserwując pogrążone w pracy towarzyszek.

– Księżę znajduje się w sali audiencyjnej – oznajmiła jedna z nich. – Oczekuje was od jakiegoś czasu.

Przed komnatą zastali długą kolejkę ludzi, w większości niewiasty ściskające naręcza papierów, ale także garstkę zamożniej wyglądających mężczyzn.

– Pomniejsi petenci – oznajmił Ragen. – Wszyscy mają nadzieję ukraść choć minutę książęcego czasu, nim rozbrzmi Wieczorny Dzwon, rozpędzając ich do domów.

Wyglądało na to, że owi pomniejsi petenci doskonale wiedzą, jak niewiele czasu zostało do zachodu słońca, i kłócili się głośno, który z nich powinien wejść jako następny. Gwar rozmów ucichł jednak na widok Posłańca. Ragen zignorował kolejkę i ruszył prosto ku drzwiom, a wszyscy w milczeniu pospieszyli za nim, jak psy liczące na ochłapy. Odprowadzili go aż pod same drzwi, gdzie zatrzymały ich surowe spojrzenia gwardzistów. Gdy Ragen z Arlenem wchodzili do środka, spragniony nowin tłum wciąż otaczał wejście.

Rozmiary sali audiencyjnej księcia Euchora natychmiast zaparły Arlenowi dech w piersi. Kopuła sufitu wznosiła się wysoko nad nimi, a na masywnych kolumnach otaczających tron płonęły pochodnie. Każdą z kolumn zdobiły rzędy rzeźbionych runów.

– Oto ważniejsi petenci – szepnął Ragen, wskazując przechadzających się po sali mężczyzn i kobiety. – Lubią się zbijać w gromady. Tamci to wielcy kupcy. – Skinał w stronę sporego zgromadzenia blisko drzwi. – Rozrzucają wokół siebie złoto, by móc się włóczyć po pałacu i węszyć za nowinkami lub szlachcicami, za których mogliby wydać córki. A tamte – kiwnął w kierunku starszych kobiet – to Rada Matek, która oczekuje, by przekazać księciu dzienne sprawozdanie.

Jeszcze bliżej tronu znajdowali się jegomości w sandałach i prostych brązowych szatach. Większość z nich czekała w milczeniu i z godnością, ale kilku rozprawiało o czymś przyciszonymi głosami, a reszta zapisywała ich słowa.

– Każdy dwór potrzebuje Świętych Mężów – objaśnił Ragen.

W końcu pokazał chłopcu liczną, hałaśliwą grupę bogato odzianych ludzi, którym na pięty następowała cała armia służących z tacami pełnymi jadła i napitku.

– Ludzie Królewskiej Krwi. Książęcy siostrzeńcy, bratankowie, kuzyni w drugim lub nawet trzecim pokoleniu. Każdy z nich domaga się uwagi Euchora i całymi dniami rozmyśla, co też się stanie, gdy książę zwolni tron, nie pozostawiając męskiego potomka. Euchor nienawidzi ich z całego serca.

– To dlaczego ich nie odeśle? – zapytał Arlen.

– Bo w ich żyłach płynie królewska krew. Lub chociaż jej popłuczyny – odparł Ragen, jakby to wszystko wyjaśniało.

Pokonali już połowę drogi do tronu, gdy ruszyła ku nim wysoka kobieta z zaczesanymi do tyłu i przykrytymi czepcem włosami. Jej twarz, porwana rozległymi i głębokimi zmarszczkami, wyglądała, jakby wyryto na niej runy. Kobieta poruszała się ze sztywną godnością, ale całe wrażenie psuł niewielki, obwisły podbródek, podskakujący w rytm jej kroków. Arlenowi przypominała Selię – kobietę nawykłą do wydawania poleceń, które spełniano bez szemrania. Nieznajoma spojrzała na chłopca z wyższością i pociągnęła nosem, jakby naraz owionął ją zapach kupy gnoju. Potem smagnęła wzrokiem Posłańca.

– To Jone, szambelanka Euchora – wymamrotał Ragen, zanim zbliżyła się na tyle, by mogła go usłyszeć. – Matka Królewskiej Krwi, a do tego demonica rodem z Otchłani. Nie zatrzymuj się, póki ja tego nie zrobię, bo w przeciwnym razie spędzisz audiencję w stajni.

– Niech twój paż zaczeka na korytarzu, Posłańcze – zakomenderowała chwilę później kobieta.

– To nie jest mój paż – odparł Ragen, nie zwalniając. Arlen siedł tuż za jego plecami, więc szambelanka musiała pospiesznie usunąć się na bok.

– Jego Łaskawość nie ma czasu wysłuchiwać utyskiwań każdego łazęgi prosto z ulicy! – syknęła, usiłując nadażyć za Posłańcem. – Kto to taki?

Ragen w końcu się zatrzymał. Pochylił się ku szambelance, mierząc ją twardym spojrzeniem. Choć Matka Jone nie należała do niskich, przewyższał ją wzrostem, a ponadto był od niej trzykrotnie potężniejszy. Emanowała od niego taka groza, że autorytet staruszki niespodziewanie zaczął topnieć.

– To chłopak, którego postanowiłem tu przyprowadzić – wycedził przez zęby i wcisnął kobiecie do ręki sakwę wypełnioną listami. Matka chwyciła ją odruchowo, a w tym momencie tłum zafalował. Kupcy i członkinie Rady Matek przemknęły tuż obok, przemieszani z akolitami Opiekunów.

Niektórzy szlachcice Królewskiej Krwi dostrzegli całą sytuację i słowem bądź gestem

zwrócili na nią uwagę pozostałym. Nagle połowa z nich ruszyła w kierunku Jone, a Arlen ze zdumieniem uświadomił sobie, że są to jedynie dobrze odziani służący. Przepychali się przez zbiegowisko w kierunku sakwy, podczas gdy ich panowie sprawiali wrażenie, jakby nie działo się nic godnego uwagi.

Jone przekazała listy własnemu słudze i pospieszyła w kierunku tronu, chcąc zapowiedzieć przybycie Rageny. Nie musiała zwracać sobie tym głowy – jego obecność wywołała bowiem takie ożywienie, że nie dało się go przeoczyć.

Euchor przyglądał się jemu i Arlenowi, kiedy nadchodzili.

Był barczystym, olbrzymim człowiekiem dobiegającym sześćdziesiątki, z gęstą brodą i ciemnoszarymi włosami gdzieniegdzie przyprószonymi siwizną. Miał na sobie zieloną, bogato wyszywaną złotą nicią tunikę, dopiero co poplamioną tłuszczem skapującym z jego palców, a także podbity futrem płaszcz. Na czole nosił złoty diadem, a przy każdym poruszeniu dłoni migotały jego pierścienie.

– W końcu zaszczycasz nas swą obecnością! – wykrzyknął, choć wydawało się, że kieruje swe słowa bardziej do reszty zgromadzonych aniżeli do samego Rageny. W rzeczy samej, uwaga wywołała potakiwania i komentarze wśród szlachciców, a kilkoro spośród tłoczących się wokół poczty służących uniosło głowy. – Czyżby moje sprawy nie okazały się dla ciebie dość pilne?

Ragen podszedł do tronu i odpowiedział władcy kamiennym spojrzeniem.

– Spędziłem czterdzieści pięć dni w drodze stąd do Angiers i z powrotem, zaglądając po drodze do Potoku Tibbeta – oznajmił głośno. – Trzydzieści siedem nocy pod gołym niebem, w otoczeniu otchłańców zaciekle tłukących w moje runy.

Ani razu nie spuścił wzroku z Euchora, ale mimo to Arlen wiedział, że przemawia do zgromadzonych. Większość z nich pobladła.

– Spędziłem sześć tygodni z dala od domu, Wasza Łaskawość – dodał o połowę ciszzej, ale wciąż dość głośno, by go słyszano w całej sali. – Żałujesz mi kąpieli i kolacji w towarzystwie żony?

Książę zawahał się i omiótł wzrokiem dworzan, aż w końcu wybuchnął tubalnym śmiechem.

– Oczywiście, że nie! – wykrzyknął. – Urażony książę może zrujnować komuś życie, ale nie robi tego nawet w połowie tak skutecznie, jak niezadowolona żona!

Sala zatrzęsa się od śmiechu i wyczuwalne dotąd napięcie zaczęło ulatywać.

– Życzę sobie porozmawiać z Posłańcem w cztery oczy – rozkazał Euchor, gdy znów zapanowała cisza. Ci, którzy spodziewali się usłyszeć nowiny, burczeli pod nosami, ale Jone gestem nakazała trzymającemu listy słudze wyjść z sali. Większość zebranych natychmiast ruszyła w ślad za nim. Dworzanie Królewskiej Krwi ociągali się przez moment. Na ten widok Jone klasnęła w dłonie, sprawiając, że niektórzy aż podskoczyli ze strachu i opuścili salę tak szybko, na ile tylko pozwoliła im godność.

– Zostań – mruknął Ragen do chłopca, zatrzymując się w nakazanej etykietą odległości od tronu. Kobieta skinęła na gwardzistów, którzy zatrzasnęli ciężkie wrota za wychodzącymi. W przeciwieństwie do zbrojnych przy bramie ci wyglądali na czujnych, gotowych na wszystko fachowców. Jone stanęła przy boku władcy.

– Nigdy więcej nie pozwalaj sobie na takie popisy przed całym dworem! – warknął Euchor, gdy tylko drzwi stłumiły dobiegający z korytarza szum rozmów.

Posłaniec uklonił się lekko na znak zgody, ale nawet oszołomiony i przerażony zarazem Arlen odniósł wrażenie, że był to gest pozbawiony szczerości. Ragen najwidoczniej nie wiedział, czym jest strach.

– Mam wieści z Potoku, Wasza Łaskawość – powiedział.

– Z Potoku? – wybuchnął Euchor. – A co mnie Potok obchodzi? Co mówi Rhinebeck?

– Zdołali przetrwać ciężką zimę bez zapasów soli – ciągnął Posłaniec, jak gdyby księżę w ogóle się nie odezwał. – Był też atak...

– Na noc pełną otchłańców, Ragen! Odpowiedź Rhinebecka może wpłynąć na losy Miln na całe lata! Podaruj sobie odczytywanie listy narodzonych dzieci i sprawozdania ze zniw z jakiejś zapyziałej wioski!

Arlen na wszelki wypadek schował się za plecami Ragen, który dla otuchy złapał go za ramię.

– Odkryto złoto w Potoku? – księżę kontynuował tyradę.

– Nie, mój panie, ale...

– Czy Słoneczne Pastwiska otworzyły nową kopalnię węgla?

– Nie, mój panie.

– A może odnaleziono zaginione runy wojenne?

– Oczywiście, że nie.

– A przytaszczyłeś wystarczająco dużo ryżu, by zwrócił mi się koszt twojej podróży?

– Nie.

– Dobrze. – Euchor kiwnął głową i potarł o uda dłońmi, jakby chciał zetrzeć z nich kurz.

– A zatem nie musimy się kłopotać sprawami Potoku Tibbeta przez następne półtora roku.

– Półtora roku to długi czas. Ludzie potrzebują...

– Ruszaj więc tam za darmo. W przeciwnym razie nie będzie mi się to opłacać.

Posłaniec nie odpowiedział od razu i Euchor rozciągnął usta w uśmiechu, wiedząc, że zwyciężył w tej wymianie zdań.

– Jakie wieści z Angiers? – naciskał.

– Mam list od księcia Rhinebecka. – Ragen westchnął i sięgnął pod połę płaszcza. Wyciągnął zalakowaną woskiem tubę, ale księżę machnął dłonią z niecierpliwością.

– Po prostu mi powiedz, Ragen! Tak czy nie?

Posłaniec zwięził oczy.

– Nie, mój panie. Jego odpowiedź brzmi: nie. Ostatnie dwie karawany przepadły,

przeżyła jedynie garstka ludzi. Rhinebecka nie stać na wysłanie kolejnej. Jego podwładni nie potrafią rąbać szybciej, a potrzebują drewna bardziej od soli.

Twarz Euchora poczerwieniała i Arlen pomyślał, że czeka ich kolejny wybuch gniewu.

– Niech to szlag trafi, Ragen! – krzyknął książę, waląc pięścią w podłokietnik. – Potrzebuję tego drewna!

– Jego Łaskawość raczył zdecydować, że potrzebuje go bardziej na odbudowę Rzeczułki – wytłumaczył spokojnie Posłaniec. – Nowej Rzeczułki na swoim, południowym brzegu Rzeki Granicznej.

Euchor parsknął, a w jego oczach błysnęła żądza mordy.

– To zasługa pierwszego ministra Rhinebecka – stwierdziła Jone. – Janson od lat próbuje wykroić dla Rhinebecka udział w mycie pobieranym na moście.

– A na co komu udział, skoro można mieć wszystko – zgodził się Euchor. – I cóż o tym myślisz?

Ragen wzruszył ramionami.

– My, Posłańcy, nie mamy w zwyczaju snuć domysłów. A co niby miałbym myśleć?

– Że ludzie żyjący w drewnianych fortcach nie powinni rozniecać ognia w obejściach swych sąsiadów – warknął Euchor. – Nie muszę ci przypominać, jak ważne jest drewno dla Miln. Nasze zasoby węgla z wolna się kurczą, a bez paliwa zasoby rudy w kopalniach staną się bezużyteczne. Połowa miasta zamrznie! Sam podpalę tę nową Rzeczułkę, jak tylko Rhinebeck palcem kiwnie w tym kierunku!

Ragen uklonił się, uznając słuszność stwierdzenia księcia.

– Jego Łaskawość książę Rhinebeck zdaje sobie z tego sprawę – powiedział. – I w związku z tym upoważnił mnie do złożenia kontroferty.

– Mówże! – Euchor uniósł brew.

– Przekaze materiały do odbudowy Rzeczułki w zamian za połowę przychodów z myta – odgadła Jone, nim Posłaniec zdążył otworzyć usta. Spojrzała na niego spod przymrużonych powiek. – A nowa Rzeczułka stanie na angieriańskim brzegu Rzeki Granicznej.

Ragen pokiwał głową.

– Niech to Otchłań pochłonie! – zaklął Euchor. – Po czyjej ty stronie stoisz?

– Jestem Posłańcem – odpowiedział z dumą Ragen. – Nie stoję po niczyjej stronie, a jedynie przekazuję wieści.

Książę skoczył na równe nogi.

– A zatem powiedz mi, za co ci płacę, na mrok nocy?!

Ragen przechylił lekko głowę.

– Czyżby Wasza Łaskawość wolał udać się do Rhinebecka osobiście? – zapytał łagodnie.

Euchor pobladł, a Arlen wyraźnie poczuł bijącą z tych słów moc. Jego pragnienie, by zostać Posłańcem, stało się jeszcze silniejsze, o ile było to w ogóle możliwe.

Książę w końcu skinął głową z rezygnacją.

– Pomyślę o tym. Tymczasem robi się późno. Możesz odejść.

– Pozostała jeszcze jedna sprawa, mój panie – odezwał się Ragen. Dał znać Arlenowi, by podszedł bliżej, ale Jone skinęła już na gwardzistów. Ci otworzyli wrota i do komnaty ponownie wpłynął tłum ważniejszych interesantów. Euchor stracił zainteresowanie Posłańcem.

Ragen pochwycił Jone za rękę, gdy odstała od tronu.

– Matko, jeśli chodzi o tego chłopca...

– Jestem bardzo zajęta, Posłańcze – warknęła kobieta. – Być może powinienes „postanowić go tu przyprowadzić”, gdy będę miała więcej czasu.

I odeszła dumnym krokiem, wysoko unosząc głowę.

Wtedy z grupy kupców oddzielił się mężczyzna o posturze niedźwiedzia i ruszył w kierunku Rageny. Miał tylko jedno oko, w miejscu drugiego ziała zablizniona jama. Na piersi nosił herb przedstawiający jeźdźca dzierżącego włócznię oraz sakwę.

– Dobrze cię widzieć całego i zdrowego – oznajmił. – Zajrzyj z rana do gildii, by przekazać sprawozdanie.

– Witaj, mistrzu Malcumie! – Ragen złożył przed mężczyzną ukłon. – Natknąłem się na tego oto chłopca, Arlena, na trakcie.

– Między miastami? – zapytał zaskoczony mistrz. – Powinienes mieć więcej oleju we łbie, chłopcze.

– Na trakcie kilka dni od miasta – podkreślił Ragen. – Ten chłopak zna się na stawianiu runów lepiej niż niejeden Posłaniec. Chce zostać jednym z nas.

Malcum uniósł brwi.

– Trudno o szacowniejszą funkcję – stwierdził.

– Jest w Miln zupełnie sam i pomyślałem, że mógłby rozpocząć naukę w gildii...

– Ale przecież wiesz doskonale, że przyjmujemy wyłącznie zarejestrowanych Patronów. Musisz się rozmówić z Vincinem.

– Chłopak już potrafi stawiać runy! – zaprotestował stanowczo Ragen, choć ton jego głosu brzmiał uprzejmie niż podczas rozmowy z księciem. Mistrz gildii Malcum był jeszcze potężniejszej postury niż sam Posłaniec i nie wyglądał na człowieka, którego może wystraszyć wizja spędzenia nocy pod gwiazdami.

– A zatem nie będzie mieć żadnych problemów z przekonaniem Patronów, że powinni go zarejestrować – odparł, powoli odchodząc. – Do zobaczenia rano! – zawołał przez ramię.

Ragen powiódł wzrokiem po tłumie i zawiesił spojrzenie na grupie kupców.

– Za mną, Arlen! – Ruszył wielkimi krokami przez salę. – Mistrzu Vincin!

Na dźwięk swego imienia mężczyzna uniósł głowę i wyszedł im na spotkanie, opuszczając towarzyszy. Ukłonił się przed Ragenem, lecz był to ukłon szacunku, a nie uniżoności. Vincin miał czarną kozią bródkę i dłuższe włosy zaczesane do tyłu. Na jego pulchnych palcach lśniły pierścienie. Na piersi nosił symbol runu kluczowego, tego, który

stanowił podstawę dla wszystkich znaków tworzących sieć ochronną.

– Cóż mogę dla ciebie uczynić, Ragenie?

– Ten oto chłopak, Arlen, pochodzi z Potoku Tibbeta. – Posłaniec skinął na młokosa. – To sierota ocalała z ataku otchłanów. Nie ma rodziny w Miln, ale chciałby podjąć naukę w Gildii Posłańców.

– To doprawdy wspaniale, ale jaki to ma związek ze mną? – zapytał Vincin, zaszczycając Arlena przelotnym spojrzeniem.

– Malcum go nie przyjmie, jeśli nie będzie zarejestrowany.

– Tak, to stanowi pewien problem.

– Chłopak potrafi już kreślić runy. Gdybyś mógł tylko dopilnować, by...

Vincin pokręcił głową.

– Przykro mi, ale nie przekonasz mnie, że byle prostak z zabitej dechami mieściny potrafi stawiać runy wystarczająco dobrze, bym mógł go zarejestrować.

– Runy tego chłopaka odrąbały rękę skalnemu demonowi.

Vincin roześmiał się.

– Masz tę rękę ze sobą? Jeśli nie, zostaw tę historyjkę Minstrelom.

– W takim razie może mógłbyś go przyjąć w terminy? – zapytał Posłaniec.

– A zapłaci za nie?

– Przecież to sierota znaleziona na trakcie!

– Może udałoby mi się znaleźć jakiegoś Patrona, który go przyjmie na służącego – zaproponował Vincin.

Ragen zgromił go spojrzeniem.

– Obejdzie się – syknął i poprowadził chłopca ku wyjściu.

Słońce szybko zachodziło, tak więc pospieszyli z powrotem do posiadłości. Arlen przyglądał się, jak zatłoczone ulice Miln raptownie pustoszeją, a ludzie starannie sprawdzają znaki ochronne i barykadują drzwi. Nawet pomimo bruku i masywnych, chronionych runami murów mieszkańcy miasta zamykali się na noc w domach.

– Trudno mi pojąć, że rozmawiałeś z księciem takim tonem – powiedział w końcu Arlen.

Ragen zachichotał.

– To pierwsza zasada Posłańca. Kupcy i ludzie Królewskiej Krwi zapłacą za twe usługi, ale z chęcią wdepczą cię w błoto, jeśli im na to pozwolisz. W ich obecności trzeba się zachowywać jak król i nigdy nie zapominać, że tak naprawdę tylko ty ryzykujesz życie.

– W przypadku Euchora to zadziałało – przyznał chłopiec.

Ragen wykrzywił twarz na dźwięk tego imienia.

– Samolubna świnia. – Splunął. – Nie dba o nic z wyjątkiem własnej kiesy.

– Przecież nic się złego nie stało. Potok przetrwał zeszłą jesień bez soli, przetrwa więc i następną.

– Możliwe, niemniej nie powinni przez coś takiego przechodzić. A ty? Uczciwy i

szlachetny księżę zapytałby, dlaczego przyprowadziłem przed jego oblicze nieznanego chłopca. Dałby ci jakąś pracę przy runach, byś nie musiał żebrać na ulicy. Malcum zaś nie okazał się od niego ani odrobinę lepszy. Czy naprawdę coś by go kosztowało sprawdzenie twych umiejętności? A Vincin? Gdyby było cię stać na wniesienie złodziejskiej opłaty za naukę, ten chciwy łajdak przyjąłby cię jeszcze przed zachodem słońca. Mógłbyś być służącym, powiada. Cóż za łaska!

– A czy uczeń nie jest kimś w rodzaju sługi? – zapytał Arlen.

– W żadnym razie. Uczniowie należą do klasy kupców, gdyż przygotowują się do konkretnego fachu i rozpoczynają pracę na własny rachunek samotnie lub z pomocą innego Patrona. Słudzy zaś nie mają szans na osiągnięcie czegokolwiek, chyba że zwiążą się z osobą wyższego stanu. Mnie zaś prędzej szlag trafi, niż pozwolę ci zostać sługą!

Ragen zamilkł, a Arlen, choć wciąż czuł się nieco zagubiony, uznał, że lepiej nie zadawać kolejnych pytań.

* * *

Zanim ciemność spowiła miasto, przekroczyli barierę runiczną posiadłości Rageny. Margrit pokazała Arlenowi drogę do komnaty gościnnej wielkości połowy całego domu Jepha. Pośrodku stało łóżko tak wysokie, że chłopiec musiał na nie wskakiwać. Do tej pory sypiał jedynie na ziemi bądź na twardym sienniku, był więc zaskoczony, gdy zapadł się w miękki materac.

Zasnął szybko, ale niebawem obudziły go podniesione głosy. Wyślizgnął się z łóżka i na palcach wyszedł z pokoju. Ponieważ służba udała się już na spoczynek, na korytarzu nikogo nie zastał. Stał przy barierce u szczytu schodów, gdzie głosy były wyraźniejsze. Należały do Rageny i Elissy.

– ...przygarniecie go, ale na nic więcej nie pozwolę – mówiła kobieta. – W każdym razie praca Posłańca to nie zadanie dla małego chłopca!

– Ale on tego właśnie chce! – nalegał Ragen.

Elissa parsknęła.

– Oddanie komuś Arlena nie sprawi, że się pozbędziesz wyrzutów sumienia. Trzeba go było odwieźć do domu, zamiast wlec ze sobą do Miln!

– Demonie łajno! – warknął Ragen. – Co za bzdura! Po prostu sama potrzebujesz kogoś, kogo mogłabyś niańczyć dzień i noc!

– Ani się waż wykorzystywać tego argumentu przeciwko mnie! W chwili gdy podjąłeś decyzję, by wziąć chłopca ze sobą, spadła na ciebie odpowiedzialność za jego życie. Czas, byś spojrział prawdzie w oczy i przestał szukać kogoś, na kogo mógłbyś zrzucić jej ciężar.

Arlen wyteżył słuch, ale przez dłuższą chwilę nie usłyszał odpowiedzi Rageny. Zapragnął zejść na dół i włączyć się do rozmowy. Zdawał sobie sprawę, że Elissa chce dla niego dobrze,

tylę że miał już dosyć sytuacji, w których dorośli decydowali o jego życiu.

– Rozumiem – rzekł w końcu Ragen. – A co powiesz, jeśli wyślę chłopaka do Coba? Cob nie będzie go zachęcać do wstąpienia w szeregi Posłańców. Zapłacę całość należnych opłat za naukę. Moglibyśmy też regularnie go odwiedzać.

– Myślę, że to dobry pomysł – zgodziła się Elissa, a w jej głosie nie było już znać rozdrażnienia. – Ale nie widzę powodu, dla którego Arlen nie miałby tu pozostać i żyć w wygodzie, zamiast sypiać na twardej ławie w zatłoczonym warsztacie.

– A kto powiedział, że nauka tego fachu ma być lekka i przyjemna? Jeśli chłopak chce opanować arkana sztuki stawiania runów, będzie musiał tam siedzieć od świtu do zmierzchu, a jeśli na dodatek nie zmieni zdania i zapragnie zostać Posłańcem, przyda mu się każda lekcja.

– Niech będzie – sarknęła Elissa z irytacją, ale zaraz potem jej głos złagodniał. – A teraz chodź wreszcie. Nie mogę się doczekać dziecka pod moim sercem.

Arlen czmychnął do pokoju.

* * *

Jak każdego ranka, chłopiec otworzył oczy tuż przed świtem, ale przez chwilę miał wrażenie, że nadal śpi i unosi się na miękkiej chmurze. Potem przypomniał sobie, gdzie się znajduje. Rozciągnął ręce i nogi, rozkoszując się ciepłem grubej kołdry oraz wspaniałą miękkością pierza upchanego w materac. Ogień w kominku zgasł, pozostały po nim jedynie rozżarzone węgle.

Pokusa, by dłużej poleżeć, była bardzo silna, ale pełny pęcherz pomógł Arlenowi opuścić nagrzanę poślanie. Ześlizgnął się na zimną podłogę i zgodnie z instrukcjami Margrit wyciągnął spod łóżka nocniki. Wysikał się do jednego, w drugim załatwił kolejną potrzebę, po czym oba zostawił przy drzwiach. Ich zawartość miała zostać wykorzystana w ogrodzie. Jałowa i kamienista gleba Miln nie sprzyjała uprawom, przez co ludzie nauczyli się niczego nie marnować.

Arlen podszedł do okna. Już poprzedniego dnia gapił się na nie, póki powieki nie zaczęły mu zbyt ciężko, ale szkło nie przestawało go fascynować. Choć wyglądało jak coś zupełnie niematerialnego, było twarde i nie ustępowało pod naciskiem dłoni, zupełnie niczym sieć runiczna. Chłopiec wodził palcem po szybie, kreśląc proste znaki w miejscu, gdzie zbierała się para. Przypomniał sobie runy z przenośnego kręgu Rageny i naraz zamienił linię w jeden z symboli. Narysował kilka innych, za każdym razem dmuchając na szkło, by zamazać swe dzieło i stworzyć kolejne.

Gdy znudziła go ta zabawa, ubrał się i zszedł na dół. Został Rageny przy jednym z okien. Mężczyzna popijał herbatę, przyglądając się wschodzącemu zza gór słońcu.

– Szybko wstałeś – powiedział z uśmiechem. – Jeszcze będzie z Ciebie Posłaniec.

Arlen dumnie wypiął pierś.

– Przedstawię cię dzisiaj przyjacielowi – ciągnął Ragen. – To Patron Runów. W młodości sam pobierałem u niego nauki, a teraz potrzeba mu nowego ucznia.

– A nie mógłbym po prostu uczyć się u ciebie? – zapytał chłopak z nadzieją w głosie. – Dam z siebie wszystko!

Ragen zachichotał.

– Nie wątpię, ale ja jestem kiepskim nauczycielem, a ponadto spędzam większość czasu poza miastem. Od Coba wiele się nauczysz. Był Posłańcem jeszcze przed moimi narodzinami.

Twarz Arlena ozdobił szeroki uśmiech.

– Kiedy mógłbym go poznać?

– Słońce właśnie wstało. Nic nas nie powstrzymuje, by udać się do niego zaraz po śniadaniu.

Elissa dołączyła do nich w jadalni. Służba nakryła już do wielkiego stołu, na którym stały półmiski z bekonem, szynką, chlebem posmarowanym miodem, jajkami, ziemniakami i wielkimi pieczonymi jabłkami. Arlen wprost pochłonął swą porcję, nie mogąc się doczekać chwili, gdy wyjdą na miasto. Nie spuszczał wzroku z Ragen, lecz on nic sobie z tego nie robił i jadł powoli. Chłopak czuł, że niecierpliwość zaraz go rozsadzi. Wiercił się nerwowo, ale przez cały czas milczał.

W końcu Ragen odłożył widelec i otarł usta.

– A więc dobrze. – Wstał od stołu. – Możemy iść.

Arlen bez zwłoki zeskoczył z krzesła.

– Nie tak prędko! – zawołała za nimi Elissa.

Obaj zatrzymali się w pół kroku. Chłopiec z zaskoczeniem uświadomił sobie, że jej słowa trąciły w nim czułą strunę – Elissa odezwała się bowiem tonem jego matki. Zagryzł wargę, próbując zdławić napływ emocji.

– Nigdzie nie pójdziecie przed przybyciem krawca, który dokładnie zmierzy Arlena.

– Po co? – zapytał chłopak. – Margrit wyprała i pocerowała moje rzeczy.

– Doceniam twą troskę, ukochana – zawtórował mu Ragen – ale nie ma pośpiechu z szyciem nowych ubrań. Przecież audiencja u księcia już za nami.

– Nie mam zamiaru dyskutować na ten temat – rzekła twardo Elissa. – Nie pozwolę, by gość mego domu chodził po mieście ubrany niczym nędzarz.

Ragen przyjrzał się twarzy żony i westchnął, dostrzegłszy charakterystyczny układ brwi.

– Daj temu spokój, Arlen – poradził cicho. – Nigdzie się stąd nie ruszymy, póki nie będzie usatysfakcjonowana.

Krawiec, drobny mężczyzna o zręcznych palcach, przybył dzień później i skrupulatnie zmierzył Arlena przy pomocy sznurków z supełkami, zapisując wymiary kredą na tabliczce. Kiedy skończył, odbył dość ożywioną rozmowę z panią domu, po czym uklonił się i wyszedł.

Elissa podeszła do chłopca.

– Nie bolało, co? – Poprawiła mu koszulę i odgarnęła włosy z twarzy. – No, teraz możesz popędzić z Ragenem na spotkanie z mistrzem Cobem.

Delikatną, chłodną dłonią pogładziła go po policzku. Arlen poddawał się przez chwilę dobrze znanej pieśczoście, lecz nagle cofnął się z szeroko otwartymi oczyma.

Ragen pochwycił jego spojrzenie, a zaraz potem dostrzegł ból na twarzy żony, która patrzyła, jak chłopiec cofa się przed nią niczym przed otchłańcem.

– Chyba zraniłeś uczucia Elissy, Arlenie – powiedział, gdy opuścili posiadłość.

– Ona nie jest moją mamą – burknął chłopiec, tłamsząc poczucie winy.

– Tęsknisz za nią? Mam na myśli twą matkę, oczywiście.

– Tak – odparł cichym głosem.

Ragen pokiwał głową i nie odezwał się już słowem, za co Arlen był mu głęboko wdzięczny. Szli w milczeniu przez miasto, a jego kolejne osobliwości sprawiły, że szybko zapomniał o incydencie. Po ulicach toczyły się wozy zbieraczy gnoju, którzy pukali do domów, by odebrać nagromadzone przez noc nieczystości. Powietrze było ciężkie od smrodu.

– Fuj – wzdrygnął się chłopiec, zatykając nos. – To miasto cuchnie gorzej od obornika! Jak wy to wytrzymujecie?

– Najbardziej śmierdzi z rana, gdy po ulicach kręcą się zbieracze – odpowiedział Ragen. – Można do tego przywyknąć. Swego czasu mieliśmy kanalizację. Nieczystości spływały podziemnymi tunelami, które dochodziły do każdego domostwa, ale zapieczętowano je całe wieki temu. Otchłańce dostawały się przez nie do miasta.

– A nie możecie po prostu kopać ustępów?

– Milneńska gleba jest twarda i kamienista. Ci z nas, którzy nie mają własnych ogrodów, są zobowiązani oddawać nieczystości, a zbieracze zwożą je do Książęcego Sadu. Wymaga tego prawo.

– Cuchnie mi to prawo – skrzywił się Arlen.

Ragen zareagował na tę odpowiedź śmiechem.

– Może. Ale dzięki niemu mamy co jeść, no a gospodarka rozkwita. Mój dom wygląda jak marna chałupa przy posiadłości mistrza Gildii Zbieraczy.

– Za to z pewnością lepiej pachnie – skwitował chłopiec, co sprawiło, że Posłaniec znów się roześmiał.

W końcu skręcili w boczną uliczkę i dotarli do niewielkiego, lecz solidnie zbudowanego warsztatu. Runy okalały okna i ciągnęły się wzdłuż nadproża i ościeży drzwi. Arlen podziwiał mistrzostwo ich wykonania. Człowiek, który je wyrysował, doskonale znał się na swoim fachu.

Kiedy wchodzili do środka, nad ich głowami rozbrzmiał dźwięk dzwonka. Chłopiec rozdziawił usta. Gdziekolwiek spojrzal, znajdowały się runy wszelkich kształtów i wielkości, wykonane na każdym z możliwych materiałów.

– Poczekaj tu – nakazał Ragen i ruszył w stronę siedzącego przy stole warsztatowym

mężczyzny. Arlen ledwie zwrócił na niego uwagę. Przechadzał się wzdłuż ścian i z nabożeństwem dotykał znaków wszytych w tkaniny, wrytych w gładkich otoczkach czy odlanych w metalu. Znalazł rzeźbione słupy, jakie stawiano na polach i przenośne kręgi podobne temu, którym dysponował Posłaniec. Usiłował zapamiętać wszystkie nowe runy, lecz było ich po prostu zbyt wiele.

– Arlen, chodź no tu! – zawołał Ragen po paru minutach. – Oto mistrz Cob. – Wskazał mężczyznę w wieku około sześćdziesięciu lat. Jak na milneńskie standardy, był on dość niski i krępy, a na jego mięśniach odkładał się tłuszcz. Nosił gęstą, siwiejącą brodę, z której tu i ówdzie sterczały jeszcze czarne kosmyki, a jego krótko ostrzyżone włosy rzedniały na czubku głowy. Skórę miał suchą i pomarszczoną.

Ręka Arlena całkiem znikła w jego wielkiej dłoni.

– Ragen twierdzi, że chcesz zostać Patronem Runów – powiedział Cob, siadając ciężko na ławie.

– Nie, proszę pana. Chcę zostać Posłańcem.

– Podobnie jak każdy chłopak w twoim wieku. Co sprytniejsi na szczęście nabierają rozumu, zanim ściągną na siebie śmierć.

– A czy pan nie był kiedyś Posłańcem? – zapytał zirytowany Arlen.

– Tak, to prawda – przyznał Cob i podwinął rękawy, pokazując mu tatuaż podobny do tego, który nosił Ragen. – Podróżowałem do pięciu Wolnych Miast oraz tuzina mniejszych wsi i zarobiłem więcej pieniędzy, niż potrafiłem wydać. Tak mi się przynajmniej wydawało.

Przerwał, wprawiając Arlena w jeszcze większe zakłopotanie.

– Zarobiłem również to – dodał po chwili, unosząc koszulę i odsłaniając szerokie blizny biegnące w poprzek brzucha. – I to. – Ściągnął but i pokazał chłopcu ogromną bliznę w miejscu, gdzie powinny się znajdować cztery palce. – Po dziś dzień rzadko kiedy przesypiam więcej niż godzinę, by nie zerwać się na równe nogi i nie ująć za włócznię – ciągnął. – Tak, byłem Posłańcem. Cholernie zdolnym Posłańcem. Miałem też o wiele więcej szczęścia niż inni, ale nikomu nie będę polecać tego zawodu. Praca Posłańca może się wydawać kroczeniem ścieżką chwały. Prawda jest jednak taka, że na każdego mężczyznę, który mieszka w okazałej posiadłości i wywołuje powszechny podziw, jak choćby nasz przyjaciel Ragen, dwóch innych gnije gdzieś w pyle drogi.

– Nic mnie to nie obchodzi – odparł Arlen. – Tego właśnie chcę.

– A zatem zawrzyjmy umowę – powiedział z westchnieniem Cob. – Posłaniec przede wszystkim musi być fachowcem w stawianiu runów. Wykształcę cię na Patrona, a jeśli starczy nam czasu, nauczę cię też wszystkiego, co wiem o sztuce przetrwania na szlaku. Nauka trwa siedem lat. Jeśli po tym czasie nadal będziesz chciał zostać Posłańcem, cóż... Będziesz już w pełni za siebie odpowiedzialny.

– Siedem lat? – Arlen przełknął ślinę.

– Sądziłeś, że można przyswoić sobie całą wiedzę o runach w jedno popołudnie? –

parsknął Cob.

– Ale ja umiem je kreślić – oznajmił pewny siebie chłopiec.

– Ragen już mi o tym wspominał. Mówił też, że nie masz bladego pojęcia o geometrii czy teorii runicznej. Kreślenie runów na oko być może nie zabije cię jutro czy pojutrze, ale prędzej czy później zabije.

Arlen przestąpił z nogi na nogę. Siedem lat wydawało mu się całą wiecznością. W głębi duszy wiedział jednak, że Cob ma rację. Odzywający się co chwilę ból pleców przypominał mu, że nie jest jeszcze gotów stawić czoła otchłanom. Potrzebował wszystkich umiejętności, których mógł się nauczyć od mistrza. Nie wątpił, że całe tuziny Posłańców poległy za sprawą demonów, i poprzysiągł sobie, że nie dołączy do ich grona tylko dlatego, że był zbyt uparty, by uczyć się na własnych błędach.

– W porządku – powiedział w końcu. – A zatem siedem lat.

Część II

Miln

320 – 325
Roku Plagi

10

Nauka

320 RP

– Oto i nasz przyjaciel. – Gaims wymierzył palec w ciemności na zewnątrz miasta.

– Jak zwykle o czasie – przytaknął Woron, podchodząc do towarzysza. – Jak myślisz, czego on chce?

– Jeden Stwórca raczy wiedzieć.

Obaj strażnicy oparli się o znaczony runami podokiennik wieży obserwacyjnej, wpatrzeni w jednorękiego demona skał materializującego się tuż przed bramą. Był wielki, nawet w ocenie obu Milneńczyków, którzy widzieli więcej skalnych demonów niż ktokolwiek w mieście.

Podczas gdy pozostałe otchłānce rozbiegały się w poszukiwaniu ofiar, jednoręki demon zawsze postępował wedle tego samego schematu. Szedł prosto na bramę i obwąchiwał ją, wyraźnie czegoś szukając. Potem wyprostowywał się i zaczynał uderzać w barierę. Runy odrzucały go w rozbłyskach światła, ale nie dawał za wygraną. Powoli przesuwiał się wzdłuż muru, waląc w niego raz po raz w poszukiwaniu słabego punktu, aż wreszcie zniknął z pola widzenia.

Kilka godzin później błyski i wyładowania energii oznajmiały powrót demona z drugiej strony. Gwardziści z innych posterunków mówili, że ogromny otchłāniec co noc okrąża miasto, atakując po drodze każdy run. Gdy w końcu docierał z powrotem przed bramę, miał w zwyczaju przykucać i cierpliwie się w nią wpatrywać.

Trwało to co noc już od roku. Gaims i Woron zdążyli się przyzwyczaić do obecności potwornego gościa. Zaczęli nawet z niecierpliwością wyczekiwać jego przybycia i zabijali nudę zakładami, ile czasu tym razem zejdzie mu na okrążeniu miasta lub czy skieruje się na zachód, czy na wschód.

– Zaczyna mnie kusić, żeby go wpuścić – powiedział Woron. – Tylko i wyłącznie po to, by sprawdzić, czego tak naprawdę chce.

– Nawet nie żartuj na ten temat – ostrzegł go Gaims. – Gdyby dowódca wieży usłyszał taką gadaninę, niechybnie zakułby nas obu w kajdany. Spędzilibyśmy cały rok w kamieniołomie.

Jego towarzysz parsknął.

– A mimo to człowieka zżera ciekawość...

* * *

Ów pierwszy rok w Miln, a dwunasty jego życia, minął Arlenowi w okamgnieniu. Chłopak wraść w rolę czeladnika Patrona Runów. W pierwszej kolejności nauczył się czytać i pisać, znał bowiem znaki niespotykane w mieście, które jego mistrz chciał jak najprędzej ujrzeć na papierze.

Arlen ogromnie polubił czytanie i nie pojmował, jak to możliwe, że kiedyś mógł się bez niego obejść. Zagłębiał się w lekturze na długie godziny. Z początku podczas czytania poruszał lekko ustami, lecz wkrótce szybko pochłaniał stronę za stroną.

Cob nie miał powodów do narzekań. Arlen rył runy do późna w nocy i starał się o wiele bardziej od każdego poprzedniego ucznia. Mężczyzna często szedł spać, myśląc o czekającym go następnego dnia nawale pracy, ale gdy do warsztatu wpadały pierwsze promienie słońca, okazywało się, że jego gorliwy czeladnik dawno już wszystko zrobił.

Nauczywszy się czytać i pisać, chłopak otrzymał zadanie skatalogowania wiedzy o runach. Miał przerysować każdy z nich i opatrzyć szczegółowym opisem w specjalnej księdze, którą zakupił dla niego mistrz. Papier był niezwykle drogi w tej jałowej, niezalesionej krainie i niewielu mieszkańców widziało kiedykolwiek księgę, ale dla Coba nie stanowiło to przeszkody.

– Nawet najgorszy grymuar wart jest sto razy więcej od papieru, na którym go spisano – powiedział.

– Grymuar? – zapytał Arlen. – A co to takiego?

– Księga z runami. Każdy Patron posiada własną i strzeże jej sekretów.

Chłopiec otaczał więc nowy nabytek szczególną troską i pisząc wolno, lecz pewnie, stopniowo zapełniał stronicę. Gdy już był pewien, że niczego więcej nie pamięta, pokazał księgę mistrzowi. Cob studiował ją z narastającym zdumieniem.

– Na Stwórcę, chłopcze, czy ty masz blade pojęcie, ile to jest warte?

Arlen uniósł wzrok znad runu, który właśnie grawerował w kamiennym słupie, i wzruszył ramionami.

– Każdy mędrzec w Potoku Tibbeta mógłby was tego nauczyć, mistrzu.

– Niewykluczone. Zdaje się jednak, że to, co w Potoku jest jasne i oczywiste, w Miln

stanowi najprawdziwszy skarb. Choćby ten run tutaj. – Wskazał jedną ze stronic. – Czy on naprawdę zamienia ogniste splunięcie w chłodny wiaterek?

Arlen zaśmiał się szczerze.

– Moja mama go uwielbiała. W gorące letnie noce zawsze miała nadzieję, że demony ognia będą szaleć naprzeciw okiennic i ochłódzą nas swymi wyziewami.

– Doprawdy niezwykle... – Cob pokręcił głową. – Chciałbym, byś przepisał ten grymuar, najlepiej kilka razy. Staniesz się dzięki temu bogaczem.

– Nie rozumiem.

– Ludzie zapłacą każde pieniądze za kopię! Ale może nie powinniśmy go sprzedawać... Gdybyśmy zachowali całą wiedzę o tych znakach wyłącznie dla siebie, stalibyśmy się najznamienitszymi Patronami w całym mieście.

Arlen zmarszczył brwi.

– Ale przecież trzymanie tego w tajemnicy jest nie w porządku! Tata zawsze mawiał, że runy są dla wszystkich.

– Każdy Patron ma swe sekrety, Arlenie. To właśnie dzięki nim zarabiamy na życie.

– Zarabiamy na życie, grawerując słupy i malując ościeże – sprzeciwił się chłopiec. – A nie ukrywając sekrety, które mogą ocalić ludzkie życie. Czy mamy odmówić prawa do schronienia wszystkim tym, którzy nie są dość zamożni, by za nie płacić?

– Oczywiście, że nie, ale to zupełnie inna kwestia.

– A na czym polega różnica? W Potoku Tibbeta nie mieliśmy żadnych Patronów. Sami rysowaliśmy znaki wokół naszych domów, a ci, którzy byli w tym lepsi, pomagali sąsiadom, nie prosząc o nic w zamian. Dlaczego my mamy żądać zapłaty? Nie walczymy przecież przeciwko sobie, tylko razem stawiamy czoła demonom!

– Fort Miln rządzi się innymi prawami niż Potok Tibbeta. – Cob obrzucił chłopca niechętnym spojrzeniem. – Tu wszystko kosztuje, a jeśli nie masz pieniędzy, stajesz się żebrakiem. Wyuczono mnie fachu tak jak piekarza czy kamieniarza. Dlaczego więc nie miałbym żądać opłat w zamian za usługi?

Arlen przez chwilę milczał.

– Mistrzu Cobie, dlaczego nie jesteście bogaci? – zapytał w końcu.

– Co takiego?

– Tak jak Ragen. Mówiliście, że niegdyś sami byliście Posłańcem w służbie księcia. Dlaczego nie mieszkanie w wielkiej posiadłości, otoczeni służbą, która wszystko za was zrobi? Dlaczego prowadzicie warsztat?

Cob ze świstem wypuścił powietrze z ust.

– Fortuna jest niestała i zdradliwa, Arlenie. Raz masz tyle bogactw, że nie wiesz, co z nimi zrobić, a po chwili łądujesz na ulicy i prosisz o jałmużnę.

Chłopiec pomyślał o żebrakach, których zauważył podczas pierwszego dnia pobytu w Miln. Od tego czasu spotykał ich znacznie częściej. Widział, jak kradli gnój na opał, jak spali

w publicznych schroniskach i błagali przechodniów o coś do jedzenia.

– Co się stało z waszą fortuną, mistrzu? – zapytał.

– Poznałem człowieka, który utrzymywał, że potrafi zbudować drogę. Strzeżoną runami drogę stąd aż do Angiers.

Chłopak podszedł bliżej nauczyciela i usiadł na zydłu.

– Już wcześniej próbowano budować takie drogi – ciągnął tymczasem Cob. – Próbowano poprowadzić trakt do Książęcych Kopalń w górach lub do Zagajnika Hardena na południu. To niewielkie odległości, ledwie dzień drogi od Miln, ale wystarczające, by ich budowniczy dorobił się prawdziwej fortuny. Niemniej takie próby zawsze zawodziły. Jeśli w całej sieci runicznej pojawi się choć jedna, najmniejsza nawet dziura, otchłańce w końcu ją znajdą. A gdy się już dostaną do środka...

Pokręcił głową, nie dokańczając.

– Wspomniałem o tym wszystkim temu człowiekowi, ale on nie ustępował. Miał swój plan i był pewien, że ów plan zadziała. Potrzebował tylko pieniędzy.

Przy tych słowach zerknął na Arlena.

– Każdemu miastu czegoś brakuje, a czegoś ma w nadmiarze. Okolice Miln obfitują w zasoby metalu i kamienia, gorzej jednak z drewnem. W Angiers zaś sytuacja wygląda wręcz przeciwnie. Obu tym miastom brakuje żywności i bydła, czego z kolei pod dostatkiem ma Rizon. W Rizon próżno szukać dobrego drewna czy metalu na narzędzia. W końcu Lakton obfituje w rybę – i nic ponadto. Pewnie uznasz mnie za głupca, że w ogóle zastanawiałem się nad czymś, co wszyscy, od księcia począwszy, uznali za mrzonki, ale pomysł wybudowania drogi długo mnie nie opuszczał. Wciąż myślałem: a jeśli to możliwe? A może warto spróbować?

– Nie sądzę, byście byli głupcem.

– I właśnie dlatego przechowuję większość twych zarobków. – Cob zachichotał. – Przetraciłbyś wszystko tak jak ja.

– Co się stało z tą drogą? – dociekał Arlen.

– Otchłańce. Zamordowały zarówno tego człowieka, jak i wszystkich wyrobników, których dla niego wynająłem, spaliły słupy runiczne i plany... Zniszczyły wszystko, a tymczasem ja zainwestowałem w tę drogę cały majątek. Nawet gdy zwolniłem służbę, nie byłem w stanie spłacić długów. Dopiero po sprzedaniu posiadłości stanąłem na nogi. Kupiłem ten warsztat i od tamtej pory tu mieszkam.

Na chwilę zarówno chłopca, jak i jego nauczyciela pochłonęły wyobrażenia owej feralnej nocy. Oczyma wyobraźni ujrzeli roztańczone wśród zwłok otchłańce.

– Nadal uważacie, że warto spróbować? – przerwał ciszę Arlen. – Połączyć wszystkie miasta.

– Tak. Nawet jeśli ma mnie jeszcze bardziej strzykać w plecach od dźwigania słupów runicznych i jeśli do końca życia będę musiał znosić smak potraw, które gotuję.

– A czym różni się taka droga od wiedzy o runach? – Chłopiec zastukał palcem w grymuar. – Czy nie skorzystalibyśmy wszyscy, gdyby Patroni dzielili się swym doświadczeniem? Czy nie warto uczynić miast bezpieczniejszymi w zamian za część dochodów?

Mistrz długą chwilę wpatrywał się w ucznia, aż w końcu położył mu dłoń na ramieniu.

– Masz rację, Arlenie. Skopiujemy te księgi i sprzedamy je innym Patronom.

Na twarz chłopca wolno wypłynął uśmiech.

– Cóż znowu? – spytał podejrzliwie Cob.

– A może po prostu wymienimy się z nimi sekretami?

* * *

W akompaniamencie dzwonek do warsztatu wkroczyła rozpromieniona Elissa. Skinieniem głowy pozdrowiła Coba, po czym postawiła na podłodze wielki kosz i ucałowała Arlena. Zażenowany chłopak skrzywił się i wytarł rękawem policzek, ale żona Rageny nie zwróciła na to uwagi.

– Mili panowie, przyniosłam wam nieco owoców, świeży chleb i ser – powiedziała, wyjmując smakołyki z kosza. – Zapewne wciąż jecie to samo, co podczas mojej ostatniej wizyty.

– Suszone mięso i suchary to podstawa diety Posłańca, pani. – Cob uśmiechnął się, nie unosząc głowy znad kamienia zwornikowego, który właśnie cyzelował.

– Bzdury! – fuknęła Elissa. – Ty już skończyłeś z pracą Posłańca, a Arlen jeszcze nim nie został. Nie szukaj wytłumaczenia dla własnego lenistwa, które nie pozwala ci zataszczyć zadka na rynek. Arlen wciąż rośnie i potrzebuje lepszego jada.

Zmierzwiała chłopcu włosy i obdarzyła go ciepłym uśmiechem, mimo że się odsunął.

– Przyjdź wieczorem na kolację – powiedziała do niego. – Ragen wyjechał, dom wydaje się teraz taki pusty. Przygotuję coś, dzięki czemu od razu nabierzesz trochę ciała. Będiesz mógł spać w swym pokoju.

– Ja... Ja chyba nie mogę... – wybąkał Arlen, unikając spojrzenia kobiety. – Mistrz chce, bym skończył te słupy runiczne, potrzebne w książących ogrodach.

– Nonsens! Słupy poczekają. Mamy je oddać dopiero za tydzień. – Cob wyszczerzył zęby w kierunku Elissy, ignorując nieszczęśliwą minę czeladnika. – Wyprawię go do was zaraz po Wieczornym Dzwonie, pani.

– A więc stanęło. Do zobaczenia, Arlenie!

Elissa znów ucałowała chłopaka i ruszyła ku drzwiom, zamiatając podłogę sukniami. Gdy już wyszła, Cob zerknął na ucznia, który próbował skupić się na pracy, choć wciąż marszczył brwi.

– Nie pojmuję, dlaczego wolisz spać na twardym sienniku, podczas gdy masz do wyboru

miękką pościel i kobietę, która świata poza tobą nie widzi. – Pokręcił głową i powrócił do swych zajęć.

– Ona zachowuje się jak moja mama! – parsknął Arlen. – A przecież nią nie jest!

– To prawda, ale widać o tym właśnie marzy. Spotkałaby cię jaka krzywda, gdybyś jej pomógł to marzenie spełnić?

Chłopiec nie odpowiedział, a Cob, dostrzegłszy smutek w jego oczach, postanowił nie zaczepiać ponownie tego tematu.

* * *

– Spędzasz zbyt wiele czasu z nosem w książkach – mruknął Cob i wyrwał Arlenowi opasły tom. – Kiedy po raz ostatni poczułeś na skórze blask słońca?

Chłopak chciał coś odburknąć, ale zaniemówił. W Potoku Tibbeta każdą wolną chwilę spędzał na wolnym powietrzu. W Miln mieszkał już rok, a mimo to nie mógł sobie przypomnieć, kiedy opuścił cztery ściany warsztatu nie za sprawą obowiązku, lecz własnych chęci.

– Pokręć się koło innych urwisów – przykazał mu Cob. – Nie zaszkodzi poszukać sobie jakichś przyjaciół w twoim wieku!

Gdy Arlen po raz pierwszy od przyjazdu przekroczył miejskie bramy, słońce powitało go jak starego druha po długim rozstaniu. Z dala od wozów zbieraczy gnoju, gnijących odpadków i spoconych ludzi powietrze tchnęło świeżością, której chłopak prawie już nie pamiętał. Wszedł na szczyt wzgórza, skąd dojrzał pole, a na nim bawiące się dzieci. Wyciągnął książkę z sakwy i usiadł na trawie.

– Hej, ty tam, molu książkowy! – ktoś zawołał.

Z dołu nadchodziła grupka chłopców. Jeden z nich trzymał piłkę.

– Dalej! Potrzeba nam jeszcze jednego, by utworzyć równe drużyny!

– Nie znam tej gry – odparł wymijająco Arlen. Wprawdzie Cob nakazał mu pobawić się z innymi dziećmi, ale uznał czytanie za ciekawszą rozrywkę.

– A co tu trzeba wiedzieć? Pomagasz drużynie zdobyć punkt i robisz wszystko, by to utrudnić przeciwnikom.

Arlen zmarszczył brwi.

– W porządku – burknął w końcu.

– Na imię mi Jaik – przedstawił się szczupły młokos. Nosił brudne, połatane ubranie, miał rozczochrane włosy i wąski nos. – A jak ty się nazywasz?

– Arlen.

– To ty terminujesz u Patrona Coba? Jesteś tym dzieciakiem, którego Posłaniec Ragen znalazł na trakcie?

Chłopak przytaknął, a Jaik mimowolnie wybałuszył oczy, jakby nie dowierzał słowom

rówieśnika. Bez zbędnych słów ruszył na pole i wskazał pomalowane na biało kamienie, które wyznaczały bramkę.

Arlen wnet pojął zasady gry. Już po chwili zapomniał o książce i skupił całą uwagę na przeciwnikach. Wyobrażał sobie, że jest Posłańcem, a oni demonami usiłującymi wygnać go z runicznego kręgu. Godzina upływała za godziną i nim się zorientował, zagrział Wieczorny Dzwon. Wszyscy w pośpiechu zebrali swe rzeczy, przestraszeni widokiem uciekającego za horyzont słońca.

Arlen podniósł książkę. Zza pleców dobiegł go głos kolegi:

– Lepiej się pospiesz!

– Mamy mnóstwo czasu – odparł ze spokojem.

Jaik zerknął w ciemniejące niebo i zadrżał.

– Grasz całkiem nieźle. Przyjdiesz jutro? Kopiemy szmaciankę niemalże co popołudnie, a Dnia Szóstego idziemy na rynek, by obejrzeć Minstrela.

Uśmiechnął się, gdy Arlen kiwnął niezobowiązująco głową, a zaraz potem pognął do domu.

Arlen ruszył w dół zbocza. Niebawem dotarł do bram, za którymi owionął go dobrze już mu znany smród miasta. Skierował się ku wzgórzu, na którym stała posiadłość Ragen. Posłańiec wyruszył w kolejną podróż, tym razem do odległego Lakton, i chłopak spędzał cały miesiąc z Elissą. Kobieta zadreślała go najrozmaitszymi pytaniami i pomstowała na stan jego odzieży, ale Arlen złożył Posłańcowi obietnicę, że będzie „odstraszać młodych kochanków”. Margrit zapewniła go jednak, że Elissa żadnych kochanków nie ma. W rzeczy samej, gdy Ragen przebywał poza domem, jego żona snuła się po korytarzach posiadłości niczym zjawa lub przepłakiwała całe dnie w sypialni. Twierdziła, że wizyty Arlena napętlają jej serce radością. Kilkakrotnie poprosiła go nawet, by z nimi zamieszkał. Choć chłopak za każdym razem odmawiał, w duchu zaczynał przyznawać, że lubi marudzenie Elissy.

* * *

– Znowu tu lezie – zauważył Gaims na widok języków mgły, które stopniowo formowały ogromnego demona skał. Woron podszedł do towarzysza i obaj patrzyli z wieży, jak otchłaniec obwąchuje okolicę. Naraz potwór wydał z siebie przerażający ryk, zignorował bramę i wbiegł na szczyt wzgórza. Z wściekłością kopnął tańczącego tam demona ognia i przypadł do ziemi, wyraźnie czegoś szukając.

– Stary Jednoręki wyjątkowo dziś grymasny – rzekł Gaims, gdy demon znów zawył i zbiegł z pagórka na rozciągające się u jego stóp pole. Zgarbiony przeszukiwał je intensywnie.

– Co też go, u licha, opętało? – zaciekał się Woron. Jego towarzysz wrzuszył ramionami.

Otchłaniec znów wbiegł na wzgórze. W jego zawodzeniu rozbrzmiała niemalże boleść,

gdy chwilę później natarł na bramę z niewyobrażalną furją. Walił w runy jak szalony, a jego pazury krzeszały snopy iskier.

– Co noc się tego nie widzi – skomentował to Woron. – Złożyć meldunek?

– Po co? Kogo obchodzi napad złości szalonego demona? A gdyby nawet, to co na to poradzić?

– Na wściekłość takiego potwora? Jedyne, co mi przychodzi do głowy, to wykopać sobie grób.

* * *

Arlen przeciągnął się i zeskoczył z ławy. Słońce już dawno zaszło, a żołądek irytująco burczał, ale piekarz płacił podwójną stawkę za naprawienie jego bariery runicznej w jedną noc, nawet pomimo tego, że na ulicach miasta nie widziano demona od Stwórcy jeden wie jak dawna. Chłopiec miał nadzieję, że Cob zostawił mu coś w garnku.

Otworzył tylne drzwi warsztatu i wystawił głowę na zewnątrz, wciąż bezpieczny w półokręgu runów okalających wejście. Spojrzał na prawo i lewo, a upewniwszy się, że nic mu nie grozi, wyszedł na zewnątrz, uważając, by nie nadepnąć na któryś ze znaków.

Dróżka wiodąca od zaplecza warsztatu do domku Coba była bezpieczniejsza od większości budowli w Miln. Składała się z kwadratów o bokach wytyczonych przez cegły, na których wryto runy. Sztuka wyrabiania materiału, z których odlewano owe cegły – Cob zwał go kretą – pochodziła z dawnych czasów i choć w Potoku Tibbeta nigdy o niej nie słyszano, w Miln stanowiła codzienność. Dzięki zmieszaniu sproszkowanych krzemianów oraz wapna z wodą i żwirem uzyskiwano błotnistą substancję, z której można było formować dowolne kształty.

Zręczny rzemieślnik lał kretę, a następnie, gdy zaczynała krzepnąć, ostrożnie wydrapywał w niej znaki, które twardniały i stawały się niemalże niezniszczalne. Cob wyrabiał cegłę za cegłą, aż wreszcie utworzył ścieżkę prowadzącą z domu do warsztatu. Nawet gdyby jakiś otchłaniec uszkodził któryś z kwadratów, przechodzień mógł po prostu cofnąć się bądź przeskoczyć do następnego.

Gdybyśmy budowali w ten sposób drogi, pomyślał Arlen, cały świat stanąłby przed nami otworem.

W jedynej izbie malutkiego domu zastał Coba nad zapisanymi kredą tabliczkami.

– Jedzenie jest jeszcze ciepłe – mruknął mistrz, nie podnosząc głowy.

Chłopak podszedł do paleniska i napełnił miskę porcją gęstej potrawy.

– Na Stwórcę, niezłego zamieszania narobiłeś – dodał po chwili Cob, odwracając się wreszcie od tabliczek. – Połowa Patronów w Miln woli zachować swe sekrety na własność, nawet jeśli nie będą przez to mieli dostępu do naszych. Wielu innych nadal proponuje pieniądze, a reszta zasypała moje biurko listami runów, którymi chcieliby się podzielić. Miną

tygodnie, nim przez to wszystko przebrnę.

– Ale dla wspólnego pożytku – odparł Arlen. Siedział na podłodze i łakomie pochłaniał potrawkę, używając czerstwej skórki chleba jako łyżki. Kukurydza i fasola wciąż były twarde, a ziemniaki rozgotowane, ale nie narzekał. Przyzwyczyił się już do jałowych warzyw w Miln, a mistrz nigdy nie dał się namówić na gotowanie ich oddzielnie.

– Pewnie masz rację – przyznał Cob. – Ale, na noc, któż mógł przypuszczać, że w tym mieście istnieje tyle runów?! Nigdy w życiu nie widziałem nawet połowy z nich, a przecież zbadałem dokładnie każdy słup i portal w całym Miln!

Uniósł zapisaną kredą tabliczkę.

– O, ten Patron w zamian za run twojej matki, który czyni szkło twardym jak stal, oferuje znak, dzięki któremu demon zawraca i zapomina, kogo ścigał. – Pokręcił głową. – A wszyscy oni chcą poznać sekrety twoich runów, chłopcze. Łatwiej je rysować bez liniału i półkola.

– Instrumenty są dla ludzi, którzy nie potrafią poprowadzić prostej kreski. – Arlen uśmiechnął się z wyższością.

– Nie każdy jest tak zdolny – burknął mężczyzna.

– Zdolny?

– Niech ci to nie zawróci w głowie, chłopcze, ale nie spotkałem dotąd nikogo, kto robiłby postępy tak prędko jak ty. Po osiemnastu miesiącach terminowania kreślisz runy z wprawą rzemieślnika z pięcioletnim doświadczeniem.

– Zastanawiałem się ostatnio nad naszą umową...

Cob spojrział na chłopca z zainteresowaniem.

– Obiecałeś, że jeśli będę się starać i ciężko pracować, nauczysz mnie wszystkiego o sztuce przetrwania na szlaku – dokończył Arlen.

Przez chwilę spoglądali po sobie w milczeniu.

– Ja dotrzymałem swej części umowy – przypomniał w końcu chłopak.

– Cóż, trudno zaprzeczyć. Jeździłeś kiedykolwiek konno?

– Stajenny Rageny pozwala mi się zajmować wierzchowcami.

– W takim razie zdwój swe wysiłki. Koń jest całym życiem Posłańca. Każda noc, którą dzięki rumakowi spędzasz pod dachem, to przecież noc bezpieczna.

Stary Patron wstał, otworzył szafę i wyciągnął ciasno zwiniętą płachtę materiału.

– Siódmego Dnia, kiedy nie otwieramy warsztatu, będę cię szkolił w jeździe – powiedział. – Będę cię również uczył, jak władać tym.

Rozłożył płachtę na podłodze, ukazując kolekcję dobrze naoliwionych włóczni. Oczy chłopaka rozbłysły.

* * *

Cob zerknął na roztańczone dzwonki, a zaraz potem przeniósł wzrok na gościa. W progu

stał na oko trzynastoletni chłopiec ze zmierzwioną czupryną, pod którego nosem widniał meszek zapowiadający wąs, ale na razie bardziej przypominający brud niż zarost.

– Masz na imię Jaik, nieprawdaż? – zapytał Patron. – Twoja rodzina pracuje w młynie przy Wschodnim Murze? Kiedyś wyceniliśmy dla was nowe runy, ale młynarz wolał zlecić ich wykonanie komuś innemu.

– To prawda. – Chłopiec kiwnął głową.

– Jak mogę ci pomóc? Czy twój pan życzy sobie zamówić kolejną wycenę?

– Chciałem zapytać Arlena, czy nie ma ochoty obejrzeć występu Minstrela.

Cob ledwie dowierzał własnym uszom. Jego uczeń nie rozmawiał z rówieśnikami, wolał spędzać czas na pracy i czytaniu bądź zamięczaniu niekończącym się potokiem pytań Posłańców i Patronów, którzy odwiedzali warsztat. Wizyta Jaika stanowiła miłą odmianę i mężczyzna czuł, że nie wolno mu tego zlekceważyć.

– Arlen! – zawołał.

Chłopak wyszedł z zaplecza, trzymając w ręku książkę. Niemalże zderzył się z przyjacielem, ale dostrzegł go w ostatniej chwili i znieruchomiał.

– Jaik przyszedł zabrać cię na występy Minstrela.

– Chętnie bym poszedł – odezwał się Arlen przepraszającym tonem – tyle że muszę jeszcze...

– Nie ma nic, co nie mogłoby zaczekać. Dobrej zabawy.

Cob rzucił uczniowi niewielką sakiewkę i wypchnął chłopców na zewnątrz.

* * *

Niedługo potem dotarli do zatłoczonego targowiska otaczającego główny rynek Miln. Arlen wydał srebrną gwiazdę na ciastka z mięsny nadzieniem, a potem, gdy jego twarz lśniła już od tłuszczu, za kilka miedzianych światełek nabył garść słodyczy.

– Pewnego dnia sam zostanę Minstrelem – oznajmił Jaik, ssąc cukierek. Maszerowali w kierunku miejsca, gdzie zbierały się pozostałe dzieci.

– Naprawdę?

– Jasne. Spójrz tylko na to.

Wyciągnął z kieszeni trzy drewniane kule i zaczął żonglować. Gdy jedna z nich po chwili pacnęła go w głowę, a pozostałe z klekotem uderzyły o bruk, Arlen wybuchnął śmiechem.

– Wciąż mam tłuste dłonie – mruknął niedoszły Minstrel, pozbierawszy piłki.

– Chyba tak. Ja zamierzam wstąpić do Gildii Posłańców, gdy tylko mój termin u Coba dobiegnie końca.

– Zatem mógłbym zostać twoim Minstrelem! Wspólnie przeszlibyśmy sprawdzian przed wyruszeniem na trakt!

– A czy ty kiedykolwiek widziałeś demona? – Arlen zmierzył przyjaciela wzrokiem.

– A co? – Jaik szturchnął go ramieniem. – Wydaje ci się, że nie mam jaj?

– Raczej oleju w głowie.

Chwilę później obaj chłopcy tarzali się po ulicy. Jaik górował nad przeciwnikiem wzrostem i zdołał usiąść na nim okrakiem.

– Dobrze już, dobrze! – zachichotał Arlen. – Pozwolę ci zostać moim Minstrelem!

– Twoim Minstrelem? A może to ja pozwolę ci zostać moim Posłańcem?

– W takim razie zostanemy partnerami!

Jaik uśmiechnął się i pomógł przyjacielowi wstać.

Usiedli na szczycie kamiennych bloków, skąd mogli obserwować czeladników Gildii Minstreli, którzy tańcowali i fikali koziołki, budując napięcie przed głównym występem.

Nie czekali długo, nim na rynek wkroczył Keerin.

Zaskoczenie Arlena nie miało granic. Przyjrzał się mężczyźnie uważnie, ale wysokiego i chudego niczym uliczna latarnia, rudowłosego Minstrela nie dało się z nikim pomylić. Tłum eksplodował entuzjazmem.

– To Keerin! – Podekscytowany Jaik szarpnął przyjaciela za rękę. – Mój ulubieniec!

– Naprawdę? – zapytał zdziwiony Arlen.

– A któż niby jest od niego lepszy? Marley? Koy? Przecież oni nie są bohaterami jak Keerin!

– Nie wyglądał mi na bohatera, gdy go poznałem.

– Poznałeś go? – Jaik wybałuszył oczy.

– Odwiedził niegdyś Potok Tibbeta. Wraz z Ragenem znaleźli mnie na trakcie.

– Keerin cię uratował?

– Ragen. Keerin podskakiwał ze strachu na widok każdego cienia.

– Niech to Otchłań pochłonie! Sądzisz, że jeszcze cię pamięta? Może byś mnie przedstawił po występie?

– Może. – Arlen wrzuszył ramionami.

Tymczasem Keerin rozpoczął występ podobnie jak w Potoku. Żonglował i tańczył, by ożywić publiczność przed opowieścią o Powrocie, a samą historię przeplótł akrobacjami i elementami pantomimy.

– Zaśpiewaj! – krzyknął Jaik. – Chcemy pieśni!

Pozostałe dzieci podjęły okrzyk i wkrótce cała publiczność powtarzała:

– Zaśpiewaj! Zaśpiewaj!

Minstrel udawał, że nie słyszy wołania, dopóki nie nabrało ogromnej mocy i nie wzmocniło go rytmiczne tupanie niezliczonych stóp. W końcu zaśmiał się i uklonił, a następnie wyciągnął lutnię. Tłum zawył z radości.

Wtedy Keerin machnął dłonią. Arlen dostrzegł, jak jego uczniowie sięgają po kapelusze i ruszają ku słuchaczom z zamiarem zbierania datków. Ludzie nie szczędzili pieniędzy, nie mogąc się doczekać występu. W końcu Minstrel zaintonował:

*Zapadły ciemności
Strach nas zdjął
Do schronu dystans niemały*

*Do szpiku kości
Wiatr lodem ciął
A runy rozbłyskiwały*

*„Pomocy, ratunku!”
Dziecko zawołało
Głosem pełnym przerażenia.*

*„Do kręgu, dziecinko!”
Krzyknąłem, ile sił stało
„Schronienia nie masz innego!”*

*A chłopiec nam odpowiada:
„Lecz ja wstać nie mogę!”
Echo niesie jego wołanie*

*Biada mu, biada
Zerwałem się więc na nogi
Lecz zatrzymał mnie Posłaniec*

*„Czemu do śmierci się rwiesz?
Koniec cię czeka ponury”
Z mroczną twarzą powiada.*

*„Biedaka nie uratujesz,
Ciebie także dościgną pazury,
Obu was spotka zagłada”.*

*W łeb go łokciem zdzielilem
I włócznię jego porwawszy
Runy skokiem przesadziłem.*

Szaleńczy atak przypuściłem

*O strachu całkiem zapomniawszy
Na ratunek pospieszyłem*

*„Odwagi, nieboże!”
Krzyknąłem już w biegu
„Walcz ze swymi lękami!”*

*Skoro nie możesz
Sam dojść do kręgu
Ja przyjdę do ciebie z runami!”*

*Już do niego przypadam,
Lecz za późno jestem
Otchłańców wokół chmara*

*Demonów wielka przewaga
Pracuję więc spieszenie
Nakreślić runy się staram.*

*Nagle ryk przeszył mrok
I oto demon majaczy
wysoki na stóp dwadzieścia*

*Aż postąpiłem do tyłu krok
Cóż włócznia moja znaczy
Wobec takiego nieszczęścia?*

*Łeb w rogi zbrojny!
Szpony jak ludzkie ramię
A pancerz czarny i gruby*

*Niczym wichur wojny
Rusza na karku złamanie
Niosąc śmierć i zgubę!*

*Chłopiec ze strachu krzyczy
Na otchłańca patrzy ze wstrętem
Ostatnie runy już rysowane*

*Lecz bariera się jarzy i syczy
Bicz na demony, znaki święte,
Przez Stwórcę nam darowane*

*Jeno słońce, mawiają,
Naprawdę jest w mocy,
By zadać demonom śmierci.*

*Lecz racji nie mają,
Co odkryłem tej nocy,
Zaś Jednoręki potwierdzi!*

Keerin zakończył występ głębokim ukłonem, a w tej samej chwili eksplodował ogłuszający aplauz. Minstrel kłaniał się na wszystkie strony, podczas gdy jego uczniowie zbierali całe stopy monet.

– Czyż to nie było wspaniałe? – zapytał podekscytowany Jaik.

– Ale przecież on wszystko przekreślił! – wykrzyknął Arlen.

– Mój tata twierdzi, że jakiś jednoręki otchłaniec co noc próbuje przebić barierę runiczną murów miasta. Słyszał o tym od gwardzistów. Ten otchłaniec szuka Keerina!

– Keerina nawet przy tym nie było! To ja odciąłem demonowi rękę!

– Na noc! – parsknął Jaik. – Nie spodziewasz się chyba, że ktokolwiek w to uwierzy!

Arlen spiorunował go wzrokiem, po czym poderwał się i zawołał:

– Kłamca! Oszust!

Wszyscy ludzie zwrócili ku niemu spojrzenia, a on zeskoczył z kamienia i ruszył w kierunku sceny. Keerin skamieniał, gdy tylko rozpoznał chłopca.

– Arlen? – zapytał, niespodziewanie blednąc. Jaik, który próbował dogonić przyjaciela, zatrzymał się jak wryty.

– Ty naprawdę go znasz...

Keerin rozejrzał się nerwowo.

– Arlen, przyjacielu! Pogadajmy na osobności.

– To nie ty odrąbałeś rękę demonowi! – wrzasnął chłopak, by dobrze go usłyszano. – Nie było cię nawet w pobliżu, gdy to się stało!

Publiczność gniewnie zaszemrała. Przestraszony Keerin szukał wsparcia w tłumie, aż nagle ktoś zawołał:

– Weźcie stąd tego chłopaka!

Inni niebawem go poparli. Minstrel uśmiechnął się szeroko.

– Nikt nie da ci wiary – mruknął. – Ludzie wolą wierzyć takim jak ja.

– Ale ja tam byłem! Mogę pokazać blizny!

Już chciał podciągnąć koszulę, gdy Keerin strzelił palcami i chłopców otoczyli jego uczniowie. Wykorzystał zamieszanie i na nowo przyciągnął uwagę tłumu, w pośpiechu rozpoczynając kolejną pieśń. Arlen i Jaik nic nie mogli na to poradzić.

– A może byś tak stulił pysk, co? – warknął jeden z czeladników, postawny i szeroki w barach, niemalże dwakroć od Arlena większy. Wszyscy napastnicy byli starsi i rośniejsi od obu chłopców.

– Keerin łże jak pies! – wypalił Arlen.

– Psa z kulawą nogą to nie obejdzie – odparł czeladnik. – Myślisz, że mnie powinno?

– Nie ma powodu, by się unosić – wtrącił Jaik. – On nie miał na myśli niczego...

Nim dokończył, Arlen dopadł do barczystego czeladnika i rąbnął go pięścią w brzuch. Mężczyzna zgiął się wpół, a chłopak już ruszył ku jego kompanom. Rozkwaśił nos jednemu czy dwóm, nim go wreszcie przewrócono i zasypano gradem ciosów. Oszołomiony uświadomił sobie, że Jaik również zbiera lanie, ale wtedy bójkę przerwali gwardziści.

– Wiesz co? – mruknął Jaik, gdy kuśtykali do domu posiniaczeni i zakrwawieni. – Jak na mola książkowego, całkiem nieźle się bijesz. Gdybyś tylko lepiej dobierał sobie wrogów...

– Mam znacznie gorszych – odparł Arlen, myśląc o jednorękim demonie, który podążał jego śladem.

* * *

– Pieśń też była marna. Jakim sposobem nakreśliłby runy w ciemnościach?

– Wystarczająco dobra, by dać się za nią złać po gębie – zauważył Cob, ścierając krew z twarzy chłopca.

– Ale on kłamał! – Arlen skrzywił się z bólu.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Zrobił to, co każdy z Minstreli robić powinien. Wymyślił historię ku uciesze gawiedzi.

– Wszyscy ludzie w Potoku Tibbeta zbierali się na występach Minstreli. Selia mawiała, że oni strzegą opowieści ze starego świata i przekazują je z pokolenia na pokolenie.

– Bo to prawda, ale nawet najlepsi z nich czasem przesadzają. Naprawdę wierzyłeś, że Wybawiciel zabijał setkę skalnych demonów jednym ciosem?

– Kiedyś tak – westchnął chłopak. – Teraz sam już nie wiem, w co wierzyć.

– A zatem witaj w świecie dorosłych. Każde dziecko pewnego dnia musi sobie zdać sprawę, że dorośli również popełniają błędy i okazują słabość, tak jak wszyscy inni. Następnego dnia, czy tego chce czy nie, nie jest już dzieckiem.

– Nigdy nie myślałem o tym w taki sposób. – Arlen przypomniał sobie, że w jego przypadku ten dzień nastąpił dawno temu. Znow ujrzał Jepha ukrytego za runami na ganku, podczas gdy otchłańce pastwiły się nad jego żoną.

– Czy kłamstwo Keerina naprawdę było tak niegodziwym czynem? – zapytał Cob. – Przecież uszczęśliwiło wielu słuchaczy. Dało im nadzieję. Nadzieja i szczęście to towary deficytowe w tych czasach, Arlenie, a mamy na nie wielkie zapotrzebowanie.

– Tak czy inaczej, mógł opisać to zdarzenie wiernie i uczciwie, a tymczasem przypisał sobie moje zasługi, by więcej zarobić.

– A zatem chodzi o prawdę czy o uznanie? Czy to drugie ma jakieś znaczenie? Co jest więcej warte: uznanie zasług czy ukryty w pieśni przekaz?

– Ludzie potrzebują czegoś więcej niż tylko pieśni. Potrzebują dowodu, że otchłańce krwawią.

– Gadasz jak krasjański męczennik, gotowy dać się zabić za raj Stwórcy w innym świecie.

– Czytałem, że życie po śmierci pełne jest nagich kobiet i rzek z winem zamiast wody – rozmarzył się Arlen.

– A żeby tam dotrzeć, należy zgładzić przed śmiercią demona – dokończył Cob. – Ja jednak zostanę przy tym życiu. To następne czeka cię tak czy owak, bez względu na to, gdzie się schronisz. Nie ma sensu go ścigać.

Wyłom

321 RP

– Trzy księżycy, że pójdzie na wschód – powiedział Gaims, zonglując srebrnymi monetami. Jednoręki właśnie się materializował.

– Przyjmuję – odparł Woron. – Od trzech nocy kieruje się na wschód. Najwyższa pora na zmianę.

Skalny demon jak zwykle obwąchał teren, a następnie natarł na osłonę runiczną bramy. Działał metodycznie, nie omijając ani jednego znaku. Kiedy bariera okazała się szczelna, ruszył na wschód.

– Niech to noc pochłonie! – zaklął Woron. – Byłem pewien, że tym razem wymyśli coś innego.

Sięgnął do kieszeni po monety. W tej samej chwili zawroźnienie demona i trzaski wyładowań magii ucichły.

Obaj strażnicy wyjrżeli za podokiennik i w jednej chwili zapomnieli o zakładzie. Jednoręki wpatrywał się z zaciekawieniem w mur. Inne otchłańce gromadziły się wokół niego, nadal zachowując nakazany szacunkiem dystans do olbrzyma.

Niespodziewanie demon runął naprzód, wysuwając przed siebie jedynie dwa pazury. Tym razem zamiast rozbłysków runów z oddali dobiegł jedynie zgrzyt kamieni. Obaj strażnicy poczuli, jak krew krzepnie im w żyłach.

Z rykiem tryumfu bestia natarła ponownie, tym razem uderzając całą łapą. Nawet przy mdłym blasku gwiazd gwardziści ujrżeli odpadający fragment muru.

– Łap za róg! – rzucił Gaims, drżącymi dłońmi ściskając podokiennik. Poczł wilgoć na nodze i dopiero po chwili dotarło do niego, że się zmoczył. – Dmij na alarm!

Kątem oka zauważył, że jego towarzysz nawet nie drgnął. Odwrócił ku niemu głowę i

dostrzegł, że Woron wpatruje się w demona z otwartymi ustami, a po jego policzku spływa łza.

– Dmij na alarm! – wrzasnął Gaims raz jeszcze. Woron otrząsnął się i pobiegł w kierunku zamocowanego w ścianie rogu. Nie mógł wydobyć odpowiedniego dźwięku, udało mu się to dopiero po kilku próbach. W międzyczasie Jednoręki odwrócił się i zaczął uderzać w mur najeżonym kolcami ogonem, za każdym ciosem wyrywając coraz więcej głązów.

* * *

Cob potrząsał Arlenem.

– Kto... Co się dzieje? – wymamrotał chłopak, przecierając oczy. – Już świta?

– Nie. Słyszać rogi. Wyłom w murze.

Arlen poderwał się błyskawicznie. Owionął go chłód przeciągu.

– Wyłom? Otchłańce są w mieście?

– Nawet jeśli nie ma, to wkrótce będą. Dalej, wstawaj!

Potykając się w ciemnościach, zapalili lampy i zebrali narzędzia, a potem założyli ciepłe płaszcze i rękawice bez palców, dzięki którym mogli pracować, nie zwracając uwagi na dokuczliwe zimno.

Znów dobiegł ich odgłos rogów.

– Dwa sygnały – powiedział Cob. – Krótki i długi. Wyłom powstał między pierwszą a drugą basztą na wschód od głównej bramy.

Na zewnątrz usłyszeli tętent kopyt na kocich łbach, który nagle ustał, a potem rozległo się walenie do drzwi. W progu stanął Ragen w pełnej zbroi, ściskając długą, grubą włócznię. Jego chroniona runami tarcza wisiała przy siodle wierzchowca. Nie był to smukły, budzący sympatię koń jak Nocna Mara, ale potężne, trudne do okiełznania zwierzę, prawdziwy rumak bojowy z dawnych czasów.

– Elissa nie posiada się z zaniepokojenia – wyjaśnił Posłaniec. – Przysłała mnie, bym zadbał o wasze bezpieczeństwo.

Arlen zmarszczył brwi, ale owo ukłucie lęku, które go pochwyciło zaraz po przebudzeniu, znikło bezpowrotnie z chwilą przybycia Rageny. Zaprzęgli krępego konia do wozu z runami i ruszyli w kierunku wrzasków, łomotów i rozbłysków światła, które naprowadzały ich na wyłom.

Ulice opustoszały, drzwi i okiennice zatrzęsnięto na głucho, ale w szczelinach migotało światło. Mieszkańcy Miln czuwali, gryząc paznokcie i modląc się, by ich runy wytrzymały. Arlen usłyszał szlochanie i zrozumiał, jak bardzo Milneńczycy stali się zależni od murów obronnych miasta.

W końcu dotarli na miejsce. Jak okiem sięgnąć na bruku leżały rozwłócone ciała martwych lub umierających gwardzistów i Patronów Runów, a między nimi połamane,

płonące włócznie. Trzech zakrwawionych żołnierzy zmagalo się z wichrowym demonem, usiłując zepchnąć go na tyle daleko, by para czeladników Patrona mogła uwięzić go w przenośnym kręgu. Inni biegali naokoło z wiadrami wody, gasząc drobne pożary wywołane przez demony ognia. Te skakały uradowane i podpalały wszystko w zasięgu ich płonących oddechów.

Arlen spojrział na wyłom, zdumiony, że jakikolwiek otchłaniec zdołał się przebić przez dwadzieścia stóp twardej skały. W dziurze tłoczyły się kolejne demony i walczyły między sobą o to, by jak najszybciej wtargnąć do miasta.

Do środka wpadł kolejny demon wichru i zaczął nabierać prędkości, rozpościerając skrzydła. Któryś ze strażników cisnął w niego włócznią, ale chybił i demon bez przeszkód wzbił się w powietrze. Chwilę później bezbronno już żołnierza dostrzegł ognisty demon, skoczył na niego i rozszarpał mu gardło.

– Szybko, chłopcze! – wrzasnął Cob. – Strażnicy zyskali dla nas trochę czasu, ale długo nie wytrwają! Wyłom jest zbyt wielki! Musimy go zapieczętować!

Zeskoczył z wozu z zaskakującą zręcznością i pochwycił dwa zwinięte przenośne kręgi, z których jeden rzucił Arlenowi. Z Ragenem osłaniającym ich z końskiego grzbietu rzucili się w kierunku chorągwi Gildii Patronów powiewającej nad kręgiem, który stanowił zaimprovizowaną bazę wypadową. Nieuzbrojone Zielarki uwijały się tam wokół ułożonych w szeregi rannych i bez strachu wybiegały z kręgu, by pomagać ludziom usiłującym dotrzeć do lazaretu. Była ich ledwie garstka, a ofiar przybywało.

Powitali ich Matka Jone, doradczyni księcia, oraz mistrz Vincin, przełożony Gildii Patronów.

– Patronie Cob, dobrze cię... – zaczęła Jone.

– Gdzie jesteśmy potrzebni? – Cob zwrócił się do Vincina, ignorując Matkę.

– Główny wyłom. Zajmijcie stanowisko między piętnastym a trzydziestym stopniem. – Wskazał stertę słupów runicznych. – I, na Stwórcę, uważajcie na siebie! Jest tam demon skał, wielki jak góra. To on wybił dziurę. Zagrodzili mu drogę runami i dalej w miasto nie pójdzie, ale będziecie musieli wybiec zza bariery, by dotrzeć na miejsce. Już zabił trzech Patronów i Stwórca jeden wie ilu strażników.

Cob skinął głową i ruszył wraz z Arlenem ku stercie.

– Kto pełnił służbę tej nocy? – zapytał, gdy każdy z nich ujął już po słupie.

– Macks i jego czeladnicy – odpowiedziała Jone. – Książę ich za to powiesi.

– A zatem książę jest skończonym idiotą – rzekł Vincin. – Trudno stwierdzić, co się tam tak naprawdę zdarzyło, ale Miln potrzebuje każdego Patrona.

Wypuścił powietrze z płuc.

– Bo po tej nocy nie pozostanie ich wielu przy życiu – dodał.

* * *

– Najpierw rozłóż swój krąg – powtórzył Cob po raz trzeci. – Gdy będziesz już bezpieczny w jego środku, zatknij tam słup i czekaj na wybuch magnezu. Będzie jasno jak w dzień, więc nie zapomnij osłonić oczu. Wtedy nastaw słup wedle słupa głównego. Nie próbuj stawiać bariery z sąsiednimi czeladnikami, trzeba mieć nadzieję, że twoi sąsiedzi też dadzą sobie radę. Gdy odpowiednio nastawisz słup, wbij go mocno między kocie łby.

– A potem? – zapytał Arlen.

– Pozostań wewnątrz kręgu, dopóki nie usłyszysz, że możesz wyjść – warknął Cob. – Pod żadnym pozorem nie wolno ci go opuszczać wcześniej, bez względu na to, co zobaczysz. Masz tam zostać, nawet jeśli miałbyś w nim tkwić przez całą noc! Jasne?

Chłopiec pokiwał głową.

– Dobrze. – Cob przez chwilę usiłował ogarnąć wzrokiem zamieszanie, wyczekując odpowiedniego momentu, aż nagle krzyknął: – Teraz!

Rzucili się do biegu. Omijali ognie, przeskakiwali nad leżącymi na bruku ciałami, okrążali gruzy, kierując się na wyznaczone pozycje. W kilka sekund minęli rząd budynków, a wtedy ujrzeli jednorękiego demona skał wznoszącego się ponad oddziałem gwardzistów. Wokół leżał jakiś tuzin trupów. W świetle lamp kły i szpony otchłańca błysnęły szkarłatem.

Krew ścięła się w sercu Arlena. Staął jak wryty i zerknął na Ragen, który natychmiast odpowiedział mu dumnym spojrzeniem.

– Pewnie szuka Keerina – powiedział kwaśno Posłaniec.

Arlen otworzył usta, ale nim zdołał wykrztusić choćby słowo, Ragen krzyknął:

– Uważaj!

Zamachnął się włócznią w kierunku chłopaka.

Arlen przewrócił się i upuścił słup, boleśnie tłukąc kolanem w bruk. Rozległ się trzask, gdy Ragen walnął tępym końcem włóczni nadlatującego demona wichru prosto w pysk. Chłopak przetoczył się w samą porę, by ujrzeć, jak otchłaniec odbija się od tarczy Posłańca i uderza o ziemię.

Ciężkie kopyta rozpędzonego rumaka Ragen zmiażdżyły powstającego otchłańca. W chwilę później Posłaniec już pędził w kierunku chłopca, który w międzyczasie zdołał podnieść słup i na poły niosąc, a na poły wlekąc go za sobą, dotarł na wyznaczoną pozycję. Cob już rozłożył krąg i przygotowywał podstawę dla słupa runicznego.

Arlen błyskawicznie ustawił własny, lecz jego spojrzenie wciąż uciekało ku Jednorękiemu. Olbrzym walił w pospiesznie rozłożoną barierę runiczną, usiłując przebić się na drugą stronę. Za każdym razem, gdy runy rozbłyskiwały ostrym światłem, chłopiec gołym okiem dostrzegał jej słabe punkty. Zdawał sobie sprawę, że długo nie wytrzyma.

Nagle skalny demon wciągnął powietrze w ogromne nozdrza, uniósł łeb i popatrzył Arlenowi prosto w oczy. Przez długą chwilę toczył z chłopcem niemy pojedynek na siłę woli. Wzrok otchłańca okazał się jednak nie do zniesienia i Arlen opuścił głowę. Jednoręki

zaryczał, podwajając wysiłki w próbie przebicia się przez słabnącą zaporę.

– Arlen, skończ się wreszcie gapić! Do roboty! – ryknął Cob, wyrывая chłopaka z oszołomienia. Ten, usiłując zignorować dzikie zawrodoenie otchłańca i pokrzykiwania walczących gwardzistów, rozłożył chwiejny stojak i osadził w nim słup. Migotliwe, słabe światło przeszkadzało w nastawieniu go pod odpowiednim kątem, ale zrobił, co mógł, a następnie zakrył dłonią oczy, czekając na wybuch magnezu.

Flara rozjarzyła się chwilę później i raptem nastał dzień. Patroni w pośpiechu poprawili kąt nachylenia słupów i ponownie zatknęli je w stojaki. Kilku zamachało białą chustą, sygnalizując gotowość.

Wykonawszy zadanie, Arlen zaczął się rozglądać. Kilku Patronów oraz ich czeladników nadal usiłowało ustawić słupy. Jedno ze stanowisk płonęło demonicznym ogniem. Otchłańce wrzeszczały i umykały przed blaskiem płonącego magnezu, przerażone, że z jakichś niewytłumaczalnych przyczyn właśnie wstało słońce. Strażnicy nacierali ze wzniesionymi włóczniami, usiłując przegnać je daleko za słupy runiczne. Dołączył do nich galopujący na wielkim rumaku Ragen. Jego wypolerowana tarcza odbijała światło i spanikowane otchłańce rozpierzchały się na jego widok.

Lecz sztuczne światło nie było w stanie wyrządzić im krzywdy. Szereg pikinierów, którym jasność dodała odwagi, runął na Jednorękiego, lecz ogromny demon nie cofnął się ani o krok. Wiele ostrzy ześlizgnęło się bądź złamało w zetknięciu z pancerzem potwora, a ten pochwycił kilka innych. Wyszarpował żołnierzy zza bariery runicznej równie łatwo, jak dziecko podrzuca swą lalkę.

Przerażony Arlen przyglądał się rzezi. Patrzył, jak demon odgryza pochwyconemu żołnierzowi głowę i rzuca jego trupem w towarzyszy, zbijając ich z nóg. Kolejnego rozdeptał na miazgę, jeszcze innego zdzielił kolczastym ogonem. Gwardzista zatoczył w powietrzu łuk i wylądował twardo na kocich łbach, by już nigdy nie powstać.

Runy powstrzymujące demona zostały przywalone trupami i zalane krwią. Jednoręki wyrwał do przodu, mordując każdego w zasięgu potężnej ręki. Strażnicy cofnęli się, kilku rzuciło się do panicznej ucieczki, lecz potwór nie zwracał już na nich uwagi. Bez namysłu doskoczył do przenośnego kręgu chłopca.

– Arlen! – wrzasnął Ragen, zawracając konia. Przerażony widokiem szarżującego otchłańca, całkiem zapomniał, że chłopak stoi wewnątrz kręgu runów. Ujął mocniej włócznię i dał koniowi ostrogę, mierząc w plecy napastnika.

Na dźwięk tętentu kopyt skalny demon w ostatniej chwili zdążył się odwrócić. Rozstawił szerzej nogi i przyjął uderzenie na pierś. Drzewce włóczni pękło, a otchłańiec uniósł pięść i z pogardą zdzielił rumaka w łeb.

Odrzucone potężnym uderzeniem zwierzę zatoczyło się i wpadło do kręgu Coba, a trącony Patron przekrzywił słup runiczny. Posłaniec nie zdążył wyskoczyć z siodła i upadający rumak zmiażdżył mu nogę. Jednoręki już nadciągał, by dobić ofiarę.

Arlen wrzasnął i rozejrzał się w poszukiwaniu pomocy, ale na nikogo nie mógł liczyć. Cob nadal walczył ze słupem, próbując ustawić go do pierwotnego położenia, a pozostali Patroni wokół wyłomu sygnalizowali gotowość. Zastąpiono nawet pechowca, którego stanowisko spłonęło w demonicznym ogniu. Jedyne Cob wciąż nie był gotów, ale nikt nie nadchodził z odsieczą, straż miejska została bowiem zdziesiątkowana podczas ostatniego natarcia Jednorękiego. Co więcej, Arlen wiedział, że jeśli nawet Cob ustawi słup, los Rageny jest przesądzony. Zarówno Posłaniec, jak i Jednoręki znajdowali się na zewnątrz tworzonej właśnie bariery.

– Hej! – wrzasnął chłopak, występując za linię runów. – Hej, maszkaro!

– Arlen, wracaj do przeklętego kręgu! – ryknął Cob, ale było już za późno. Na dźwięk głosu chłopca demon skał odwrócił łeb.

– A więc usłyszałeś – wymamrotał Arlen. Zalała go fala gorąca, a zaraz potem zimna. Spojrzał dalej, za rząd słupów. Magnez dogasał i otchłance powoli nabierały odwagi. Krok poza barierę runiczną oznaczał samobójstwo.

Chłopak jednakże dobrze pamiętał dotychczasowe spotkania z demonem. Bestia uważała go za swą własność. Uchwycony tej myśli, odwrócił się i wybiegł za słupy runiczne, gdzie natychmiast zwrócił na siebie uwagę syczącego demona ognia. Otchłaniec podskoczył, a jego ślepią rozgorzały czerwienią. Olbrzym rzucił się naprzód, by rozgnieść mniejszego kuzyna.

Ledwie zwrócił się na powrót ku Arlenowi, chłopiec stał już za linią słupów. Demon przypuścił wściekły atak, ale odpowiedział mu rozbłysk runów. Cob osadził już słup i sieć runiczna została zamknięta. Jednoręki zaryczał z furją, nie przestając bombardować jej ciosami, ale stanowiła dla niego przeszkodę nie do pokonania.

Arlen podbiegł do leżącego na ziemi Posłańca. Zanim jednak zdążył coś powiedzieć, Cob pochwyił go w ramiona i przytulił do piersi, a potem strzelił w ucho.

– Jeśli jeszcze raz poważysz się na podobne wariactwo – ostrzegł go – osobiście skręcę ci twój kościsty kark.

– To ja miałem chronić ciebie – słabym głosem dodał Ragen, ale przez jego usta przemknął uśmiech.

* * *

Po mieście nadal grasowały otchłance, gdy Vincin i Jone zwolnili Patronów ze stanowisk. Ocaleli gwardziści pomagali Zielarkom przenieść rannych do lazaretów.

– Czy ktoś nie powinien pogonić tych demonów, które zdołały nam się wymknąć? – zapytał Arlen, gdy ułożyli Rageny na wozie. Mężczyzna złamał nogę i Zielarki napoiły go wywarem usmierzającym ból, przez co był teraz półprzytomny.

– Po co? – zapytał Cob. – Po co narażać ludzkie życie, skoro nad ranem i tak wszystkie znikną? Lepiej się schować za barierami runicznymi. Słońce niebawem wstanie i przepędzi

resztę otchłańców z Miln.

– Ale wschód nastąpi dopiero za kilka godzin! – zaprotestował chłopiec, wspinając się na wóz.

– Co zatem proponujesz? – Cob rozglądał się czujnie, gdy zmierzali do domu. – Tej nocy ujrzałeś wszystko, na co stać książęcą gwardię, setki silnych mężczyzn z tarczami i włóczniami. Widziałeś też wyszkolonych Patronów przy pracy. A widziałeś może choćby jednego zabitego demona? Oczywiście, że nie. One są nieśmiertelne.

Arlen pokręcił głową.

– Przecież zabijają się nawzajem.

– To magiczne stworzenia. Broń śmiertelników nie wyrządza im krzywdy.

– Słońce je zabija.

– Słońce to potęga, która pozostaje poza naszym zasięgiem. Jesteśmy jedynie Patronami Runów.

Skęcili w boczną uliczkę i aż wstrzymali oddechy. Na czerwonym od krwi bruku leżały wypatroszone zwłoki. Tu i ówdzie nadal bił z nich dym, a w powietrzu wisiał obrzydliwy smród spalonego mięsa.

– Żebrak – stwierdził Arlen na widok porwanych łachmanów. – Co on tu robił?

– Dwóch żebraków – poprawił go Cob. Przesłonił usta i nos chustką, wskazując jeszcze jedno zwłoki kilka kroków dalej. – Zapewne wyrzucono ich z hospicjum.

– Myślałem, że publiczne przytułki są dla wszystkich – stwierdził ze zdziwieniem chłopiec.

– Dopóki dysponują miejscem. Stanowią zresztą mizerne schronienie. Gdy tylko strażnicy zawrą ich wrota, mężczyźni zaczynają bić się między sobą o jedzenie, a kobietom robią jeszcze gorsze rzeczy. Wielu żebraków woli zaryzykować życie na ulicach.

– Dlaczego ktoś temu nie zaradzi?

– Wszyscy zgodnie twierdzą, że to wielki problem, lecz obywatele wymagają, by to książę go rozwiązał. Sam książę natomiast nie widzi obowiązku pomagania tym, którzy nie przyczyniają się do wzrostu dobrobytu.

– A zatem lepiej odesłać straż do domów i pozwolić, by zajęły się nimi otchłańce?

Cob nie odpowiedział. Strzelił wodzami, chcąc jak najszybciej opuścić ulicę.

* * *

Dwa dni później ludność miasta została wezwana na główny rynek. Na wzniesionej tam szubienicy stał Patron Runów Macks, który pełnił służbę w dniu ataku.

Sam Euchor nie przybył na egzekucję, ale Jone odczytała jego słowa:

„W imieniu księcia Euchora, Światła Gór i Pana Miln, zawiadamia się, że Patron Macks jest winnym niedopilnowania obowiązków i dopuszczenia do powstania wylomu w sieci

runicznej. Jego niekompetencja kosztowała życie ośmiu Patronów Runów, dwóch Posłańców, trzy Zielarki, trzydziestu siedmiu gwardzistów oraz osiemnastu obywateli”.

– Zupełnie jakby zabicie dziewiątego Patrona miało w czymkolwiek pomóc – mruknął Cob. Tłum szemrał złowrogo, niektórzy z zebranych krzyczeli, a w kierunku Macksa, który stał z opuszczoną nisko głową, leciały zgniłe owoce.

– Karą za przewiny jest śmierć – oznajmiła Jone, a wtedy zakapturzeni mężczyźni ujęli winnego pod ramiona, podprowadzili go pod linę i założyli mu na szyję powróż.

Wysoki, barczysty Opiekun w ciężkich szatach, z krzaczastą czarną brodą podszedł do skazańca i nakreślił mu na czole run.

– Niech Stwórca wybaczy ci twe grzechy – zaintonował Święty Mąż – a nas obdarzy czystością serca i uczynku, byśmy dzięki nim mogli przetrwać Plagę i zostać Wybawieni.

Cofnął się, a zapadnia pod stopami Macksa runęła w dół. Tłum z entuzjazmem powitał widok naprężonej liny.

– Idioci – splunął Cob. – Oto straciliśmy człowieka, który mógłby nam pomóc walczyć z kolejnym wyłomem.

– O co chodziło Świętemu Mężowi? – zapytał Arlen. – Gdy mówił o Pladze i Wybawieniu?

– Zwykły stek bzdur stworzony po to, by ludzie tańcowali tak, jak im zagrają. Lepiej nie zaprzętać sobie tym głowy.

Biblioteka

321 RP

Dnia Siódmego Cob zmierzał w kierunku wielkiego gmachu z kamienia, a podekscytowany Arlen podążał w ślad za nim. W innych okolicznościach chłopiec czułby się poirytowany z powodu opuszczenia lekcji jeździectwa i władania włócznią, ale trafiła mu się nieoczekiwana atrakcja – pierwsza okazja odwiedzenia Księżęcej Biblioteki.

Odkąd wraz z Cobem zaczęli wymieniać runy z innymi Patronami, interes byłego Posłańca zaczął rozkwitać, wypełniając niezwykle potrzebną w mieście niszę. Ich kolekcja grymuarów szybko stała się największą w Miln, jeśli nie na całym świecie. W tym samym czasie rozprzestrzeniły się wieści o ich wkładzie w zapieczętowanie wyłomu, dzięki czemu Cobem zainteresowali się ludzie Królewskiej Krwi, którzy nie przegapiliby żadnej nowinki.

Wypełnianie zleceń szlachciców nierzadko potrafiło doprowadzić do furii, gdyż tak kapryśni klienci zwykli stawiać idiotyczne wymagania i domagali się kreślenia runów w miejscach, w które zupełnie nie pasowały. Cob podwajał więc, a nawet potrajał cenę za swe usługi, lecz nie robiło to na nich żadnego wrażenia. Posiadanie domu zabezpieczonego runami Patrona Coba stało się swoistym wyznacznikiem statusu.

Teraz jednak, gdy wezwano ich do zabezpieczenia najcenniejszego gmachu w mieście, Arlen zdał sobie sprawę, że wykonana do tej pory praca opłaciła się z nawiązką. Mało który mieszkaniec Miln miał okazję ujrzeć bibliotekę od środka. Euchor zazdrośnie strzegł zbioru ksiąg i pozwalał na wstęp jedynie najważniejszym interesantom oraz ich pomocnikom.

Biblioteka pozostawała pod zwierzchnictwem tronu, jednakże wzniesli ją Opiekunowie Stwórcy i jeden z ich grona zawsze trzymał nad nią pieczę. Cenne księgi z reguły stanowiły całą jego trzódkę, a stanowisko to pociągało za sobą o wiele więcej zaszczytów niż przewodzenie jakiegokolwiek Świętemu Domowi, z wyjątkiem Wielkiego Świętego Domu

lub osobistej świątyni księcia.

Powitał ich jeden z akolitów i zaprowadził do kancelarii głównego bibliotekarza, Opiekuna Ronnella. Gdy przemierzali korytarze, Arlen nie mógł wprost oderwać oczu od zakurzonych półek ze zmurszałymi woluminami i milczących uczonych, którzy spacerowali między regałami. Nie licząc grymuarów, Cob zgromadził kolekcję trzydziestu ksiąg, którą Arlen do tej pory uważał za skarb. Biblioteka księcia mieściła tymczasem tysiące tomów, więcej, niż dałby radę przeczytać w ciągu całego życia. W jednej chwili zaczął nienawidzić księcia za to, że trzymał je wszystkie pod kluczem.

Opiekun Ronnell był stosunkowo młodym człowiekiem jak na tak pożądane stanowisko i wciąż miał więcej brązowych włosów niż siwych. Powitał gości serdecznie i zaoferował miejsca przy stole, przykazując służącemu, by podał przekąski.

– Wasza reputacja was wyprzedza, Patronie Cob – powiedział, zdejmując druciane okulary i wycierając je w burą szatę. – Mam nadzieję, że przyjmiecie to zadanie.

– Wszystkie runy, które dotychczas tu widziałem, są wyraźne i nieuszkodzone – stwierdził Cob.

Ronnell na nowo umieścił okulary na nosie i odchrząknął z niepewnością.

– Po ostatniej napaści demonów księżę zaczął się obawiać o swe księgi. Jego Łaskawość życzy sobie podjęcia... szczególnych kroków.

– Jakich to kroków? – zapytał podejrzliwie Cob. Ronnell zaczął się niespokojnie wiercić, a Arlen odniósł wrażenie, że przekazanie woli księcia stanowi dla niego problem w tym samym stopniu, co dla nich może stanowić jej wypełnienie.

– Wszystkie stoły – odparł w końcu z westchnieniem Opiekun – wszystkie stoły, ławy i regały mają zostać zabezpieczone runami przed ogniem otchłańców.

Cob wybałuszył oczy.

– Przecież to zajmie całe miesiące! I na co komu to wszystko? Nawet jeśli jakiś ognisty demon zabrnę tak daleko w głąb miasta, nigdy nie przedostanie się przez barierę runiczną chroniącą gmach, a jeśli jakoś temu podoła, regały z księgami będą waszym najmniejszym zmartwieniem.

Ronnell spojrzał na Coba twardo.

– Nie istnieją większe zmartwienia, Patronie – oznajmił. – Zgadząmy się w tym punkcie z księciem bez dwóch zdań. Nie jesteś w stanie sobie wyobrazić, ile stracimy, jeśli otchłańce spalą spuściznę dawnych czasów. Strzeżemy tu ostatnich strzępów wiedzy, której nagromadzenie trwało tysiące lat.

– Przepraszam – odparł cicho Cob. – Nie chciałem okazać braku szacunku.

Bibliotekarz skinął głową.

– Rozumiem. Poza tym nie mylicie się, Patronie, ryzyko jest doprawdy znikome. Niemniej Jego Łaskawość tego sobie właśnie życzy. Zapłacę tysiąc złotych słońc.

Arlen szybko przeliczył kwotę w głowie. Ronnell oferował sowitą zapłatę, większą, niż

kiedykolwiek otrzymali za pojedyncze zlecenie, ale z drugiej strony praca miała zabrać długie miesiące, uniemożliwiając wypełnianie regularnych zadań.

– Przykro mi, ale nie mogę pomóc – rzekł po chwili namysłu Cob. – Musiałbym porzucić interes na zbyt długi czas.

– Zyskalibyście książęce względy – dodał znacząco Ronnell.

Patron wzruszył ramionami.

– Byłem Posłańcem jego ojca i uzyskałem wystarczająco wiele względów. Nie potrzebuję ich więcej. Spróbujcie zatrudnić młodszego Patrona, kogoś, kto pragnie coś udowodnić.

– Jego Łaskawość naciskał, byście to wy wypełnili jego wolę.

Cob bezradnie rozłożył ręce.

– Ja to zrobię – wypalił nagle Arlen. Obaj mężczyźni spojrzeli na chłopca, zdumieni jego śmiałością.

– Nie sądzę, by książę zdecydował się na usługi czeladnika – rzekł Ronnell.

Tym razem to Arlen wzruszył ramionami.

– Przecież nie trzeba mu o tym mówić. Mój mistrz zaprojektuje runy na stoły i półki, a ja je wygraweruję. – Spojrzał na Coba. – Gdybyście przyjęli to zlecenie, mistrzu, sam wykonałbym przynajmniej połowę runów, jeśli nie więcej.

– Interesujący kompromis – odparł w zamyśleniu bibliotekarz. – Co wy na to, Patronie?

Cob obrzucił chłopaka podejrzliwym spojrzeniem.

– To przecież nużąca praca, z rodzaju tych, których nie znosisz. Skąd więc ten upór?

– Książę będzie mógł się szcycić, że sam Patron Cob zabezpieczył jego bibliotekę – odrzekł Arlen z uśmiechem. – Ty otrzymasz tysiąc słońc, a ja – po tych słowach odwrócił się do Ronnella – będę mógł korzystać z zasobów biblioteki, gdy tylko tego zapragnę.

– Toś mi się udał! – Ronnell zachichotał. – Mamy umowę?

Cob uśmiechnął się i uściśnął bibliotekarzowi dłoń.

* * *

Opiekun Ronnell oprowadzał Coba i Arlena po gmachu. W trakcie obchodu chłopiec zaczął sobie uświadamiać, jak ogromnego trudu właśnie się podjął. Nawet gdyby podarował sobie obliczenia i zaprojektował runy „na oko”, prace mogły potrwać ponad pół roku.

Ale nie żałował swej decyzji. Gdy przechodzili z sali do sali, nadal pożerał wzrokiem okładki foliałów poustawianych na półkach i czuł, że podjął właściwą decyzję. Ronnell obiecał mu pełen dostęp do zasobów aż po kres życia, zarówno za dnia, jak i w nocy.

Dostrzegłszy entuzjizm na twarzy chłopaka, bibliotekarz rozciągnął usta w uśmiechu. Tknięty przecuciem, wybrał chwilę, gdy Arlen był zbyt pochłonięty własnymi myślami, by cokolwiek zauważyć, i odprowadził Coba na stronę.

– Ten chłopak to czeladnik czy sługa? – zapytał.

– Należy do stanu kupieckiego, jeśli chodzi o ścisłość – odparł Cob.

Ronnell skinął głową.

– A kim są jego rodzice?

– Nie ma żadnych, przynajmniej w Miln.

– A zatem jesteście za niego odpowiedzialni?

– Rzekłbym raczej, że ten chłopak odpowiada sam za siebie.

– Został już komuś przyrzeczony?

Cob spodziewał się tego pytania.

– Nie jesteście pierwszym człowiekiem, który mnie o to zapytał, odkąd mój interes zaczął się kręcić – odpowiedział. – Nawet kilku Królewskiej Krwi przysłało swe piękne córki, by go obwąchały. Nie sądzę jednak, by Stwórca stworzył już dziewczynę, która potrafiłaby odciągnąć go od ksiąg na tyle długo, by zdążył jej się przyrzec.

– Skąd ja to znam – odparł z westchnieniem Ronnell i wskazał młodą dziewczynę, która siedziała przy jednym z wielu stołów, mając przed sobą pół tuzina otwartych woluminów. – Mery, bywaj tu! – zawołał.

Dziewczyna uniosła spojrzenie, a potem zaznaczyła strony w księgach i szybko je pozamykała. Dopiero wtedy wstała i podeszła do Ronnella. Była mniej więcej w wieku Arlena. Miała wielkie brązowe oczy i długie, bujne kasztanowe włosy, a także okrągłą twarz o łagodnych rysach i szczerym, promiennym uśmiechu. Nosila praktyczną, przykurzoną nieco szatę, którą zebrała w fałdy, i lekko dygnęła.

– Patronie Cob, oto moja córka, Mery – rzekł Ronnell.

Dziewczyna spojrzała na gościa z zainteresowaniem.

– Ten Patron Cob?

– Och, widziałaś moje dzieła?

– Nie, lecz słyszałam, że nikt nie ma większej kolekcji grymuarów.

– Rzeczywiście, objawy podobne, Opiekunie – zaśmiał się Cob.

Ronnell pochylił się ku córce i wskazał jej Arlena.

– Ten młody człowiek jest czeladnikiem Patrona. To on będzie oznaczać meble runami. Może chciałabyś go oprowadzić?

Mery utkwiała spojrzenie w chłopcu, który nadal rozglądał się na wszystkie strony, całkiem nieświadomy jej zainteresowania. Jego jasne, przydługie już włosy dawno nie spotkały się z grzebieniem, a drogie szaty miał wymiętoszone i poplamione. W oczach chłopca błyszczała jednak inteligencja, a twarz miał gładką i symetryczną, bynajmniej nie nieprzyjemną. Dziewczyna ruszyła bezszelestnie w jego stronę. Cob usłyszał, jak Ronnell szepcze modlitwę.

Dopiero gdy Mery stanęła obok Arlena, chłopiec ją zauważył.

– Cześć – powiedziała.

– Cześć. – Arlen zmrużył oczy, próbując odczytać tytuł na grzbiecie wysoko

umieszczonej książki.

Dziewczyna zmarszczyła brwi.

– Mam na imię Mery. Opiekun Ronnell jest moim ojcem.

– Arlen. – Chłopak zdjął inny tom z półki, by zacząć go powoli kartkować.

– Ojciec poprosił mnie, bym cię oprowadziła po bibliotece.

– Dzięki. – Odłożył księgę na miejsce i ruszył wzdłuż regału do części biblioteki odgradzonej sznurem. Mery, którą z wolna ogarniała irytacja, musiała ruszyć za nim.

– Doskonale potrafi ignorować innych – powiedział rozbawiony Ronnell. – Ale nigdy dotąd nikt nie ignorował jej samej.

– „PP”... – Arlen głośno odczytał znaki umieszczone na sklepieniu łukowym wieńczącym wejście do zagrodzonego pomieszczenia. – Cóż to znaczy, u licha?

– „Przed Powrotem” – wyjaśniła Mery. – To oryginalne egzemplarze książek ze starego świata.

Arlen odwrócił się ku dziewczynie, jakby dopiero teraz do niego dotarło, że rozmawia z żywą osobą.

– Naprawdę?

– Nie wolno tam wchodzić bez oficjalnej zgody księcia – oznajmiła Mery i obserwowała, jak Arlenowi rzednie mina. – Mnie oczywiście wolno ze względu na mego ojca – dodała z uśmiechem.

– Ojca?

– Jestem córką Opiekuna Ronnella – przypomniała z nachmurzonym czołem.

Chłopiec otworzył szerzej oczy i ukłonił się niezdarnie.

– A ja jestem Arlen z Potoku Tibbeta.

– O, to się obudził – zachichotał stojący pod przeciwległą ścianą Cob.

* * *

Długie miesiące wypełnił ciąg rutynowych czynności. Posiadłość Rageny leżała bliżej biblioteki niż warsztat Coby, tak więc zwykle chłopiec korzystał z gościnności Elissy. Posłaniec niebawem wydobrzył i znów wyruszył na trakt. Elissa z kolei przekonała Arlena, by zaczął traktować użyczoną mu sypialnię jako własny pokój, i z wielkim zadowoleniem przyglądała się, jak znosi do niego swe narzędzia i księgi. Służba również za nim przepadała, gdyż w jego obecności lady Elissa stawała się o wiele mniej wymagająca.

Arlen zrywał się na godzinę przed wschodem słońca i przy świetle lamp ćwiczył walkę włócznią w wysoko sklepionym westybulu posiadłości. Gdy tarcza słońca wynurzała się zza horyzontu, wybiegał na podwórze, by przez kolejną godzinę trenować jazdę konną i rzucanie do celu. Następnie zjadał pośpiesznie śniadanie w towarzystwie Elissy – oraz Rageny, gdy ten akurat przebywał w Miln – i pędził do biblioteki.

Przybywał z reguły dość wcześnie, gdy wielki gmach był jeszcze opustoszały, nie licząc akolitów Ronnella, którzy spędzali noc w podziemnych celach. Wszyscy oni stronili od Arlena, głęboko zaniepokojeni i poruszeni jego postawą – chłopak bowiem zwykł bezceremonialnie podchodzić do samego Ronnella i rozmawiać z nim, nie czekając na wezwanie czy zgodę.

Otrzymał własny pokój, który zamienił na warsztat. Mieściły się tam zaledwie dwie biblioteczki, stół warsztatowy oraz mebel, nad którym właśnie pracował. Jedną z biblioteczek opróżnił z książek i zappełnił farbami, pędzlami i narzędziami do grawerowania. Drugą, dla kontrastu, zappełnił pożyczonymi tomami. Podłogę zaścielała gruba warstwa trocin, poplamionych rozlaną farbą i lakierem.

Arlen rozpoczynał pracę od chwycenia za jedną z książek, którą studiował przez jakąś godzinę. Po tym czasie niechętnie odkładał ją na półkę i zabierał się do grawerowania znaków. Przez długie tygodnie pokrywał nimi krzesła, a następnie zajął się ławkami. Ta część zadania zabrała więcej czasu, niż się spodziewał, ale zupełnie mu to nie przeszkadzało.

W ciągu tych miesięcy Mery stała mu się miłym gościem. Często wsuwała głowę do jego warsztatu, by obdarzyć go promiennym uśmiechem bądź podzielić się plotką przed powrotem do własnych zadań. Arlen z początku sądził, że te przerwy w końcu mu obrzydzą, lecz okazało się, że jest zupełnie inaczej. Wkrótce z niecierpliwością zaczął wyczekiwać kolejnych wizyt dziewczyny i bywało, że nie mógł się skupić na pracy, jeśli nie zaglądała do niego dość często. Razem też jadali drugie śniadanie na szerokim dachu biblioteki, z którego rozciągał się wspaniały widok na miasto i góry.

Mery różniła się od wszystkich dziewczyn, które do tej pory poznał. Jako córka książęcego bibliotekarza oraz nadwornego historyka, przypuszczalnie była najlepiej wykształconą panienką w mieście. Arlen szybko odkrył, że z rozmów z nią może się często dowiedzieć więcej, niż przewracając strony książki. Niemniej jednak była samotniczką, i to nie z wyboru. Akolici stronili od jej towarzystwa jeszcze bardziej niż od Arlena, a poza nimi biblioteki nie odwiedzał nikt inny w jej wieku. Mery bez trudu toczyła dysputy z siwobrodymi uczonymi, ale w towarzystwie Arlena brakowało jej śmiałości i pewności siebie.

Podobnie zresztą jak jemu przy niej.

* * *

– Na Stwórcę, Jaik! – Arlen wreszcie wyciągnął palce z uszu. – To brzmiało, jakbyś nigdy wcześniej nie ćwiczył.

– Nie bądź okrutny – ofuknęła go Mery. – To była doprawdy wspaniała pieśń.

– A zatem czemu ty też zatkałeś uszy? – zachmurzył się Jaik.

– Cóż – odparła dziewczyna z promiennym uśmiechem. – Mój ojciec twierdzi, że muzyka i taniec prowadzą do grzechu, więc nie mogłam słuchać, ale jestem pewna, że pieśń była

doskonała.

Arlen wybuchł śmiechem, a Jaik nachmurzył się jeszcze bardziej i odłożył lutnię.

– Spróbuj zonglowania – zaproponowała Mery.

– Jesteś pewna, że przyglądanie się zonglerce nie prowadzi do grzechu?

– Nie, o ile to porządna zonglerka – odparła cichym głosem Mery i Arlen znów się roześmiał.

Lutnia Jaika, której brakowało części struny, widziała już lepsze czasy. Chłopak odłożył ją na bok i wyciągnął kolorowe piłeczki z niewielkiego worka, w którym trzymał wyposażenie Minstrela. One też nie należały do najnowszych – farba tu i ówdzie zaczynała odłazić, a w drewnie pojawiły się pęknięcia, ale dla Jaika nie był to powód do zmartwienia. Podrzucił jedną piłeczkę, potem drugą i trzecią. Żonglował przez dłuższą chwilę, aż dziewczyna zaklaskała.

– Znacznie lepiej!

– To patrz teraz! – Sięgnął po czwartą.

Arlen i Mery skrzywili się, gdy piłki ze stukotem wylądowały na bruku. Jaik spurpurowiał.

– Może jeszcze powinienem potrenować z trzema – bąknął.

– Z trzema czy czterema, powinienes więcej ćwiczyć – przytaknął Arlen.

– Tacie niezbyt się to podoba. Mówi: „Jak nie masz nic do roboty poza zonglowaniem, to zaraz ci coś wymyślę”.

– Mój mówi to samo, gdy złapie mnie na tańcu – rzekła Mery.

Oboje z wyczekiwaniem spojrzeli na Arlena.

– Mój też tak mówił – powiedział chłopak.

– A mistrz Cob?

– Czemu miałby tak mówić? Przecież robię wszystko, co mi każe.

– A jak znajdujesz czas na uprawianie się do zawodu Posłańca? – zapytał Jaik.

– Pracuję na niego. Wcześniej wstaję. – Arlen wzruszył ramionami. – Kładę się później. Wymykam się zaraz po jedzeniu. Robię, co się da, i tobie też to radzę. Chcesz pracować w młynie przez resztę życia?

– Nie ma nic złego w pracy młynarza – napomniała go Mery.

Jaik pokręcił głową.

– Nie, Arlen ma rację. Jeśli naprawdę chcę zostać Minstrelem, muszę więcej ćwiczyć. Przyłożę się – obiecał.

– Nie przejmuj się – pocieszył go Arlen. – Jeśli nie dopniesz swego i nie będziesz miał szansy zabawiać wieśniaków w ich siołach, zawsze możesz zająć się odstraszaniem demonów na traktach swym śpiewem.

Mery zachichotała, gdy Jaik zaczął rzucać w Arlena piłeczkami.

– Dobry Minstrel na pewno by mnie trafił! – naigrawał się chłopak, zręcznie unikając

pocisków.

* * *

– Zbyt głębokie pchnięcia! – zawołał Cob.

W tej samej chwili Ragen, chcąc pokazać młodzieńcowi, co jego mistrz ma na myśli, wysunął rękę spod tarczy i złapał za drzewce tuż pod ostrzem. Szarpnął mocno, a Arlen stracił równowagę i upadł w śnieg.

– Ragen, bądź ostrożny – napomniała go Elissa i poprawiła chustę, którą otuliła się szczelnie w obawie przed porannym chłodem. – Zrobisz mu krzywdę.

– Jest o wiele delikatniejszy od jakiegokolwiek otchłańca, moja pani – rzekł Cob wystarczająco głośno, by chłopiec mógł go usłyszeć. – Włócznie stosuje się po to, by odepchnąć demona podczas próby ucieczki. To broń defensywna. Posłańcy, którzy posługują się nią zbyt ofensywnie, jak na przykład nasz młody Arlen, nie żyją długo. Widziałem raz taki przypadek. Zmierałem traktem do Lakton...

Arlen wywrócił oczyma. Cob był dobrym nauczycielem, ale lubował się we wzbogacaniu swych lekcji przerażającymi historiami o klęskach innych Posłańców. Tym sposobem chciał zniechęcić chłopaka do pewnych zachowań, ale odnosił skutek przeciwny do zamierzonego i wzmacniał jedynie motywację ucznia, by odnieść sukces tam, gdzie innym się nie powiodło. Arlen poderwał się i stanął pewniej, balansując na stopach.

– Dajmy już spokój długim włóczniom – rzekł Cob. – Weźmy się za krótsze.

Elissa zmarszczyła brwi, patrząc, jak Arlen umieszcza długą na osiem stóp broń w stojaku i wraz z Ragenem wybiera mierzące trzy stopy włócznie, których ostrze stanowiło jedną trzecią długości. Używano ich do walki na bliski dystans. Chłopak ujął również tarczę i znów stanął naprzeciw Posłańca. Skończył już piętnaście lat, był wyższy, szerszy w barach i wręcz rozpięła go energia. Miał na sobie starą skórzaną zbroję Ragen, wciąż nieco zbyt dużą, ale przecież rósł szybko.

– Jaki to ma sens? – zapytała Elissa z rozdrażnieniem. – Przecież nikt, kto znajdzie się tak blisko demona, nie będzie w stanie o tym opowiedzieć.

– Widziałem już takie przypadki – zaprotestował Cob, przyglądając się pozorowanej walce. – Ponadto na trakcie nietrudno o innych wrogów aniżeli tylko demony. Są przecież dzikie zwierzęta, są też i bandyci.

– Któż poważnyliby się zaatakował Posłańca? – zapytała wstrząśnięta Elissa.

Ragen obrzucił mistrza gniewnym spojrzeniem, lecz ten całkiem go zignorował.

– Posłańcy to bogaci ludzie – stwierdził Cob. – Wiozą też cenne towary i wieści, które mogą zdecydować o losach wielu kupców i ludzi Królewskiej Krwi. Mało kto ośmieliłby się podnieść rękę na Posłańca, ale i tacy chodzą po tym świecie. A zwierzęta, cóż... Otchłańce bez litości trzebią najsłabsze sztuki, więc tylko najsilniejsze drapieżniki są w stanie przeżyć.

- Arlen! – wykrzyknął. – Co zrobisz, gdy zaatakuje cię niedźwiedź?
- Pchnę go długą włócznią w gardziel! – odkrzyknął chłopak, nie zwalniając ani nie spuszczać wzroku z Rageny. – Cofnę się, gdy zaczniesz krwawić, a potem zdzielię go w żywotny organ, gdy straci czujność!
- I co jeszcze?
- Położę się nieruchomo! – z niesmakiem rzucił Arlen. – Niedźwiedzie bardzo rzadko napastują martwych.
- A gdy zaatakuje cię lew?
- Średnia włócznia! – zawołał, blokując tarczą uderzenie Posłańca i odpowiadając ciosem. – Trzeba go pchnąć i dobrze uchwycić broń, by się nadziać, a potem zdzielić go krótką włócznią w klatkę piersiową lub w bok.
- A wilk?
- Nie mogę już tego słuchać! – parsknęła Elissa i ruszyła szybkim krokiem w stronę domu. Arlen zignorował jej zachowanie.
- Samotnika odpędzi mocne uderzenie w pysk średnią włócznią! A jeśli to zawiedzie, trzeba zastosować tę samą taktykę, co w przypadku lwa.
- A gdy osaczy cię cała wataha?
- Wilki boją się ognia!
- A dzik?
- Będę wiał, jakby chciała mnie pochłonąć sama Otchłań! – odpowiedział ze śmiechem Arlen, cytując nauki mistrzów.

* * *

Arlen zbudził się na stercie książek. Przez chwilę usiłował dociec, gdzie się znajduje, aż w końcu uświadomił sobie, że znów zasnął w bibliotece. Wyrzwał przez okno i zauważył, że zapadł już zmrok. Zadarł wysoko głowę i wypatrzył upiorny kształt wichrowego demona, który przemknął nad gmachem. Elissa będzie na niego wściekła.

Historie, które czytał, nim zmorzył go sen, były bardzo stare i pochodziły z Wieku Nauki. Opowiadały o królestwach dawnego świata – Albinionie, Thesie, Wielkim Linm oraz Rusk. Opowiadały o morzach – ogromnych, niezmiernych jeziorach, które daleko za horyzontem kryły kolejne królestwa. Kręciło mu się od tego w głowie. Jeśli księgi nie kłamały, świat był o wiele większy, niż sobie to wyobrażał.

Przekartkował otwartą księgę, na której zasnął, i ku swemu zaskoczeniu znalazł mapę. W miarę jak odczytywał nazwy miejscowości, jego oczy stawały się coraz większe. Oto miał przed sobą jak na dłoni księstwo Miln. Nachylił się bardziej i dojrzał rzekę, z której Fort Miln czerpał słodką wodę, oraz góry, które je osłaniały. Dostrzegł też niewielką gwiazdkę oznaczającą stolicę.

Przerzucił kilka stron, czytając o starożytnym Miln. Podobnie jak dzisiaj, przed wiekami znajdowały się tu kopalnie i kamieniołomy, a wszędzie, jak okiem sięgnąć, ciągnęły się ziemie wasalów księcia. W granicach jego dominium leżało wiele miasteczek i wsi, a jego kres wyznaczała Rzeka Graniczna. Dalej rozpoczynało się już księstwo Angiers.

Arlen przypomniał sobie własną podróż i powiódł palcem na zachód. Szybko odnalazł dworek, na który natknął się podczas wędrówki, i odkrył, że należał do earla Newkirk. Niemalże drżąc z podniecenia, kontynuował poszukiwania, aż znalazł to, na czym mu najbardziej zależało. Niewielką rzeczkę wpadającą do sporego jeziora.

Baronię Tibbeta.

Baronia, Newkirk i inne krainy płaciły trybut władcy Miln, który wraz z księciem Angiers podlegał królowi Thesy.

– Thesańcyzy – szepnął Arlen, próbując oswoić się z nowym słowem. – Wszyscy jesteśmy Thesańczykami.

Wyjął ołówek i zaczął przerysowywać mapę.

* * *

– Żadnemu z nas nie wolno wymawiać tej nazwy! – Ronnell skarcił Arlena i córkę.

– Ale... – zaczął chłopiec.

– Sądzisz, że nikt o tym nie wie? – przerwał mu bibliotekarz. – Jego Łaskawość rozkazał, by każdy, kto się posługuje nazwą Thesy, został aresztowany. Masz ochotę spędzić resztę życia, rozłupując kamienie w kopalniach?

– Ale dlaczego? – dociekał Arlen. – Komu miałyby to wyrządzić krzywdę?

– Nim książę zamknął bibliotekę, wielu ludzi było opętanych ideą Thesy i zbierało ogromne sumy pieniędzy na Posłańców, którzy mieli dotrzeć do zaginionych punkcików na mapach.

– I cóż w tym złego?

– Król nie żyje od trzech stuleci i książęta gotowi są wszcząć wojnę z każdym, kto każe im klękać przed swym majestatem. Nie chcą już komukolwiek służyć. Gadanina o zjednoczeniu przypomina ludziom o rzeczach, o których nie powinni pamiętać.

– Lepiej w związku z tym udawać, że Miln stanowi cały świat?

– Przynajmniej dopóki Stwórca nam nie wybaczy i nie ześle Wybawiciela, który przerwie Plagę.

– A cóż takiego miałyby nam wybaczyć?

Spojrzenie Ronnella wyrażało zdumienie połączone ze świętym oburzeniem. Przez chwilę Arlen był przekonany, że Opiekun go uderzy, i przygotował się już na cios, lecz mężczyzna odwrócił się ku córce.

– Czy to możliwe, że on naprawdę nie wie? – zapytał z niedowierzaniem.

Mery skinęła głową.

– Opiekun w Potoku Tibbeta był... nietypowy – wyjaśniła.

– Pamiętam – przytaknął Ronnell. – Nie ukończył nauk, ponieważ jego mistrz został pożarty przez otchłańce. Zawsze chcieliśmy wysłać kogoś innego.

Podszedł do biurka i zaczął pisać list.

– Tego nie można tak zostawić – mruzczał do siebie. – Co miałby wybaczyć? Dobre sobie...

Utyskiwał i przeklinał pod nosem, co chłopiec wziął za sygnał, że spotkanie dobiegło końca. Ruszył w stronę drzwi.

– Nie tak prędko – zatrzymał go Ronnell. – Jestem bardzo zawiedziony waszą postawą. Wiem, że Cob nie grzeszy szczególną religijnością, ale ten stopień zaległości jest doprawdy niewybaczalny. A ty, młoda damo – przeniósł wzrok na córkę – wiedziałaś o tym i nic nie zrobiłaś?

Mery utkwiała spojrzenie w podłódze.

– Przykro mi, ojcze.

– I słusznie! – Ronnell ujął grube tomiszcze i podał je dziewczynie. – Naucz go. Jeśli za miesiąc Arlen nie będzie recytować tej książki, inaczej porozmawiamy.

Mery chwyciła Kanon i razem z chłopcem pospiesznie umknęła na zewnątrz.

* * *

– Nie było tak źle. – Arlen wzruszył ramionami.

– Aż za dobrze – zgodziła się Mery. – Ojciec ma jednak rację. Najwyższy czas coś z tym zrobić.

– Nie przejmuj się, to tylko księga. Do rana ją przeczytam.

– To nie jest zwykła księga! – warknęła dziewczyna, a Arlen spojrzał na nią z zaciekawieniem. – To słowa Stwórcy, spisane przez pierwszego Wybawiciela!

Chłopak uniósł brwi.

– Naprawdę?

Mery skinęła głową.

– Nie starczy jej przeczytać. Trzeba nią żyć. Każdego dnia. To przewodnik mówiący o tym, jak wyprowadzić ludzkość z grzechu, który wywołał Plagę.

– Jaką znów Plagę? – Arlen miał wrażenie, że pyta o to po raz dziesiąty.

– Demony, rzecz jasna. Otchłańce.

* * *

Kilka dni później chłopak siedział na dachu biblioteki i recytował z zamkniętymi oczyma:

*A człowiek, znów pyszny i zaciekły,
przeciw Stwórcy i Wybawicielowi stanął.
Odrzucił Tego, kto obdarzył go życiem,
I odwrócił się od swych zasad.*

*Nową religią uczynił naukę,
Modlitwy zastąpił maszynami i uczonymi,
Śmiał leczyć tych, którym śmierć pisana,
Uznał się równym swemu Stwórcy.*

*Brat stawał przeciwko bratu ku niczyjej korzyści,
A prawdziwe zło, choć ukryte,
Rosło w ludzkich sercach i duszach,
Plugawiąc to, co ongiś było czyste.*

*A wtedy Stwórca w swej mądrości
Zesłał Plagę na zagubione dzieci
Raz jeszcze rozwarł wrota Otchłani,
By ukazać ludziom pełnię ich grzechu.*

*I tak będzie
Aż do dnia, gdy znów zesłać Wybawiciela raczy,
Albowiem gdy Wybawiciel ludzi oczyści z grzechu,
Demonom zabraknie strawy na ziemi.*

*A Wybawiciela poznacie po tym,
Że będzie naznaczony na ciele,
A demony nie zniosą jego widoku
I rozpierzchną się przed nim w przerażeniu.*

– Doskonale! – z uśmiechem pochwaliła chłopaka Mery.

Arlen zmarszczył brwi.

– Mogę cię o coś spytać?

– Pewnie.

– Wierzysz w to wszystko? Opiekun Harral zwykł mawiać, że Wybawiciel był tylko człowiekiem. Znakomitym przywódcą, ale śmiertelnikiem. Cob i Ragen też tak twierdzą.

Dziewczyna otworzyła szerzej oczy.

– Lepiej będzie, by mój ojciec tego nie słyszał – ostrzegła.

– A wierzysz w to, że otchłańce pojawiły się z naszej winy? Że na nie zasłużyliśmy?

– Oczywiście, że wierzę. Przecież tak głosi słowo Stwórcy.

– Nie – zaprotestował Arlen. – Tak mówi księga, a księgi są spisane ręką ludzi. Jeśli Stwórca chce nam coś przekazać, to dlaczego korzysta z księgi, zamiast wypisać swe przesłanie ogniem na niebie?

– Czasem ciężko mi uwierzyć, że gdzieś tam z góry naprawdę przygląda nam się jakiś Stwórca – odparła Mery, patrząc w niebo. – Ale jak sobie to inaczej wyobrażasz? Świat nie stworzył się sam, nie powstał z niczego. Czy runy miałyby jakkolwiek moc, gdyby za nimi nie stała moc stworzenia?

– A Plaga?

– Księgi historyczne opowiadają o okropnych wojnach. – Dziewczyna wzruszyła ramionami. – Może w istocie zasłużyliśmy na to wszystko.

– Zasłużyliśmy? Moja mama na pewno nie zasłużyła na śmierć z powodu jakiejś głupiej wojny cztery stulecia temu!

– Twoja mama została porwana? – Mery dotknęła dłoni Arlena. – Nie wiedziałam...

Chłopak cofnął rękę i wstał.

– To bez znaczenia – rzucił. – Mam jeszcze runy do wyrycia, choć doprawdy nie widzę sensu tej roboty, skoro wszyscy zasłużyliśmy na otchłańce w naszych łózkach.

Świat jest wielki

326 RP

Leesha nachyliła się i wybrała odpowiednie zioła. Niektóre wyciągała z ziemi razem z korzeniami, innym oberwała ledwie kilka listków lub wyrastający z łodygi pączek.

Zawsze przepelniała ją duma na widok ogrodu za chatką. Staruszka była już zbyt wiekowa, by samodzielnie pielęgnować grządki, a Darsy nie udało się wydobyć z jałowej gleby żadnych plonów. Leesha jednakże wykazywała do pracy przy roślinach ogromny talent, dzięki czemu wiele spośród ziół, których niegdyś wraz z Bruną szukały przez długie godziny, rosło tuż za progiem, osłonięte słupami runicznymi.

– Masz bystry umysł i prawdziwy dar do uprawiania roślin – stwierdziła staruszka, gdy z ziemi wyrosły pierwsze kielki. – Już niedługo przerośniesz mnie jako Zielarka.

Duma, którą obudziły w sercu Leeshy te słowa, była dla niej nowym doznaniem. Nie miała szans dorównać Brunie mądrością, ale staruszka nie należała do ludzi, którzy prawią zyczliwości lub puste komplementy. Dojrzała w dziewczynie coś, czego nie dostrzegł nikt inny, a ona nie chciała jej teraz zawieść.

Napełniwszy koszyk, Leesha otrzepała dłonie i ruszyła w kierunku domu Bruny, którego nie godziło się już nazywać chatką. Erny ani myślał pozwolić, by jego córka mieszkała w nędzy, i zatrudnił całą gromadę stolarzy i dekarzy, którzy naprawili chylące się ku upadkowi ściany i położyli nową strzechę. W efekcie ich starań niemalże wszystkie elementy chatki zostały wymienione, a dzięki dobudówkom była teraz dwakroć większa.

Bruna z początku narzekała na hałas i zamieszanie, ale ton jej głosu złagodniał, gdy po zakończonym remoncie okazało się, że nie dokuczały jej już ani zimno, ani wilgoć. Ponadto, mając dziewczynę do pomocy, z upływem lat staruszka wydawała się nabierać sił, zamiast słabnąć.

Sama Leesha również cieszyła się z ukończenia prac, gdyż najęci przez ojca robotnicy zaczęli na nią patrzeć w inny sposób. Nabrała bowiem bujniejszych kształtów i z figury przypominała już matkę. Choć zawsze tego pragnęła, teraz miała mieszane uczucia. Mężczyźni w wiosce śledzili ją wygłodniałymi spojrzeniami, a plotki o jej flircie z Garedem pomimo upływu lat wciąż tkwiły głęboko w świadomości ludzi, przez co kilku mężczyzn wyszło z założenia, że z chęcią przystanie na sprośną propozycję. Większość z nich zbywała zmarszczeniem brwi, kilku musiała uderzyć w twarz. Evina z kolei potraktowała mieszaniną pieprzu i bożodrzewu, by przypomnieć mu o ciężarnej małżonce. Jedną z dziesiątek rzeczy, którą odąd zawsze trzymała w pogotowiu w którejś z niezliczonych kieszeni fartucha, był woreczek z garstką osłepiającego proszku.

Oczywiście nawet gdyby sama zainteresowała się jakimś mężczyzną, Gared by dopilnował, aby ten nie mógł się nawet do niej zbliżyć. Każdy mężczyzna poza Ernym przylapany na rozmowie z Leeshą o czymkolwiek poza zielarstwem narażał się barczystemu drwalowi. W naiwnym pojęciu Gareda on i Leesha byli sobie nadal przyrzeczeni i uznawał za stosowne przypominać to każdemu, kto się nawinął. W efekcie tego Dziecię Jonas oblewał się potem, gdy Leesha go pozdrawiała.

Okres terminowania z wolna dobiegał końca. W ustach Bruny siedem lat i jeden dzień zabrzmiało jak wieczność, ale czas płynął szybko i do końca nauki zostały zaledwie dni. Zresztą Leesha sama już odwiedzała potrzebujących, a doświadczonej Zielarki radziła się jedynie w najtrudniejszych przypadkach. Staruszce należał się odpoczynek.

– Książę ocenia umiejętności Zielarki, porównując, o ile więcej dzieci urodziło się w roku bieżącym w stosunku do poprzedniego – wytłumaczyła Bruna pierwszego dnia nauki. – Skup się jednak na codzienności, a za rok ludzie z Zakątka Drwali nie będą mieć pojęcia, jak sobie kiedykolwiek dawali bez ciebie radę.

Niebawem okazało się, że staruszka miała rację. Od tej chwili wszędzie zabierała ze sobą uczennicę, całkowicie ignorując prośby kobiet o zachowanie prywatności. Wkrótce Leesha zajmowała się większością ciężarnych kobiet we wsi, a dla połowy pozostałych warzyła wywary z glisowca, słynącego jako środek na spędzanie płodu. Niebawem kobiety zaczęły okazywać jej względy i bez skrupułów ujawniały przed nią wszelkie sekrety swych ciał.

Mimo to nadal była dla wieśniaków kimś z zewnątrz, kimś spoza ich społeczności. Kobiety bez zażenowania rozmawiały przy niej o największych tajemnicach, jakby jej w ogóle nie dostrzegały.

– I o co chodzi? – zapytała Bruna, gdy Leesha ośmieliła się wyrazić niezadowolenie. – Do twych zadań nie należy ocenianie czynów ludzi, ale troska o ich zdrowie. Gdy zakładasz fartuch z kieszeniami, to jakbyś obiecywała, że zachowasz spokój ducha bez względu na to, co usłyszysz. By dobrze wypełnić swe obowiązki, Zielarka potrzebuje zaufania, a na to trzeba sobie zasłużyć. Nigdy nie powinnaś powtarzać żadnego zasłyszanego sekretu, chyba że zatajenie go miałoby wpływ na czyjeś zdrowie.

Tak więc Leesha trzymała język za zębami, a kobiety wkrótce obdarzyły ją zaufaniem. W ślad za nimi pojawili się mężczyźni, często z żonami depreczującymi im po piętach. Fartuch z kieszeniami – symbol pełnionej funkcji – nakazywał im jednak trzymać się na dystans. Wkrótce doszło do tego, że przed Leeshą rozebrał się każdy mężczyzna we wsi, ale nigdy nie pozwoliła sobie na jakąkolwiek dozę intymności z którymkolwiek z nich. Niemniej choć kobiety mogły wyśpiwywać na jej cześć peany i zasypywać ją podarkami, nie było wśród nich ani jednej, której sama mogłaby powierzyć swe sekrety.

Tak czy owak, przez ostatnie siedem lat Leesha była dużo szczęśliwsza niż kiedykolwiek wcześniej. Świat Bruny zdawał się o wiele większy i bogatszy aniżeli ten, w którym trzymała ją wcześniej matka. Dziewczyna czuła żal za każdym razem, gdy musiała zamknąć czyjeś powieki na zawsze, ale pojawiała się też radość, gdy wyjmowała dziecię z łona matki i mocnym klapssem wywoływała jego pierwszy płacz.

Wkrótce miał nadejść ostatni dzień jej nauki, a Bruna poprzysięgła, że zrezygnuje ze swej funkcji na dobre. Dawała tym samym do zrozumienia, że nie pożyje o wiele dłużej. Ta myśl przerażała Leeshę bardziej niż cokolwiek innego.

Bruna była jej tarczą i jej włócznią, jej nieprzeniknioną barierą runiczną strzegącą ją przed całą wsią. Cóż bez niej pocznie? Nie miała charakteru starej Zielarki, nie potrafiła dominować nad innymi, wywarkiwać poleceń ani tłuc tych, których uznała za półgłówków. Poza tym, gdy zabraknie Bruny, kto będzie rozmawiał z nią nie dlatego, że jest wioskową Zielarką, ale dlatego, że jest Leeshą? Kto będzie ocierał jej łzy i dzielił jej smutki? Przecież chwile zwątpienia mogą osłabić ludzkie zaufanie, a zaufanie wieśniaków zawdzięczała autorytetowi Bruny.

Nie były to wszystkie jej obawy. Nie zdradzała tego nikomu, ale Zakątek Drwali wydawał jej się bardzo małym miejscem. Drzwi otwarte dzięki nauce Bruny nie dawały się łatwo zatrzaskać, co bez ustanku przypominało jej nie o tym, co wie i umie, lecz o tym, czego nie zdołała się jeszcze nauczyć. Gdy zabraknie Bruny, jej podróż nagle dobiegnie końca. Weszła do domu i ujrzała staruszkę przy stole.

– Dzień dobry – powiedziała. – Nie spodziewałam się, że wstaniesz tak wcześnie. Zrobiłabym herbatę przed wyjściem do ogrodu.

Postawiła koszyk na ziemi i podeszła do paleniska. Z czajnika buchała już para, woda zaraz miała się zagotować.

– Może i jestem stara, ale z pewnością nie całkiem jeszcze ślepa i niedołężna – burknęła Bruna.

– Oczywiście, że nie! – Leesha ucałowała staruszkę w policzek. – Pewnie mogłabyś też chwycić za siekierę i stanąć w szeregu drwali.

Roześmiała się na widok grymasu na jej twarzy i zaczęła przygotowywać owsiankę.

Spędzone razem lata bynajmniej nie utemperowały języka Bruny, ale Leesha rzadko zwracała na to uwagę. W narzekaniu staruszki słyszała jedynie sympatię, a sama odpowiadała

z serdecznością.

– Wcześniej wyszłaś dziś do ogrodu – zauważyła stara Zielarka, gdy zasiadły do posiłku. – W powietrzu jeszcze śmierdzi otchłāncami.

– Jesteś chyba jedyną osobą na całym świecie, która potrafi narzekać na smród w otoczeniu pachnących kwiatów – odparła Leesha. W rzeczy samej, wszędzie ustawiła wazony ze świeżo ściętymi kwiatami, a powietrze domu przesiąkło ich słodyczą.

– Nie zmieniaj tematu – burknęła staruszka.

– Wczoraj wieczorem przybył Posłaniec. Słyszałam jego róg.

– Na chwilę przed zachodem słońca. Szaleniec – mruknęła i splunęła na podłogę.

– Bruno! – ofuknęła ją dziewczyna. – Ile razy mam ci mówić o pluciu w domu!

Zielarka zmrużyła zażawione oczy.

– Powiedziałaś, że to mój własny przeklęty dom i mogę sobie pluć, gdzie mi się żywnie podoba.

Leesha zmarszczyła brwi.

– Z pewnością powiedziałam coś innego...

– Na pewno nie, jeśli jesteś mądrzejsza, niż to sugerują wieśniakom twoje cycki – rzekła Zielarka, popijając herbatę.

Dziewczyna otworzyła usta, udając oburzenie, ale już dawno przyzwyczała się do obraźliwych uwag. Staruszka gderała, co tylko jej ślina na język przyniosła. Zawsze postępowała tak, jak miała ochotę, i nikt nie był w stanie zmienić jej przyzwyczajzeń.

– A więc to Posłaniec sprawił, że uwijasz się po obejściu z samego rana. Masz nadzieję, że to jakiś elegancik? Jak mu na imię? Czy to ten, który robi szczenięce miny na twój widok?

– Raczej pożera mnie wzrokiem niczym wilk – odparła z kwaśnym uśmiechem Leesha.

– Też niezgorzej. – Staruszka klepnęła uczennicę w kolano, chichocząc pod nosem.

Dziewczyna pokręciła głową i wstała, by sprzątnąć ze stołu.

– Jak mu na imię? – naciskała Bruna.

– Nie o to chodzi.

– Jestem za stara na takie wybiegi. Imię.

– Marick. – Leesha wywróciła oczyma.

– Uwarzyć dzbanek wywaru z glisowca na wizytę młodego Maricka?

– Czy naprawdę wszyscy myślą tylko o jednym? Ja po prostu lubię z nim rozmawiać. To wszystko.

– Nie jestem na tyle ślepa, by nie dostrzec, że chłopakowi zależy na czymś więcej niż tylko na rozmowie.

– Tak? – Leesha skrzyżowała ręce na piersi. – Ile palców teraz pokazuję?

Bruna parsknęła.

– Ani jednego – rzuciła, nawet nie odwracając się ku dziewczynie. – Tę sztuczkę też znam od dawna. Wiem ponadto, że podczas waszych rozmów Dziarski Marick ani razu nie

spojrzał ci w oczy.

– On ma na imię Marick. Po prostu Marick. I patrzy mi w oczy.

– Tylko wtedy, gdy coś zasłania ci dekolt.

– Jesteś po prostu nieznośna! – parsknęła Leesha.

– To żaden powód do wstydu. Gdybym sama miała takie cycki, też bym się z nimi obnosiła.

– Z niczym się nie obnoszę! – krzyknęła dziewczyna, ale Bruna tylko zachichotała.

Znów rozległ się dźwięk rogu, tym razem niedaleko.

– To pewnie młody panicz Marick – stwierdziła staruszka. – Dalej, pędź się stroić.

– To nie tak! – znów zaprotestowała Leesha, ale Bruna odpędziła ją machnięciem ręki.

– Nastawię wywar. Na wszelki wypadek.

Leesha cisnęła w nią szmatą i wystawiła język, ale ruszyła do drzwi. Gdy stanęła na ganku, uśmiechnęła się mimowolnie. Stara Zielarka usiłowała wepchnąć ją w ramiona jakiegoś mężczyzny niemalże z tą samą intensywnością, co jej matka, ale czyniła to z sympatii i miłości. Zależało jej jedynie na szczęściu uczennicy, a ta kochała ją za to z całego serca. Jednakże pomimo drwin staruszki Leeshę bardziej interesowały listy, które przewoził Marick, aniżeli jego pożądlive spojrzenie.

Od najmłodszych lat uwielbiała dni, kiedy przybywali Posłańcy. Zakątek Drwali był niewielką wsią, ale leżał na trasie między trzema głównymi miastami i tuzinem drobniejszych siół. Dzięki drewnu oraz papierowi Erny'ego stanowił ważne ogniwo lokalnej gospodarki.

Posłańcy odwiedzali Zakątek przynajmniej dwa razy w miesiącu. Większość poczty zostawiali u Smitta, ale osobiście dostarczali listy Erny'emu i Brunie, nierzadko oczekując na odpowiedzi. Bruna korespondowała z Zielarkami z Fortu Rizon, Angiers, Lakton i kilku pomniejszych miejscowości. Kiedy pogorszył jej się wzrok, zadanie odczytywania listów i pisanie odpowiedzi przypadło Leeshy.

Bruna budziła szacunek nawet na odległość. W istocie większość Zielarek z okolicy uczyła się fachu pod jej czujnym okiem i nadal często zasięgano u niej rady co do leczenia nieznanymi dolegliwościami. Każdy Posłaniec przywoził również listy kobiet chętnych podjąć u niej nauki. Nikt nie chciał, by mądrość Bruny umarła wraz z nią.

– Jestem zbyt stara, by brać kolejnego ucznia! – narzekała Bruna i machała dłonią, a Leesha ujmowała pióro i pisała kolejną uprzejmą odmowę, do czego szybko się przyzwyczaiła.

Dzięki temu miała jednak sposobność, by pogawędzić z Posłańcami. Prawdą było, że wielu z nich wprost pożerało ją wzrokiem lub usiłowało zaimponować jej opowieściami o Wolnych Miastach. Należał do nich Marick.

Opowieści Posłańców pozwalały jej popuścić cugle fantazji. Być może chcieli jedynie wkupić się w łaski i odnaleźć drogę pod jej spódnicę, ale ich słowa budowały wizje, do

których Leesha wracała w marzeniach. Śniła o spacerach po dokach Lakton, o ogromnych, chronionych runami polach Fortu Rizon i o leśnej fortecy Angiers. Chciała czytać tamtejsze księgi i spotykać się z lokalnymi Zielarkami. Na świecie byli również inni strażnicy mądrości z dawnego świata, musiała tylko zdobyć się na odwagę i zacząć ich szukać.

Uśmiech ozdobił jej twarz, gdy Marick pojawił się w zasięgu wzroku. Nawet z tej odległości rozpoznała jego chód – po całym życiu spędzonym w końskim siodle miał lekko wykrzywione nogi. Był Angieriańczykiem, mężczyzną nieco niższym od Leeshy, ale emanującym siłą, wytrzymałością i hartem ducha. Dziewczyna nie przesadziła również wiele, mówiąc o jego wilczych oczach. Patrzyły ze spokojem drapieżcy, który czujnie obserwuje otoczenie, wypatrując zagrożeń... oraz zdobyczy.

– Hej, Leesha! – zawołał, machając włócznią.

Młoda Zielarka powitała go uniesioną dłonią.

– Naprawdę musisz to nosić za dnia?

– A gdyby napatoczył się jakiś wilk? – odparł, szczerząc zęby. – Jak bym cię obronił?

– Rzadko widzujemy wilki w Zakątku Drwali.

Marick zmierzał w stronę dziewczyny wielkimi krokami. Nosił długie brązowe włosy, a jego oczy miały kolor drzewnej kory. Dziewczyna nie przeczyła, że w istocie był przystojnym mężczyzną.

– No to na przykład niedźwiedź. Albo lew. Na tym świecie czai się wielu drapieżców – dodał, omiatając wzrokiem rozcięcie jej sukni.

– Tego akurat jestem świadoma – odparła, narzucając chustę na dekolt.

Marick roześmiał się i położył worek na ganku.

– Chusty wyszły z mody – oznajmił. – Nie ma mowy, by którakolwiek kobieta w Angiers czy Rizon nosiła coś takiego.

– A zatem pewnie też nie noszą sukni z dekolcami. Lub ich mężczyźni okazują więcej subtelności.

– To prawda, nie mają dekolców – przytaknęła Marick ze śmiechem i ukłonił się nisko. – Mógłbym ci przywieźć zakrytą angieriańską suknię – wyszeptał, podchodząc bliżej.

– I kiedy niby miałabym ją nosić? – Dziewczyna zrobiła unik, nim Poślaniec zdołał zapędzić ją w kąt.

– Przyjedź do Angiers. Tam ją noś.

– Marzę o tym – westchnęła.

– Być może będziesz miała szansę – chytrze odparł Marick, pochylił głowę i gestem poprosił Leeshę, by weszła do domu. Dziewczyna odpowiedziała uśmiechem i ruszyła do środka, wyraźnie czując wzrok mężczyzny na swych pośladkach.

Bruna powitała ich z fotela. Poślaniec podszedł do niej i ukłonił się nisko.

– Młody panicz Marick! – zawołała wesoło Brunna. – Cóż za miła niespodzianka!

– Przynoszę pozdrowienia od Jizell z Angiers. Błaga was o pomoc w niezwykle

kłopotliwej sprawie.

Marick wyciągnął z sakwy zwinięty rulon przewiązany mocnym sznurkiem.

Bruna skinęła na uczennicę. Dziewczyna chwyciła list, a staruszka rozparła się w fotelu i przymknęła oczy, słuchając jej głosu.

– „Szacowna Bruno, pozdrowienia z Fort Angiers w roku 326”.

– Jizell trajkotała jak katarynka, gdy była moją uczennicą – wtrąciła Bruną. – Píše zaś podobnie, jak mówi, a ja już długo nie pożyję. Przejdź do sedna.

Leesha prześlizgnęła się wzrokiem po kartce, a potem przewróciła ją na drugą stronę. Dopiero tam znalazła to, czego szukała.

– Chłopiec – powiedziała. – Dziesięcioletni. Przywieziony przez matkę, narzekał na nudności i ogólną słabość. Żadnych innych objawów, wcześniej brak podobnych zachowań. Dostał ponurzańca i wodę do picia, nakazano mu pozostać w łóżku, ale symptomy zyskiwały na sile przez trzy kolejne dni. Pojawiła się też wysypka na ramionach, nogach i piersi. Dawka ponurzańca została zwiększona do trzech uncji. Mimo to jego stan wciąż się pogarszał. Chłopiec dostał gorączki, a wypryski przemieniły się w twarde białe zgrubienia. Maści nie zadziały. Doszły do tego wymioty. Zastosowano pstrolistkę oraz nalewkę z maku dla uśmierzania bólu, a także chude mleko na żołądek. Brak apetytu. Choroba nie wydaje się zakaźna.

Bruna przez dłuższą chwilę trawiła odczytane słowa. Potem spojrzała na Maricka.

– Widziałeś to dziecko?

Posłaniec skinął głową.

– Pocił się?

– Tak – potwierdził. – Ale też drżał, jakby jednocześnie było mu zimno i gorąco.

Bruna parsknęła.

– Jakiego koloru miał paznokcie?

– Paznokciowego. – Marick wyszczerzył zęby.

– Jeszcze jeden taki dowcip, a pożałujesz!

Mężczyzna pobladł i znów posłusznie skinął głową. Staruszka wypytywała go przez kolejne kilka minut, burknięciami kwitując niektóre odpowiedzi. Posłańcy słynęli z dobrej pamięci i umiejętności dostrzegania szczegółów, a Bruną bynajmniej nie zamierzała temu przeczyć. W końcu machnięciem dłoni nakazała ciszę.

– Jest w liście jeszcze coś godnego uwagi? – zapytała.

– Chce ci wysłać kolejną uczennicę – rzekła dziewczyna, na co Bruną znów się skrzywiła.

– „Mam uczennicę o imieniu Vika, która niemalże ukończyła nauki. W twych listach wyczytałam, że znajdujesz się w podobnej sytuacji. Gdybyś nie chciała szukać nowicjusza, proszę, rozważ chociaż wymianę adeptów”.

Leesha wstrzymała oddech, a Marick uśmiechnął się szeroko jak dobrze wtajemniczona osoba.

– Czy kazałam ci przerywać? – warknęła Bruna.

Dziewczyna odkasznęła.

– „Vika jest niezwykle obiecującą uczennicą, odpowiednio przeszkoloną, by zaspokoić potrzeby Zakątka Drwali. Jest również gotowa zarówno troszczyć się o zasną, mądrą Brunę, jak i pobierać u niej nauki. Z pewnością Leesha również mogłaby wiele skorzystać, doglądając chorych w moim hospicjum. Proszę, błagam, niechże mądra Bruna odda światu jeszcze jedną przysługę, nim z niego zejdzie”.

Staruszka milczała przez moment.

– Muszę się zastanowić nad odpowiedzią – rzekła w końcu. – Ruszaj na obchód po wsi, dziewczyno. Porozmawiamy po twoim powrocie. A ty, Posłańcze, przyjdź po odpowiedź jutro. Leesha ci zapłaci.

Marick złożył przed Zielarką pokłon i wyszedł z chaty, a Bruna rozparła się w fotelu, zamykając oczy. Leesha czuła, jak jej serce bije coraz szybciej. Wiedziała jednak, że nie wolno przeszkadzać staruszce, kiedy ta przebijała się przez całe dekady swej pamięci, usiłując znaleźć sposób na uleczenie chłopca. Podniosła koszyk i wyszła.

* * *

Marick czekał na zewnątrz.

– Dobrze wiedziałeś, co napisała w tym liście! – wyrzuciła mu Leesha.

– Pewnie – przytaknął Posłaniec. – Byłem przy niej, gdy go pisała.

– Ale nie powiedziałeś ani słowa.

– Proponowałem ci zakrytą suknię. Oferta pozostaje w mocy.

– Zobaczymy... – Leesha w końcu się uśmiechnęła i podała mężczyźnie sakiewkę z monetami. – Twoja zapłata.

– Wolałbym walutę złożoną z pocałunków.

– Pochlebiasz mi, ale moje pocałunki nie są warte więcej od złota. Nie chcę cię rozczarować, tak jednak wygląda prawda.

Marick zaśmiał się głośno.

– Moja droga! Gdybym pokonał całą drogę z Angiers aż tutaj, rzucając co noc wyzwanie otchłanom, i powrócił, za jedyny zysk mając twój pocałunek, stałbym się powodem zazdrosnych spojrzeń wszystkich Posłańców, którzy kiedykolwiek zawitali do Zakątka Drwali.

– Cóż, w tej sytuacji powinnam chyba zatrzymać me pocałunki na dłużej. A nuż dostanę za nie w przyszłości lepszą cenę.

– Dopiekłaś mi do żywego. – Posłaniec przytknął dłoń do piersi. Leesha rzuciła mu sakiewkę, a on złapał ją zręcznie. – Czy mogę chociaż liczyć na zaszczyt odprowadzenia Zielarki do wioski? – zapytał, wyciągając rękę. Leesha nie potrafiła powstrzymać uśmiechu.

– W Zakątku nic się nie dzieje tak szybko – odparła. – Możesz natomiast ponieść mój koszyk.

Zawiesiła go na wyciągniętej ręce Posłańca i ruszyła drogą, odprowadzana przez jego bezradne spojrzenie.

* * *

Gdy dotarli do wioski, targowisko Smitta tętniło już życiem. Leesha lubiła robić sprawunki wcześniej, zanim ze straganów zdążyły zniknąć najlepsze owoce i warzywa. Miała też w zwyczaju składać zamówienie u rzeźnika Duga jeszcze przed rozpoczęciem obchodu.

– Dzień dobry, Leesho – powitał ją Yon Szary, najstarszy mężczyzna w Zakątku. Jego szara broda, którą uważał za powód do szczególnej dumy, była dłuższa niż włosy większości kobiet. Choć za młodu mógł się pochwalić zwalistą budową ciała, ostatnimi czasy wychudł i teraz opierał się ciężko na lasce.

– Dzień dobry, Yon – odpowiedziała dziewczyna. – Jak twoje stawy?

– Wciąż bolą, zwłaszcza ręce. Czasem ledwie jestem w stanie utrzymać laskę.

– A mimo to wciąż odnajdujesz w sobie dość siły, by mnie uszczypnąć, gdy tylko się odwrócę.

– Mężczyzna w moim wieku gotów jest zaryzykować każdy ból za taką przyjemność – odparł Yon, chichocząc.

Leesha sięgnęła w głąb koszyka i wyjęła niewielki słoik.

– Dobrze zatem, że zrobiłam dla ciebie nieco więcej słodkiej maści.

– Gdybyś zechciała do mnie zajrzeć i pomóc mi ją wcierać, drzwi stoją otworem. – Staruszek puścił oko.

Dziewczyna na próżno usiłowała powstrzymać wybuch śmiechu. Yon był starym lubieżnikiem, ale darzyła go sympatią. Wspólne życie z Bruną nauczyło ją, że znoszenie ekscentrycznych wybryków staruszków to niewielka cena za życiowe doświadczenie, którym często chętnie się dzielili.

– Obawiam się, że będziesz musiał radzić sobie sam.

– A niech to! – Yon machnął ręką, udając rozdrażnienie. – Ale zastanów się dwa razy!

W końcu dostrzegł Maricka i skinął głową z szacunkiem.

– Posłańcze.

Marick odpowiedział podobnym gestem.

Wszyscy napotkani na targowisku ludzie witali Leeshę uprzejmym słowem, a ona zatrzymywała ich, wpytując o zdrowie. Nigdy tak naprawdę nie przestawała pracować, nawet w trakcie załatwiania sprawunków.

Wraz ze starszą Zielarką nie mogły narzekać na brak pieniędzy, uzyskiwanych ze sprzedaży płomiennych patyczków i innych wyrobów, ale nikt nawet nie pomyślał, by

zażądać czegokolwiek w zamian za wybierane przez dziewczynę towary. Bruna nigdy nie prosiła o pieniądze za leczenie, stąd też i jej nie kazano płacić.

Marick stał blisko Leeshy i roztaczał wokół niej ochronną aurę, podczas gdy dziewczyna ze znajomością rzeczy macała owoce i warzywa. Przyczynę wielu spojrzeń, które wspólnie przyciągali, upatrywała raczej w fakcie, że przyszli razem, aniżeli w tym, że mężczyzna był kimś obcym na wioskowym targowisku. Posłańcy stanowili częsty widok w Zakątku Drwali.

Pochwyliła spojrzenie Keeta – syna Stefny, bo dzieckiem Smitta nazwać się go nie dało. Chłopak kończył już jedenaście lat i z każdym dniem coraz bardziej przypominał Opiekuna Michela. Jak dotąd Stefny dotrzymywała swej części umowy i nie oczerniała uczennicy Bruny. W zamian za to Leesha nie wspominała nikomu o mrocznym sekrecie kobiety, choć nie mogła pojąć, dlaczego Smitt sam go w końcu nie przejrzy, skoro co wieczór przyglądał się dzieciom przy wieczerzy.

Skinęła w kierunku chłopaka, a on natychmiast do niej podbiegł.

– Zanieś to, proszę, Brunie, gdy ci tylko czas pozwoli – przykazała i podała mu torbę ze sprawunkami. Uśmiechnęła się przy tym, a potem ukradkiem wcisnęła mu monetę do ręki.

Keet wyszczerzył zęby, zachwycony podarunkiem. Dorośli nie przyjmowali pieniędzy od Zielarek, ale Leesha zawsze dawała coś dzieciom w zamian za dodatkową pomoc. Drewniana moneta z Angiers stanowiła główną walutę w Zakątku i wystarczyła na wiele rizoniańskich słodczy dla Keeta i jego rodzeństwa.

Leesha miała ruszyć dalej, gdy wtem ujrzała przyjaciółkę. Sukien Mairy trzymała się już trójka małych dzieci. Przed kilkoma laty do Zakątka zawitał pewien młody szklarz imieniem Benn, który opuścił Angiers w poszukiwaniu fortuny w Lakton lub Forcie Rizon. Zatrzymał się we wsi, by poprowadzić interes i zebrać nieco pieniędzy na kolejny etap podróży, ale wtedy wpadła mu w oko Mairy. Jego plany rozplynęły się niczym garstka cukru w herbacie.

Teraz Benn zajmował się wydmuchiowaniem szkła w obórcie ojca Mairy, a jego interes rozkwitał. Kupował worki piasku od Posłańców z Fortu Krasja i zamieniał je w przedmioty zarazem piękne, jak i funkcjonalne. W Zakątku nigdy wcześniej nie było szklarza, stąd też wszyscy pragnęli zdobyć dla siebie jakieś szklane przedmioty.

Leesha nie stanowiła wyjątku i wkrótce nakłoniła Benna, by wykonał dla niej delikatne i skomplikowane elementy destylarni, której schemat znalazła w księgach Bruny. Dzięki tym instrumentom mogła warzyć lekarstwa o wiele mocniejsze i skuteczniejsze niż kiedykolwiek wcześniej.

Benn i Mairy wzięli ślub, a niedługo potem Leesha została wezwana, by wyciągnąć ich pierwsze dziecko spomiędzy nóg przyjaciółki. Niebawem pojawiły się dwa kolejne. Leesha kochała każde z nich tak mocno, jak gdyby były jej własne. Rozpłakała się ze szczęścia, gdy najmłodszą dziewczynkę nazwano jej imieniem.

– Dzień dobry, nicponie! – Leesha ukłękła, a dzieci Mairy padły jej w ramiona. Wyściskała je mocno i ucałowała, a zanim wstała, każdemu wsunęła do kieszonki nieco

słodczy owiniętych w papier. Pichcenie słodkości stanowiło kolejną umiejętność, której nauczyła się od Bruny.

– Dzień dobry, Leesha. – Mairy dygnęła. Młoda Zielarka musiała się powstrzymać, by nie zmarszczyć brwi. Przez wiele lat blisko się przyjaźniły, ale teraz, gdy nosiła fartuch z kieszeniami, Mairy patrzyła na nią zupełnie inaczej. Dyganie przed Zielarką stało się dla niej naturalnym odruchem.

Mimo to Leesha ceniła tę przyjaźń. Saira zakradała się w tajemnicy do chaty na skraju lasu i prosiła o wywar z glisowca, a ich zażyłość zakończyła się na tym etapie. Jeśli wierzyć kobietom we wsi, Saira w pełni korzystała z uroków życia. Mniej więcej co drugiemu mężczyźnie we wsi zdarzało się zastukać do jej drzwi, a ona sama miała o wiele więcej pieniędzy, niżby mogła zarobić dzięki szyciu, czym parała się wraz z matką.

Brianne na swój sposób zachowywała się jeszcze gorzej. Przez ostatnie siedem lat nie odezwała się do Leeshy słowem, ale nie przestawała oczerniać jej przed wszystkimi dookoła. Po lekarstwa zaglądała tylko do Darsy, a jej miłosne uniesienia z Evinem szybko zaowocowały okrągłym brzuchem. Kiedy Opiekun Michel przymusił ją do wyznania prawdy, wołała powiedzieć głośno, kto jest ojcem, aniżeli samotnie stawić czoła całej wsi.

Evin, czując na plecach ciężkie spojrzenia ojca Brianne i jej braci, poślubił ciężarną dziewczynę. Wkrótce przyszedł na świat ich syn, Callen, lecz Evin nie odnalazł w sobie dość czułości ani dla niego, ani dla żony i skutecznie zamienił życie obojga w piekło.

Brianne okazała się dobrą matką i żoną, ale nigdy nie zrzuciła wagi, której nabrała w czasie ciąży. Leesha zaś doskonale wiedziała o skłonnościach Evina do błędzenia oczyma i dłońmi. Jeśli wierzyć plotkom, regularnie stukał do drzwi Sairy.

– Dzień dobry, Mairy – powiedziała. – Czy poznałaś już Posłańca Maricka?

Odwróciła się, by przedstawić jej gościa, ale ten niespodziewanie znikł.

– O nie... – wyszeptwała. Marick zmierzał w kierunku Gareda.

W wieku piętnastu lat Gared był największym mężczyzną we wsi, jeśli pominąć jego ojca. Teraz, w wieku lat dwudziestu dwóch, prezentował się niczym olbrzym. Mierzył prawie siedem stóp, a jego ciało, zahartowane przez długie dni pracy z siekierą, niemalże rozsadały mięśnie. Mówiono, że w jego żyłach płynie milneńska krew, gdyż Angieriańczycy nie bywali tak potężnie zbudowani.

Plotki o jego kłamstwie szybko obiegły całą wieś i od tej chwili dziewczęta wołały trzymać się od niego z daleka, a już pod żadnym pozorem nie zostawać z nim sam na sam. W związku z tym często się zastanawiano, czy to właśnie dlatego nadal pożywał Leeshy, czy może pałałby do niej uczuciem bez względu na okoliczności. Niemniej lekcja z przeszłości niczego go nie nauczyła. Jego ego pęczniało wraz z mięśniami i, jak przewidywano, wyrósł na sadystę i dręczyciela. Chłopcy, którzy kiedyś się z niego natrząsali, teraz brali nogi za pas, ledwie otworzył usta. A jeśli z nimi obchodził się okrutnie, to dla wszystkich, którzy choćby spojrzeli na jego wybrankę z dzieciństwa, okazywał się istnym koszmarem.

Gared czekał na Leeszę, jakby wciąż liczył, że któregoś dnia dziewczyna przejrzy na oczy i uświadomi sobie, że należy do niego. Wszelkie próby wytłumaczenia mu, że nigdy do tego nie dojdzie, rozbiły się o jego twarde jak skała upór.

– Nie jesteś stąd – warknął do Maricka, szturchając go w ramię. – To żeś pewno nie słyszał, że Leesha została mi przyrzeczona.

Górował nad Posłańcem niczym dorosły mężczyzna nad małym chłopcem, ale Marick nie okazał strachu ani nie poddał się szturchnięciu. Stał twardo w miejscu, a jego wilcze oczy śledziły spojrzenie konkurenta. Leesha prosiła w duchu, by okazał choć odrobinę zdrowego rozsądku i nie dał się wciągnąć w bójkę.

– Ona twierdzi co innego – odparł. Wszelkie nadzieje dziewczyny legły w gruzach. Ruszyła w ich kierunku, lecz obu mężczyzn otoczył już krąg gapiów i musiała torować sobie drogę. Nagle pożałowała, że nie ma ze sobą laski Bruny.

– Czyżbyś usłyszał od niej słowa przyrzeczenia, Posłańcze? – zapytał Gared. – Bo ja usłyszałem.

– Wiem o tym. Wiem też, że jesteś jedynym głupcem w Zakątku, który twierdzi, że są one więcej warte od demonich szczyn po tym, jak ją zdradziłeś.

Gared z rykiem rzucił się na Posłańca, ale szybszy od niego Marick uskoczył, porwał za włócznię i rąbnął drwa jej tępym końcem między oczy. Odwrócił broń płynnym ruchem, uderzył przeciwnika tuż poniżej kolan i przewrócił go na plecy.

Wbił włócznię w ziemię. Na jego twarzy malował się wyraz wyższości.

– Mógłbym cię dzielić ostrzem – warknął. – Wówczas byś zapamiętał, że Leesha odpowiada sama za siebie.

Ludzie obserwowali całą sytuację w milczeniu, ale zdesperowana Leesha wciąż przedzierała się przez tłum. Znała Gareda, wiedziała, że walka jeszcze nie dobiegła końca.

– Przerwijcie to szaleństwo! – krzyknęła. Marick zerknął w kierunku dziewczyny, a Gared wykorzystał moment jego nieuwagi, by złapać za koniec włóczni. Posłańiec w ułamku sekundy zorientował się w sytuacji i szarpnął drzewce obiema dłońmi, chcąc wyrwać broń z uścisku drwa.

Nie mógł wpaść na gorszy pomysł. W mięśniach Gareda drzemała siła demona drzew i pod tym względem miał nad Posłańcem ogromną przewagę, mimo że leżał na plecach. Jego potężne ramiona napięły się i nim Marick zdążył zareagować, już leciał w powietrzu.

Gared skoczył na nogi i złamał sześciostopową broń jak zapałkę.

– Zobaczmy, jaki jesteś mocny, gdy się nie chowasz za włócznią – parsknął, odrzucając jej szczątki.

– Gared, przestań! – Leesha wreszcie zdołała przedrzeć się przez gapiów i złapała go za ramię. Drwal odepchnął ją, nie spuszczać wzroku z Posłańca. Wymachując rękami, dziewczyna z impetem wleciała na Duga i Niklasa. Razem z nimi i kilkoma stojącymi dalej osobami upadła na ziemię.

– Przestań! – krzyknęła, usiłując powstać.

– Żaden inny mężczyzna nie będzie cię miał! – zagrział Gared. – Spędzisz życie ze mną albo skończysz pomarszczona i samotna niczym sama Bruna!

Runął w kierunku Maricka, który właśnie złapał równowagę. Wymierzył cios wielką pięścią, ale Posłaniec znów okazał się szybszy. Zręcznie uniknął uderzenia, sam trafił napastnika dwukrotnie i zdążył jeszcze uskoczyć poza jego zasięg. Ręka rozszalałego olbrzyma znów przecięła powietrze.

Nawet jeśli Gared odczuł ciosy, nie dawał tego po sobie poznać. Znów się zwarli, tym razem Marick dzielił przeciwnika prosto w nos. Buchnęła krew, ale drwał splunął i wybuchnął śmiechem.

– Tylko na to cię stać? – zapytał.

Poirytowany Marick dopadł do niego i zasypał go gradem ciosów. Gared nie zdołał ich wszystkich sparować czy uniknąć, nawet zresztą nie próbował. Znosił natarcie z twarzą spurpurowiałą ze wzburzenia.

W końcu Posłaniec odskoczył i stanął na lekko ugiętych nogach z uniesionymi pięściami, gotowy do dalszej walki. Ciężko dyszał, a kłykcie miał już zdarte do krwi. Z kolei potężny drwał nie wyglądał na szczególnie poturbowanego. Po raz pierwszy w oczach Maricka pojawił się lęk.

– To naprawdę wszystko? – Gared znów ruszył na przeciwnika.

Posłaniec zaatakował, ale utracił już nieco szybkości. Wymierzył ledwie dwa ciosy, zanim grube palce Gareda zacisnęły się wreszcie na jego nadgarstku. Usiłował się jeszcze wyrwać, lecz olbrzym trzymał go zbyt mocno.

Rąbnął Maricka pięścią w żołądek, dając wreszcie upust złości. Uderzył ponownie, tym razem w twarz, i Posłaniec osunął się na ziemię niczym worek ziemniaków.

– I co?! – ryczał Gared. – Dalej jesteś z siebie taki dumny?!

Marick spróbował wstać, ale wtedy drwał kopnięciem w brzuch przewrócił go na plecy. Leesha już pędziła w ich stronę.

– Ona należy do mnie! – wydzierał się drwał, klęcząc nad przeciwnikiem i okładając go ciężkimi kułakami. – I każdy, kto twierdzi inaczej...

Nagle urwał, bowiem dziewczyna cisnęła mu w twarz garść oślepiającego proszku. Zrobiła to, gdy miał otwarte usta – instynktownie wciągnął powietrze i zaraz potem przeraźliwie wrzasnął. Proszek dostał się do jego oczu, gardła i zatok, które naraz zapłonęły straszliwym bólem. Przetoczył się po ziemi, drapiąc twarz i próbując złapać oddech.

Leesha wiedziała, że użyła zbyt dużej dawki. Wystarczyła szczypta, by zniechęcić większość mężczyzn, a cała garść potrafiła zabić. Potraktowany nią człowiek mógł się zakrztusić własną flegmą.

Dziewczyna skrzywiła się ze złości i znów odepchnęła gapiów, by porwać za wiadro, w którym Stefny myła ziemniaki. Kiedy wylała wodę na twarz Gareda, jego konwulsje

natychmiast zelżały. Wiedziała, że nie odzyska wzroku jeszcze przez kilka godzin, ale przynajmniej nie będzie miała jego śmierci na sumieniu.

– Nasze śluby zostały zerwane! – krzyknęła. – Raz na zawsze. Nie zostanę twoją żoną, nawet gdybym miała umrzeć pomarszczona i samotna. Wołałabym wyjść za demona niż za ciebie!

Gared jęczał, nie zwracając na nią uwagi.

Leesha podeszła do Maricka i pomogła mu wstać. Ujęła czystą szmatkę, by otrzeć mu krew z twarzy, która zaczynała już puchnąć.

– Daliśmy mu popalić, no nie? – Posłaniec słabo zachichotał. Grymas twarzy wywołał nieoczekiwany ból i Marick aż się skrzywił. Jęknął, gdy dziewczyna bez słowa przetarła jego rany szmatką zmoczoną alkoholem, który Smitt pędził w piwnicach gospody.

– Dobrze ci to robi – sarknęła. – Mogłeś uniknąć bójk i powinieneś był to zrobić, bez względu na to, czy miałeś szansę na zwycięstwo czy nie. Nie potrzebuję twej ochrony i prędzej sama zostanę wioskową dręczycielką, niż okażę uczucie mężczyźnie, który sądzi, że wszczynanie bójek to sposób na zdobycie kobiecych względów.

– Kiedy to on zaczął!

– Jestem zawiedziona waszą postawą, młody panie. Sądziłam, że Posłańcy bywają mądrzejsi. Marick spuścił wzrok.

– Zabierzcie go do pokoju w gospodzie – poleciła Leesha stojącym nieopodal mężczyznom, a ci zakrzętnęli się, by natychmiast wypełnić jej polecenie. Podobnie jak czyniła większość ludzi w Zakątku Drwali. – Jeśli wyjdiesz z łóżka do jutra rana, dowiem się o tym i dopiero wtedy poznasz mój gniew – rzuciła na odchodnym.

Marick uśmiechnął się słabo, odprowadzany do gospody.

– To było niesamowite! – stwierdziła Mairy, gdy Leesha wróciła po koszyk z ziołami.

– Niby cóż takiego? Widziałas jedynie akt skrajnej głupoty, na który należało od razu zareagować!

– Cóż takiego? Dwóch mężczyzn starło się niczym dzikie byki, a ty ostudziłaś ich zapalną garstką ziół!

– Łatwo wyrządzić krzywdę ziołami – odparła młoda Zielarka, zaskoczona, że cytuje słowa Bruny. – To leczenie przy ich pomocy bywa trudne.

* * *

Dopiero późnym popołudniem Leesha zakończyła obchód i wróciła do chaty.

– Jak się miewają nasze pociechy? – zapytała staruszka, gdy dziewczyna postawiła koszyk na podłodze. W oczach Bruny każdy człowiek z Zakątku Drwali był dzieckiem.

– Całkiem nieźle. – Leesha usiadła na zydelku przy fotelu starej Zielarki, by ta mogła ją lepiej słyszeć. – Yon Szary wciąż narzeka na ból stawów, choć duchem jest młody jak

zawsze. Dałam mu słodką maść. Smitt pozostaje w łóżku, ale jego kaszel już zelżał. Myślę, że najgorsze minęło.

Dziewczyna opisywała dalszy ciąg obchodu, a staruszka w milczeniu kiwała głową. Zwykle nie przerywała uczennicy, chyba że miała jakąś uwagę, ale od jakiegoś czasu nie zdarzało się to zbyt często.

– To wszystko? – zapytała w końcu. – A co z porannym zamieszaniem na targowisku, o którym opowiedział mi młody Keet?

– Zamieszaniem? Nazwałabym to raczej pokazem głupoty.

Bruna machnęła lekceważąco ręką.

– Chłopcy nigdy nie dorastają, nawet kiedy są już mężczyznami. Słyszałam natomiast, że łatwo dałaś sobie z nimi radę.

– Bruno, oni mogli się pozabijać!

– Och, przestań. Nie jesteś pierwszą niewiastą, o którą tłuką się mężczyźni. Pewnie mi nie uwierzysz, ale w twoim wieku również mogłam zapisać na swój rachunek kilka złamanych kości zbyt porywczym adoratorów.

– Nigdy nie byłaś w moim wieku – zakpiła dziewczyna. – Yon Szary twierdzi, że nazywano cię Wiedźmą już wtedy, gdy on uczył się chodzić.

Staruszka zachichotała.

– To prawda, to wszystko prawda. Ale niegdyś miałam cycuszki równie pełne i gładziutkie jak twoje, a mężczyźni tłukli się jak otchłańce o zaszczyt ich posiadania.

Leesha zmierzyła nauczycielkę badawczym spojrzeniem, próbując przejrzeć przez jej starość i dostrzec kobietę, którą niegdyś była, ale nie zdołała tego zrobić. Nawet gdyby uznała wszystkie plotki na jej temat za bzdury, i tak musiała przyznać, że staruszka liczyła sobie bez mała sto lat. Zresztą sama Brunna nigdy nie zdradziła swego prawdziwego wieku. „Straciłam rachubę po setnych urodzinach”, zwykła mawiać.

– Tak czy owak – ciągnęła Leesha – Marick ma nieco opuchniętą gębę, ale nie widzę powodu, dla którego nie miałby jutro wyruszyć na trakt.

– To dobrze.

– A więc masz już lek dla młodego pacjenta Zielarki Jizell?

– A co ty byś jej zaleciła?

– Pojęcia nie mam. Naprawdę.

– Naprawdę? – Brunna pokręciła głową. – Coś mi mówi, że nie powinnam ci wierzyć. No, dalej, gadaj, co byś zaleciła Jizell na moim miejscu. Nie udawaj, że się nad tym nie zastanawiałaś.

Leesha wzięła głęboki wdech.

– Na organizm chłopca najpewniej źle wpłynął ponurzaniec. Trzeba go odstawić, a wybroczyny należy naciąć i wycisnąć. Oczywiście pozostaje problem początkowej dolegliwości. Gorączka i nudności mogą sugerować zwykłe przeziębienie, ale rozszerzone

żrenice i wymioty wskazują na coś poważniejszego. Spróbowałabym zmieszać małą ilość z broszkowcem i utartą żmijową korą. Miareczkować ostrożnie przez przynajmniej tydzień.

Bruna przyglądała się uczniowi przez dłuższą chwilę, a potem kiwnęła głową.

– Spakuj rzeczy i zacznij się żegnać. Osobiście zawieziesz Jizell tę radę.

Droga do Angiers

326 RP

Każdego popołudnia Erny wędrował ścieżką do chaty Bruny. W Zakątku mieszkało sześciu Patronów Runów, a każdy z nich szkolił czeladnika, ale Erny nie ufał żadnemu z nich na tyle, by powierzyć mu bezpieczeństwo własnej córki. Drobnym wytwórcą papieru był najlepszym Patronem w okolicy i wszyscy doskonale o tym wiedzieli.

Czasem przynosił podarunki, które Posłańcy przywozili z odległych stron świata, jak księgi, zioła czy ręcznie wyszywane koronki. Jednakże Leesha oczekiwała tych wizyt nie ze względu na prezenty. Lepiej spała za solidnymi runami, które nakreślał jej ojciec, a pogoda ducha, którą promieniała przez ostatnie siedem lat, stanowiła dla niego najwspanialszy dar. Oczywiście Elona wciąż przysparzała mu trosk, ale już nie w takim stopniu jak dawniej.

Tego dnia jednak, obserwując wędrówkę słońca po nieboskłonie, Leesha odkryła, że obawia się wizyty ojca. Tego dnia przyjdzie mu opuścić chatę Zielarki z wielkim smutkiem w sercu.

Dziewczyna zdawała sobie sprawę, że wyprawa w nieznaną również będzie ją wiele kosztować. Erny był dla niej niczym studnia, z której mogła czerpać wsparcie, poczucie bezpieczeństwa i miłość za każdym razem, gdy spotykało ją jakieś niepowodzenie. Cóż pocnie bez ojca w Angiers? Bez Bruny? Czy ktokolwiek w tym wielkim mieście dostrzeże w niej kogoś poza Zielarką?

Martwiła ją samotność, ale wszystkie te lęki bledły wobec największego z nich wszystkich. Bała się mianowicie, że gdy raz zasmakuje wielkiego świata, nie będzie chciała wracać do Zakątka Drwali.

Dopiero gdy ujrzała ojca na ścieżce, uświadomiła sobie, że płacze. Otarła łzy, nerwowo wygładziła suknie i przywołała na twarz najbardziej promienny ze wszystkich swych

uśmiechów.

– Leesha! – zawołał Erny, wyciągając ręce. Padła w nie z wdzięcznością, świadoma, że być może po raz ostatni odprawiają ten drobny rytuał. – Wszystko w porządku? Podobno doszło do jakiejś awantury na targu.

W miejscu takim jak Zakątek Drwali istniało doprawdy niewiele sekretów.

– Drobiazg. Zajął się tym.

– Zajmujesz się wszystkimi we wsi – rzekł Erny i uściskał mocno córkę. – Nie mam pojęcia, co byśmy bez ciebie poczęli.

Leesha zaczęła szlochać.

– Nie, nie, tylko nie to! – Erny pochwycił na palec spływającą po jej policzku łzę i strzepnął ją na ziemię. – Otrzyj oczy i włącz do środka. Sprawdzę runy, a potem pogadamy o tym, co cię dręczy, nad miską twej wspaniałej potrawy.

Dziewczyna zdobyła się na uśmiech.

– Mama ciągle przypala jedzenie? – zapytała.

– Skądże, ale jeśli nie jest przypalone, to zwykle wciąż się rusza.

Leesha roześmiała się i weszła do chaty, by nakryć do stołu.

* * *

– Wyjeżdżam do Angiers – powiedziała dziewczyna, gdy miski były już puste. – Będę się uczyć pod okiem jednej z dawnych uczennic Bruny.

Erny milczał przez dłuższą chwilę.

– Rozumiem – powiedział w końcu. – Kiedy?

– Razem z Marickiem. Czyli jutro.

Mężczyzna pokręcił głową.

– Nie pozwolę, by moja córka spędziła cały tydzień na trakcie w towarzystwie Posłańca. Wynajmę dla ciebie powóz, tak będzie bezpieczniej.

– Będę uważać na demony, tato.

– Nie martwię się wyłącznie otchłāncami – odparł znacząco Erny.

– Poradzę sobie z Marickiem.

– Trzymanie mężczyzny na dystans w ciemnościach nie jest dokładnie tym samym, co zapobieganie bójce na targu. Nie możesz przecież oślepić Posłańca, jeśli masz zamiar dotrzeć do celu cała i zdrowa. Sprowadzenie powozu potrwa tylko kilka tygodni, błagam.

Leesha pokręciła głową.

– Muszę jak najszybciej zająć się pewnym chorym dzieckiem.

– A zatem pojedę z tobą.

– Wybij to sobie z głowy – wtrąciła Bruna. – Leesha musi zrobić to sama.

Erny odwrócił głowę ku staruszce. Przez moment mierzyli się spojrzeniami, jakby toczyli

pojedynek na siłę woli, ale nikt w całym Zakątku nie miał jej silniejszej niż Bruna. Mężczyzna w końcu spuścił wzrok.

Niedługo potem Leesha odprowadziła ojca na ganek.

Nie chciał odchodzić, a niebo zaczynało ciemnieć i właściwie już powinien maszerować w stronę domu szybkim krokiem, jeśli chciał zdążyć do niego na czas.

– Na jak długo wyjeżdżasz? – zapytał, trzymając się kurczowo balustrady i patrząc w kierunku Angiers.

Leesha wzruszyła ramionami.

– Wszystko zależy od tego, ile może mnie nauczyć Zielarka Jizell i ile musi się nauczyć Vika, uczennica, która przybędzie na moje miejsce. Myślę, że potrwa to przynajmniej kilka lat.

– Skoro Bruna sądzi, że wytrzyma bez ciebie tyle czasu, to i ja dam radę.

– Obiecay mi, że będziesz sprawdzał jej runy podczas mojej nieobecności. – Leesha dotknęła ramienia ojca.

– Oczywiście. – Erny odwrócił się, by ją objąć.

– Kocham cię, tato.

– Ja ciebie też, skarbie. Do zobaczenia rano.

– Twój ojciec ma rację – stwierdziła Bruna, gdy dziewczyna wróciła do środka.

– Doprawdy?

– Posłańcy są tylko mężczyznami.

– Nie ma co do tego wątpliwości – odpowiedziała Leesha, przypominając sobie raz jeszcze o zamieszeniu na targowisku.

– Młody Marick uśmiecha się teraz i promienieje wdziękiem – tłumaczyła staruszka – ale na trakcie postawi na swoim, bez względu na to, co myślisz. Gdy dotrzecie do leśnej fortecy, mało kto uwierzy oskarżeniom młodej dziewczyny, nawet jeśli jest Zielarką.

Leesha pokręciła głową.

– Otrzyma tylko tyle, ile postanowię mu dać – rzekła twardo. – I nic ponadto.

Bruna zwięzła oczy, ale ostatecznie burknęła coś tylko pod nosem, zadowolona, że jej uczennica jest świadoma niebezpieczeństwa.

* * *

Tuż po wschodzie słońca ktoś załomotał do drzwi. Leesha otworzyła i ujrzała w progu matkę, która nie zawitała do chaty Bruny od czasu, gdy została przepędzona miotłą. Ze ściągniętą twarzą, ponura niczym chmura gradowa, wtargnęła do środka.

Elona przekroczyła już czterdziestkę, ale wciąż mogłaby uchodzić za najpiękniejszą kobietę we wsi, gdyby nie jej córka. Tymczasem fakt, że Leesha była w kwiecie wieku, a ona najlepsze lata miała dawno za sobą, bynajmniej nie nauczył jej skromności. Erny'emu może i

kłaniała się z zaciśniętymi zębami, lecz przed resztą mieszkańców wsi nosiła się niczym księżna.

– Nie starczyło ci, że ukradłaś mi córkę? – parsknęła do Zielarki. – Teraz ją jeszcze odsyłasz?

– Dzień dobry, mamó. – Dziewczyna zatrzasnęła drzwi.

– Ty się nie wtrącaj! – warknęła Elona. – Ta wiedźma namieszała ci w głowie!

Bruna zachichotała do swej miski. Leesha stanęła między kobietami, ale w tym momencie staruszka odsunęła niedojedzoną owsiankę i otarła rękawem usta.

– Skończ śniadanie! – nakazała nauczycielce dziewczyna i podsunęła jej miskę z powrotem pod nos. Spojrzała na matkę. – Wyjeżdżam, bo taka jest moja wola. A kiedy wrócę, będę potrafiła leczyć jak nikt inny w Zakątku Drwali od czasów, gdy Bruną była młoda.

– A ile to niby potrwa? Już i tak zmarnowałaś najlepsze lata na urodzenie dziecka, trzymając nos w zakurzonych księgach!

– Moje najlepsze... – Leesha zaniemówiła. – Mamó, ja mam dopiero dwadzieścia lat!

– Dokładnie! Do tej pory powinnaś urodzić co najmniej trójkę dzieci, jak ta twoja przyjaciółka, strach na wróble! Zamiast tego muszę patrzeć, jak wyciągasz noworodki z każdego łona z wyjątkiem własnego!

– Przynajmniej okazała dość mądrości, by go nie wyjąłować glisowcem – mruknęła Bruną.

– Kazałam ci dokończyć śniadanie! – ofuknęła ją dziewczyna. Staruszka otworzyła szeroko oczy. Chciała się odciąć, ale w końcu tylko coś burknęła i wbiła wzrok w zawartość miski.

– Nie jestem kłaczą rozplodową, matko – ciągnęła Leesha. – W życiu szukam jeszcze innych rzeczy.

– Czego? Co może być ważniejsze od rodzenia dzieci?

– Nie wiem – odparła szczerze. – Nie wiem, ale się dowiem, kiedy już to znajdę.

– A w międzyczasie powierzysz opiekę nad Zakątkiem dziewczynie, której nigdy nie widziałaś, i tej niezgule Darsy, która niemalże zabiła Andego, nie mówiąc już o innych?

– Ale tylko na kilka lat! Zresztą przez całe życie twierdziłaś, że jestem bezużyteczna. Mam nagle uwierzyć, że Zakątek nie da sobie beze mnie rady?

– A jeśli coś ci się przytrafi? Jeśli dopadną cię demony na trakcie? Co wtedy pocznę?

– Co ty poczniesz?! Przez siedem lat ledwie się słowem do mnie odezwałaś, jeśli pominąć próby namowy, bym wybaczyła Garedowi. Przecież ty zupełnie nic o mnie nie wiesz, matko! W ogóle się mną nie przejmowałaś! Nie udawaj, że moja śmierć byłaby dla ciebie wielką stratą. Jeśli tak bardzo pragniesz piastować potomka Gareda na kolanie, sama będziesz musiała go urodzić.

Elona wybałuszyła oczy, ale zareagowała błyskawicznie, zupełnie jakby rozmawiała z krnąbrnym dzieckiem.

– Zabraniam ci! – wrzasnęła i uniosła dłoń, by spoliczkować córkę.

Leesha jednakże nie była już dzieckiem. Wzrostem dorównywała matce, a szybkością i siłą nawet ją przewyższała. Pochwyciła jej nadgarstek.

– Dni, gdy twe słowa miały dla mnie znaczenie, minęły bezpowrotnie – rzekła.

Elona usiłowała wyrwać rękę, ale Leesha trzymała ją jeszcze przez chwilę tylko po to, by udowodnić, kto ma tym razem przewagę. Gdy kobieta w końcu zdołała się uwolnić, pomasowała nadgarstek i obrzuciła córkę pogardliwym spojrzeniem.

– Któregoś dnia tu wrócisz – syknęła. – Pomnij me słowa! Wrócisz tu, a wtedy... Wtedy naprawdę będę ci współczuć!

– Chyba czas na ciebie, matko. – Leesha otworzyła drzwi dokładnie w tym samym momencie, kiedy stojący za nimi Marick uniosł dłoń, by zastukać. Elona parsknęła, przecisnęła się obok mężczyzny i biegiem ruszyła w stronę wioski.

– Przyjmijcie moje przeprosiny, jeśli pojawiłem się nie w porę. – Posłaniec pochylił głowę. – Przybywam po odpowiedź Zielarki Bruny. Dwie godziny przed południem wyruszam do Angiers.

Leesha przyjrzała się Marickowi. Mocna opalenizna częściowo ukryła siniaki na szczęce, a zioła, które mu przepisała na pękniętą wargę i podbite oko, pomogły ściągnąć opuchliznę.

– Szybko wydobrzałeś – stwierdziła.

– W moim zawodzie ci, którzy szybko dochodzą do siebie, osiągają najwięcej.

– Dobrze. Przygotuj zatem konia – przykazała mu Leesha. – I wróc za godzinę. Zawiozę odpowiedź Bruny osobiście.

Marick uśmiechnął się szeroko.

* * *

– Dobrze, że wyjeżdżasz – powiedziała Bruna, gdy wreszcie zostały same. – W Zakątku nie ma już dla ciebie żadnych wyzwania, a ponadto jesteś zbyt młoda, by popaść w marazm.

– Jeśli sądzisz, że ta scena nie była wyzwaniem, to chyba nie słuchałaś uważnie.

– Może i była, ale nie miałam wątpliwości co do jej zakończenia. Jesteś już zbyt silna, by ulegać takim niedojdom jak twoja matka.

Silna, powtórzyła w myślach dziewczyna. A zatem stałam się silna?

Rzadko kiedy tak się czuła, ale Bruna miała rację. W całym Zakątku Drwali nie było ani jednej osoby, której by się obawiała.

Zebrała sakwy, małe i nieodpowiednie na dłuższą podróż. Spakowała kilka sukien, książek, trochę pieniędzy, torbę z ziołami, derkę i nieco jedzenia. Postanowiła zostawić pamiątki, głównie dary od ojca oraz inne przedmioty bliskie jej sercu. Posłańcy nie podróżowali z wieloma tobołami, a Marick z pewnością nie chciał przeciążać wierzchowca. Bruna przybiecała Jizell, że odpowiednio wyposaży uczennicę na czas nauki, ale cały

dobytek Leeshy wydawał się rozpaczliwie niewielki jak na początek nowego życia.

Nowe życie.

Te słowa budziły zarazem lęk i podekscytowanie. Leesha przeczytała każdą książkę ze zbioru Bruny, ale Jizell miała ich dużo więcej, a przecież w Angiers mieszkało wiele innych Zielarek, które mogłyby namówić do udostępnienia księgozbioru.

Godzina wyjazdu nadchodziła jednak nieubłaganie, a Leesha oddychała z coraz większym trudem. Gdzie był jej ojciec? Czyżby nie miał zamiaru odprowadzić jej do wioski?

– Już prawie czas – przerwała ciszę Bruna. Dziewczyna uniosła spojrzenie i uświadomiła sobie, że ma wilgotne oczy. – Lepiej będzie się pożegnać. Możliwe, że nie otrzymamy drugiej szansy.

– Bruno, co ty wygadujesz?

– Nie udawaj głupiej, dziewczyno. Dobrze wiesz, co mam na myśli. Żyję już dwakroć dłużej od kogokolwiek innego, ale wiecznie żyć z pewnością nie będę.

– Bruno, ja nie muszę wyjeżdżać...

– Bzdura! – Staruszka machnęła ręką. – Przyswoiłaś sobie już wszystko, czego mogłam cię nauczyć, a zatem pozwól, by te lata stały się moim ostatnim podarunkiem. Musisz iść! Musisz zobaczyć i nauczyć się jak najwięcej.

Rozłożyła ręce, a Leesha padła jej w objęcia.

– Obiecuj tylko, że zatroszczysz się o moje dzieci, kiedy już umrę. Czasem zachowują się głupio, bywają też krnąbrne i kapryśne, ale gdy zapadają ciemności, w ich sercach odżywa dobro.

– Obiecuję – szepnęła dziewczyna. – Będiesz ze mnie dumna.

– Wiem.

Leesha szlochała z twarzą wtuloną w szorstką chustę staruszki.

– Boję się...

– Tylko głupiec nie wie, co to strach – odparła Bruna. – Powiem ci jednak, że w swoim czasie zobaczyłam szmat tego świata i nie natknęłam się na nic, z czym nie mogłabyś sobie poradzić.

Niedługo potem z podwórza dobiegł tętent kopyt. Posłaniec dźwiżył nową włócznię, a runiczną tarczę zawiesił na łuku siodła. Jeśli odniesione poprzedniego dnia stłuczenia nadal sprawiały mu ból, to nie dawał tego po sobie poznać.

– Hej tam, Leesha! – zawołał na widok dziewczyny. – Gotowa na przygodę?

Przygoda.

To jedno słowo odpędziło smutek i lęk, powodując dreszcz podniecenia.

Marick ujął sakwy i przytroczył je do boków smukłego angieriańskiego rumaka. W międzyczasie dziewczyna raz jeszcze odwróciła się do nauczycielki.

– Jestem już zbyt stara na pożegnania, które trwają pół dnia – burknęła staruszka. – Uważaj na siebie, dziewczyno.

Wcisnęła w ręce uczennicy sakiewkę, a Leesha usłyszała brzęk milneńskich monet, wartych w Angiers fortunę. Bruna odwróciła się i weszła do chaty, nim dziewczyna zdążyła zaprotestować.

Szybko schowała sakiewkę do kieszeni. Widok metalowych monet tak daleko od Miln mógł skusić każdego mężczyznę, nawet Posłańca. Szli po bokach konia do wioski, skąd odbiegał gościniec do Angiers. Leesha zawołała ojca, gdy mijali jego dom, ale nie usłyszała odpowiedzi. Ujrzała ją natomiast Elona. Na widok wyjeżdżającej córki weszła do domu i trzasnęła drzwiami.

Leesha zwiesiła głowę. Liczyła, że ujrzy ojca po raz ostatni. Pomyślała też o wszystkich wieśniakach, których widywała każdego dnia, i o tym, że nie miała czasu należycie ich pożegnać. Listy, które zostawiła Brunie, wydawały się teraz żałośnie nieodpowiednie.

Gdy jednak dotarli do środka wsi, otworzyła usta ze zdumienia. Stał tam jej ojciec, a za nim wszyscy mieszkańcy Zakątka. Podchodzili do dziewczyny jeden po drugim, niektórzy ją całowali, inni wciskali do rąk podarki.

– Pamiętaj o nas i wróć któregoś dnia – powiedział Erny, a córka przytuliła go z całych sił, zaciskając oczy, by powstrzymać napływające łzy.

* * *

– Ludzie z Zakątka naprawdę cię kochają – zauważył Marick, gdy przemierzali las. Wieś zostawili daleko w tyle, a cienie stawały się coraz dłuższe. Leesha siedziała przed Posłańcem na szerokim siodle, ale wierzchowiec nie protestował przeciw dodatkowemu obciążeniu.

– Są chwile, kiedy nawet ja w to wierzę – odparła.

– Dlaczego nie miałabyś wierzyć? Jesteś piękna niczym sam świt, a ponadto potrafisz uleczyć każdą z chorób. Wątpię, czy ktokolwiek zdołałby się tobie oprzeć.

Leesha wybuchała śmiechem.

– Piękna niczym świt? Znajdź tego nieszczęsnego Minstrela, któremu ukradłeś ten wers, i poproś, by nigdy więcej go nie używał.

Marick zaśmiał się i mocniej otoczył dziewczynę ramionami.

– Wiesz – mruknął jej do ucha – nigdy dotąd nie rozmawialiśmy o moim wynagrodzeniu za doprowadzenie cię do Angiers.

– Mam pieniądze – odparła Leesha, zastanawiając się jednocześnie, na jak długo wystarczą jej oszczędności.

– Ja także, ale nie one mnie interesują.

– A zatem jakiego rodzaju wynagrodzenia się spodziewacie, młody panie? Czy chodzi o kolejnego całuska?

Marick zachichotał, a jego wilcze oczy błysnęły.

– Pocałunek był ceną za przywiezienie ci listu. Odprowadzenie cię bezpiecznie do

Angiers będzie o wiele... droższe.

Siedzieli blisko siebie. Posłaniec poruszył biodrami i jego intencje stały się jasne.

– Zawsze mierzysz wyżej, niż możesz sięgnąć – stwierdziła dziewczyna. – Masz szczęście, że skłonna jestem obdarzyć cię choć pocałunkiem.

– To się dopiero okaże.

Wkrótce rozbili obozowisko. Leesha przygotowywała kolację, a Marick rozkładał runy. Gdy potrawka była już gotowa, dziewczyna ukradkiem skruszyła nieco ziół i dosypała je do miski towarzysza.

– Jedz szybko – nakazał Marick. Trzymał już miskę i wsunął do ust wielki kęs. – Lepiej znaleźć się w środku, nim powstaną otchłańce. Oglądanie ich z bliska może być przerażającym doświadczeniem.

Leesha spojrzała na rozbity namiot, niezbyt duży nawet dla jednej osoby.

– Może i jest mały. – Posłaniec mrugnął okiem. – Ale mamy siebie, więc nie zaznamy chłodu podczas zimnych nocy.

– Mamy lato – przypomniała mu dziewczyna.

– A mimo to za każdym razem, gdy się odzywasz, czuję powiew chłodu – zachichotał. – Może zdołam znaleźć jakiś sposób, by stopić w tobie ten lód. Poza tym – wskazał teren poza kręgiem, gdzie już unosiły się mgliste kształty otchłańców – nie bardzo jest gdzie pójść.

* * *

Był od niej silniejszy, a opór okazał się równie nieskuteczny, co wcześniejsze próby odwiedzenia go od powziętego zamiaru. Na zewnątrz wrzeszczały demony, a Leesha musiała znosić pocałunki i nachalne obmacywanie. W końcu, gdy zawiodła go męskość, pocieszyła go czułymi słowami i zaproponowała lekarstwa z ziół, które nazajutrz tylko pogorszyły jego stan.

Wędrowali ku Angiers. Czasami wpadał w złość i Leesha miała obawy, że w końcu zacznie ją bić. Bywało też, że płakał – cóż bowiem z niego za mężczyzna, skoro nie potrafił przekazać dalej swego nasienia? Dziewczyna znosiła to ze spokojem, bowiem przedstawienie, w którym musiała brać udział, wcale nie było najwyższą ceną za bezpieczną podróż do Angiers.

Ratuję go przed samym sobą, myślała za każdym razem, gdy przygotowywała dlań posiłek. Któż bowiem chciał zostać gwałcicielem? Tak naprawdę jednak nie odczuwała wyrzutów sumienia. Wykorzystanie swych umiejętności, by pozbawić go broni, nie sprawiało jej przyjemności, choć musiała przyznać, że gdzieś w głębi duszy odczuwała rodzaj zimnej satysfakcji. Zupełnie jakby wszystkie jej babki i prababki aż od zamierzchłych czasów, gdy mężczyzna po raz pierwszy zgwałcił kobietę, kiwały teraz głowami z ponurą aprobatą. Zdołała przecież odebrać mu męskość, zanim on ukraść jej wianek.

Dni mijały powoli, a każdego wieczoru Marick doznawał kolejnej klęski. Był coraz bardziej ponury, aż ostatniej nocy wypił większość wina z bukłaka i niemalże przekroczył linię runów. Gdy następnego dnia ujrzeli zarys leśnej fortecy, ulga Leeshy nie miała wprost granic. Odetchnęła na widok wysokich murów z mocnymi, lakierowanymi runami, murów zdolnych skryć w swym wnętrzu niejedną wieś rozmiarów Zakątka Drwali.

Ulice Angiers pokryto deskami, by uniemożliwić otchłańcom powstanie z ziemi. Marick poprowadził Leeshę w głąb miasta i zсадził ją z konia przed przytułkiem Jizell. Dziewczyna już się odwróciła, by wejść do środka, kiedy złapał ją mocno za ramię.

– To, co stało się w drodze, pozostanie naszą tajemnicą – rzekł nieznoszącym sprzeciwu tonem.

– Nikomu nie powiem – obiecała Leesha.

– Tak będzie lepiej. Piśnij choćby słówko, a cię zabiję.

– Przysięgam na honor Zielarki.

Marick parsknął i puścił jej rękę, a potem wspiał się na siodło i pogalopował przed siebie.

Kąciki ust Leeshy powędrowały w górę, gdy zebrała sakwy i ruszyła w kierunku hospicjum.

Graj, aż staniemy się bogaci

325 RP

Ujrzał dym i płomienie, a przez skowyt otchłanców przebijał się krzyk kobiety:

Kocham cię!

Rojer poderwał się z posłania. Serce waliło mu jak oszalałe. Nad wysokimi murami Fortu Angiers wschodziło słońce, a przez szczeliny między okiennicami do pokoju sączyło się łagodne światło. Chłopiec zacisnął zdrową dłoń na talizmanie, czekając, aż oddech się uspokoi. Niewielka laleczka, zabawka z drewna i sznurków z rudym lokiem, była wszystkim, co zostało mu po matce.

Nie pamiętał jej twarzy, która zginęła w dymie. Nie pamiętał niczego prócz jej ostatnich słów. Bez przerwy rozbrzmiewały w jego snach.

Kocham cię!

Chwytał włosy laleczki między kciuk a palec serdeczny okaleczonej dłoni i potarł je delikatnie. Po palcu środkowym i wskazującym pozostała jedynie straszliwa, poszarpana blizna, ale dzięki matce nie stracił nic więcej.

Kocham cię!

Ów talizman był tajemnym runem ochronnym Rojera, czymś, czego nie pokazał nawet Arrickowi, którego traktował prawie jak ojca. Pomagał przetrwać długie noce, gdy dusiły go ciemności, a wrzaski otchłanców sprawiały, że dygotał ze strachu.

Zawsze jednak nadchodził dzień, którego światło dawało poczucie bezpieczeństwa. Rojer całował wówczas laleczkę i chował ją do sekretnej kieszeni, wszytej po wewnętrznej stronie pstrokatych spodni. Wystarczyło sobie przypomnieć, że tam jest, by chłopca znów przepelniła odwaga. Miał przecież tylko dziesięć lat.

Podniósł się z siennika, przeciągnął i wyszedł z niewielkiego pokoiku, ziewając

rozdzierająco. Na widok Arricka, który leżał nieprzytomny na blacie stołu, znów poczuł przygnębienie. Jego mistrz zasnął nad pustą butelką. Wciąż zaciskał dłoń na jej szyjce, jakby zamierzał wydusić z niej ostatnie krople.

Obaj mieli swe talizmany.

Rojer wyciągnął butelkę z dłoni mistrza.

– Co? Co się dzieje? – wybełkotał Arrick, unosząc nieco głowę.

– Znowu zasnąłeś na stole.

– Och, to ty, chłopcze. Już myślałem, że nasz cholerny gospodarz.

– Zalegamy z czynszem. Mamy dziś rano występ na Małym Rynku.

– Czysz, ciągle ten czynsz...

– Mistrz Keven poprzysiągł, że wywali nas na zbity pysk, jeśli dziś nie uiścimy zaległości – przypomniał Rojer.

– A zatem wystąpimy – rzekł Arrick. Chciał wstać i natychmiast stracił równowagę. Próbował złapać za oparcie krzesła, ale nie zdążył i trącony mebel poleciał wraz z nim na podłogę.

Mężczyzna odepchnął wyciągniętą rękę ucznia.

– Wszystko w porządku! – krzyknął. Zabrzmiało to w taki sposób, jakby chciał zachęcić Rojera do sprzeciwu, tym bardziej że podnosił się z wyraźnym trudem. – Mógłbym wykonać salto w tył – dodał i spojrzał za siebie, chcąc się upewnić, czy ma wystarczająco dużo miejsca. Po jego spojrzeniu widać jednak było, że żałuje przechwałki.

– Poczekajmy z tym do występu – powiedział pospiesznie Rojer.

– Niech ci będzie – zgodził się Arrick ku obopólnej uldze. – W gardle mi zaschło. Muszę je przepłukać, zanim zacznę śpiewać.

Chłopiec kiwnął głową. Chwycił drewniany kubek i podbiegł do dzbana z wodą.

– Nie tym! Wina mi przynieś! Trzeba wyrwać choć pazur potworowi, który tej nocy powlókł mnie do Otchłani.

– Wino się skończyło.

– Więc leć i kup! – Arrick chwiejnym krokiem, potykając się i łapiąc równowagę w ostatniej chwili, ruszył ku sakiewce. Rojer doskoczył do niego, by go podeprzeć.

Przez moment mężczyzna zmagał się ze sznurkiem, aż w końcu rzucił sakiewką z całej siły o ziemię. Nie usłyszeli jednak żadnego brzęku.

– Ani drewniaka! – krzyknął ze złością. Znowu zakręciło mu się w głowie. Wykonał pełen obrót, próbując uniknąć kolejnego bolesnego upadku.

Zdołał ustać na nogach, ale wtedy obficie zwymiotował. Na podłodze pojawiła się wielka plama wina zmieszanego z żółcią. Arrick zacisnął pięści i zadrżał. Rojer sądził, że jego mistrz zwymiotuje po raz drugi, ale wtedy zrozumiał, że on szlocha.

– Gdy pracowałem dla księcia, nigdy tak nie było – jęknął. – Pieniądze wylewały mi się z kieszeni.

Głównie dlatego, że to książę płacił za twe wino, pomyślał chłopiec. Zachował jednak na tyle rozsądku, by nie powiedzieć tego głośno. Przypomnienie Arrickowi, że za dużo pije, stanowiło najprostszy sposób na doprowadzenie go do furii.

Pomógł mistrzowi obetrzeć twarz i podprowadził sporo ważącego mężczyznę do materaca. Gdy Minstrel ułożył się na nim i zapadł w sen, Rojer wyciągnął czystą szmatę, by posprzątać wymiociny z podłogi. Mógł zapomnieć o dzisiejszych występach.

Zastanawiał się, czy mistrz Keven dotrzyma obietnicy i wyrzuci ich na ulicę. Gdzie wówczas pójdą? Angieriańska zaporą runiczna była bardzo silna, ale w sieci znajdowały się luki, przez które czasem przelatywały wichrowe demony. Przerazała go wizja spędzenia nocy na ulicy.

Przyjrzał się ich mizernemu dobytkowi, zachodząc w głowę, czy posiada coś, co mógłby sprzedać. Gdy bieda zajrzała im w oczy, Arrick spieniężył rumaka i tarczę Gerala, ale został im jeszcze przenośny krąg runiczny. Można by za niego zgarnąć okrągłą sumkę, lecz Rojer nie miał śmiałości go sprzedać. Minstrel przepiłby lub przegrał pieniądze w karty i gdyby rzeczywiście przyszło im zamieszkać na ulicy, nie mieliby się czym ochronić.

Chłopiec również tęsknił za czasami, kiedy Arrick pracował dla księcia. Był wówczas ulubieńcem kurtyzan Rhinebecka, które traktowały go jak syna. Wtulany w dziesiątki perfumowanych biustów, obżerał się słodyczami, pomagał kobietom stroić się i nakładać makijaż. Rzadko widywał wówczas swego mistrza – Arrick często opuszczał lupanar i wyjeżdżał do okolicznych siół, gdzie słodkim, melodyjnym głosem ogłaszał książęce edykty.

Książę rozgniewał się jednak pewnej nocy, gdy pijany i podniecony wtargnął chwiejnym krokiem do komnaty ulubionej kurtyzany i zastał tam dziecko, zwinięte w pościeli w kłębuszek. Rozkazał, by chłopiec zniknął z jego oczu, a Minstrel wraz z nim. Rojer zdawał sobie sprawę, że to z jego winy żyją teraz w nędzy. Arrick, podobnie jak wcześniej rodzice chłopca, poświęcił dla niego wszystko.

Swoim rodzicom odpłacić już nie mógł, ale wciąż miał szansę pomóc Arrickowi.

* * *

Rojer pędził ile sił w nogach na Mały Rynek z nadzieją, że tłum jeszcze się nie rozszedł. Wielu ludzi nadal chciało oglądać występy Arricka Słodkiej Pieśni, ale nikt przecież nie będzie czekać w nieskończoność.

Na ramieniu trzymał worek z cudami mistrza. Podobnie jak ich odzież, został uszyty z pstrokatych szmatek – choć nieco już przybladłych i postrzępionych – będących znakiem rozpoznawczym Minstreli. Wewnątrz worka znajdowały się przedmioty niezbędne podczas występu. Chłopiec dobrze wiedział, jak zrobić z nich użytek. Ze wszystkich z wyjątkiem kolorowych piłeczek do żonglowania.

Tupot jego bosych, stwardniałych stóp na drewnianych deskach niósł się po ulicach.

Rojer miał buty i rękawiczki, oczywiście pstrokate, by pasowały do reszty stroju, ale zostawił je w domu. W znoszonych łaciatych trzewikach z zakręconymi noskami czuł się dość niepewnie, o wiele łatwiej łapał równowagę bosy, a rękawiczek wprost nienawidził.

Dwa palce prawej Arrick wypchał bawełną, by zamaskować kalectwo ucznia. Połączone cienką, lecz mocną nicią z pozostałymi, zginały się razem z nimi. Choć była to sprytna sztuczka, Rojer za każdym razem odczuwał wstyd, gdy przyszło mu naciągać rękawiczkę, zaś jego mistrz wymagał tego przed każdym występem. Nie mógł jednak ukarać chłopca za coś, o czym nie wiedział.

W chwili gdy Rojer przybył na Mały Rynek, wciąż kręciło się po nim wielu ludzi, w znacznej części dzieci. Wszyscy szemrali i narzekali. Chłopiec dobrze pamiętał czasy, gdy sama plotka o występie Słodkiej Pieśni przyciągała setki widzów z każdego krańca miasta, a na dodatek z okolicznych siół. Gdyby wszystko dobrze poszło, Arrick śpiewałby dzisiaj w świątyni dla samego Stwórcy lub w książęcym amfiteatrze. Poszło jednak gorzej i gildia mogła mu zaproponować jedynie występy na Małym Rynku, którego i tak nie potrafił zapęłnić publicznością.

Tak czy inaczej, nawet garść drobniaków była lepsza od pustej kieszeni. Gdyby choć dwunastu widzów rzuciło Rojerowi po drewniak, mógłby wykupić jeszcze jedną noc u Kevena – o ile ktoś z Gildii Minstreli nie przyłapie chłopca na występowaniu bez mistrza. Gdyby do tego doszło, zaległy czynsz stałby się najmniejszym ze zmartwień.

Rojer w płasach przemknął między zgromadzonymi ludźmi, rozrzucając garście suszonych nasionek z sakwy. Te kręciły się i wirowały w powietrzu, znacząc jego drogę barwnym obłokiem.

– To czeladnik Arricka! – ktoś zawołał. – A więc Słodka Pieśń jednak do nas dotrze!

Rozległ się aplauz, a chłopiec poczuł, jak strach ściska mu żołądek. Chciał powiedzieć wszystkim prawdę, ale do najważniejszych zasad Arricka należała i ta, by nie mówić ani nie robić niczego, co mogłoby popsuć dobry nastrój widzów.

Tył sceny na Małym Rynku tworzyła drewniana muszla, zaprojektowana w taki sposób, by wzmocnić dźwięk i uchronić występujących przed niepogodą. Wygrawerowano na niej runy, które jednak już dawno się zatarły. Rojer wątpił, czy zapewniłyby ochronę jemu i mistrzowi, gdyby wyrzucono ich na pastwę nocy.

Wbiegł po schodach, odbił się na rękach i saltami pokonał całą szerokość sceny, a potem precyzyjnym rzutem umieścił kapelusz na datki tuż przed publicznością.

Chłopiec zawsze rozgrzewał publiczność przed występem mistrza, stąd też przez pierwsze kilka minut mógł sobie pozwolić na rutynę. Opowiadał dowcipy, wykonywał gwiazdy i magiczne sztuki, parodiował zachowanie powszechnie znanych osobistości. Ludzie wybuchali śmiechem, bili brawo, a tłum stopniowo gęstniał. Rojer naliczył trzydziestu ludzi, a po chwili było ich już pięćdziesięciu, choć niektórzy zaczęli narzekać. Coraz bardziej przerażony, dotknął ukrytego talizmanu w nadziei, że w ten sposób doda sobie animuszu.

Postanowił możliwie najdłużej odwlekać nieuniknione. Przywołał dzieci do przodu i rozpoczął historię o Powrocie. Dobrze oddawał jej treść, kilku widzów pokiwało nawet głowami z uznaniem, lecz wielu innych spoglądało na chłopca z rosnącą frustracją. Czy to nie Arrick zazwyczaj śpiewał tę pieśń? Czy to nie dla niego tu przyszli?

– Gdzie jest Słodka Pieśń? – wykrzyknął ktoś w tłumie.

Natychmiast ucisz yli go sąsiedzi, ale echo jego słów zawisło w powietrzu i nim Rojer skończył opowieść, zewsząd dobiegały pomruki niezadowolenia.

– Przyszedłem tu, by posłuchać śpiewu! – zawołał ten sam człowiek. Tym razem jego słowom zawtórowało kiwanie wielu głów.

Rojer wiedział, że nie może przesadzać. Miał raczej kiepski głos, który załamywał się za każdym razem, gdy chłopiec przeciągał dźwięk dłużej niż przez kilka oddechów. Gdyby zaśpiewał, tłum wpadłby we wściekłość.

Sięgnął do worka z cudami po kolejną atrakcję, z zalem pomijając piłki do żonglowania. Pomimo okaleczonej dłoni potrafił je podrzucać i łapać, ale bez palca wskazującego nie mógł ich podkreślać. Przez swe kalectwo trudno mu było z biegłością manewrować obiema dłońmi.

– Cóż to za Minstrel, który nie śpiewa ani nie żongluje? – krzyczał czasami Arrick.

Kiepski, przyznawał w myślach Rojer.

Lepiej radził sobie z nożami do rzucania, ale nie mógł wezwać kogoś z widowni, by stanął przy ścianie jako cel. Do tego potrzebował specjalnego zezwolenia. Arrick zawsze wyławiał z tłumy jakąś piersiastą panienczkę, która zazwyczaj po występie lądowała w jego łóżku.

– Coś mi się nie wydaje, byśmy go dziś zobaczyli – burknął znów ten sam mężczyzna. Chłopiec przeklął go w myślach.

Wielu widzów opuszczało już Rynek. Kilku z litości rzuciło drewniaka do kapelusza, ale Rojer wiedział, że jeśli zaraz nie zrobi czegoś, co przyciągnie uwagę tłumy, nie zbierze dość pieniędzy, by zadowolić Mistrza Kevena. Zatrzymał wzrok na futerale ze skrzypkami. Porwał za instrument, kątem oka dostrzegając, że na placu zostało zaledwie kilku gapiów. Znów go zaskoczyło, jak doskonale smyczek układa się w jego okaleczonej dłoni. Brak dwóch palców wcale nie przeszkadzał.

Po Rynku popłynęła muzyka. Kilku z tych, którzy już odchodzili, zatrzymało się, by posłuchać, ale Rojer przestał zwracać na nich uwagę.

Nie pamiętał zbyt dobrze swego ojca. Oczyma wyobraźni wciąż jednak wyraźnie widział Jessuma, który klaskał i śmiał się, gdy Arrick wydobywał skoczne melodie ze swego instrumentu. Za każdym razem, gdy Rojer grał, odżywała w nim miłość ojca, podobnie jak miłość matki wypełniała go, gdy ścisnął talizman. Otoczony miłością, bezpieczny i wolny od strachu, całkiem się pogrążył w wibrującej pieśniodzie strun.

Zazwyczaj akompaniował jedynie śpiewającemu Arrickowi, lecz tym razem pozwolił muzyce wypłynąć z wnętrza duszy i wypełnić przestrzeń, którą zwykle zajmował jego mistrz.

Palce zdrowej dłoni migotały przy gryfie, a publiczność wnet zaczęła wybijać rytm, wokół którego opłatała kolejne wariacje. Tupanie stawało się głośniejsze, a Rojer w odpowiedzi grał coraz szybciej, tańcząc do muzyki po scenie. Gdy w pewnym momencie wywinął koziołka do tyłu, nie gubiąc ani nuty, tłum zawył z zachwytu.

To wyrwało go z transu, a wtedy ujrzał, że cały Rynek wypełniony jest ludźmi, którzy tłoczyli się nawet w bocznych uliczkach. Wiele czasu upłynęło, odkąd Arrick zgromadził taką widownię. Zdumiony chłopiec niemalże zgubił rytm, ale zacisnął zęby i kontynuował grę, aż muzyka na powrót stała się całym jego światem.

* * *

– Znakomity występ – usłyszał Rojer, gdy liczył polakierowane drewniane pieniądze. Naliczył ich niemal trzysta! Keven da im spokój przynajmniej na miesiąc.

– Dziękuję... – odpowiedział, ale gdy tylko się odwrócił, głos uwiązał mu w gardle. Stali przed nim Jasin i Edum, członkowie gildii.

– Gdzie twój mistrz, chłopcze? – zapytał surowo Edum, znakomity aktor i mim, którego występy przyciągały publiczność aż z Fortu Rizon.

Rojer przełknął ślinę, czując na twarzy ciepło. Opuścił wzrok w nadziei, że wezmą jego strach i poczucie winy za wstyd.

– Nie... Nie wiem – wyjąkał. – Miał tu być...

– Pewnie znów się schlał, co tu dużo gdybać – parsknął Jasin, znany również jako Złotogłosy. Mówiono, że sam nadał sobie ten przydomek. Choć był całkiem przyzwoitym śpiewakiem, przede wszystkim był bratankiem lorda Jansona, pierwszego ministra księcia Rhinebecka. Dokładał wszelkich starań, by nikt o tym nie zapominał. – Nasz stary kompan Słodka Pieśń ostatnio wytrwale się marynuje.

– Cud, że tak długo zachował licencję. – Edum pokręcił głową. – Słyszałem, że w zeszłym miesiącu zapaskudził scenę w połowie występu.

– To oszczerstwo! – krzyknął Rojer.

– Na twoim miejscu martwiłbym się raczej o siebie. – Jasin wymierzył w chłopca długi palec. – Wiesz, jaka jest kara za zbieranie pieniędzy za nieprawny występ?

Rojer pobladł. Arrick mógł przez niego stracić licencję. Gdyby zaś gildia wniosła sprawę do sądu miejskiego, niewykluczone, że niebawem rąbaliby drewno w kajdanach opinających im kostki.

Edum zaśmiał się.

– Nie rób takiej zmartwionej miny. Jeśli przekażesz gildii działkę – zagarnął sporą część monet z kapelusza – nie będzie potrzeby rozgłaszać owego incydentu.

Obaj mężczyźni podzielili między sobą połowę zysku chłopca, ale Rojer wiedział, że lepiej nie protestować. Niewiele z tych monet, jeśli w ogóle jakieś, miało trafić do kufrów

Gildii Minstreli.

– Masz talent, chłopcze – rzucił na odchodnym Jasin. – Zastanów się, czy nie warto przejść pod opiekuńcze skrzydła mistrza, który oferuje większe możliwości. Zajrzyj do mnie, kiedy ci się sprzykrzy sprzątanie po starym Arricku.

Rozczarowanie Rojera trwało do chwili, gdy potrząsnął kapeluszem. Nie spodziewał się zebrać nawet połowy jego zawartości. Pospieszył do gospody, po drodze decydując się odwiedzić jedynie Kevena, który na widok chłopca przybrał chmurny wyraz twarzy.

– Mam nadzieję, że nie przybyłeś tu tylko po to, by się wstawiać za mistrzem.

Chłopiec pokręcił głową i podał mężczyźnie sakiewkę.

– Mój mistrz mówi, że wystarczy na jakieś dziesięć dni.

Keven podrzucił sakiewkę i usłyszał przyjemny grzechot drewnianych monet. Jego zaskoczenie było aż nader widoczne. Zawahał się, ale w końcu schował pieniądze za pazuchę, wzruszając ramionami.

Arrick nadal spał. Chłopiec zdawał sobie sprawę, że jego mistrz nigdy się nie połapie, że ich pobyt został opłacony. Będzie za to skrzętnie unikał Kevena, a potem pogratuluje sobie dziesięciu dni bez opłat.

Rojer wrzucił kilka ostatnich monet do sakiewki. Miał zamiar powiedzieć mistrzowi, że znalazł je na dnie worka z cudami. Byłoby to dziwne zdarzenie, zważywszy, że od jakiegoś czasu zmagali się z biedą, ale Arrick nie zakwestionuje tych wyjaśnień.

Nie na widok butelki wina, którą chłopiec postawił tuż przy jego poślaniu.

* * *

Następnego dnia Arrick obudził się jako pierwszy. Przy popękany lusterku poprawiał makijaż. Nie był już młody, ale też nie na tyle stary, by skarby z pudełka nie mogły go przekonująco odmłodzić. Jego długie, pojaśniane od słońca włosy wciąż wyglądały raczej na blond niż siwe, a zafarbowana na ciemny brąz broda ukrywała coraz większy, obwisły podbródek. Farba do makijażu tak dobrze pasowała do opalonej cery, że zmarszczki wokół błękitnych oczu stały się niemal niewidoczne.

– Zeszłej nocy mieliśmy szczęście – powiedział Arrick, naciągając skórę twarzy, by sprawdzić, czy farba solidnie się trzyma. – Nie zdołamy jednak wiecznie unikać Kevena. Ten kudłaty borsuk prędzej czy później nas dorwie, a wtedy – naraz sięgnął do sakiewki, wyjął monety i wyrzucił je w powietrze – wtedy wolałbym mieć więcej niż sześć drewniaków.

Poruszał dłońmi tak szybko, że trudno było za nimi nadążyć wzrokiem. Wylapywał monety jedna po drugiej i już po chwili zonglował nimi ze swobodą.

– Ćwiczyłeś, chłopcze?

Nim Rojer zdążył otworzyć usta, jedna z monet już leciała w jego kierunku. Przewidział zagranie Minstrela, ale mimo to poczuł ukłucie lęku, gdy pochwycił pieniążek lewą ręką i

wyrzucił go w powietrze. Arrick dorzucał mu kolejne, a chłopak z trudem i desperacją wyłapywał je okaleczoną dłonią i posyłał w górę, by dołączyły do pozostałych.

Gdy zonglował czterema, ogarnęło go przerażenie. Gdy złapał piątą, musiał się zdobyć na najwyższy wysiłek, by nadal ich nie upuścić. Arrick powstrzymał się przed dorzuceniem szóstej i miast tego cierpliwie czekał. W chwilę później, co można było przewidzieć, Rojer upadł, a monety zaklekotały na podłodze.

Skulił się w oczekiwaniu na tyradę, ale Arrick tylko głęboko westchnął.

– Zakładaj rękawiczki – rozkazał. – Idziemy nabić sobie kabzę.

Owo westchnienie zabolowało chłopca bardziej aniżeli ostra reprimenda czy uderzenie w ucho. Gniew oznaczał bowiem, że Minstrel spodziewał się po uczniu czegoś lepszego. Westchnienie świadczyło o rezygnacji.

– Nie – zaprotestował Rojer.

Słowo samo wyrwało mu się z ust, lecz gdy tylko zostało wypowiedziane, poczuł, że trafiło na właściwe miejsce, jak wcześniej smyczek do okaleczonej dłoni.

Pomimo gęstego zarostu widać było, jak Arrick się nachmurzył.

– Chodzi o rękawiczki – wyjaśnił szybko chłopiec. Wyraz twarzy Minstrela przeszedł z gniewu w zaniepokojenie. – Nie chcę ich nosić. Nienawidzę ich!

Mężczyzna westchnął i odkorkował wino.

– Czy nie zgodziliśmy się aby co do tego – powiedział, celując w chłopca butelką – że ludzie chętniej cię zatrudnią, jeśli nie będą wiedzieć o twej ułomności?

– Nigdy co do niczego się nie zgadzaliśmy. Po prostu pewnego dnia nakazałeś mi je nosić.

Arrick zachichotał.

– Nie chcę cię odzierać ze złudzeń, chłopcze, ale tak właśnie ustalone są sprawy między mistrzami i czeladnikami. Nikt nie ma ochoty oglądać kalekiego Minstrela.

– A zatem tym właśnie jestem? Kaleką?

– Oczywiście, że nie. Nie zamieniłbym cię na żadnego innego czeladnika w Angiers, ale nie każdy człowiek przymknie oko na bliźny i spróbuje dostrzec w tobie człowieka. Ochrzcą cię jakimś szyderym przezwiskiem, a ty wkrótce stwierdzisz, że śmieją się z ciebie, a nie z twoich dowcipów.

– Mam to gdzieś – mruknął Rojer. – Przez te rękawiczki czuję się jak oszust, a moja dłoń jest wystarczająco niezdarna nawet bez tych sztucznych palców. Czy to ważne, co ich śmieszy, skoro przychodzą i płacą?

Minstrel przyglądał się uczniowi przez dłuższą chwilę, postukując palcem w kubek.

– Pokaż mi te rękawiczki – powiedział w końcu.

Były czarne i sięgały do połowy przedramienia, a na ich końcach przyszyto kolorowe trójkąty z dzwoneczkami. Rojer cisnął je mistrzowi z niesmakiem.

Arrick spojrział na nie, a potem wyrzucił przez okno. Otrząsał przy tym ręce, jak gdyby je

pobrudził.

- Zakładaj buty i idziemy – rozkazał, dopiwszy resztę wina.
- Butów też nie lubię – zaryzykował Rojer.
- Nie przeciągaj struny. – Minstrel z uśmiechem puścił do niego oko.

* * *

Prawo gildii zezwalało licencjonowanym Minstrelom występować na rogu każdej ulicy, pod warunkiem, że nie blokowali ruchu ani nie utrudniali handlu. Tymczasem niektórzy kupcy bądź karczmarze nawet im płacili, chcąc przyciągnąć ludzi blisko swych interesów.

Większość właścicieli tawern odwróciła się od Arricka z powodu jego nałogu, tak więc pozostały mu występy uliczne. Minstrel zwykł spać do późna, przez co najlepsze miejsca zastawał już zajęte przez któregoś z kolegów. Zaulek, który ostatecznie wybrał, nie należał do wymarzonych – był to róg ulicy oddalonej od głównych traktów przecinających miasto.

– Dobra, niech będzie – burknął Arrick. – Ja się przygotowuję, a ty, chłopcze, narób trochę zamieszania.

Rojer skinął głową i ruszył ulicą biegiem. Za każdym razem, gdy napotykał grupę przechodniów, fikał wokół nich koziołki i chodził na rękach. Dzwoneczki wszyte w jego pstrokate ubranie podzwaniały do taktu.

- Występ Minstrela! – wołał. – Przyjdźcie na występ Arricka Słodkiej Pieśni!

Jego popisy i głośno wykrzykiwane, wciąż rozpoznawane imię Minstrela przyciągnęły nieco uwagi. Kilku ludzi pobiegło nawet za chłopcem, śmiejąc się i bijąc brawo po każdej akrobacji.

Jakiś mężczyzna szturchnął żonę.

- Patrz! To ten kaleki dzieciak z Małego Rynku!
- Jesteś pewien?
- Spójrz na jego dłoń!

Rojer udawał, że nie słyszy, i pobiegł dalej w poszukiwaniu kolejnych widzów. Wkrótce przywiódł spragnioną uciechy gromadkę przed oblicze mistrza. Arrick żonglował leniwie wielkim nożem, tasakiem do mięsa, toporem, zydelkiem oraz strzałą, nie przestając żartować z ludźmi, których w międzyczasie sam przyciągnął.

- A oto i mój asystent! – wykrzyknął. – Rojer Bezpalcy!

Rojer biegł w jego kierunku, gdy usłyszał przezwisko. Co też Arrick wyprawiał?

Nie miał już czasu zwolnić, wyrzucił więc ręce ku górze i skoczył. Wykonał potrójne salto, lądując ledwie kilka jardów przed mistrzem. Ten pochwycił nóż, który właśnie zatoczył w powietrzu łuk, i cisnął nim w ucznia.

Chłopiec był na to przygotowany. Zawirował i bez trudu złapał zdrową ręką za jego specjalnie wyważoną rękojeść. Gdy tylko zakończył piruet, rzucił nożem prosto w głowę

mistrza.

Arrick również wykonał obrót w ostatnim momencie. Kiedy stanął twarzą w kierunku publiczności, trzymał ogromne ostrze w zębach. Ludzie nagrodzili ten wyczyn brawami, a gdy nóż znów zamigotał w powietrzu, podrzucany wraz z pozostałymi przedmiotami w tym samym rytmie co wcześniej, w kapeluszu zagrzechotało krocie drewniaków.

– Rojer Bezpalczy! – zakrzyknął Minstrel. – Zaledwie dziesięć lat i osiem palców, ale nożem włada lepiej niż ktokolwiek z dorosłych!

Publiczność wstrzymała oddech. Rojer uniósł rękę, by wszyscy mogli jej się dobrze przyjrzeć. Zewsząd dobiegły okrzyki zdumienia i przestachu. Dzięki przemyślnej sugestii Arricka ludzie uwierzyli, że chłopak złapał i odrzucił nóż okaleczoną dłonią. Ci zaś będą o tym rozpowiadać, rzecz jasna, w przesadnych słowach. A zatem Arrick, nie chcąc ryzykować obelżywych przezwisk, sam nadał uczniowi imię.

– Rojer Bezpalczy – mruknął chłopiec, smakując brzmienie słów.

– Hop! – zawołał nagle Arrick i Rojer natychmiast spojrzał w jego stronę. Klasnął dłońmi, zatrzymując nadlatującą strzałę tuż przed twarzą. Odwrócił się plecami do tłumu, pochwycił strzałę zdrową ręką i rzucił nią między nogami w kierunku mistrza, ale gdy ponownie stanął przodem do widzów, trzymał przed sobą okaleczoną dłoń.

– I hop! – odkrzyknął.

Arrick udał przerażenie i upuścił przedmioty, którymi zonglował. Pochwycił jednak zydelek w samą porę, by zatrzymać pocisk. Popatrzył na niego z zaskoczeniem, jakby zdumiony własnym szczęściem, po czym szarpnął za strzałę, która w tym samym momencie zamieniła się w bukiet kwiatów. Minstrel wręczył go najpiękniejszej kobiecie w tłumie, a w kapeluszu zagrzechotały kolejne drewniaki.

Widząc, że mistrz rozpoczął magiczne popisy, Rojer doskoczył do worka z cudami. Znajdowały się w nim składniki potrzebne do niektórych sztuczek. Wtedy to z tłumu dobiegło wołanie:

– Zagraj nam na skrzypkach!

Krzyczał jakiś mężczyzna, a stojący wokół niego ludzie zaszemrali z aprobatą. Rojer spojrzał w tamtym kierunku i wypatrzył tego samego człowieka, który wczoraj tak głośno domagał się występu Słodkiej Pieśni.

– Macie ochotę na muzykę, co? – zapytał Arrick, wyczuwając nastrój zgromadzonych. Odpowiedziała mu wrzawa aprobaty, tak więc Minstrel podszedł do worka i już po chwili odwracał się do tłumu, przytrzymując skrzypce podbródkiem. Nim jednak przyłożył smyczek do strun, ten sam człowiek zaprotestował głośno:

– Nie ty! My chcemy chłopca! Niech Bezpalczy zagra!

Minstrel spojrzał na ucznia, z trudem maskując irytację, gdy rozległy się okrzyki: „Bezpalcy! Bezpalczy!”. W końcu wzruszył ramionami i przekazał mu instrument.

Rojer ujął skrzypki drżącymi dłońmi. Na samym początku nauki każdy czeladnik

poznawał ważną zasadę: nie próbuj być lepszy od swego mistrza. Tymczasem tłum skandował imię chłopca, a smyczek idealnie ułożył się w jego okaleczonej dłoni, uwolnionej od przeklętej rękawiczki. Rojer przymknął oczy, przesunął palcami po znieruchomiłych strunach i wydobył z nich niski pomruk. Tłum zamarł. Rojer grał cicho i łagodnie, trzącał struny, jakby gładził grzbiet kota, by go sprowokować do mruczenia.

Lecz nagle skrzypki ożyły i muzyka trysnęła dzikim strumieniem. Chłopiec zapomniał o publiczności. Zapomniał o Arricku. Sam na sam z muzyką, podtrzymywał wygrywaną melodię, ale jednocześnie odkrywał coraz to nowe brzmienia i improwizował, chcąc nadażyć za tempem wybijanym przez dziesiątki dłoni. Klaskanie zdawało się dochodzić z innego świata.

Zupełnie stracił rachubę czasu. Miał wrażenie, że mógłby pozostać w świecie muzyki na wieczność, lecz wtedy rozległo się ostre brzęknięcie i zapiekła go dłoń. Potrząsnął głową, chcąc powrócić do rzeczywistości, a wtedy wszędzie wokół dostrzegł szeroko otwarte oczy słuchaczy.

– Struna pękła... – wydukał. Zerknął na zszokowanego mistrza. Arrick uniósł wolno dłoń i zaczął klaskać.

Pozostali zrobili to sami. Owacje były ogłuszające.

* * *

– Będziemy bogaci dzięki twojej muzyce – rzekł Arrick, licząc pieniądze. – Bogaci!

– Na tyle, by spłacić gildii wszystkie długi? – spytał jakiś głos.

Kiedy się odwrócili, ujrzeli wspartego o mur Jasina. Obok stało dwoje jego czeladników, Sali i Abram. Sali śpiewała sopranem o czystości równie wątpliwej, co jej uroda. Arrick czasem żartował, że gdyby założyła hełm z rogami, publiczność pomyliłaby ją ze skalnym demonem. Abram natomiast dysponował głębokim basem, od którego deski pod stopami słuchaczy zdawały się wibrować. Był wysoki i szczupły, a dłonie i stopy miał ogromne. Jeśli Sali przypominała demona skał, Abram przywodził na myśl demona drzew.

Podobnie jak Arrick, Mistrz Jasin śpiewał niezwykle pięknym, melodyjnym altem. Gardził pstrokatym odzieniem, charakterystycznym dla ich profesji, od którego wołał drogie szaty ze wspaniałej błękitnej wełny przetykanej złotą nicią. Długie czarne włosy oraz wąsy nosił starannie wypielęgnowane i natłuszczone.

Jasin nie należał do ludzi o potężnej budowie ciała, ale mimo to uchodził za bardzo niebezpiecznego. Mówiono, że kiedyś wbił innemu Minstrelowi sztylet w oko podczas kłótni o miejsce występu. Sąd uznał, że działał w obronie własnej, choć czeladnicy gildii rozpowiadali zupełnie inną wersję wydarzeń.

– Spłata moich długów to nie twoje zmartwienie, Jasin – powiedział Arrick i szybko zgarnął monety do worka.

– Twój czeladnik wytłumaczył nam wczoraj przekonująco, dlaczego nie stawiał się na występ, panie Kwaśna Pieśń, ale wierz mi – te skrzypki nie będą cię wiecznie chronić.

Po tych słowach Abrum wyrwał instrument z rąk Rojera i złamał go na kolanie.

– Prędzej czy później gildia zabierze ci licencję – dokończył Jasin.

– Gildia nigdy nie wyrzuci Słodkiej Pieśni – odparł Arrick. – A nawet jeśli kiedyś do tego dojdzie, Jasin nie przestanie być nazywany Naśladowcą.

Jasin skrzywił się, gdyż wielu członków gildii od dawna używało tego przezwiska. Był zresztą znany z tego, że wpadał w furję za każdym razem, gdy je usłyszał. Wraz z Sali podszedł do Arricka, który ujął swój worek, chcąc go bronić za wszelką cenę. Abrum przyparł chłopca do muru, uniemożliwiając mu ruszenie mistrzowi z pomocą.

Nie była to jednak pierwsza sytuacja, kiedy musieli walczyć o zarobek. Rojer raptem padł na plecy, naprężył mięśnie niczym sprężyna i wyrzucił przed siebie nogi. Abrum wrzasnął, a jego zwykle niski głos zabrzmiał wyjątkowo cienko.

– Sądziłem, że twój czeladnik śpiewa basem, a nie sopranem – zachichotał Arrick.

Jasin i Sali zerknęli na towarzysza, a wtedy Arrick błyskawicznie zanurzył dłoń w worku i wyrzucił w powietrze całą garść wirujących nasionek, które w jednej chwili przesłoniły widoczność.

Jasin zanurkował prosto w chmurę, lecz Arrick zdążył uskoczyć i z łatwością zbił go z nóg, a potem rąbnął workiem Sali. Kobieta zdołałaby zachować równowagę, gdyby nie Rojer, który ukląkł tuż za nią. Upadła więc na ziemię i nim ktokolwiek z trójki napastników zdołał się podnieść, Arrick i Rojer pędzili już po deskach drogi.

Obciążenia

323 – 325 RP

Dach Księżęcej Biblioteki w Miln był dla Arlena miejscem magicznym. Podczas ładnej pogody roztaczał się z niego widok na cały świat, świat nieograniczony murami i barierami runicznymi, świat ciągnący się w nieskończoność. To również tutaj chłopiec po raz pierwszy spojrzał na Mery i naprawdę ją ujrzał.

Jego prace w bibliotece niemalże dobiegły końca i ledwie dni dzieliły go od powrotu do warsztatu Coba. Obserwował słońce maszerujące nad okrytymi śniegiem szczytami, a w końcu zstępujące między rozcinające je doliny, usiłując zapamiętać ten widok na zawsze. Za każdym razem, gdy patrzył na Mery, życzył sobie tego samego. Dziewczyna miała piętnaście lat, a była o wiele piękniejsza od gór i śniegu.

Przez ostatni rok Mery stała mu się bardzo bliska, ale Arlen nie myślał o niczym więcej poza przyjaźnią. Teraz, skąpana w blasku słońca, z długimi brązowymi włosami rozwianymi przez górski wiatr, z ramionami skrzyżowanymi na piersi dla ochrony przed chłodem, nagle wydała mu się już nie dziewczyną, a młodą kobietą. Jednocześnie sam poczuł, jak staje się młodym mężczyzną. Krew zaczynała szybciej krążyć w jego żyłach, gdy jej suknie łopotąły na wietrze, odsłaniając koronki halki.

Nie powiedział ani słowa. Podeszedł bliżej, a Mery dostrzegła błysk w jego oku.

– Już czas – powiedziała z uśmiechem.

Arlen z czułością pogładził jej policzek. Podała się pieszczocie, pochyliła ku niemu i wtedy po raz pierwszy zasmakował jej oddechu, gdy ich wargi wreszcie się złączyły. Z początku całował ją łagodnie, z wahaniem i niepewnością, lecz jego starania nie pozostały bez odpowiedzi. Ich pocałunek był coraz głębszy, aż nagle zaczął żyć własnym życiem, głodny i pełen pasji owoc uczucia, które narastało w sercu chłopaka przez ponad rok bez jego

świadomości.

Chwilę później ich usta rozłączyły się z cichutkim cmoknięciem, a wówczas oboje uśmiechnęli się nerwowo. Spojrzeli na dachy Miln, przytuleni do siebie, połączeni wichrem młodej miłości.

– Zawsze patrzysz w głąb doliny. – Mery wsunęła palce we włosy młodzieńca i pocałowała go w głowę. – O czym marzysz, gdy twoje spojrzenie staje się tak nieobecne?

Arlen milczał przez jakiś czas.

– O uwolnieniu świata od otchłańców.

Dziewczyna, spodziewając się zupełnie innej odpowiedzi, wybuchła śmiechem. Nie chciała sprawić Arlenowi bólu, ale jej śmiech wydał mu się uderzeniem bicia.

– Czyżbyś myślał, że jesteś Wybawicielem? – zapytała. – A więc jak masz zamiar to zrobić?

Chłopak odsunął się od niej odrobinę, niespodziewanie odnosząc wrażenie, jakby został obnażony.

– Nie wiem. Rozpocznę jako Posłaniec. Odłożyłem już pieniądze na zbroję i konia.

Mery pokręciła głową.

– Nic z tego, jeśli mamy się pobrać.

– A mamy? – zapytał zdumiony, że słowa z trudem przechodzą mu przez usta.

– Nie jestem dla ciebie wystarczająco dobra? – Mery odsunęła się z urażoną miną.

– Nie! Nigdy nie mówiłem...

– Dobrze więc. Jako Posłaniec możesz liczyć na sławę i majątek, ale to zbyt niebezpieczne zajęcie, zwłaszcza gdy urodzą się nasze dzieci.

– Dzieci też już mamy?

Dziewczyna spojrzała na Arlena wzrokiem przeznaczonym dla największych głupców.

– Nie, to się nie uda – myślała głośno, ignorując jego obecność. – Będziesz musiał zostać Patronem Runów, jak Cob. Oni również walczą z demonami, ale zostaniesz przy mnie, zamiast wyruszać na rojący się od otchłańców trakt.

– Ale ja nie chcę być Patronem. W ten sposób nie dojdę do celu.

– Do jakiego celu? Do samotnej śmierci pod gołym niebem?

– Nie. To mi akurat nie grozi.

– A co osiągniesz jako Posłaniec, czego nie osiągnąłbyś jako Patron?

– Ucieknę – odparł bez namysłu Arlen.

Mery zamilkła. Odwróciła głowę, by uniknąć jego spojrzenia, a po chwili oswobodziła rękę z jego objęć. Kiedy w końcu usiadła, nadal nic nie mówiąc, chłopak uświadomił sobie, że smutek jedynie podkreśla jej urodę.

– Przed czym? – zapytała w końcu. – Przede mną?

Spojrzał na nią, pochłonięty rozważaniami, których sens dopiero zaczynał rozumieć, i znów poczuł ścisk w gardle. Czy pozostanie w Miln naprawdę byłoby czymś złym? Jakie

miał szansę znaleźć drugą Mery?

Ale czy szczęście u jej boku by mu wystarczyło? Nigdy nie myślał o zakładaniu rodziny. Rodzina stanowiła przecież obciążenie, którego nie potrzebował. Gdyby chciał wziąć ślub i mieć dzieci, równie dobrze mógł zostać w Potoku Tibbeta z Renną. Spodziewał się, że Mery należy do innego rodzaju kobiet...

Przywołał w wyobraźni marzenie, którym się napawał od trzech lat. Widział w nim siebie w siodle, jadącego samotnie traktem, wolnego i szczęśliwego. Jak zwykle to wyobrażenie całkiem go pochłonęło, ale widok Mery pomógł mu się otrząsnąć. Kiedy na nią patrzył, pragnął jedynie kolejnego pocałunku.

– Nie przed tobą – powiedział, ujmując jej dłonie. – Nigdy przed tobą.

Ich usta znów się spotkały i przez jakiś czas jego myśli błądziły wokół zupełnie innych spraw.

* * *

– Otrzymałem nowe zlecenie. Wybieram się do Zagajnika Hardena – Ragen mówił o niewielkiej rolniczej osadzie, oddalonej o dzień jazdy od Fortu Miln. – Chciałbyś do mnie dołączyć?

– Ragen, tylko nie to! – krzyknęła Elissa.

Arlen wybałuszył oczy, ale Posłaniec złapał go za rękę, nie czekając na odpowiedź.

– Czy mógłbym zamienić z żoną słowo na osobności? – zapytał łagodnie. Chłopiec otarł usta i wstał od stołu.

Ragen zamknął za nim drzwi, ale tym razem Arlen nie miał zamiaru pozwolić, by zdecydowano o nim bez jego udziału.

Krążył po kuchni i nasłuchiwał rozmowy przez drzwi, którymi wchodziła służba. Kucharz spojrzał na niego pytająco, ale chłopiec smagnął go gniewnym spojrzeniem i mężczyzna natychmiast powrócił do swych obowiązków.

– Jest na to zbyt młody! – mówiła Elissa.

– Lissa, on dla ciebie zawsze będzie zbyt młody! – odciął się Ragen. – Ten chłopak ma szesnaście lat na karku. Jest wystarczająco dojrzały, by odbyć jednodniową wyprawę!

– A ty go tylko do tego zachęcasz!

– Doskonale wiesz, że Arlen nie potrzebuje zachęty.

– A zatem dajesz mu po temu okazję! – warknęła kobieta. – Tu jest bezpieczniejszy!

– Ze mną będzie aż nadto bezpieczny. Nie lepiej, by odbył pierwsze wyprawy pod czyjśm czujnym okiem?

– Wolałabym, by nigdy żadnej nie odbył – odparła kwaśno Elissa. – Gdyby ci na nim zależało, myślałbyś podobnie.

– Na noc, Lissa! Przecież my nawet nie zobaczymy żadnego otchłańca! Dotrzemy do

Zagajnika przez zmierzchem, a wyjedziemy po wschodzie słońca. Zwykli ludzie odbywają tę podróż!

– Mam to gdzieś. Nie chcę, by wyjeżdżał.

– Nie ty o tym zadecydujesz – przypomniał Ragen.

– Zakazuję mu tego!

– Nie masz takiego prawa! – krzyknął. Arlen nigdy wcześniej nie słyszał, by Posłaniec podniósł głos na żonę.

– Tak? Zaraz się przekonasz! – warknęła Elissa. – Napoję konie jakimś świństwem! Porąbię ci włócznie na kawałki! Wrzucę zbroję do studni, by zardzewiała!

– Bierz, co chcesz, i rób, co ci się żywnie podoba – wycedził Ragen przez zęby. – Jutro wyjeżdżamy z Arlenem do Zagajnika, bez względu na przeszkody, choćby i pieszko, jeśli będzie trzeba.

– Zostawię cię – wyszeptła kobieta.

– Co?

– Dobrze słyszałeś. Zabierz ze sobą Arlena, a nie ujrysz mnie po powrocie.

– Nie mówisz tego poważnie.

– Nigdy w życiu nie byłam poważniejsza. Zabierz go, a odejdę.

Ragen milczał przez dłuższą chwilę.

– Posłuchaj, Lisso – powiedział w końcu. – Wiem, jak ciężko przeżywasz brak dziecka w twym...

– Ani się waż mieszać tych dwóch spraw!

– Ale Arlen nie jest twoim synem i nie zmienisz tego, przytłaczając go miłością! On jest naszym gościem, a nie naszym dzieckiem!

– To chyba oczywiste! Jakże mógłby nim być, skoro ty dostarczasz przeklęte listy, kiedy ja mam płodne dni?!

– Dobrze wiedziałaś, kim jestem, gdy za mnie wychodziłaś.

– To prawda. Z wolna dochodzę do wniosku, że powinnam była posłuchać matki.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Chcę przez to powiedzieć, że już dłużej tego nie wytrzymam. – Elissa zaczęła płakać. – To ciągle oczekiwanie, te myśli, czy w ogóle powrócisz, blizny, które tak bagatelizujesz, modlitwy, by te nieliczne chwile, kiedy się kochamy, pozwoliły mi powić dziecko, nim będę na to zbyt stara... A teraz jeszcze to! Tak, wiedziałam, czym się zajmujesz, gdy stawaliśmy na ślubnym kobiercu – szlochała. – I sądziłam, że wiem, jak sobie dać z tym wszystkim radę. Ale to... Ragen, ja po prostu nie zniosę myśli, że mogłabym utracić was obu! Nie zniosę tego!

Arlen poczuł dotyk na ramieniu. Obejrzał się wystraszony i zobaczył Margrit, która mierzyła go surowym wzrokiem.

– Nie powinieneś tego słuchać – oznajmiła, a chłopiec nagle poczuł wstyd. Już miał się odwrócić i odejść, gdy do jego uszu dotarły słowa Posłańca:

– Dobrze. Powiem Arlenowi, że nigdzie nie jedzie, i przestanę go do tego zachęcać.

– Naprawdę?

– Obiecuję. A gdy wrócę z Zagajnika Hardena, wezmę kilka miesięcy wolnego i nie popuszczę ci, dopóki twój brzuch nie zacznie pęcznieć.

– Och, Ragen! – Elissa zaśmiała się radośnie.

Chłopiec usłyszał, jak pada mężowi w ramiona.

– To prawda – powiedział do Margrit. – Nie miałem prawa tego słuchać.

Przełknął złość pęczniejącą mu w gardle i dodał:

– Lecz przede wszystkim oni nie mieli prawa toczyć takiej rozmowy.

Wrócił do pokoju i zaczął się pakować. Czuł, że lepiej spać na twardym sienniku w warsztacie Coba niż w miękkim łóżu, za które płacił prawem do podejmowania własnych decyzji.

* * *

Arlen unikał Rageny i Elissy przez całe miesiące. Oboje zaglądali do warsztatu, ale chłopak pozostawał nieuchwytny. Zaczęli więc wysyłać służących, by za ich pośrednictwem spróbować go sobie zjednać, lecz niczego w ten sposób nie osiągnęli.

Nie mogąc już korzystać ze stajni Rageny, Arlen kupił własnego konia i wprawiał się w jeździe na podmiejskich błoniach. Często towarzyszyli mu Mery i Jaik, z którymi łączyły go coraz silniejsze więzi. Rzecz jasna, dziewczyna krzywiła się na te ćwiczenia, ale byli wciąż młodzi i zwykła radość z galopowania przez pola odpędzała wszelkie złe uczucia.

Choć Arlen nadal pracował w warsztacie, z każdym tygodniem zyskiwał coraz większą niezależność. Sam przyjmował zlecenia i odwiedzał nowych klientów bez nadzoru mistrza. W kręgach ludzi związanych z runami jego imię stało się rozpoznawalne, zaś dochody Coba wzrastały. Stary Patron zatrudnił służących, przyjął też nowych czeladników, a większość zadań związanych z ich szkoleniem przekazał chłopcu.

Wieczorami Arlen i Mery wspólnie spacerowali, napawając oczy kolorami nieba. Ich pocałunki stawały się coraz bardziej pożądliwe, oboje pragnęli coraz więcej, ale Mery zawsze się wycofywała, nim zabrnęli za daleko.

– Za rok skończysz nauki – mawiała w takich sytuacjach. – Możemy się pobrać następnego dnia, jeśli sobie tego życzysz, a od tej pory będziesz mógł się mną cieszyć każdej nocy aż po kres życia.

* * *

Pewnego ranka, gdy Coba nie było w warsztacie, Elissa złożyła chłopcu niespodziewaną wizytę. Pochłonięty rozmową, Arlen nie zauważył jej aż do ostatniej chwili.

– Witaj, Arlenie – powiedziała, gdy klient wyszedł.
– Witaj, pani.
– Daj sobie spokój z tym formalnym tonem.
– Sądzę, że brak formalności pogmatwał nieco nasze układy. Nie chcę powtórzyć tego błędu.

– Przepraszałam cię już wiele razy, Arlenie. Co musiałyby się stać, byś mi wreszcie wybaczył?

– Musiałabyś poczuć żal.

Dwóch czeladników pracujących przy warsztatowym stole spojrzło po sobie, a potem jednocześnie podniosło się i opuściło izbę. Elissa nie zwróciła na nich uwagi.

– Kiedy naprawdę jest mi przykro – powiedziała.

– Nie, nie jest – odparł chłopak i zebrał z lady kilka książek, by je ustawić na półce. – Jest ci przykro, że podsłuchałem waszą rozmowę i że się na was obraziłem. Jest ci przykro, że odszedłem z waszego domu. Jediną rzeczą, z powodu której nie odczuwasz żalu, jest to, co powiedziałaś mężowi. Słowa, przez które Ragen nie chciał ze mną wyjechać.

– To była niebezpieczna wyprawa – ostrożnie powiedziała Elissa.

Chłopak z hukiem odłożył książki i po raz pierwszy spojrzął kobiecie prosto w oczy.

– Przez ostatnie sześć miesięcy odbyłem ją jakiś tuzin razy.

– Arlen! – Elissa wstrzymała oddech.

– Odwiedziłem też Książęce Kopalnie. I Południowe Kamieniołomy. Dotarłem do każdego miejsca w promieniu dnia drogi od miasta. Sporządziłem kilka własnych kręgów, a Gildia Posłańców nie przestaje mnie nagabywać od dnia, gdy złożyłem podanie. Zabierają mnie wszędzie, gdzie tylko zechcą pojechać. Niczego nie osiągnęłaś, Elisso. Nie pozwolę się zamknąć w klatce ani tobie, ani nikomu innemu.

– Nigdy nie miałam zamiaru zamykać cię w klatce – rzekła łagodnie kobieta. – Chciałam cię jedynie ochronić.

– To nie twoja rola – sarknął Arlen, wracając do swych zadań.

– Być może. Niemniej podjęłam się jej, bo mi na tobie zależy. Bo cię kocham.

Chłopak zamarł, ale nie odwrócił się ku rozmówczyni.

– Czy praca Patrona Runów byłaby czymś złym? – zapytała. – Cob nie jest już młody, a kocha cię jak syna. Czy przejęcie jego interesu i ślub z tą piękną dziewczyną, z którą cię widywałam, stanowiłyby przekleństwo?

Arlen pokręcił głową.

– Nie mam zamiaru zostać Patronem na zawsze.

– A gdy będziesz już zbyt stary, by pracować, jak Cob?

– Nie dożyję starości.

– Och, Arlen! Co za okropne słowa!

– Dlaczego? Przecież tak wygląda prawda. Nie zdarza się, by Posłaniec, który pozostaje

w interesie, umarł ze starości.

– Ale jeśli wiesz, że to cię kiedyś zabije, dlaczego nadal chcesz zostać Posłańcem?

– Bo wolę przeżyć kilka lat ze świadomością, że jestem wolny, niż całe dekady w więzieniu.

– Przecież Miln nie jest więzieniem!

– Jest – odparł chłopak. – Przekonujemy siebie nawzajem, że to nasz cały świat, ale to kłamstwo. Wmawiamy sobie, że mamy tu wszystko, czego nam trzeba, ale to też nieprawda. Dlaczego Ragen nadal wykonuje swe zadania? Przecież zgromadził tyle pieniędzy, że nawet nie zdoła ich wydać!

– Ragen pozostaje na służbie księcia. Ma obowiązki, których nikt inny nie wypełni.

Arlen parsknął z rozbawieniem.

– Przecież są inni Posłańcy, Elisso, a Ragen traktuje księcia jak wrzód na tyłku. Nie kieruje nim lojalność ani honor. Wypełnia swe zadania, ponieważ zna prawdę.

– Jaką prawdę?

– Że świat ma więcej do zaoferowania na zewnątrz niż tutaj.

– Jestem w ciąży, Arlenie. Sądzisz, że Ragen znajdzie coś podobnego poza murami miasta? Chłopak zamilkł zaskoczony.

– Gratulacje – wykrztusił w końcu. – Dobrze wiem, jak bardzo tego pragnęłaś.

– To wszystko, co masz do powiedzenia?

– Pewnie będziesz chciała, by Ragen porzucił pracę. Przecież ojciec dziecka nie może narażać życia, prawda?

– Istnieją inne sposoby walki z demonami. Narodziny każdego dziecka są zwycięstwem w tej wojnie.

– Jakbym słyszał własnego ojca...

Elissa otworzyła szerzej oczy. Po raz pierwszy zdarzyło się, by Arlen w jej obecności powiedział cokolwiek na temat swych rodziców.

– Był zatem mądrym człowiekiem – odparła łagodnie.

Od razu się zorientowała, że popełniła błąd. Twarz Arlena przybrała wyraz, którego nigdy dotąd nie widziała, wyraz, który ją przeraził.

– Nie był mądry! – krzyknął chłopak, strącając ze stołu kubek z pędzlami. Naczynie roztrzaskało się o podłogę, rozsiewając dookoła drobne plamki farby. – Był przeklętym tchórzem! Pozwolił mamie zginąć! Pozwolił jej umrzeć...

Z twarzą naznaczoną cierpieniem zacisnął pięści. Elissa podbiegła do niego, nie wiedząc, co powiedzieć lub zrobić. Wiedziała tylko, że chce go przygarnąć i utulić.

– Pozwolił jej umrzeć, bo bał się nocy – wyszeptał zapłakany Arlen. Próbował odepchnąć kobietę, ale ona pochwyciła go w ramiona.

Trzymała go w objęciach przez dłuższą chwilę, gładząc po włosach.

– Chodź do domu, Arlen – szepnęła w końcu.

* * *

Przez ostatni rok nauki Arlen mieszkał u Ragen i Elissy. Stosunki między nimi uległy znacznej poprawie. Chłopak stał się niezależnym człowiekiem i nawet Elissa nie próbowała już z tym walczyć. Ku jej zaskoczeniu dzięki temu ustępstwu bardzo się do siebie zbliżyli. W miarę jak rósł jej brzuch, Arlen okazywał coraz więcej troski. Wraz z Ragenem planowali wyprawy tak, by nigdy nie zostawała sama.

Chłopak spędzał również sporo czasu z położną Elissy. Ragen twierdził, że Posłańcy powinni liźnąć nieco zieleń, więc Arlen przynosił Zielarce rośliny znalezione poza murami miasta, a ona wtajemniczała go w podstawy sztuki.

Przez ten czas Ragen nie wyjeżdżał w odległe miejsca, a kiedy na świat przyszła jego córka, Marya, odstawił włócznię do stojaka na dobre. Wraz z Cobem spędzili całą noc na picu i toastach. Arlen siedział wraz z nimi, ale nie wypił wiele, pogrążony w rozmyślaniach.

* * *

– Powinniśmy zacząć planować – stwierdziła pewnego wieczoru Mery, gdy szli do domu jej ojca.

– Planować? A co takiego? – zapytał Arlen.

– Nasz ślub, osiołku. – Dziewczyna zachichotała. – Mój ojciec nie pozwoliłby mi wyjść za czeladnika, ale odkąd jesteś Patronem Runów, o niczym innym nie gada.

– Jestem Posłańcem – poprawił ją chłopak.

Mery wpatrywała się w niego przez dłuższą chwilę.

– Najwyższy czas dać sobie spokój z tymi mrzonkami. Wkrótce zostaniesz ojcem.

– A cóż to za różnica? Wielu Posłańców ma dzieci.

– Nie wyjdę za Posłańca, dobrze o tym wiesz. Nie od dziś.

– Ty też dobrze wiesz, i to nie od dziś, kim jestem, a mimo to mówisz takie rzeczy.

– Sądziłam, że możesz się zmienić. Że odpędzisz od siebie to chore przekonanie o wolności, którą można zdobyć wyłącznie za cenę życia. Sądziłam, że mnie kochasz!

– Bo tak jest.

– Ale nie kochasz mnie na tyle, by to odrzucić.

Arlen nie odpowiedział.

– Jak możesz mnie kochać i wciąż to robić?

– Ragen kocha Elisę. Jakoś im to wychodzi.

– Ale Elissa nienawidzi pracy męża – odgryzła się Mery. – Sam tak powiedziałeś.

– A mimo to są małżeństwem od piętnastu lat.

– I chciałbyś mnie na to skazać? Na samotne, bezsenne noce, na brak pewności, czy w

ogóle wrócisz, na rozważania, czy jeszcze żyjesz albo czy nie znalazłeś sobie jakiejś dziury w innym mieście?

– Nigdy do tego nie dojdzie.

– Na Otchłań, masz świętą rację! – oznajmiła Mery z policzkami mokrymi od łez. – Nigdy na to nie pozwolę.

– Mery, proszę! – Arlen wyciągnął ręce ku dziewczynie, ale ona postąpiła krok w tył.

– Nie mam ci nic więcej do powiedzenia! – Odwróciła się na pięcie i uciekła do domu.

Chłopak przez dłuższą chwilę patrzył w kierunku, w którym pobiegła. Cienie stawały się coraz dłuższe, słońce dotknęło linii horyzontu, a on nadal nie drgnął, nawet po Wieczornym Dzwonie. W końcu ruszył, powłócząc nogami. Modlił się, by otchłańce znalazły jakiś sposób na przebicie murów. Modlił się, by wtargnęły do miasta i by go pożarły.

* * *

– Arlen, na Stwórcę, co tu robisz?! – zawołała Elissa. Podbiegła do chłopaka, w chwili gdy wszedł do posiadłości. – Przecież słońce już zaszło. Sądziliśmy, że spędzisz noc u Coba!

– Musiałem przemyśleć pewne sprawy – wymamrotał Arlen.

– Na ulicy? Po zmroku?

– Miasto jest chronione, nie ma tu otchłańców. – Wzruszył ramionami.

Elissa otworzyła usta, ale wtedy dostrzegła wyraz oczu chłopaka i natychmiast zapomniała o reprimendzie.

– Co się stało? – zapytała cicho.

– Powtórzyłem Mery to, co mówiłem już tobie – odparł Arlen i zaśmiał się półprzyciennie. – Nie przyjęła tego zbyt dobrze.

– Z tego, co pamiętam, ja również miałam z tym pewien kłopot.

– A zatem doskonale wiesz, o co chodzi.

Ruszył w górę po schodach. Wszedł do pokoju i otworzył szeroko okno, wdychając zimne nocne powietrze i próbując przeniknąć wzrokiem ciemności.

Rankiem udał się do mistrza Malcuma.

* * *

Marya zaczęła płakać jeszcze przed świtem, ale odgłos ten wywołał ulgę miast irytacji. Elissa nasłuchiwała się bowiem historii o dzieciach, które umierały w nocy, i sama ta myśl budziła w niej przerażenie. Nawiedzały ją związane z tym koszmary, przez co wieczorem trzeba było niemalże siłą wrywać jej córkę z rąk.

Wsunęła stopy w pantofle, odsłaniając jednocześnie pierś do karmienia. Marya nie oszczędzała jej sutka, ale nawet ból nie przeszkadzał młodej matce. Z radością witała fakt, że

jej ukochana córeczka nabiera sił.

– Ależ proszę, mój drogi promyczku – zagruchała. – Jedz, póki nie będziesz miała dość.

Chodziła po pokoju, karmiąc niemowlę, a w duchu już się obawiała rozstania. Ragen chrapał w najlepsze. Mimo że porzucił pracę Posłańca ledwie kilka miesięcy temu, już sypiał spokojniej i rzadziej miewał koszmary. Wraz z Maryą wypełniały teraz cały jego czas i Elissa miała nadzieję, że dzięki temu trakt przestanie go kusić.

Marya wreszcie puściła sutek, beknęła z zadowoleniem i zapadła w sen. Elissa ucałowała córeczkę, ułożyła ją w łóżku, a potem ruszyła ku drzwiom. Jak zwykle czekała na nią Margrit.

– Dzień dobry, Matko Elisso.

Nowy tytuł oraz szczere uwielbienie, z jakim wymawiała go służąca, wciąż wypełniał serce Elissy radością. Choć Margrit pochodziła z niskiego stanu, nigdy dotąd nie były sobie równe na sposób, który w Miln miał największe znaczenie.

– Usłyszałam, że małeństwo płacze. Silna z niej dziewczynka.

– Muszę wyjść – rzekła Elissa. – Przygotuj kąpiel oraz niebieską suknię i płaszcz z gronostajów.

Służąca skinęła głową, a Elissa powróciła do dziecka. Gdy Marya została już wykąpana, z niechęcią przekazała ją Margrit i wyszła na miasto. Chciała ze wszystkim zdążyć, nim jej mąż otworzy oczy, bo z pewnością zwymyślałby ją za mieszanie się w cudze sprawy. Elissa wiedziała jednak, że Arlen stoi na krawędzi przepaści, i nie miała zamiaru dopuścić, by w nią wpadł, nie próbując mu pomóc.

Gdy wchodziła do biblioteki, rozglądała się ostrożnie w obawie, że chłopak ją dostrzeże. Nie znalazła Mery w żadnej z cel, nie było jej też przy regałach z książkami, co bynajmniej Elissy nie zdziwiło. Podobnie jak w przypadku wielu innych kwestii osobistych, Arlen rzadko mówił o ukochanej, ale za każdym razem, gdy to czynił, Elissa słuchała wyjątkowo uważnie. Stąd też wiedziała, że istnieje pewne szczególne miejsce, w którym dziewczyna mogła się ukrywać. W rzeczy samej, odnalazła ją szlochającą na dachu biblioteki.

– Matko Elisso – wyjąkała Mery, pospiesznie ocierając łzy – wystraszyłyście mnie!

– Wybacz, moja droga. – Elissa podeszła do dziewczyny. – Jeśli wolisz, bym sobie poszła, uczynię to, ale będzie chyba lepiej, jeśli porozmawiamy.

– Arlen was tu przysłał?

– Nie, ale widziałam, w jakim był stanie, i zrozumiałam, że tobie musi być równie ciężko.

– Był w złym stanie? – Mery pociągnęła nosem.

– Włóczył się po ulicach całymi godzinami już po zmroku. Chorowałam z niepokoju.

– Uparł się, by dać się zabić – wyszeptwała, kręcąc głową.

– Myślę, że chodzi o coś zupełnie innego. Uparł się, by poczuć, że naprawdę żyje.

Mery zerknęła na kobietę z zaciekawieniem, a Elissa usiadła obok.

– Przez długie lata nie potrafiłam zrozumieć, dlaczego mój mąż odczuwa potrzebę wyruszania w dalekie podróże. Nie rozumiałam, dlaczego chce patrzeć na otchłańce i

ryzykować własnym życiem dostarczenie kilku paczek czy listów. Zarobił przecież tyle pieniędzy, że oboje moglibyśmy dwakroć przeżyć swe życie, a wciąż opływalibyśmy w dostatki. Po co więc były mu kolejne wyprawy? Cóż – ciągnęła – ludzie opisują Posłańców słowami takimi, jak powinność, honor i poświęcenie. Przekonują siebie wzajemnie, że Posłańcy wykonują swą pracę właśnie dla tych względów.

– A czy tak nie jest?

– Tak właśnie sądziłam przez długie lata – odpowiedziała Elissa. – Teraz jednak widzę te kwestie o wiele wyraźniej. W życiu każdego z nas bywają takie chwile, gdy niezwykle intensywnie czujemy, że żyjemy. Do tego stopnia, że kiedy wreszcie mijają, przepelnia nas poczucie marności. Wówczas każdy z nas gotów jest zrobić wszystko, by znów pochwycić życie w swoje ręce.

– Ja nigdy tego nie czułam – rzekła Mery.

– Ja też nie. Ale potem poczęłam dziecko. Naraz stałam się odpowiedzialna za nowe życie kwitujące w moim wnętrzu. Wszystko, co jadłam czy robiłam, miało na nie jakiś wpływ. Czekałam na ciążę tak długo, że przerażała mnie nawet myśl o poronieniu, co przytrafia się kobietom w moim wieku.

– Przecież jesteście młodą kobietą...

Elissa uśmiechnęła się w odpowiedzi.

– Czułam, jak pulsuje we mnie życie, a moje pulsowało wraz z nim w idealnej harmonii. Nigdy wcześniej niczego podobnego nie doświadczyłam. Teraz, gdy moje dziecko przyszło na świat, ogarnia mnie rozpacz na samą myśl, że więcej tego nie doznam. Jestem z córką niezwykle blisko związana, ale nasz związek już nie będzie taki sam.

– Ale co to ma wspólnego z Arlenem? – zapytała Mery.

– Opowiadam ci o tym wszystkim, ponieważ odnoszę wrażenie, że tak właśnie czują się Posłańcy podczas wypraw. Moim zdaniem, ryzyko utraty życia sprawiało, że Ragen zaczynał doceniać jego wartość, uruchamiało w nim instynkt obronny. Sprawa Arlena wygląda nieco inaczej. Otchłańce wiele mu zabrały, Mery, ale on nosi winę w sobie. Myślę, że w głębi duszy ten chłopak siebie nienawidzi. Oskarża otchłańce o swój stan ducha i wie, że odzyska spokój dopiero wtedy, gdy wyjdzie im naprzeciw.

– Och, Arlen... – szepnęła dziewczyna. Do oczu znów napłynęły jej łzy.

Elissa otarła jej policzek.

– Ale on cię kocha. Słyszę to w jego głosie, gdy o tobie mówi. Myślę, że czasem, gdy o tobie myśli, zapomina nawet o przepelniającej go nienawiści.

– Jak tego dokonałyście, Matko? Jak udało wam się przetrwać wszystkie te lata jako żona Posłańca? Kobieta westchnęła.

– Udało mi się, ponieważ Ragen jest człowiekiem jednocześnie silnym, jak i serdecznym, a ja wiem, że to rzadkość wśród mężczyzn. Udało mi się, ponieważ nigdy nie wątpiłam w jego miłość i w to, że do mnie wróci. Ale przede wszystkim pomogły mi te nieliczne chwile,

które spędzaliśmy razem, o wiele cenniejsze od wszystkich samotnych dni.

Elissa otoczyła dziewczynę ramionami i mocno ją przytuliła.

– Podaruj mi coś, po co warto wracać do domu. Wtedy zrozumie, że jego życie mimo wszystko ma jakąś wartość.

– Ale ja nie chcę, by on w ogóle wyjeżdżał – załkała cichutko Mery.

– Wiem. Ja też nie. Ale jeśli wyjedzie, będę go kochać równie gorąco.

Dziewczyna westchnęła.

– Ja też.

* * *

Wczesnym rankiem Jaik maszerował w stronę młyna. Ku swemu zdumieniu ujrzał Arlena w zbroi. Jego przyjaciel czekał na niego wraz ze swym gniadym wierzchowcem z czarną grzywą, który został ochrzczony Świtem.

– Co się dzieje? – zapytał Jaik. – Wyjeżdżasz do Zagajnika Hardena?

– I jeszcze dalej. Dostałem zadanie od gildii. Mam dostarczyć wiadomość do Lakton.

– Do Lakton? – Jaik rozdziawił usta. – Przecież to potrwa całe tygodnie!

– Mógłbyś pojechać ze mną.

– Co takiego?

– Jako mój Minstrel.

– Ja nie jestem jeszcze gotów, by...

– Cob mówi – przerwał mu Arlen – że człowiek najszybciej uczy się wtedy, gdy po prostu musi coś zrobić. Jedź ze mną, a będziemy uczyć się razem! Wolisz pracować w młynie do końca życia?

Jaik wbił oczy w bruk ulicy.

– Praca w młynie nie jest taka zła – bąknął, przenosząc ciężar ciała z nogi na nogę.

Arlen patrzył na niego przez chwilę, a potem skinął głową.

– Uważaj na siebie, Jaik – powiedział, wskazując na rumaka.

– Kiedy wrócisz?

– Nie wiem. – Arlen wzruszył ramionami, spoglądając ku miejskim bramom. – Być może nigdy.

* * *

Niedługo po rozmowie Elissa i Mery szły do posiadłości, by poczekać na Arlena.

– Nie ustępuj zbyt łatwo – radziła Elissa po drodze. – I nie trać pewności siebie. Spraw, by musiał o ciebie zawalczyć, bo w przeciwnym razie nigdy nie zrozumie, ile jesteś warta.

– Sądzicie, że zrozumie?

– Och, jestem tego pewna – odparła z uśmiechem kobieta. – Widziałaś dziś rano Arlena?
– zapytała służącą, gdy dotarły na miejsce.

– Tak, Matko. Kilka godzin temu. Spędził trochę czasu z Maryą, a potem wyszedł z sakwą.

– Z sakwą?

– Pewnie znów pojechał do Zagajnika Hardena czy gdzieś tam. – Margrit wzruszyła ramionami.

Elissa pokiwała głową. Nie zdziwiło jej, że Arlen zapragnął opuścić miasto na dzień czy dwa.

– Jutro wróci – pocieszyła Mery. – Wejdz, przedstawię ci moją córeczkę.

Ruszyły schodami na górę. Elissa pisnęła słodko, podchodząc do łóżeczka. Pragnęła jak najszybciej porwać Maryę w objęcia, ale naraz stanęła jak wryta. Spod poduszki dziecka wystawała zwinięta kartka papieru.

Elissa drżącymi dłońmi wyciągnęła zwitek i odczytała na głos:

*Droga Elisso, Drogi Ragenie,
Przyjąłem zlecenie Gildii Posłańców. Jadę do Lakton. W chwili gdy czytacie te
słowa, jestem już na trakcie. Przykro mi, że nie sprostałem Waszym oczekiwaniom.
Dziękuję za wszystko. Nigdy was nie zapomnę.*

Arlen

– Nie! – krzyknęła Mery. Odwróciła się i wybiegła z pokoju.

– Ragen! – wołała Elissa. – Ragen!

Posłaniec wpadł do sypialni. Wyrwał żonie list z rąk i pokręcił ze smutkiem głową.

– Jak zwykle ucieka przed problemami – wymamrotał.

– No? – rzuciła Elissa.

– Co no?

– Ruszaj za nim! Przyrowadź go!

Ragen zmierzył żonę surowym spojrzeniem. Przez chwilę patrzyli sobie wyzywająco w oczy, ale Elissa wiedziała, że była to walka przegrana od samego początku. Szybko spuściła wzrok.

– Zbyt wcześnie – szepnęła. – Zbyt wcześnie... Dlaczego nie zaczekał choćby jednego dnia?

Wybuchła płaczem, a Ragen przytulił ją do piersi.

* * *

– Arlen! – krzyczała Mery. Utraciła resztki spokoju, zapomniała, że ma udawać silną i

skłonić młodzieńca, by o nią walczył. Pragnęła już tylko złapać go, nim opuści miasto, wyznać mu miłość i obiecać, że będzie go zawsze kochać, bez względu na to, jakie życie wybierze.

Dobiegła do bram miasta w rekordowym czasie, dysząc z wyczerpania, ale i tak nie zdążyła. Gwardziści poinformowali ją, że Arlen przed godziną wyjechał.

W głębi serca Mery wiedziała, że chłopak nie wróci. Wiedziała, że jeśli chce go odzyskać, musi wyruszyć w pościg. Umiała przecież jeździć konno. Mogła pożyczyć konia od Rageny i pognać w ślad za Arlenem. Bez trudu znalazłaby schronienie w Zagajniku Hardena. Gdyby się pospieszyła, zdążyłaby tam dotrzeć przed zmierzchem.

Popędziła z powrotem do posiadłości, a strach przed utratą ukochanego dodał jej nowych sił.

– Odjechał! – krzyknęła do Elissy i Rageny. – Muszę pożyczyć konia!

Posłaniec pokręcił głową.

– Minęło południe. Nie dotrzesz do Zagajnika przed nocą. Zmierzch zastanie cię w połowie drogi, a otchłańce rozszarpia cię na strzępy.

– Mam to gdzieś! Muszę spróbować!

Chciała ruszyć ku stajniom, ale Rageny pochwycił ją w ramiona. Krzyczała, wrywała się, drapała, lecz na Posłańcu nie robiło to wrażenia.

Niespodziewanie Mery zrozumiała, co Arlen miał na myśli, gdy nazwał Miln więzieniem. Zrozumiała też, czym jest poczucie marności.

* * *

Cob późno znalazł krótki list, wetknięty między strony księgi rachunkowej. Chłopak przeprosił w nim za przedwczesny wyjazd, który nastąpił przecież przed ukończeniem siedmiu lat nauki. Wyraził również nadzieję, że mistrz zrozumie jego decyzję.

Cob przeczytał liścik kilkakrotnie, aż wryło mu się w pamięć każde słowo i każde ukryte między wierszami znaczenie.

– Na Stwórcę, Arlen – wyszeptał. – Ależ oczywiście, że rozumiem.

A potem zapłakał.

Ruiny

328 RP

– Co ty wyczyniasz, chłopie?

Blask pochodni zamigotał zapraszająco na prowadzących w ciemność kamiennych schodach. Arlen wiedział, że niebawem zapadnie noc, ale zejście wabiło go w sposób, którego nie potrafił wytłumaczyć.

Cob i Ragen ostrzegali go przed tym. Wielu Posłańców często podejmowało ryzyko, licząc, że w ruinach odnajdą jakieś skarby. Nierzadko głupie ryzyko. Arlen zdawał sobie sprawę, że należy do tej grupy, ale nie mógł się powstrzymać przed docieraniem do owych „zaginionych punkcików na mapie”, jak je nazywał Opiekun Ronnell. Pieniądze, które zarabiał jako Posłaniec, wystarczały mu aż nadto, dlatego chętnie wypuszczał się na dodatkowe wyprawy, czasem zbaczając na wiele dni drogi od najbliższego traktu. Niemniej pomimo wielu wysiłków do tej pory jego poszukiwania nie przynosiły efektów.

Myślami powrócił do stosu książek ze starego świata, które rozsypały się, kiedy chciał je podnieść. Wspomnił zardzewiałe ostrze, o które rozdarł sobie dłoń tak głęboko, że wdało się zakażenie – ból był wówczas tak silny, jakby włożył dłoń w ognisko. Pamiętał też piwnicę na wino, w której zapadł się sufit i uwięził go na trzy dni. Zdołał dotrzeć na powierzchnię, ale nie wyniósł ani butelki. Płądrowanie ruin nigdy nie przynosiło zysków i zdawał sobie sprawę, że w którejś z nich czeka go śmierć.

Wróć! – nakazał sobie. Zjedz coś. Sprawdź runy. Odpocznij.

– Niech cię noc pochłonie – głośno przeklął brak rozsądku i ruszył w dół schodów.

Przeklinanie nigdy nie pomagało. Krew coraz szybciej krążyła w żyłach. Wolne Miasta nie miały do zaoferowania nic, dzięki czemu czuł taką wolność i tak wielką radość z życia. To przede wszystkim z tego powodu został Posłańcem.

Dotarł na sam dół, otarł rękawem spocone czoło i pociągnął łyk wody z bukłaka. Było tak gorąco, że wydawało mu się niemożliwe, by po zachodzie słońca temperatura na pustyni miała spaść niemalże do zera.

Kroczył mrocznymi korytarzami, a światło pochodni, niczym demony cienia, przesuwało się po ścianach ułożonych z dopasowanych głazów.

Czy istnieją demony cienia? – znów zadał sobie pytanie. Nie zdziwiłbym się, znając moje szczęście.

Westchnął ciężko. O tylu rzeczach wciąż nie miał pojęcia...

W ciągu ostatnich trzech lat wiele się nauczył. Poznał inne kultury i łapczywie przyswajał sobie ich wiedzę oraz doświadczenia w zmaganiach z otchłāncami. W angieriańskich lasach długie tygodnie obserwował drzewne demony. W Lakton spędził całe miesiące, studiując wodne runy. Nauczył się sztuki pływania na łodziach większych niż dwuosobowe, używane przez mieszkańców Potoku Tibbeta. Usiłował również dowiedzieć się jak najwięcej o wodnych demonach i zapłacił za swą ciekawość kilkoma okrągłymi bliznami na ramieniu. Miał wiele szczęścia, gdyż zdołał zaprzeć się nogą, pochwycić za mackę i wywlec otchłānca z wody. Ten, niezdolny do oddychania powietrzem, wyrwał się i uciekł w głąbiny.

W Forcie Rizon, który stanowił nie tyle miasto, co skupisko rolniczych społeczności, Arlen czuł się niemalże jak w domu. Podobnie jak w Potoku Tibbeta, mieszkańcy pomagali sobie niestrudzenie, by zmniejszyć nieuniknione straty. Nie przychodziło im to łatwo, bowiem otchłānce raz za razem przedzierały się przez bariery runiczne.

Lecz Fort Krasja, Pustynna Włócznia, zrobił na Arlenie największe wrażenie. Kraina kąsających wichrów, palącego słońca i zimnych nocy była ojczyzną piaskowych demonów, unoszących się znad wydm.

Kraina, gdzie wciąż trwała walka.

Mężczyźni z Fortu Krasja nie ulegli rozpaczce i rezygnacji. Co noc zamykali w domach kobiety i dzieci, chwyтали za włócznie oraz sieci i ruszali do walki. Bronią podobną do tej, którą dzierzył Arlen, nie zdołaliby przebić twardego pancerza otchłānca, ale mogli go rozdrażnić i zwabić w runiczne pułapki. Wschodzące słońce pustyni zamieniało uwięzione demony w kupki popiołu. Determinacja Krasjan stanowiła dla Arlena źródło inspiracji.

Choć nauczył się już wiele, nie ustawał w wysiłkach zgłębienia kolejnych tajemnic. W każdym mieście poznał coś, czego nie znano w innych, lecz wciąż wierzył, że gdzieś kryły się odpowiedzi na kolejne pytania.

Właśnie z tego powodu zstąpił po schodach w ciemność. W niemalże zapomnianym, do połowy zasypanym przez piaski mieście o nazwie Słońce Anocha od setek lat nie postala ludzka stopa. Wiedza o nim zachowała się jedynie na skrawku krasjańskiej mapy. Większa część zabudowań zapadła się lub została zniszczona przez wiatry i piaski, lecz wciąż istniały niższe poziomy, wnikaające głęboko pod powierzchnię ziemi.

Arlen skręcił korytarzem i raptem wstrzymał oddech. W słabym, migotliwym świetle

pochodni po obu stronach tunelu dostrzegł kamienne słupy. Na ich powierzchni znajdowały się wygrawerowane symbole. Runy.

Przysunął pochodnię bliżej. Były stare, wręcz starożytne. Nawet w powietrzu dało się wyczuć zatęchły zapach minionych stuleci. Wyciągnął zza pazuchy papier i kawałek węgla, by przerysować znaki, a potem, przełknąwszy z trudem ślinę, ruszył przed siebie, z każdym krokiem wzbijając obłoczki kurzu przeszłości.

Na końcu korytarza natrafił na kamienne drzwi. Rozpoznał tylko nieliczne z wymalowanych na nich zetlałych i skruszałych runów, więc znów wyciągnął notatnik i przerysował wszystkie w miarę dobrze zachowane.

Same drzwi okazały się prostą, masywną płytą. Arlen zdał sobie sprawę, że tkwi ona na miejscu tylko dzięki swej wadze. Postanowił wykorzystać włócznie w charakterze lewara. Wsunął metalowe ostrze w szczelinę między płytą a ścianą i pchnął z całej siły. Czubek ostrza pękł z metalicznym brzęknięciem.

– Na noc! – zaklął Arlen. W tej odległości od Miln metal był surowcem rzadkim i kosztownym. Młodzieniec nie zamierzał jednak tak łatwo się poddać. Wyciągnął z sakwy młot i dłuto, a następnie zaatakował samą ścianę. Mur z piaskowca łatwo poddawał się kolejnym uderzeniom i niebawem otwór osiągnął wystarczającą szerokość, by wepchnąć włócznie do przeciwległego pomieszczenia. Broń została wykonana z solidnego drewna i gdy Arlen naparł na nią całym ciężarem ciała, poczuł, że płyta lekko drgnęła. Niemniej jednak drzewce z pewnością by pękło, nim zdołałby ją przewrócić.

Wykorzystując dłuto, podważył kamienie podłogowe i wygrzebał głęboki rów, w który mógłby zepchnąć przeszkodę. Gdyby ruszyć ją jeszcze odrobinę, zsunęłaby się pod wpływem własnego ciężaru.

Znów naparł na włócznie. Ciężki kamień stawiał opór, ale Arlen nie dawał za wygraną, zaciskając zęby z wysiłku. W końcu z głośnym łoskotem płyta wpadła w rów. Między nią a ścianą powstała szczelina, wypełniona teraz kłębamii kurzu.

Arlen wcisnął się do środka. Zdał sobie sprawę, że dotarł do pomieszczenia, w którym chowano zmarłych. Powietrze cuchnęło stęchlizną, ale smród odrobinę zelżał pod wpływem przeciągu z korytarza. Młodzieniec uniósł pochodnię i dostrzegł na ścianach setki drobnych postaci. Miał przed sobą niezliczone obrazy bitew ludzi przeciwko demonom.

Bitew, które ludzie najwyraźniej wygrywali.

W samym środku komnaty spoczywała obsydianowa trumna, ukształtowana na podobieństwo mężczyzny z włócznie. Gdy Arlen podszedł bliżej, na całej jej długości ujrzał rzędy runów. Dotknął ich i uświadomił sobie, że drżą.

Wiedział, że do zachodu słońca pozostało niewiele czasu, ale nie zawróciłby teraz, choćby nawet wszystkie demony z Otchłani powstały u jego stóp. Ciężko oddychając, podszedł do wezłowania sarkofagu i pchnął pokrywę, chcąc ją zsunąć w taki sposób, by nie pękła. Najpierw powinien przerysować runy, lecz trwałoby to zbyt długo, być może nawet do

rana. Ciekawość nie pozwoliłaby mu zwlekać tylu godzin.

Ciężka pokrywa przesuwiała się bardzo powoli i twarz Arlena poczerwieniała z wysiłku, a jego mięśnie naprężyły się do granic możliwości. Ścianę miał tuż za plecami, dzięki czemu mógł się o nią zaprzeć. Z okrzykiem, który rozbrzmiał echem daleko w korytarzu, pchnął z całej siły i pokrywa z głuchym hukiem uderzyła o podłogę.

Arlen natychmiast o niej zapomniał. Zawinięte w płótno ciało we wnętrzu sarkofagu wyglądało na nietknięte, lecz to nie ono przyciągnęło jego uwagę. Zawiesił spojrzenie na zaciśniętym w zabandażowanych dłoniach przedmiocie. Na metalowej włóczni.

Z szacunkiem wysunął broń z mocnego uchwytu trupa, dziwiąc się jej lekkości. Mierzyła siedem stóp i liczyła nieco ponad cal średnicy. Po tylu latach ostrze nadal było dość ostre, by utoczyć nim krwi z ludzkiego ciała. Arlen nigdy wcześniej nie widział takiego metalu, lecz ów fakt błyskawicznie stracił na znaczeniu, gdy dostrzegł coś jeszcze.

Na srebrzystej powierzchni włóczni, od ostrza aż po jej koniec, wygrawerowano runy. Po raz pierwszy w życiu natknął się na owoc tak niezwykłego kunsztu, a same znaki również wyglądały obco.

Gdy tylko uzmysłowił sobie niecodzienność znaleziska, dotarło do niego, w jakim niebezpieczeństwie się znalazł. Słońce właśnie zachodziło. Jego odkrycia nie będą miały żadnego znaczenia, jeśli nie zdoła powiedzieć o nich innym ludziom.

Porwał pochodnię, precyzyjnie się do korytarza i popędził w stronę wyjścia, kierowany instynktem. Biegł przez labirynt tuneli, prosząc Stwórcę, by nie pozwolił mu pomylić drogi.

Wreszcie zobaczył schody prowadzące na zasypaną piaskiem ulicę. Do środka nie wpadała już nawet najdrobniejsza strużka światła. Wyrzwał na zewnątrz. Niebo nadal mieniło się barwami zachodu, słońce dopiero co znikło za horyzontem. Obozowisko miał w zasięgu wzroku, ale demony właśnie zaczynały się materializować.

Nie tracąc ani chwili na ocenę sytuacji, Arlen odrzucił pochodnię i wypadł z budynku. Pędził ku obozowisku, omijając powstające potwory, aż piasek strzelał mu spod stóp.

Podobni nieco do skalnych demonów, ich piaskowi kuzyni byli mniejsi i zwinniejsi, ale nadal należeli do najsilniejszych i najlepiej opancerzonych otchłańców. W przeciwieństwie do demonów skał, chronionych przez wielkie szare płyty, pancerz piaskowych składał się z drobnych, ostrych łusek brudnożółtej barwy, stanowiących w pustynnym otoczeniu doskonałą kamuflaż. Podczas gdy demony skał kroczyły na dwóch kończynach, piaskowe biegały na czterech.

Pyski miały jednak niemal identyczne – długie, z rzędami ostrych kłów wystających ze szczęk i z wąskimi nozdrzami, umieszczonymi tuż poniżej wielkich ślepi pozbawionych powiek. Zgrubiałe kości łuków brwiowych obwodziły ślepie od góry i biegły ku tyłowi czaszki, rozdzielając łuski. Krzaczaste brwi bezustannie się poruszały, wyciskając z oczu wszechobecny piach.

Piaskowe demony różniły się jednak od skalnych czymś jeszcze, co czyniło je nawet

niebezpieczniejszymi – polowały w watachach. Umiały współpracować, by dopaść ofiarę.

Arlen wnet zapomniał o swym odkryciu. Z mocno bijącym sercem przemykał wśród ruin z niewiarygodną szybkością i zręcznością. Przesadzał obalone słupy i skruszałe skały, a jednocześnie wymijał materializujące się otchłānce.

Demony potrzebowały kilku chwil, by się zorientować w sytuacji, gdy już docierały na powierzchnię ziemi, i młodzienc w pełni wykorzystał tę przewagę. Pędził w kierunku kręgu runów jak szalony. W biegu kopnął któregoś z otchłānców i przewrócił go na grzbiet, by móc przemknąć tuż obok. Potem skierował się prosto na innego i uskoczył w ostatniej chwili. Ostre szpony przecięły powietrze.

Krąg znajdował się coraz bliżej, ale drogę do niego zastąpił kolejny demon. Nie było już szans, by go wyminąć. Bestia mierzyła cztery stopy i wszystko wskazywało, że jej początkowe oszołomienie właśnie minęło. Przykucnęła gotowa do ataku, sycząc z nienawiścią.

Arlena dzieliło od azylu ledwie kilka stóp. Mógł liczyć jedynie na to, że zdoła przeskoczyć nad bądź co bądź mniejszym od niego potworem. Wybił się w powietrze, w przelocie instynktownie dźgając przeciwnika. Kątem oka dostrzegł błysk, a potem zderzył się z ziemią, wzbijając tumany piachu. Błyskawicznie wstał i dopadł do kręgu.

Dyszząc z wysiłku, uniósł wzrok. Kontury otaczających go piaskowych demonów wyraźnie odcinały się od pustynnego półmroku. Bestie syczały i uderzały w barierę, a ich szpony krzeszały snopy iskier.

W końcu Arlen dostrzegł demona, nad którym przeskoczył. Otchłāniec powoli odczołgiwał się od pobratymców, zostawiając na piachu atramentowoczarny ślad.

Młodzienc w zdumieniu spojrzał na włócznię, na której wciąż kurczowo zaciskał dłoń.

Z końca ostrza ściekała czarna posoka.

Arlen stłumił chęć, by wybuchnąć głośnym śmiechem, i przeniósł wzrok z powrotem na rannego otchłāńca. Jego pobratymcy przestawali nacierać na barierę i węszyli w powietrzu. Jeden po drugim dostrzegali najpierw czarny ślad, a potem krwawiącego potwora.

Z dzikim wrzaskiem horda piaskowych demonów natarła na towarzysza i rozdarła go na strzępy.

* * *

Chłód pustynnej nocy w końcu sprawił, że Arlen odłożył włócznię, w którą wpatrywał się od dłuższego czasu. Chrust zgromadził już wcześniej, podczas rozkładania obozowiska, tak więc teraz musiał jedynie skrzesać ogień, by się ogrzać i podgotować posiłek. Wierzchowcem zajął się, zanim wyruszył zbadać ruiny – nakarmił go, wycesał, a potem skrępował i zakrył ślepie kocem.

Jak co noc od trzech lat, niedługo po zapadnięciu ciemności pojawił się Jednoręki.

Ogromny demon nadciągnął znad ruin, odpędzając mniejsze otchłańce, aż w końcu zatrzymał się przed kręgiem. Arlen jak zwykle powitał go kłaśnięciem w dłoń. W odpowiedzi Jednoreki wyryczał swą nienawiść.

Gdy młodzieniec po raz pierwszy opuścił Miln, zastanawiał się, czy kiedykolwiek zdoła zasnąć przy hałasie, jaki czynił Jednoreki, waląc w magiczną osłonę. Teraz traktował to jako element codzienności. Krąg runiczny jeszcze nigdy nie zawiódł, a Arlen pieczołowicie dbał o jego stan, nie pozwalając, by z płytek zszedł lakier lub by przetaił się sznur.

Mimo to nienawidził nocnego towarzysza. Lata spędzone w jego cieniu bynajmniej nie obudziły w nim zażyłości, jaką kiedyś darzyli go gwardziści z murów Fortu Miln. Podobnie jak Jednoreki doskonale pamiętał, kto go okaleczył, tak i Arlen nie mógł zapomnieć dziewięciu Patronów Runów, trzydziestu siedmiu gwardzistów, dwóch Posłańców, trzech Zielarek i osiemnastu zwykłych obywateli, którzy stracili przez otchłańca życie. Wpatrywał się teraz w niego, w zamyśleniu gładząc włócznię. Co by się stało, gdyby go pchnął? Broń zraniła piaskowego demona. Czy te same runy wyrządzą krzywdę jego skalnemu kuzynowi?

Musiał sięgnąć do najgłębszych pokładów woli, by zwalczyć pokusę i nie wyskoczyć z kręgu.

* * *

Arlen nie spał tej nocy zbyt wiele, ale gdy światło brzasku zapędziło demony z powrotem do Otchłani, poderwał się pełen entuzjazmu. Po śniadaniu pochwycił notatnik i skrupulatnie przerysował każdy run z włóczni, uważnie badając przy tym wzory, w jakie się układały na całej jej długości.

Gdy skończył, słońce stało już wysoko na niebie. Wziął kolejną pochodnię i zszedł do katakumb, by przerysować każdy z runów wygrawerowany w kamieniu. W mieście znajdowały się inne grobowce i kusiło go niezmiernie, by wbrew rozsądkowi zbadać każdy z nich. Gdyby jednak pozostał w Słońcu Anocha choć jeden dzień dłużej, jedzenie skończyłoby mu się na długo przed powrotem do Oazy Świtu. Miał nadzieję znaleźć w ruinach studnię i tak też się stało, lecz skąpa roślinność była niejadalna i nie miał czym nakarmić konia.

Westchnął głęboko. Ruiny stały pośród piasków pustyni od wieków. Będą stały nadal, gdy tu powróci, być może z drużyną krasjańskich Patronów Runów.

Gdy opuścił tunele, słońce zmierzało już ku zachodowi. Wykorzystał resztę dnia, by nakarmić wierzchowca i nieco go rozruszać, a przed wieczorem przygotował sobie posiłek. Przez cały czas nie przestawał rozmyślać.

Krasjanie będą się domagać dowodów. Dowodów na to, że włócznia zabija demony. Byli wojownikami, a nie badaczami ruin i bez dobrego powodu z pewnością nie wysłaliby ani jednego człowieka zdolnego do walki na daleką wyprawę.

Dowód, powtarzał w myślach Arlen. Potrzeba dowodu.

Ani przez chwilę nie wątpił, że to on powinien takowy odnaleźć.

Gdy do zachodu pozostała niecała godzina, zaczął przygotowywać obozowisko na noc. Znów spętał konia i sprawdził chroniący go krąg. Jak zwykle ustawił własny o średnicy dziesięciu stóp, a potem wyjął garść kamieni runicznych z sakw i rozpoczął układać zewnętrzną barierę o średnicy czterdziestu stóp. Rozmieszczył kamienie nieco dalej od siebie niż zazwyczaj i dokładnie sprawdził ich pozycję w stosunku do pozostałych. W jukach woził trzecią przenośną osłonę – nie wyruszał w drogę bez zapasowej. Wyciągnął również i tę, po czym rozłożył ją dookoła obozu po wewnętrznej stronie najszerszej bariery.

Gdy zakończył przygotowania, uklęknął w centralnym kręgu z włócznią u boku i oddychał miarowo, oczyszczając umysł z wszelkich zbędnych myśli. Nie patrzył na słońce zatopione za linią horyzontu ani na płonącą w jego blasku pustynię, nie patrzył, jak zapadają ciemności.

Smukłe piaskowe demony powstały jako pierwsze i do uszu Arlena zaczęły dobiegać trzaski runów zewnętrznego kręgu. Chwilę później usłyszał ryk Jednorękiego. Nadchodził, przepędzając z drogi mniejsze otchłańce. Młodzieniec również i jego zignorował. Klęczał z zamkniętymi oczyma i czystym umysłem, klęczał i głęboko oddychał. Brak reakcji z jego strony tylko rozwścieczył Jednorękiego. Demon bez chwili wahania natarł na barierę.

Nawet pomimo zaciśniętych powiek Arlen dostrzegał rozbłyski magii, ale potwór po chwili przerwał natarcie. Młodzieniec otworzył oczy. Pozwolił sobie na uśmiech pozbawiony wesołości, gdy zobaczył, jak Jednoręki z zaintrygowaniem opuszcza łeb.

Otchłaniec raz jeszcze uderzył w runy i ponownie się wstrzymał. Wydał przeszywający wrzask, rozstawił szerzej nogi, rozczapierzył szpony zdrowej ręki, a potem z impetem wbił je w barierę. Zupełnie jakby napierał na szklaną ścianę, pochylił się i własnym ciężarem potęgował nacisk, wrzeszcząc z bólu. Żyłki rozszalałej magii rozbiegły się niczym pajęczyna. Gołym okiem widać było, jak osłona ustępuje.

Z trzaskiem, który wstrząsnął nawet wyciszonym umysłem młodzieńca, skalny demon wpadł do wewnętrznego kręgu. Świt zarżał przeraźliwie i targnął krępujące go liny.

Arlen powstał w tej samej chwili co Jednoręki. Ich spojrzenia się spotkały. Słabsze demony piasków desperacko usiłowały powtórzyć wyczyn większego kuzyna, ale kamienie runiczne były precyzyjnie rozmieszczone i żaden z nich nie miał dość siły, by przebić barierę. Zawodziły we frustracji, nie mogąc dołączyć do starcia wewnątrz kręgu.

Arlen urósł i spotęźniał od owej przerażającej nocy, kiedy to po raz pierwszy spotkał Jednorękiego, ale nadal miał wrażenie, że jest przy nim zaledwie marnym pyłkiem. Od uzbrojonych w pazury stóp aż po końce rogów demon liczył ponad piętnaście stóp wzrostu, a zatem dwakroć więcej od dorosłego mężczyzny. Potwór nie spuszczał oczu z przeciwnika i młodzieniec musiał zadrzeć wysoko głowę, by mu odpowiedzieć spojrzeniem.

Jednoręki rozwarł paszczę, ukazując szeregi ostrych niczym brzytwy, ociekających śliną zębów. Napreżył przypominające sztylety szpony, zachęcając Arlena do ataku. Wypiął pierś

okrytą czarnym pancerzem, którego nie mogła przebić żadna broń znana ludzkości, machnął najeżonym kolcami ogonem, wystarczająco potężnym, by zmiażdżyć konia jednym uderzeniem. Jego rozpalone cielsko buchało dymem po przedarciu się przez barierę, ale najwyraźniej ból uczynił go tylko bardziej niebezpiecznym. Przed Arlenem stał oszalały z bólu tytan.

Młodzieniec zacisnął palce na włócznie i wystąpił z kręgu.

KONIEC KSIĘGI PIERWSZEJ